

REPTICORUA

REPTICORUA

REPTICORUA

REPTICORUA

I.

J.

S.

M.

I.

T.

H.

ESTOZA 2

REPTICORUA

&

CLAS BUNTU
MOC



Głowy z góry zbliżały się coraz bardziej. Cassie nie mogła się poruszyć, miała wrażenie, że jakiś szary koc spowija jej zmysły. Chris ciągnął ją za ramię.

- Chodź! Już idą!

- Proszę się ustawić pojedynczo w rzędzie, będziemy schodzili stromą klatką schodową... - Usłyszała nad głową. Zrobiło jej się słabo.

Chris ściągał ją z wąskich schodów.

- Doug, pomóż mi!

Cassie zdobyła się na wysiłek.

- Wracajmy do domu - ponagliła Chrisa. Wyprostowała się i spróbowała nadać słowom stanowczy ton. - Muszę wrócić i powiedzieć coś Dianie... Coś ważnego... Natychmiast.

Bracia popatrzyli po sobie, zdziwieni, ale i trochę przejęci.

- Okej - stwierdził Chris, a Cassie nagle znów straciła całą energię.

Doug szedł przodem i ciągnął ją za sobą, Chris próbował popychać z tyłu. Poprowadzili ją szybko przez ciemne zakręty lochu. Mimo mroku świetnie się orientowali i bezbłędnie pokierowali ją korytarzami aż do podświetlonego neonem napisu: „Wyjście”.

Jechali na północ, a dynie podskakiwały i przewały się po tylnym siedzeniu jak poodcinane głowy. Cassie mocno zaciskała powieki i usiłowała oddychać normalnie. Wiedziała, że nie może powiedzieć braciom Hendersonom, o czym myśli. Gdyby bliźniacy dowiedzieli się, co podejrzewa na temat Kori, mogłoby się zdarzyć wszystko.

- Podrzucicie mnie tylko do Diany - poprosiła, kiedy wreszcie skręcili w Crowhaven Road. - Nie... Nie musicie ze mną wchodzić. Dzięki.

- Dobra. - Chris wypuścił ją z samochodu. A potem wystawił głowę przez okno i dodał: - Hm, no... Dzięki, że odgoniłaś ode mnie tego kundla.

- Nie ma sprawy - odparła Cassie nonszalantcko. - Polecam się na przyszłość. - Kiedy odjechali, dotarło do niej, że nawet nie spytali, dlaczego uparła się już w tej chwili rozmawiać z Dianą. Może przyzwyczaili się, że sami robią różne rzeczy bez powodu, i nie zastanawiało ich, kiedy inni postępowali podobnie.

Drzwi otworzył pan Meade i do Cassie dotarło, że musi być późno, skoro wrócił już z biura. Zawołał Dianę, a Cassie ruszyła po schodach na piętro.

- Cassie! - Diana aż drgnęła na widok jej twarzy. - Co się stało?

Na łóżku siedział Adam. On też podniósł się, zaniepokojony.

- Wiem, że jest późno... Przepraszam... Ale musimy porozmawiać. Byłam w Lochu Czarownic...

- Byłaś tam? Masz, weź to; ręce masz jak z lodu. A teraz opowiedz mi wszystko dokładnie i od początku - zażądała Diana. Posadziła przyjaciółkę i otuliła ją swetrem.

Powoli, trochę się zacinając, Cassie opowiedziała im całą historię. Jak Chris i Doug wzięli ją do swojego samochodu i zawieźli do Salem. Fragment o dyniach pominęła, ale opowiedziała, jak zeszli do Lochu Czarownic i jak, słuchając wykładu przewodniczki, nagle dostrzegła powiązania. Zmiałdzenie na śmierć to kamienne lawiny, powieszenie to skręcenie karku...

- Ale co to znaczy? - spytała Diana, kiedy Cassie skończyła.

- Nie wiem dokładnie - przyznała Cassie. - Ale wydaje mi się, że istnieje jakiś związek między tamtymi trzema zgonami a sposobem, w jaki purytanie karali przestępców.

- Elementem wspólnym jest mroczna energia - stwierdził cicho Adam. - Z czaszki korzystał pierwszy kowen. Ten z czasów, kiedy zaczęły się procesy czarownic.

- Ale to nadal nie wyjaśnia sprawy Kori - zaprotestowała Diana. - Przecież aktywowaliśmy czaszkę dopiero po jej śmierci.

Adam był błądny.

- Masz rację... Chociaż znalazłem czaszkę na dzień przed śmiercią Kori. Wyciągnąłem ją z piasku... - Spojrzał w oczy Cassie, a ją ogarnęło przeczcucie czegoś straszego.

- Piasek. Żeby unieszkodliwić zło - szepnęła. Popatrzyła na Dianę. - To jest w twojej Księdze Cienia. Jeśli zakopiesz jakiś przedmiot w piasku albo w ziemi, sprawisz, że zawarte w nim zło traci Moc. Przecież dokładnie... - Urwała i ugryzła się w język. Boże, niewiele brakowało, a powiedziałałaby: „Przecież dokładnie coś takiego zrobiłaś, kiedy na wszelki wypadek zakopałaś czaszkę na plaży”.

- Przecież dokładnie w takim miejscu ją znalazłem - dokończył za nią Adam. - Tak. Uważasz, że ukłtywniłem ją, gdy wykopałem ją z piasku? Ale to by znaczyło, że czaszka jest tak silna, że ma taką Moc... - Urwał. Cassie widziała, że nie może się pogodzić z tą myślą. Nie mieściło mu się to w głowie. - Rzeczywiście coś poczułem, kiedy ją wyłobyłem - dodał cicho. - Zakreśliło mi się w głowie, zrobiło mi się dziwnie... Możliwe, że to od tej wymykającej się mrocznej energii. - Popatrzył na Cassie. - Sądziś, że mroczna energia pojawiła się w New Salem i zabiła Kori?

- Sama... nie wiem, co mam myśleć - stwierdziła Cassie żałośnie. - Nie wiem, czy tak rzeczywiście było. Ale to nie przypadek, że za każdym razem, kiedy mamy jakiś kontakt z czaszką, ktoś ginie śmiercią, jaką purytanie kiedyś zadawali czarownikom.

- Ale przecież sama widziś - wtrąciła Diana z ożywieniem - że wcale nie za każdym razem. Nikt nie wyjmował czaszki tuż przed śmiercią Jeffreya. Była całkowicie bezpieczna... - Diana zawałała się, a potem szybko mówiła dalej: - No dobrze, wam dwojgu mogę to powiedzieć. Czaszka jest dobrze ukryta na plaży. Zakopałam ją. Cały czas tam leży. Sprawdzam co parę dni. Nie ma więc żadnego jednoznacznego powiązania.

Cassie oniemiała. W pierwszej chwili chciała wy-palić: „Ale ktoś jej używał!” Tyle że to by było szaleństwo. Akurat tego nie mogła Dianie powiedzieć. Kompletnie zbilo ją to z tropu. Gdzieś głęboko zaczynało jej się robić zimno. O Boże! Powiązanie z całą pewnością istniało.

To zupełnie jak w powiedzeniu: „Kto sieje wiatr, zbiera burzę”. Użyjesz czaszki, ktoś zginie. Ona, Cas-

— 14 —

sie, odpowiadała za ten ostatni raz, kiedy czaszka została wykorzystana. Odpowiadała za śmierć Jeffreya.

A potem doznała kolejnego okropnego wstrząsu. Zobaczyła, że Adam uważnie przygląda jej się szaroniebieskimi oczami.

- Wiem, o czym myślisz - stwierdził.

Cassie zdrętwiała i z trudem przełknęła ślinę.

- Usiłujesz znaleźć sposób, żeby mnie ochronić - oznajmił. - Żadnej z was nie podoba się myśl, że wykopałem czaszkę z piasku i że ma to coś wspólnego ze śmiercią Kori. Więc usiłujecie znaleźć dowody, że to nieprawda. Ale to się nie uda. Istnieje wyraźne powiązanie między czaszką a wszystkimi trzema zgonami, Kori również.

Cassie nadal nie była w stanie się poruszyć. Diana dotknęła jego ręki.

- Nawet jeśli to prawda - powiedziała, a jej zielone oczy się rozjarzyły - to nie twoja wina. Nie mogłeś wiedzieć, że uwolnisz mroczną energię... Nie mogłeś.

Ale ja wiedziałam, pomyślała Cassie. A przynajmniej powinnam była wiedzieć. Wiedziałam, że w czasie drzemie zło. Czulałam, że zabija ludzi. Mimo to pozwoliłam, żeby Faye dostała ją w swoje ręce. Powinnam była się jej postawić, zrobić wszystko, żeby ją powstrzymać.

- Jeśli kogokolwiek można tu obwiniać - ciągnęła Diana - to mnie. To ja przewodzę kowenowi i zdecydowałam, że urządzimy ceremonię z czaszką. Jeśli ta mroczna energia, która przewróciła Faye, uciekła, a potem zabiła pana Fogle'a i Jeffreya, to jest to moja wina.

- Nie, nieprawda - zaprzeczyła Cassie. Nie mogła już tego znieść. - To moja wina, a może po trochu każdego z nas...

— 15 —

Adam zerknął to na jedną dziewczynę, to na drugą, a potem wybuchnął zduszonym śmiechem i ukrył twarz w dłoniach.

- Spójrzcie tylko na nas. Każde usiłuje wybronić resztę i wziąć winę na siebie. Niezły żart.

- Dość żalony - zgodziła się Diana ze słabym uśmiechem.

Cassie usiłowała powstrzymać łzy.

- Moim zdaniem nie powinniśmy dłużej się zastanawiać, czyja to wina. Trzeba pomyśleć, co robić - ciągnął Adam. - Jeśli mroczna energia, która wydoszła się w czasie ceremonii, zabiła pana Fogle'a i Jeffreya, to mogła się gdzieś ukryć. Może zrobić coś więcej. Musimy się zastanowić, jak temu zapobiec.

Rozmawiali o tym bardzo długo. Adam uważał, że powinni poszukać mrocznej energii. Może udałoby im się w jakiś sposób zlokalizować ją na cmentarzu. Diana sądziła, że powinni dalej wertować Księgi Cienia, nawet te najtrudniejsze do odczytania, żeby sprawdzić, czy nie ma w nich jakiejś rady, jak radzić sobie z podobnym złem. I żeby dowiedzieć się o czasie czegoś więcej.

- I o Johnie Blacku też - podsunęła Cassie odruchowo, a Diana i Adam zgodzili się z nią. John Black używał czaszki od samego początku i coś z nią zrobił. Może jego intencje nadal na nią wpływały?

Podczas całej tej rozmowy Cassie czuła się tak, jakby pozostawała na zewnątrz. Jakby była wyalienowana. Adam i Diana naprawdę są dobrzy, myślała, obserwując, z jakim zacięciem szukają rozwiązania. Naprawdę kierowali się w działaniu najlepszymi intencjami. Różniła się od nich. Miała w sobie... zło.

Wiedziała rzeczy, których oni nie wiedzieli. Rzeczy, o których nigdy nie będzie mogła im powiedzieć.

— 16 —

Diana ładnie się zachowała, kiedy przyszła pora, żeby przyjaciółka wróciła do domu.

- Adamsie, lepiej ją odwieźć - poprosiła.

Zrobił to. Nie rozmawiali ze sobą, póki nie zatrzymał samochodu przed domem Cassie.

- Jak się trzymasz? - spytał cicho.

Cassie nie mogła na niego spojrzeć. Nigdy jeszcze tak bardzo nie potrzebowała otuchy, nigdy tak bardzo nie chciała rzucić się w jego ramiona, jak w tej chwili. Chciała mu opowiedzieć o Faye i czasie i usłyszeć od niego, że wszystko w porządku, że już nie będzie musiała borykać się z tym sama. Chciała, żeby ją przytulili.

Wyczuwała, że i on tego chciał. Siedział ledwie parę centymetrów od niej.

- Lepiej już pójdę - powiedziała drżącym głosem.

Adam tak mocno ścisnął kierownicę, że wyglądało to tak, jakby próbował ją polamać.

- Dobranoc - pożegnała się miękko, nadal nie patrząc mu w oczy.

Przez długą, długą chwilę milczenia czuła, jak Adam walczy ze sobą. A potem odparł głosem wyzbytym jakichkolwiek uczuć:

- Dobranoc, Cassie.

Weszła do domu. Nie mogła nawet porozmawiać z matką ani babką. Już to sobie wyobrażała: „Cześć, mamo, pamiętasz Jeffreya Lovejoya? Pomogłam go zabić”. Może jednak nie.

To była dziwna myśl, wiedzieć, że się ma w sobie zło. To poczucie towarzyszyło Cassie, kiedy tego wieczoru kładła się do łóżka, i tuż przed zaśnięciem zaczęło dziwnie mieszać się z wizją miodowych oczu Faye.

1 - Tajemny Krąg 2

— 17 —

„Niegzeczna” – prawie słyszała chichot Faye. „Nie jesteś zła, tylko po prostu niegrzeczna... Jak ja”.

Sen zaczął się pięknie. Była w ogrodzie babki, latem, kiedy wszystkie rośliny kwitną. Melisa cytrynowa tworzyła przy ziemi złotą kępę. Lawenda, konwale i jaśmin rozciąły wokół zapach tak słodki, że Cassie zakręciło się w głowie.

Nachyliła się, żeby urwać gałązkę kapryfolum, pokrytą małymi, kremowymi kwiatkami. Słońce świeciło, ogrzewając jej ramiona. Niebo było czyste i bezkresne. Dziwne, ale chociaż był to ogród jej babki, w pobliżu nie widziała domu. Stała zupełnie sama w jasnym słonecznym świetle.

A potem dostrzegła różę.

Były wielkie, aksamitne, czerwone jak rubiny. Takie różę nie rosną dziko. Cassie zrobiła krok w ich stronę, potem kolejny. W zagłębieniu jednego z płatków spoczywała kropla rosy. Drżała lekko. Cassie chciała powąchać kwiat, ale się bała.

Usłyszała obok siebie gardłowy śmiech.

– Faye!

Dziewczyna uśmiechnęła się leniwie.

– Nie krępuj się, wężaj – powiedziała. – Nie ugryz cię.

Ale Cassie pokręciła głową. Serce biło jej szybko.

– Och, daj spokój, Cassie. – Teraz głos Faye uciszył. – Spójrz tylko. Czy to nie wygląda ciekawie?

Cassie spojrziała. Za krzakami róż stało się coś przedziwnego. Zapadła tam noc, chociaż w miejscu, gdzie stała Cassie, panował jasny dzień. To była chłodna, czarnofioletowa noc, oświetlona gwiazdami, ale zupełnie bezksiężycowa.

— 18 —

– Chodź ze mną, Cassie – znów zaczęła namawiać Faye. – To tylko parę kroków. Pokażę ci, jakie to łatwe. – Przeszła za krzaki róż, a Cassie wpatrywała się w nią. Faye stała teraz w mroku, jej twarz kryły cienie, a wspaniałe włosy mieszały się z ciemnością. – No bo dlaczego nie? – stwierdziła Faye cicho. – Przecież już jesteś taka jak ja. A może zapomniałaś? Już dokonałaś wyboru.

Cassie pozwoliła, żeby gałązka kapryfolum upadła na ziemię. Bardzo powoli wyciągnęła rękę i zerwała jedną z róż. Miała taki głęboki czerwony kolor i była taka delikatna. Cassie wpatrywała się w nią.

– Piękna, prawda? – szepnęła Faye. – Przynies ją tutaj.

Cassie, jak zaczarowana, zrobiła krok do przodu. Na ziemi, między mrokiem a dniem leżało pasmo drgającego cienia. Cassie zrobiła jeszcze jeden krok i nagle, ostry ból sprawił, że aż sapnęła.

Róża ją ukłuła. Krew spływała jej po nadgarstku. Wszystkie kolce na tych różach były purpurowe, jakby splamila je krew.

Przerażona, spojrziała na koleżankę. Zobaczyła tylko mrok i usłyszała kpiący chichot.

– Może następnym razem – z ciemności dobiegł ją głos Faye.

Cassie obudziła się z walącym sercem. Wpatrywała się w mrok własnego pokoju. Kiedy włączyła światło, niemal spodziewała się, że zobaczy krew na rękach. Ale jej nie było, ani śladu po ukłuciu kolcem róży.

Dzięki Bogu, pomyślała. To był sen, tylko sen.

A jednak długo nie mogła znowu zasnąć.

— 19 —

Obudził ją dzwonek telefonu. Po kolorze światła wpadającego przez okno od wschodu zorientowała się, że zasnęła.

– Halo?

– Cześć, Cassie. – W słuchawce zabrzmiał znajomy głos.

Serce Cassie zabiło mocniej. Natychmiast stanął jej przed oczami dziewczyny sen. Spanikowana, niemal spodziewała się, że Faye zacznie gadać o różach i mroku.

Ale głos dziewczyny brzmiał całkiem zwyczajnie.

– Jest sobota, Cassie. Masz jakieś plany na wieczór?

– Hm... Nie. Ale...

– Bo Deborah, Susan i ja planujemy niewielkie spotkanie. Pomyślałyśmy, że może będziesz chciała przyjść.

– Zdawało mi się... że jesteś na mnie wściekła.

Faye się roześmiała.

– Byłam nieco... urażona, owszem. Ale to już nieważne. Jestem dumna, że tak się podobałaś chłopakom. To tylko dowodzi, ile można osiągnąć odrobina czarów, nie?

Cassie zignorowała przytyk. Nagle przyszło jej do głowy coś strasznego.

– Jeśli planujesz znów użyć czaszki, wybij to sobie z głowy. Masz pojęcie, jakie to niebezpieczne? – Już chciała opowiedzieć o tym, czego się dowiedziała w Lochu Czarownic, ale Faye jej przerwała.

– Och, kogo jeszcze obchodzi tu czaszka? – parsknęła. – Robimy imprezę. No dobra, to do zobaczenia tak koło ósmej, tak? Przyjdziesz, Cassie, prawda? Bo jeśli nie, może to mieć różne... niemiłe konsekwencje. Na razie!

— 20 —

Deborah i Susan tam będą, tłumaczyła sobie Cassie. Gdy wieczorem szła w stronę domu Faye. Nie pozwoliła sobie na to. Ta myśl dawała jej pewną pociechę.

A Faye, kiedy otworzyła drzwi, wydawała się mniej groźna niż zwykle. Jej złote oczy połyskiwały jakos tak szelmowsko, a uśmiech był niemal wesoły.

– Wchodzi, Cassie. Dziewczyny są w salonie na dole – zaprosiła.

Na progu pokoju Cassie usłyszała muzykę. Salon był umeblowany w tym samym zamożnym, luksusowym stylu, co reszta domu. Wielki telewizor konkurował z jakąś piosenką Madonny, lecącą ze sprzętu grającego. Przy całej tej technologii, dziesiątki świateł powitykanych w różne świeczniki po całym pokoju wydawały się nie pasować do reszty.

– Przychyście to – rozkazała Faye. Susan wydeła wargi, ale machnęła pilotem w stronę zestawu stereo, a Deborah przyciszyła telewizor. Im też Faye najwyraźniej wybaczyła.

– A teraz – posłała koci uśmiech w stronę Cassie – pozwól, że wyjaśnię. Gospośia ma dziś wychodne, a mama źle się czuje i leży w łóżku...

– Jak zwykle – przerwała Deborah, zwracając się do Cassie. – Jej mama dziewięćdziesiąt pięć procent czasu spędza w łóżku. Nerwy.

Faye uniosła brwi.

– Co zrobić... Z pewnością to bardzo wygodne, nie? W takich sytuacjach. – Obróciła się do Cassie i mówiła dalej: – Zrobimy sobie niewielką imprezkę z pizzą. Pomogiesz przygotować co trzeba, prawda?

Cassie odetchnęła z ulgą. Impreżka z pizzą. A ona sobie wyobrażała... No cóż, wyobrażała sobie różne dziwne rzeczy.

— 21 —

- Pomogę - zgodziła się.

- No to zaczynamy, Susan pokaże ci co i jak.

Cassie słuchała poleceń Susan. Zapalily różowe i czerwone świece, a na kominku rozpalily niewielki, trzaskający ogień. Potem pozapalily jeszcze kadzidelka, a Susan wyjaśniła, że są w nich korzeń imbiru, kardamon i olejek neroli. Kadzidło było nieco duszące, ale mimo wszystko pachniało słodko.

Faye rozkładała w pokoju kryształ. Cassie rozpoznała je - granaty i karneole, ogniste opale i różowe turmaliny. A Susan, jak dostrzegła Cassie, włożyła naszyjnik z karneolami, który pasował do jej jasnorudych włosów, podczas gdy Faye miała na sobie więcej niż zwykle ulubionych gwiazdzistych rubinów.

Deborah powyłaczała lampy i zaczęła się bawić sprzętem grającym. Muzyki, którą włączyła, Cassie jeszcze nigdy nie słyszała. Był to cichy, wibrujący rytm, jakaś prymitywna melodia, która zdawała się przyspieszać bieg jej krwi. Zaczęła się spokojnie, ale zdawała się niemal niepostrzeżenie robić coraz głębszą.

- No dobra - stwierdziła Faye, cofając się, żeby ocenić wzrokiem całość. - Wygląda niezłe. Zrobili drinki.

Cassie też rozejrzała się po pokoju. Wydawał się ciepły i gościnny, zwłaszcza przy chłodnej, październikowej pogodzie na zewnątrz. Świece i ogień zrzucały różaną poświatę, a cicha, natarciowa muzyka wypełniała powietrze. Kadzidło miało pikantny zapach, oszalamiło, w jakiś sposób wydawało się zmysłowe, a jego dym leciotko zasnuwał powietrze w pokoju.

Wygląda to jak palarnia opium czy coś, pomyślała Cassie, jednocześnie zafascynowana i przerażona.

— 22 —

I w tej samej chwili do pokoju weszła Faye ze srebrną tacą.

Cassie wytrzeszczyła oczy. Spodziewała się, no cóż, szefciopaku paszek z jakimś napojem gazowanym. A może - znając Deborah - szefciopaku czegoś innego. Powinna była wiedzieć, że Faye do czegoś tak nieeleganckiego nigdy się nie zniży. Na tacy stały kryształowa karafka i osiem niewielkich kryształowych kieliszków. Karafka była do połowy wypełniona jakimś przezroczystym rubinowym napojem.

- Siadajcie - zakomenderowała Faye, napełniając cztery kieliszki. A potem, gdy dostrzegła, że Cassie się waha, dodała: - To nie alkohol. Spróbuj. Och, wyluzuj już.

Cassie ostrożnie upiła łyk. Napój miał subtelny, lekko słodkawy smak i poczuła, że ogarnia ją wewnętrzne ciepło sięgające aż po końce palców.

- Co w tym jest? - spytała, zaglądając do kieliszka.

- Och, to i owo. Jest... stymulujące, prawda?

- Hm... - Cassie pociągnęła kolejny łyk.

- A teraz - uśmiechnęła się Faye - możemy się pobawić w Faceta z Pizzą.

Po chwili milczenia Cassie powtórzyła:

- Faceta z Pizzą?

- Faceta z Pizzą. Z dostawą do domu - przytaknęła Susan i zachichotała.

- Zabawa znana inaczej jako obserwowanie, jak faceci robią z siebie dumków - dodała Deborah i uśmiechnęła się szeroko i okrutnie. Chciała jeszcze coś dodać, ale wtrąciła się Faye.

- Co będziemy jej opowiadać... Pokażmy to! - stwierdziła. - Gdzie telefon? - Deborah podała jej bezprzewodowy aparat.

— 23 —

Susan wyciągnęła skądś książkę telefoniczną. Przeglądała ją, przewracała strony i wreszcie odczytała numer.

Faye naciskała klawisze telefonu.

- Halo? - odezwała się miłym tonem. - Chciałabym zamówić dużą pizzę, z pepperoni, oliwkami i pieczarkami.

- Podaj swój adres i numer telefonu. - Zgadza się, to w New Salem - potwierdziła. - Może mi pan powiedzieć, ile to potrwa? Rozumiem, dzięki. Na razie.

Rozłączyła się i spojrzała na Susan.

- Następny - zażądała.

A potem, ku rozpaczy zdziwienia Cassie, znów zamówiła pizzę.

I tak sześć razy.

Koniec końców, Faye zamówiła siedem dużych pizz, wszystkie z tymi samymi dodatkami. Cassie, której od zapachu kadzidła zaczynało się lekko kręcić w głowie, próbowała odgadnąć, ile osób Faye ma tak w sumie zamiar nakarmić.

- Kto tu jeszcze przyjdzie? Cały Mormoński Chór Tabernakulum? - szepnęła do Susan. Koleżanka w uśmiechu pokazała dołeczki.

- Mam nadzieję, że nie. Chórzyci raczej nas nie interesują.

- Wystarczy - oświadczyła Faye. - Poczekaj tylko, Cassie, sama zobaczysz.

Kiedy odezwał się dzwonek przy drzwiach, Faye, Susan i Deborah przeszły do frontowego salonu i wyjrzały przez okno. Cassie poszła za nimi. W świetle wewnątrz stał młody chłopak z zafusczonym kartonowym pudełkiem.

- Hm - powiedziała Faye. - Niezłe. Nie żęby super, ale niezłe.

— 24 —

- Moim zdaniem nada się - stwierdziła Susan. - Spójrz tylko na te ramiona. Weźmy go.

Przeszły do holu, za nimi wlokła się Cassie.

- Och, dzień dobry! - Faye otworzyła drzwi. - Możesz wejść do środka i postawić ją tam? Zostawiłam torbę w drugim pokoju. - Cassie patrzyła coraz szerzej otwartymi oczami, jak prowadzą faceta do ciepłego, luksusowego, pięknie pachnącego saloniku. Zamrugał, a potem przez jego twarz przemknęło jakieś totalne zdumienie.

Deborah wzięła od niego pudełko z pizzą.

- Wiesz... - oderwała się Faye, przygryzając końcówkę pióra, z którym pochylała się nad książeczką czekową - wyglądasz, jakbyś był trochę zmęczony. Może sobie usiądziesz? Chce ci się pić?

Susan nalewała do kieliszka przezrozysty rubinowy płyn. Podawała mu go z uśmiechem. Dostawca pizzy obliwał wargi, mięse miał oszłomioną. Cassie w sumie go rozumiała. Pomyślała, że nie ma chyba na świecie faceta, który oparłby się Susan z tą jej burzą jasnorudych loczków, głęboko wyciętą bluzką i kryształowym kieliszkiem w rękę. Susan nachyliła się nieco mocniej, podając mu kieliszek, a chłopak wziął od niej napój.

Deborah i Faye wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Przetawię jego samochód za dom - mruknęła Deborah i wyszła.

- Mam na imię Susan. - Susan usiadła na sofie obok dostawcy pizzy. - A ty?

Deborah ledwie zdążyła wrócić, kiedy dzwonek przy drzwiach odezwał się ponownie.

— 25 —

Chować się! – rzuciła Deborah, kiedy znów wyrwały przez okno salonu. Ten chłopak od pizzy był chuderlak, miał rzadkie włosy i trądzik.

Faye już szła do frontowych drzwi.

– Pizza? Nie zamawialiśmy żadnej pizzy. Nie chodzi mnie, do kogo dzwoniłeś, żeby potwierdzić. Nie chcemy tej pizzy. – Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem i po paru chwilach kręcenia się po werandzie chłopak odjechał.

Kiedy jego furgonetka dostawcza wycofywała się z podjazdu, pod dom podjechała kolejna. Wysoki, jasnowłosy chłopak z kartonowym pudełkiem w dłoni ruszył w stronę drzwi. Co chwila oglądał się na odjeżdżającego przedstawiciela konkurencji.

– No, teraz trochę lepiej – stwierdziła Faye.

Kiedy wprowadziły blondyna do saloniku, Susan i pierwszy dostawca pizzy obejmowali się już na sofie. Odsunęli się teraz od siebie, a chłopak nadal miał oszaloną minę. Faye nalala drinka nowemu gościowi.

W ciągu kolejnej godziny dzwonek u drzwi odezwał się jeszcze cztery razy i dziewczyny wybrały dwóch następnych chłopaków. Susan dzieliła swoją uwagę między pierwszego a jednego z nowo przybyłych, który miał wydatne kości policzkowe i twierdził, że w jego żyłach płynie trochę indyjskiej krwi. Ten drugi nowy, który wydawał się młodszy niż pozostali i miał brązowe, łagodne oczy, nerwowo wiercił się, siedząc obok Cassie.

– Dziwne to – powiedział, rozglądając się po wnętrzu i popijając kolejny łyk z kieliszka. – Bardzo to

dziwne... Nie wiem, co ja wyprawiam. Przecież mam zamówienia do rozwiezienia... – A potem dodał: – Kurczę, jaka ty jesteś ładna.

Kurczę? – pomyślała Cassie. O rety! O jejku! O mój Boże...

– Dziękuję – odparła słabym głosem i rozejrzała się po pokoju, szukając jakiegoś ratunku.

Ale ratunek nie nadchodził. Faye, emanująca zmysłowością i pociągająca, przesuwając długim, czerwonym paznokciem w górę i w dół rękawa jasnowłosego chłopaka. Susan rozsiadła się wygodnie na kanapie między dwoma wielbicielami. Deborah przysiadła na oparciu przesadnie miękkiego fotela, a jej oczy były zmrożone i raczej pogardliwe.

– Mogę cię objąć ramieniem? – spytał z wahaniem brązowooki chłopak.

Chłopcy to nie zabawki, pomyślała Cassie. Nawet jeśli akurat ten obok niej faktycznie wyglądał jak pluszowy miś. Faye sprowadziła tu ich wszystkich, żeby się nimi pobawić, i to było niewłaściwe... Prawda? Nie wiedzieli co robią, nie mieli żadnego wyboru.

– Przeprowadziłem się tu z Południowej Karoliny dopiero zeszłego lata – ciągnął chłopak. – Miałem tam dziewczynę... Ale teraz jestem... samotny...

Cassie wiedziała, jak to jest. To był naprawdę miły chłopak, w jej wieku. Jego brązowe oczy, chociaż nieco szkliste, podobały się jej. Nie zaprotestowała, kiedy ciepłym i nieco niezręcznym gestem objął ją ramieniem.

Czuła, że nieco kręci jej się w głowie. To przez kadridelko... Albo może przez kryształ, pomyślała. Miała wrażenie, że muzyka w niej pulsuje. Powinno ją zawstydzić to, co się działo w pokoju. I czuła się zawstydzona. Ale było w tym też coś całkiem ekscytującego.

Niektóre ze świcę pogasty i zrobiło się jeszcze ciemniej.

Ciepły dotyk wokół ramion sprawiał Cassie przyjemność. Zaczęła myśleć o wczorajszym wieczorze, kiedy tak bardzo pragnęła, żeby ktoś ją pocieszył, żeby ktoś ją przytulił. Żeby nie musiała się czuć taka osamotniona.

– Nie wiem dlaczego, ale naprawdę mi się podobasz – mówił brązowooki chłopak. – Nigdy jeszcze czegoś takiego nie czułem.

Dlaczego miałaby tego nie zrobić? Przecież już i tak była zła. I chciała mieć przy sobie kogoś...

Brązowooki chłopak nachylił się, żeby ją pocałować.

I wtedy Cassie zrozumiała, że tak nie wolno. Że to nie jest tak samo złe, jak całowanie się z Adamem, ale złe dla niej samej. Ona nie chciała się z nim całować. Każda pojedyncza komórka jej ciała protestowała, ogarnięta paniką. Wywinęła się z ramion chłopaka i poderwała na nogi.

Faye i jasnowłosy chłopak też wstali i ruszyli w stronę drzwi. Podobnie Susan oraz jej niedobrana para chłopaków.

– Idziemy tylko na górę – oznajmiła Faye ochryplym głosem. – Tam jest więcej miejsca. Sporo pomieszczeń, tak w sumie.

– Nie – powiedziała Cassie.

Czuła Faye zmarszczyła niewielką linię niezadowolenia, a potem dziewczyna uśmiechnęła się i podszła do Cassie.

– Cassie, jestem tobą rozczarowana – odezwała się do niej przyciszonym głosem. – Po tym, jak się zaprezentowałaś na balu, naprawdę sądziłam, że jesteś jedną z nas. No i to przecież nie jest ani trochę tak

ale jak różne inne rzeczy, które robiłaś. Z tymi chłopakami możesz się bawić tak, jak tylko masz ochotę. Będzie im się to podobało.

– Nie – powtórzyła Cassie. – Powiedziałam, że bym tu przyszła, i zrobiłam to. Ale nie mam ochoty zostać dłużej. – Oczy ją piekły i trudno jej było zachować spokojny ton.

Faye zrobiła zirytowaną minę.

– Och, niech ci będzie. Skoro nie chcesz się bawić, nie zmuszę cię. Idź.

Cassie poczuła ulgę. Tylko raz obejrzała się na brązowookiego chłopaka i szybko ruszyła w stronę drzwi. Po tym wczorajszym śnie tak bardzo się bała... Nie była pewna, co Faye może jej zrobić. Ale – przynajmniej na razie – udało jej się wyrwać.

Głos Faye zatrzymał ją przy drzwiach. Czarnowłosa czarownica zaczęła, aż Cassie w pełni skupi na niej swoją uwagę, i dopiero wtedy się odezwała:

– Może następnym razem.

Cassie mrowiła skóra, kiedy szła w stronę domu. Chciała jak najszybciej zostawić za sobą Faye i całą tę imprezę, poczuć się bezpieczna...

– Hej, zaczekaj chwilę! – zawołała za nią Deborah. Niechętnie obejrzała się i przystanęła. Zbierała się w sobie jak do odparcia ciosu.

Deborah podeszła do niej szybkim, lekkim krokiem, jak zawsze opanowana. Ciemne włosy opadały burzą wokół jej drobnej twarzy i zasłaniały oczy. Jak zwykle, brodę wysuwała nieco wojowniczym ruchem, ale nie miała wrogiej miny.

– Ja też wychodzę. Podrzucić cię? – zaproponowała.

Cassie natychmiast przypomniała sobie, co się stało, kiedy po raz ostatni zgodziła się, żeby ktoś ją dokądś podwiózł. Ale nie bardzo chciała odmawiać Deborah. Po ostatnich słowach Faye czuła się mała, bezbronna i krucha – jak coś, co można bardzo łatwo zgnieść. A poza tym... No cóż, Deborah nieczęsto zdobywała się na takie gesty.

– No dobra, dzięki – zgodziła się po ledwie zauważalnej chwili wahania. Nie pytała, czy nie powinny założyć kasków. Miała wrażenie, że Deborah lekceważyła takie rzeczy.

Cassie jeszcze nigdy dotąd nie jechała motocyklem. Kiedy usiłowała na nim usiąść, wydawał się większy, niż kiedy po prostu patrzyło się na niego z boku. Ale gdy już wsiadła, okazał się zadziwiająco stabilny. Wcale się nie bała, że spadnie.

– Trzymaj się mnie – rzuciła Deborah. A potem, z głośnym rykiem, ruszyły.

To było niesamowite uczucie. Jakby płynęły w powietrzu. Jak czarownice na miotłach, pomyślała Cassie. Wiatr huczał Cassie wokół głowy, zwiewał włosy z twarzy. Ciskał loki Deborah w jej oczy, więc niczego nie widziała.

Kiedy Deborah przyspieszyła, zaczęło się robić strasznie. Cassie była pewna, że jeszcze nigdy nie jechała z taką prędkością. Wiatr zrobił się lodowato zimny. Gnały przed siebie w mrok, stanowczo zbyt szybko, by jazda po większej drodze była bezpieczna. Domy na Crowhaven zostały daleko w tyle. Cassie nie mogła oddychać, nie mogła wydobyć z siebie głosu. Stały tylko wiatr, droga i poczucie szybkości.

Ja tu zginę! – pomyślała Cassie. Było jej niemal wszystko jedno. Coś tak oszalamiającego warte by-

ło takiej ceny. Była pewna, że na następnym zakręcie motocyklista się nie wyrobi.

– Wyluzuj! – krzyknęła Deborah. Jej słowa porywał wiatr. – Wyluzuj! Przechylaj się tak samo jak ja i nie stawiaj oporu!

Jak mam się wyluzować, jeśli gnany prosto w mrok z prędkością dobrych stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę? – pomyślała Cassie. Ale wtedy to odkryła. Wystarczyło się poddać. Cassie pogodziła się z czekającym ją losem i pozwoliła się porwać wiatrowi i prędkości. I jakby za sprawą magicznego zaklęcia, wszystko znów było w porządku.

W końcu dotarło do niej, że wracają na Crowhaven Road, że mijają dom Diany i inne budynki. Przemknęły obok domu Cassie i przejechały przez opuszczoną działkę do krawędzi klifu.

Tumany kurzu unosily się po obu stronach motocykla. Cassie przez mgnienie oka dostrzegła urwisko i ukryła twarz na ramieniu Deborah. A potem zaczęły zwalniać, maszyna się przechyliła, zakręciła i stanęła.

– No jak? – spytała Deborah, kiedy świat znów znieruchomiał. – Co powiesz?

Cassie uniosła głowę i puściła koleżankę. Do tej pory trzymała się jej kurczowo. Każdy centymetr ciała przemartł i przypominał kostkę lodu, jakby posiadziła sobie w zamrażarce. Włosy miała zmierzwiłone i nie czuła warg, uszu i nosa.

– Było cudownie – sapnęła. – To jak łatanie.

Deborah wybuchnęła śmiechem, zeskoczyła z motocykla i podlepiała pasażerkę po plecach. Potem pomogła jej zsiąść. Cassie nie mogła opanować dreszczy.

– Popatrz tam – powiedziała Deborah, podchodząc do krawędzi klifu.

Cassie spojrzała. Daleko w dole ciemna woda, pięnię się, uderzała o skały. To byłoby bardzo długi upadek.

Było w tym też jednak coś pięknego. Ponad wielką, szarą połacią oceanu wisiał księżyc już prawie w pełni. Rzucił długie, drżące pasmo światła na wodę – czyste srebro pośród tego mroku.

– To wygląda jak droga – powiedziała Cassie cicho, wciąż szczerzyła zębami. – Jakby można nią było dokądś pojechać.

Zerknęła szybko na Deborah, nie całkiem pewna, czy motocykliste spodoba się takie porównanie. Ale tamta krótkim ruchem skinęła głową i zmrużonymi oczami wpatrywała się w srebrną ścieżkę.

– To byłoby najlepsze. Jechać, aż się zjedzie za krawędź. Chyba czegoś takiego właśnie chciały dawne czarownice – stwierdziła.

Cassie ogarnęło jakieś ciepło, mimo że wciąż drżała. Deborah miała to samo odczucie, co ona. Teraz Cassie rozumiała już, dlaczego Deborah jeździła motocyklem.

– Lepiej stąd chodźmy – oznajmiła nagle Deborah. Kiedy wracały do motocykla, Cassie potknęła się i przytknęła na jedno kołano. Obejrzała się za siebie i zauważyła, że zaczęła stopą o kawałek cegły czy kamienia.

– Zapomniałam ci powiedzieć, kiedyś stał tu dom – odezwała się Deborah. – Zburzono go dawno temu, ale zostały fragmenty fundamentów.

– Chyba właśnie jeden znalazłam – zauważyła Cassie. Pocięła kołano i już się podnosiła na nogi, kiedy dostrzegła coś obok cegły. Było ciemniejsze niż ziemia, na której leżała, a jednak w świetle księżyca lekko połyskiwało.

Uniosła przedmiot i przekonała się, że jest gładki i zadziwiająco ciężki. I naprawdę błyszczał, odbijał światło księżycy niczym czarne lustro.

– To hematyt – zdziwiła się Deborah. Zawróciła, żeby spojrzeć na kamień. – Potężny klejnot, dający żelazną siłę, jak mówi Melanie. – Przytknęła nagle obok Cassie, odsuwając z oczu zmierzwiłone włosy. – Cassie! Przecież to twój kryształ roboczy!

Cassie ogarnął dreszcz, który zdawał się pochodzić z samego wnętrza kamienia. Trzymała gładki kawałek hematytu i czuła się tak, jakby ścisnęła w dłoni bryłkę lodu. Wszystkie te rzeczy, które zdaniem Melanie powinny się dziać, kiedy się znajdzie swój osobisty kryształ, zaczynały się teraz dziać. Kamień pasował do zagłębienia jej dłoni, miała wrażenie, że tam właśnie jest jego miejsce. Że to zupełnie naturalne. Podobal jej się jego ciężar. Czuła, że to jej kamień.

Uszczęśliwiona, uniosła głowę, żeby się uśmiechnąć do Deborah. W chłodnym świetle księżyca dziewczyna odpowiedziała serdecznym uśmiechem.

W końcu odwoziła Cassie z powrotem pod numer 12.

– Słyszałam, że wczoraj poszłaś odwiedzić Nicka – zagadnęła.

– Och... hm... – Cassie się zmieszała. Tamto spotkanie z Nickiem, w garażu, wydawało jej się odległe o całe stulecia, a nie o jeden dzień. – Hm... W sumie nie poszłam do niego w odwiedziny... – wyjąkała. – Po prostu przechodziłam tamtędy...

Deborah wzruszyła ramionami.

– Nieważne. Pomyślałam, że ci to powiem. On czasem miewa paskudne nastroje, ale to nie znaczy, że powinniś dać za wygraną. Bo na ogół jest w porządku.

Cassie zaczęła się płatać, kompletnie oszobotomiona.
– Hm... No tak... Ja wcale nie... Znaczący, dzięki, ale ja nie...

Nie umiała dokończyć zdania, ale Deborah i tak na to nie czekała.

– Niach ci będzie. To na razie. I nie zgub kamienie! – Odjechała. Ciemne własy rozwił wiatr.

Gdy dotarła już do swojego pokoju, Cassie poczuła, że uginają się pod nią kolana. Była zmęczona. Położyła się na chwilę na łóżku, trzymając w ręku hematyt. Obracała go to w jedną, to w drugą stronę, żeby przyrzeć się, w jaki sposób odbija się w nim światło. Dla żelaznej siły, pomyślała.

W niczym nie przypominał różę z chalcedonu. Nie dawał poczucia ciepła czy pociechy. Ale z drugiej strony, myśli o chalcedonie łączyła się dla niej nierozzerwaniem z Adamem i jego szarobłękitnymi oczami. Teraz to Diana miała i różę, i Adama.

A Cassie miała kamień, który wprowadzał w jej myśli dziwny chłód – spokój, który zdawał się obejmować również serce. Żeby zyskać żelazną siłę, pomyślała znowu. Podobała jej się ta myśli.

– O tym właśnie jest przekonana Cassie. Że każdy z tych zgonów, nawet Kori, ma związek z czaszką i z tym, w jaki sposób purytanie radawali śmierć – dokończyła Diana. Rozeszła się po kręgu twarzy. – Teraz kolej na nas. Musimy coś w tej sprawie zrobić.

Cassie obserwowała Faye. Chciała zobaczyć reakcję w jej złotych oczach, kiedy Diana wyjaśniła, w jaki sposób mroczna energia, która wyrwała się na wolność w czasie ceremonii z czaszką, zabiła Jeffreya. No i owszem, kiedy Diana doszła do tego fragmentu, Faye

— 34 —

zerknęła na Cassie, ale nie było w tym śladu poczucia winy ani skruchy. To było spojrzenie konspiratorki. „Tylko ty i ja wiemy” – zdawała się mówić. „I ja nie powiem, jeśli ty też nie powiesz”.

„Nie jestem taka głupia” – Cassie odpowiedziała gniewnym spojrzeniem, a Faye się uśmiechnęła.

Był niedzielny wieczór i wszyscy siedzieli na plaży. Dianie nie udało się dowiedzieć zbyt wiele ze swojej własnej Księgi Cienia. Wciąż nie miała pojęcia, jak poradzić sobie ze złym artefaktem, takim jak czaszka. Dlatego zwracała się o pomoc do wszystkich.

To było pierwsze spotkanie pełnego Kręgu od trzech tygodni, od tamtego dnia kiedy znaleziono martwego pana Fogle'a. Cassie przyglądała się twarzom i postaciom otulonym w grube swetry i kurtki. Nawet rodowici mieszkańcy Nowej Anglii musieli się ciepło opatulać przy tej pogodzie. Zastanawiała się, co się dzieje w głowach czarownic.

Melanie była bardzo poważna i zamysłona, jak zwykle. Trudno było zorientować się, czy wierzy w teorię Cassie, ale wiedać było, że chętnie przetestuje ją w sposób naukowy. Laurel była po prostu zbulwersowana. Susan przyglądała się szwom na swoich rękawiczkach. Deborah nachmurzyła się, nie chcąc rezygnować z myśli, że to ktoś z obcych zabił Kori. Nick... No cóż, kto mógł wiedzieć, co sobie myśli Nick? Sean obgryzał paznokcie.

Bracia Hendersonowie byli podenerwowani. Przez jedną okropną chwilę Cassie była pewna, że obróci swoje moce przeciwko Adamowi, że zacznie go winić za to, że Kori zginęła. Ale potem odezwał się Doug.

– A więc dlaczego tu siedzimy i gadamy? Dajcie mi tę czaszkę. Zalatwię sprawę – powiedział, szczerząc zęby.

— 35 —

– Taa... Dajcie ją Dougowi – włączył się Sean.

– Jej się nie da zniszczyć, Doug – tłumaczyła cierpliwie Melanie.

– Och, doprawdy? – odezwał się Chris. – A jeśli ją wsadzimy do bomby rurowej...

– To też nie się nie stanie. Kryształowej czaszki nie da się zniszczyć, Doug – powtórzyła Melanie. – Tak mówią wszystkie stare legendy. Nawet byś jej nie zarysował.

– I w sumie nie ma bezpiecznego miejsca, w którym dąłoby się ją ukryć – stwierdziła Diana. – Równie dobrze mogę wam to powiedzieć. Schowałam ją w pewnym miejscu, a wczoraj rzuciłam zaklęcie, które powie mi, jeśli ktoś zakłóci spokój tego miejsca. To bardzo ważne, żeby czaszka pozostała w ukryciu.

Cassie coś mocno ścisnęło w żołądku. Diana przyglądała się zebranym, skupiając się na Deborah, Faye i Hendersonach. Nawet jej nie przyjdzie do głowy, żeby popatrzeć na mnie, pomyślała Cassie i w pewien sposób jeszcze gorzej się z tym poczuła.

– Dlaczego nie możemy zabrać jej z powrotem na tamtą wyspę? – odezwała się nagle Susan. A więc jednak uważnie słuchała Diany.

Adam do tej pory siedział cicho. Jego przystojna, zazwyczaj uśmiechnięta twarz teraz była niezwykle nachmurzona.

– Bo wyspa już jej nie będzie chronić – odparł. – To się skończyło, kiedy zabrałem stamtąd czaszkę.

– To trochę tak jak egipskie grobowce obciążone klątwą – odezwała się Laurel. – Kiedy raz się je otworzy, nie można już cofnąć tego, co się zrobiło.

Adam uśmiechnął się blado.

— 36 —

– Właśnie. Nie mamy dość siły, żeby rzucić nowe zaklęcie ochronne. Ta czaszka to zło – zwrócił się do wszystkich zebranych. – Jest w niej tyle zła, że zakopanie jej w piasku pozwoli tylko na tymczasowe powstrzymanie aktywności. Nie da się jej oczyścić. – Popatrzył na Laurel. – Ani zniszczyć. – Zerknął na Douga i Chrisa. – I nie da się jej schować w bezpiecznym miejscu. – Spojrzał na Susan.

– No to co mamy robić? – spytała ostro Deborah.

– Co zrobimy? – skrzeknął w tym samym momencie Sean.

– Spróbujemy o niej zapomnieć? – podsunęła Faye z leniwym uśmiechem.

Adam rzucił jej mroczne spojrzenie.

– Adam miał pomysł, żeby znów poszukać mrocznej energii za pomocą wahadła i sprawdzić, czy nie ma jakichś nowych śladów – wtrąciła Diana i spojrzała na Cassie. – Co o tym myślisz?

Zapytana wbiła paznokcie w dłonie. Gdyby udało im się namierzyć mroczną energię; gdyby zaprowadziła ich prosto do domu Faye, do miejsca, skąd po raz ostatni uciekła... Faye spojrzała na nią ostro, najwyraźniej chcąc, żeby Cassie zapotestowała. Ale nie. Tym razem Cassie nie ulegnie.

– Uważam, że powinniśmy to zrobić – powiedziała spokojnie do Diany.

W spojrzeniu Faye rozbłysły groźba i wściekłość. Ale nie mogła się przeciw teraz odezwać.

Diana pokiwiała głową.

– Dobrze. W sumie możemy to zrobić od razu. Na cmentarz jest dość daleko, ale pomyślałam, że możemy spróbować chwycić trop stąd. Wyjdziemy na górę,

— 37 —

na Crowhaven Road i zobaczymy, czy wahałoby nas do-
kądś skieruje.

Cassie poczuła wręcz, że klatka piersiowa aż jej
drży od szybkiego bicia serca, kiedy schodzili z pla-
ży. Wsunęła dłoń do kieszeni i poczuła chłodny, gładki
kawałek hematytu. Żelazna siła, dokładnie tego w tej
chwili potrzebowała.

- Zwartowałaś? - syknęła Faye, kiedy wspinali się
na zbocze i szli w stronę drogi. Złapała Cassie za ra-
mię i pociągnęła do tyłu tak, że znalazły się za pozost-
ałyimi. - Wiesz, dokąd ten ślad wiedzie?

Cassie strząsnęła jej rękę.

- Zaulaj mi - powiedziała krótko.

- Co takiego?

Cassie jednym ruchem odwróciła się w stronę wyż-
szej od siebie dziewczyny.

- Powiedziałam, żebyś mi zaulała. Wiem, co robię, ty
nie wiesz. - A potem znów zaczęła się wspinać. Żelazna
siła, myślała półprzytomnie. Sama sobie zaimponowała.

Mimo to z trudem łapała oddech, kiedy Diana sta-
nęła na środku Crowhaven Road - tuż obok domu De-
borah pod numerem 2 - i uniosła wysoko oliwki na
łańcuszku.

Cassie wpatrywała się w niego, czując, jak wszyst-
kie otaczające ją umysły się koncentrują. Ciekawa, aż
wahałoby zacząć się kręcić spiralnym ruchem.

I zaczęło, przynajmniej z początku. Łańcuszek
najpierw wychylił się w jedną stronę, potem w drugą
jak nakręcana huśtawka na placu zabaw. Ale potem,
ku przerażeniu Cassie, wahałoby zaczęło poruszać
się ruchem zygzakowatym, wzdłuż Crowhaven Ro-
ad. W jedną stronę, pokazując prosto na cmentarz,
i w drugą, w stronę przylądka.

- 38 -

I domu Faye.

Cassie miała wrażenie, że nogi zamieniają się jej
w watę, kiedy ruszyła śladem całej grupy. Teraz Faye
zatrzymała ją już bez trudu.

- Mówiłam ci - odezwała się półgębkiem, zająd-
łym tonem. - I co teraz, Cassie? Jeśli ślad zaprowadzi
do mojego domu, nie dam się pogryźć sama.

Cassie zacisnęła zęby.

- Myślałam, że nie da się jej wytrócić na poziomie
gruntu - wykrztusiła. - Ta energia wyrwała się na wol-
ność przez sufit twojego pokoju na piętrze i kierowała
się prosto w górę. Myślałam, że to za wysoko, żeby ją
wykręcić.

- Najwyraźniej się pomyliłaś - syknęła Faye.

Mijali teraz opuszczony dom pod numerem 3. Mi-
nęli dom Melanie. Przed sobą mieli dom Laurel. Też
przeszli obok niego. Tuż przed nimi wyrósł dom Faye.

Ale Diana szła dalej.

Cassie poczuła gwałtowny przypływ ulgi i zdumie-
nia. Dokąd szli? Minęli numer 7, kolejny opuszczony
dom. Minęli dom Hendersonów, Adama, Susan. Prze-
szli obok domu Seana... O Boże! - pomyślała Cassie.
Chyba nie idziemy do mnie?!

Ale numer 12 też minęli. Diana szła za wskazaniami
wahałoby, prowadząc ich do najbardziej wysuniętej
części przylądka.

A tam kryształ znów zaczął wirować w kółko.

- Co się dzieje? - spytała Laurel i rozejrzała się
wokoło ze zdumieniem. - Co my tu robimy?

Adam i Diana spojrzeli na siebie. A potem obo-
je popatrzyli na Cassie, która powoli wysunęła się na
czoło grupy. Cassie zerknęła na nich i wzruszyła ra-
mionami.

- 39 -

- To miejsce, gdzie kiedyś stał dom pod nume-
rem 13 - stwierdziła Diana. - Prawda, Adamie? Ten
dom, który został zburzony.

- Słyszałem, że się spalił - odparł Adam. - Jeszcze
zanim się urodziłem.

- Nie, to nie było wciąż tak dawno - zaprzeczyła
Melanie. - Jakies szesnaście czy siedemnaście lat te-
ma. Ale przedtem przez całe stulecie stał pusty. Do-
słownie.

- Ile tych stuleci? - spytała Cassie nieco za gło-
sno. Z jakiego powodu przekonała się, że zaciska pal-
ce na kawałku hematytu w kieszeni.

Członkowie kowenu zwrócili się w jej stronę i po-
patrzyli na nią oczami, które zdawały się lekko błysz-
czeć w świetle księżyca.

- Mniej więcej trzy - odpowiedziała w końcu Me-
lanie. - Ten dom należał do Johna Blacka. Nikt tu ni-
gdy nie mieszkał od jego śmierci w 1693.

Hematyt zaczął parzyć Cassie w dłoń lodowatym
ogniem.

ROZDZIAŁ 3

To wszystko robi się dla mnie zbyt niesamowite -
stwierdziła Laurel i zadrżała.

- Ale co to niby znaczy? - Deborah jak zwykle
miała wątpliwości.

- To po prostu kolejne ogniwo łączące czaszkę
z Johnem Blackiem - odparł Adam. - Nic więcej.

- 40 -

- A więc to ślepy zaułek, tak jak i na cmentarzu -
oznajmiła Faye z zadowoleniem.

Cassie miała wrażenie, że się myli, ale nie umiała
wyjaśnić dlaczego, więc się nie odzywała. Coś jeszcze
ją niepokoiło. Kawałek hematytu, który ciążył jej te-
raz w kieszeni. Pochodził przecież z ruin domu Johna
Blacka. Mógł nawet do niego należeć. A to znaczyło,
że musiała opowiedzieć o nim Diane.

Czarownice kręciły się w pobliżu, podzielone na
niewielkie grupki. Tak naprawdę nie mieli tu już nic
do roboty, ale nadal się nie rozchodzili. Cassie wzięła
głęboki oddech i podeszła do Diany.

- Nie udało mi się wcześniej z tobą porozmawiać -
odezwała się. - Ale chciałam ci powiedzieć o czymś,
co mi się wczoraj przydarzyło.

- Cassie, nic mi nie musisz mówić. Wiem, że to
nie było tak, jak mówi Faye.

Cassie zamrugnęła gwałtownie, zbита z tropu.

- A co powiedziała Faye?

- Nie musimy o tym rozmawiać. Wiem, że to nie-
prawda.

- Ale co ona powiedziała?

Diana się stropiła.

- Powiedziała... Ze byłaś u niej w domu wczoraj
wieczorem i bawiłaś się z nimi... No, w jakąś taką grę.

- W Faceta z Pizzą - oznajmiła Cassie, wyraźnie
artykułując każde słowo. A kiedy Diana wytrzeszczyła
na nią oczy, powtórzyła: - Zabawa z facetami od pizzy.

- Wiem, że to się tak nazywa - rzekła Diana.
Uważnie wpatrywała się przy tym w twarz Cassie. -
Ale jestem pewna, że ty byś nigdy...

- Pewna jesteś? Nie możesz być pewna! - zawoła-
ła Cassie. Tego już było za wiele; ta ślepa wiara Diany

- 41 -

w jej niewinność. Czy Diana naprawdę nie zdawała sobie sprawy, że Cassie jest zła?

- Przecież cię znam. Wiem, że niczego takiego byś nie zrobiła.

Cassie czuła, że zaczyna ją ogarniać zniecierpliwienie. Coś w głębi jej ducha mogło się lada chwila złamać. - No cóż, byłam tam. I zrobiłam to. A ty - zaczynała docierać do źródła swojego wewnętrznego niepokoju - nie masz pojęcia, do jakich rzeczy byłabym zdolna, a jakich bym zrobić nie mogła. Robiłam już rzeczy, które...

- Cassie, uspokój się...

Urażona, aż się zatoczyła krok w tył.

- Jestem spokojna. Nie mów mi, że mam się uspokoić!

- Cassie, co się z tobą dzieje?

- Nic się ze mną nie dzieje. Po prostu chcę, żebyście mi dali święty spokój.

Oczy Diany zabłyśły złością. Cassie wiedziała, że jest zmęczona i zirytowana. Może i w niej właśnie coś pękło.

- Dobrze - odpowiedziała z dziwnie ostrą nutą w zwykle łagodnym głosie. - Dam ci święty spokój.

- Okej! - rzuciła Cassie. Gardło jej się ścisnęło, a oczy zapiekły. Nie chciała się kłócić z Dianą, ale cały ten gniew i ból, które miała w środku, musiały znaleźć jakieś ujście. Przyjaciółka nie miała pojęcia, jakie to okropne, kiedy ludzie upierają się, że jesteś dobra, kiedy tak naprawdę drzemie w tobie zło.

Przestała ścisnąć w palcach kawałek hematytu, ale nie wyjęła go z kieszeni, żeby pokazać Dianie. Obróciła się i odeszła. Patrzyła z urwiska na rozbijające się na dale fale.

- 42 -

Faye podeszła do niej. Niosła ze sobą zapach słodkich, piżmowych perfum.

- Pokaż mi to.

- Co?

- Chcę zobaczyć, co takiego masz w kieszeni. Ścisnął to, jakby mogło ci uciec.

Cassie zawahała się, a potem wyjęła gładki, ciężki kamień.

Stały nadal zwrócone twarzą w stronę oceanu. Faye przyjrzała się kryształowi.

- Hematyt. To rzadkość. - Uniosła go do światła księżycy i zachichotała. - Czy Melanie mówiła ci kiedyś o niezwykłych właściwościach hematytu? Nie? No cóż, chociaż z wyglądu jest czarny, to jeśli potnie się go na cienkie plasterki, są przejrzyste i czerwone. A pył, który spada przy szlifowaniu z kamienia, zabarwia płyn, który chłodzi koło szlifierskie, na czerwien krwi.

Oddała kamień Cassie. A ona przyjrzała mu się dokładnie. Nieważne, skąd się wziął, teraz to był jej kryształ. Wiedziała o tym od momentu, kiedy go zawazyła. Jak mogłaby się go wyrzec?

- Znalazłam go tutaj, obok fundamentów domu - powiedziała głucho.

Faye uniosła brwi, ale potem się opanowała. - Hm... No cóż... Oczywiście, każdy mógł go tu upuścić w ciągu ostatnich trzystu lat.

Cassie opanowało uczucie dziwnego uniesienia i ulgi.

- Tak - stwierdziła. - Oczywiście. Każdy mógł go upuścić. - Schowała kamień z powrotem do kieszeni. Złote oczy Faye błyszczały, kiedy wpatrywała się w koleżankę spod ciężkich powiek. Cassie odruchowo skinęła do niej głową. Nie musiała pozbywać się tego kryształu.

- 43 -

Adam zwołał zebranych do siebie.

- Jeszcze jedna sprawa, zanim się rozejdziemy - powiedział. Wydawało się, że nie miał pojęcia o niewielkim dramacie, który rozegrał się między Cassie i Dianą ledwie parę minut wcześniej.

- Mam pewien pomysł - oznajmił, kiedy Klub znów zebrał się wokół niego. - Wście, właśnie do mnie dotarło, że wszystko, co ma związek z mroczną energią, prowadziło do śmierci i do zmarłych. Cementarz, postać dachy, którego Cassie, Deborah, Nick i ja widzieliśmy przy drodze, nawet to miejsce, ruiny domu postawionego przez nieżyjącego już człowieka. No i... Cóż, za dwa tygodnie, w weekend, przypada Samhain.

Grupa zaszepczała. Adam zerknął na Cassie i wyjaśnił:

- No wiesz, Halloween. Wigilia Wszystkich Świętych. Święto Zmarłych, jak zwal, tak zwal. Ale niezależnie od nazwy, jest to noc, kiedy umarli wracają. Wiem, że to może być niebezpieczne, ale uważam, że powinniśmy zorganizować ceremonię. Albo tu, albo na cmentarzu, w Halloween. Zobaczymy, co nam się uda przywołać. - Obrócił się do Diany. - Co o tym myślisz?

Tym razem odpowiedziało mu milczenie. Diana miała zatroskaną minę, twarz Melanie wyrażała wątpliwości, a Sean nie ukrywał strachu. Doug i Chris szczyrzyli zęby w tych swoich szalonych uśmiechach, zaś Deborah gwałtownie kiwała głową. Faye przechyliła głowę na ramię i zastanawiała się. Nick stał z zaplecionymi ramiionami na piersi i kamiennym wyrazem twarzy. Ale to Laurel i Susan pierwsze zabrały głos.

- Przecież w ten wieczór jest impreza z tańcami? - odezwała się Laurel. A Susan dodała:

- 44 -

- W sobotni wieczór będzie bal z okazji Halloween. Już kupiłam sobie buty...

- W Halloween robimy imprezę - wyjaśniła Melanie. - To wielkie święto dla czarownic. Ale w tym roku Halloween wypada w sobotę i tego samego wieczoru odbywa się w szkole bal. Mimo wszystko - dodała po chwili - nie widzę powodu, żebyśmy nie mogli pogodzić jednego z drugim. Moglibyśmy wyjść ze szkolnej imprezy koło wpół do dwunastej. Nadal będziemy mieli dość czasu, żeby odprawić ceremonię na cmentarzu.

- A mnie się wydaje, że ceremonia powinna się odbyć właśnie tu, a nie na cmentarzu - stwierdziła Diana. - Tam byłoby po prostu zbyt niebezpiecznie, moglibyśmy przywołać coś więcej, niżbyśmy chcieli.

Cassie pomyślała o ciemnym kształcie, który widzieli z Adamem na cmentarzu.

- A co zamierzamy zrobić z tym, co uda nam się przywołać? - spytała nieco zbyt wojowniczym tonem.

- Porozmawiamy - odparł szybko Adam. - W dawnych czasach ludzie przywoływali w Halloween duchy zmarłych i zadawali im pytania. A duchy musiały udzielić odpowiedzi.

- To taki dzień, w którym granica między dwoma światami niemal się zacierza - wytłumaczyła Laurel. - Umarli powracają i odwiedzają żyjących krewtych. - Rozejrzała się po grupie. - Uważam, że powinniśmy odprawić ceremonię.

Krug się zgodził. Niektórzy z wahaniem, inni entuzjastycznie, ale wszyscy pokiwali głowami.

- Dobrze - oznajmił Adam. - A więc poczekamy do Halloween. - Cassie pomyślała, że to dziwne, że chłopak uzurpuje sobie rolę przywódcy kowenu. Ale potem popatrzyła na Dianę. Przyjaciółka miała taką

- 45 -

minę, jakby z trudem panowała nad emocjami, jakby wewnątrz niej toczyła się jakaś rozdzierająca walka. Na moment Cassie zrobiło się jej żal, ale potem jej własne przygnębienie przesłoniło inne problemy. Szybko opuściła spotkanie, nawet się nie żegnając z Dianą.

Zanim nadeszło Halloween, zmieniła się pogoda. Zrobiło się zimno, chociaż szkarłatne i złote liście nadal wisały na drzewach. Sypialnia Cassie pachniała kamforą, bo babka wydobyla ze szelki stare pikowane kapy, które teraz piętrzyły się na łóżku. Ostatnie ziola zostały zebrane, a dom udekorowano jesiennymi kwiatami, nagietkami i fioletoowymi astrami. Cassie codziennie po szkole zastawała babkę w kuchni. Staruszka gotowała całe oceanu przecieru jabłkowego, który wekowała w słoikach, i dom pachniał gorącym przecierem z jabłek, cynamonem i przyprawami.

Jakimś cudem na werandzie za każdym domem pojawiły się dynie. Tylko Cassie i Hendersonowie wiedzieli, skąd się tam wzięły.

Z Dianą nic się nie zmieniło na lepsze.

W głębi ducha Cassie zdawała sobie sprawę, dlaczego tak się dzieje. I miała ogromne poczucie winy. Nie chciała pokłócić się z Dianą, ale o wiele łatwiej było nie musieć się nią cały czas przejmować. Jeśli nie rozmawiała ciągle z przyjaciółką, jeśli nie chodziła do niej do domu codziennie po szkole, nie musiała rozmyślać o tym, że Diana cierpiałaby, gdyby poznała prawdę. Wstydlawy sekret nie dręczył Cassie tak bardzo, kiedy koleżanki nie było w pobliżu.

Dlatego, kiedy Diana chciała się pogodzić, Cassie była uprzejma, ale nieco chłodna. Zdystansowana. I kiedy przyjaciółka spytała, dlaczego Cassie nadal

— 46 —

się gniewa, odparła, że to wcale nie tak. I że mogłaby wreszcie zostawić ją w spokoju. Wtedy Diana dała jej spokój.

Cassie czuła, że obrasta jakąś cienką, twardą skorupą.

Zastanawiała się nad tym, co Deborah powiedziała jej o Nicku. „Czasami miewa paskudne nastroje, ale to nie znaczy, że powinnaś dać za wygraną”. Oczywiście, było wykluczone, żeby Cassie wróciła i jeszcze raz zaprosiła Nicka. A przynajmniej, dla dawnej Cassie byłoby to nie do pomyślenia. Teraz jednak pojawiła się jakaś nowa Cassie, odporniejsza i twardsza – przynajmniej zewnątrz. A coś zrobić musiała, bo co wieczór z bólem myślała o Adamie i bała się tego, co mogłoby się stać, gdyby poszła na tę imprezę sama.

Na dzień przed Halloween znów stała przed garażem Nicka.

Szkielet samochodu nic się nie zmienił. Cały silnik był wyjęty i oparty na czymś w rodzaju stołu bez blatu obudowanego z rur. Nick siedział pod nim.

Cassie tym razem miała dość rozumu, żeby go nie pytać, co robi. Zobaczyła, że dostrzegł jej stopy i przesunął spojrzeniem wyżej. A potem błyskawicznie wyszedł spod stołu i podniósł się na nogi.

Pot pozepiał jego ciemne włosy w strączki. Chłopak przetarł czoło rękietem umazanej smarem dłoni. Nie oderwał się, tylko stał i gapił się na nią.

Cassie nie dała sobie czasu do namysłu. Skupiła całą swoją uwagę na płamach smaru na koszulce Nicka i odczekała się szybko.

— Idziesz jutro na imprezę z okazji Halloween?

Zapadła długa cisza. Cassie gapiła się na płamę smaru, a Nick gapił się na jej twarz. Czowała zapach

— 47 —

gumy, rozgrzanego metalu, smaru i lekkich zaduch benzyny. Wydawało jej się, że jest zawieszona bezwładnie w powietrzu.

A potem Nick odpowiedział:

— Nie.

Wszystko się zawaliło. Cassie odczuła to i z jakiegoś powodu nagle była już w stanie spojrzeć mu w twarz.

— Och! – odparła cicho.

Och, idiotka. Idiotka! – myślała. Nowa Cassie była tak samo dumna jak dawna. Nie powinna była tu przychodzić.

— Nie wiem, po co mnie o to w ogóle pytasz – stwierdził Nick. A potem dodał: – To ma coś wspólnego z Conantem, prawda?

Cassie zeszytniała.

— Z Adamem? Co ty wygadujesz? Dlaczego miałbym cię zapraszać, gdyby miało to coś wspólnego z Adamem? – spytała, ale czuła, że krew zaczyna napływać jej do twarzy.

Nick pokiwał głową.

— Tak myślałem. Naprawdę mocno cię wzięło. I nie chcesz, żeby on się dowiedział, więc szukasz sobie namiastki, tak? A może chcesz, żeby się zrobił zazdrośny?

Cassie czuła, że pali ją twarz, ale jeszcze gorętszy był płomień gniewu i upokorzenia, które ogarnęły ją w środku. Przy Nicku się nie rozplacze. Za nic.

— Przepraszam, że ci zasrałam głowę – powiedziała i się odwróciła. Była jednak zbyt zeszytniała i obolała, żeby odejść.

— Czekaj – rzucił Nick. Cassie zmusiła się, żeby wyjść na złote październikowe słońce. Oczy utkwiała

— 48 —

w błędnych szkarłatnych liściach czerwonego kłonu po drugiej stronie drogi. – Czekaj – powtórzył Nick. Wyszedł z nią przed dom. – O której mam po ciebie przyjechać? – spytał.

Cassie obróciła się i wytrzeszczyła na niego oczy.

Boże, ależ on był przystojny, ale taki zimny... Nawet teraz wydawał się całkowicie niewzruszony, obojętny. Słońce budziło niebieskawe błyski w jego ciemnych włosach, a jego twarz wydawała się idealnie wykątą rzeźbą.

— Już nie chcę, żebyś ze mną szedł – poinformowała go ponuro i znów ruszyła przed siebie.

Zaszedł jej drogę i zatrzymał ją, nawet jej nie dotykając.

— Przepraszam. Za to, że powiedziałem, że chciałabym wzbudzić zazdrość Conanta. Tak tylko... – Urwał i wzruszył ramionami. – Nie mówiłem tego serio. Nie wiem, czy coś się dzieje, i to w ogóle nie moja sprawa, tak czy inaczej. Ale chciałbym iść na tę imprezę z tobą.

Chyba mam zwidy, pomyślała Cassie. Na pewno. Właśnie mi się przywidziało, że Nick mnie przeprosił... A potem powiedział, że chciałby iść ze mną na imprezę. Na pewno mam gorączkę.

— No więc, o której mam po ciebie przyjechać? – powtórzył pytanie.

Cassie z trudem łapała oddech, więc jej głos zabrzmiał słabo.

— Hm, może koło ósmej. Będziemy się wszystkie przebiebrały w domu Susan.

— Dobra. Zajrzę tam.

W halloweenowy wieczór w domu Susan dziewczyny z Crowhaven Road szykowały się do wyjścia.

— 49 —

Różniło się to od przygotowań do Jesiennego Bahu. Po pierwsze, Cassie teraz wiedziała już, co robić. Susan nauczyła ją, jak ma sobie zrobić makijaż. W zamian za to Cassie pomogła jej w przygotowaniu kostiumu.

Wszystkie po kolei wzięły kąpiel w liściach świeżej szawli. Laurel zalecała ją na wzmocnienie psychicznych mocy. Cassie obmyła się też mleczkiem różanym – wodą różaną z dodatkiem olejku ze słodkich migdałów – żeby skóra była miękka i ładnie pachniała. Babcia pomogła jej wymyślić i zrobić kostium, który składał się głównie z kawałków przejrzystej gazy.

Kiedy tego wieczoru skończyła się szykować, Cassie popatrzyła w lustro i zobaczyła dziewczynę szczupłą jak płomień świecy, ubraną w coś, co przypominało mgłę. Dziewczynę obdarzoną jakąś nieuchwytną, delikatną urodą. Miała włosy jak przydymiony topaz, wijące się wokół delikatnej twarzy. Kiedy na siebie patrzyła, na jej bladej skórze pojawiały się różowawe cienie.

Wydawała się krucha, przystępna i zmysłowa, ale to nic nie szkodzi, bo będzie przy niej Nick. Cassie upefumowała się odrobinę za uszami – nie żadnym magicznym olejkiem, ale zwyczajnym, różanym – i odrzuciła w tył pachnące włosy. No cóż, w jej niebieskich jak polne kwiaty oczach krył się pewien smutek, ale na to nic nie można było poradzić. Z tego nic i nigdy jej nie wyleczy.

Nie założyła kryształów. Żadnej magii. W kieszeni ukrytej pod kostiumem miała tylko ten hematyt dający żelazną siłę.

– Co to za przebranie? – spytała Deborah, zaglądnąjąc do lustra przez ramię Cassie.

– Jestem muzą. Taką starożytną, grecką. Babcia pokazała mi w jakiejś książce ryciny. Muzy nie były boginiami, tylko boskimi przewodniczkami. Inspirowały lu-

dzi w różnych dziedzinach twórczości – wytłumaczyła Cassie. Przyjrzała się sobie z lekkim wahaniem. – Wybrałam Kalliope, była muzą poezji. Pozostałe to muzy historii i innych sztuk.

– Czarownice wierzą, że kiedyś istniała tylko jedna Muza, zanim powstało z niej dziewięć różnych. Była duchem sztuk, wszystkich sztuk. Może więc dzisiaj jesteś właśnie nią – odezwała się Melanie.

Cassie obejrzała się, żeby zerknąć na kostiumy koleżanek. Deborah przebrała się za rockersa, miała na sobie mnóstwo srebrnych bransolet, ćwieków i czarnej skóry. Melanie była Sophią, biblijnym duchem mądrości, w przezroczystym welonie narzuconym na twarz i z wieńcem srebrzystych gwiazd na włosach.

Susan poszła za radą Cassie i przebrała się za Afrodytę, boginię miłości. Cassie wzięła ten pomysł z jednego ze sztichów Diany i z książki babki o greckich mitach.

– Afrodyta podobno narodziła się z morza – powiedziała Susan, gdy dostrzegła spojrzenie Cassie. – To stąd te wszystkie muszle.

Susan miała luźno rozpuszczone wokół ramion włosy i suknię w kolorze morskiej piany. Opalizujące cekiny, drobne perły i maleńkie muszleki zdobiły maskę, którą trzymała w ręku.

Laurel wybrała kostium wróżki. – Jestem wróżką natury – oznajmiła, okręcając się na pięcie, żeby zademonstrować długie, półokrągłe zakończone skrzydła jak u ważki. Miała też na głowie girlandę z liści i kwiatów z jedwabiu.

– Wszystkie wyglądacie wspaniale – odezwał się jakiś miękki głos. Cassie obejrzała się i aż wstrzymała oddech. Diana nie była jeszcze nawet ubrana,

a przynajmniej miała na sobie tylko ten ceremonialny strój, który wkładała na obrzędy Kręgu. Ale zdawało się, że otacza ją jakiś własny, wewnętrzny światło i była po prostu niewyobrażalnie piękna.

– Ona wcale nie żartuje sobie z tej okazji, ani nic, wiesz? – szeptała Laurel prostu do ucha Cassie. – Haloween to nasze najbardziej magiczne święto w roku. Diana chce je uczcić.

– Och! – mruknęła Cassie. Jej spojrzenie pobiegło w stronę Faye.

Faye, jak się domyślała, przebrała się za czarownicę. Taką, jakiej boją się faceci. Miała na sobie czarną sukienkę bez rękawów, jakby przeciwieństwo białej tuniki, którą Diana wkładała na zebrania Kręgu. Sukienka rozcięta była po obu bokach i tak skrojona, że podkreślała wspaniałą sylwetkę dziewczyny. Materiał połyskiwał niczym jedwab, kiedy szła.

Na dzisiejszej imprezie zostanie złamanych kilka serc, pomyślała Cassie.

Zabrzmiał dzwonek u drzwi i dziewczyny zeszły po schodach w powiewnych, falujących kostiumach na spotkanie chłopaków. Na tę imprezę Klub wybierał się całą paczką, bo o wpół do dwunastej wszyscy razem chcieli wyjść.

Cassie miał towarzyszyć Nick, ale w pierwszej chwili dostrzegła wyłącznie Adama. Wyglądał niesamowicie. Z korony z dębowych liści na jego głowie wyrastały rozgałęzione rogi jelenia. Miał też niewielką maskę z liśćmi dębu i żółździami.

– Przebrał się za Herna, rogatego boga – wyjaśniła Melanie. – To coś jak grecki Pan, no wiesz, bóstwo natury. Był też bogiem zwierząt, dlatego Adam może zabrać ze sobą Radzę.

Radza rzeczywiście szedł tuż przy nodze Adama, a teraz usiłował szturchać Cassie nosem, żeby zafundować jej jedno z tych swoich zawstydzająco serdecznych powitań. Adam, czy też Hern – Cassie zbijało z tropu to, że tak naturalnie wyglądał z rogami i dębowymi liśćmi – powstrzymał psa.

Dziewczyny śmiały się z przebrań chłopaków. – Sean – odezwała się Laurel – już i tak jesteś dość chudy, nie musisz podkreślać wszystkich kości. – Bo Sean przebrał się za szkielet.

Chris i Doug mieli wymalowane na twarzach jakieś dziwaczne symbole – czarne i czerwone trójkąty, żółte błyskawice. Długie włosy mieli jeszcze bardziej potargane niż zazwyczaj.

– Jesteśmy Zaxem – oświadczyli. – Kim? – zapytali wszyscy chórem. – Magiem Zaxem – stwierdził Chris. – Tym, który z powietrza wyczarowuje papierosy.

– To z filmu science fiction, który kiedyś oglądali – domyśliła się wreszcie Susan.

Faye wtrąciła się niespieszonym, leniwym głosem: – A ty kłam niby jesteś, Nick? Facetem w Czerni?

Cassie po raz pierwszy spojrzała na Nicka. Nie przebrał się, włożył zwykłe czarne dżinsy i czarny sweter z golfem. Był bardzo przystojny i bardzo opanowany.

– Jestem dziś jej parą – oświadczył spokojnie. I nie zaszczycając Faye nawet spojrzeniem, wyciągnął rękę do Cassie.

Faye na pewno się nie pogniewa, tłumaczyła sobie Cassie, kiedy szli do samochodów stojących rzędkiem przed domem. Faye już go wcale nie chce, powinno jej być obojętne, z kim Nick idzie na imprezę. Ale żółdek ścisnął jej się lekkim niepokojem, kiedy porwoliła

chłopakowi zaprowadzić się do samochodu Armstrongów. Deborah i Laurel usiadły z tyłu.

Na werandach domów lampiony z dyń szczyrzyły się w swoich groźnych uśmiechach, a w ich ślepiach tańczyły płomyki. Noc była kryształowa i księżycowa.

– To noc duchów – oderwała się Laurel z tylnego siedzenia. – Dzisiaj duchy zbierają się przy wszystkich oknach i drzwiach i zaglądają do środka. Zawsze stawiamy w oknie białą świecę, żeby wskazać im drogę.

– Albo talerz z jedzeniem, żeby je nakarmić. Wtedy nie będą wchodzić do środka – dodała Deborah cichym głosem.

Cassie zaśmiała się, ale w jej śmiechu kryła się fałszywa nuta. Nie chciała, żeby duchy zaglądały do jej okien. A jeśli chodzi o to, co Laurel powiedziała dwa tygodnie wcześniej, o zmarłych krewnych, którzy tej nocy odwiedzają żywych... No cóż, to też nie była miła perspektywa. Cassie nie miała żadnych zmarłych krewnych, poza ojcem, który zresztą też wcale pewnie jeszcze nie umarł. Nie, tak w sumie najchętniej zostawiłaby wszystkich umarłych w spokoju.

– Ale Krag planował dziś wieczorem urządzać ceremonię.

Sala gimnastyczna była udekorowana sowami, nietoperzami i czarownicami na tle wielkich, złotych księżyców. Czarna i pomarańczowa krepina owijała pionowe belki i zwisała się z obręczy koszów do kozykówek. Na ścianach pełno było tańczących szkielecików, parszających kotów o wygiętych grzbietach i duchów o zdumionych minach.

To wszystko było bardzo zabawne i zupełnie nieszkodliwe. Zwykli uczniowie, którzy przyszli na bal przebierańców i popijali fioletowy „trujący” poncz,

nie mieli pojęcia o prawdziwym zagrożeniu czającym się na zewnątrz. Nawet ci, którzy nie cierpieli Klubu, nie znali całej prawdy.

Diana i Adam przyszli razem i mieli chyba najbardziej efektowne wejście na imprezę, jakie zdarzyło się w historii Liceum New Salem. Diana w prostej białej tunice, z gołą szyją i ramionami, o skórze tak świeżej, jak u niemowlęcia, i z aureolą połyskliwych włosów opadających na ramiona, wyglądała jak promień księżycowego światła, który jakimś cudem zaśląkał się do szkolnej sali gimnastycznej.

A Adam... Adam zawsze prezentował się świetnie. Zapewniało mu to respekt wszystkich, którzy tylko rzucili na niego okiem. Dzisiaj, jako Hern, bardziej niż zwykle zwracał na siebie uwagę. Wydawało się, że naprawdę jest leśnym bogiem, niebezpiecznym i psotnym, budzącym strach i podziw, ale w gruncie rzeczy dobrym. Przede wszystkim jednak wyglądał... dziwnie. Jakby cywilizacja ominęła go szerokim łukiem. Sprawiał wrażenie, że jego miejsce jest wśród otwartych przestrzeni, gdzie mógłby swobodnie biegać pod światłem gwiazd. Radzi trzymał się przy jego boku i bardziej przypominał wilka niż psa. Mimo to żadna z osób nadzorujących imprezę nie kazala go wyprowadzić.

– Wiesz, co się stanie dziś wieczorem. – Czynił głos owiał ciepłem kark Cassie.

– Co takiego, Faye? – spytała, nawet się nie odwracając.

– Przywódcy kowenu, którzy reprezentują boginę Dianę i Herna, muszą się ze sobą połączyć. Muszą... – Faye dyskretnie zawiesiła głos – powiedzmy, połączyć się ze sobą. Żeby ustanowić związek żywiołu żeńskiego i męskiego.

– Chcesz powiedzieć, że oni...?

– No... można to też zrobić symbolicznie – odparła Faye już bez ogródek. – Ale jakos mi się nie wydaje, żeby Adam i Diana zadowolili się symbolami, nie sądzisz?

ROZDZIAŁ 4

Cassie stała jak skamieniała. Serce waliło jej jak młotem i był to jedyny ruch, jaki czuła w swoim ciele.

Adam i Diana... Przecież to niemożliwe! A może... Jak najbardziej. Diana śmiała się teraz do Adama, odrzucając w tył łbniące, proste włosy. I chociaż Cassie nie mogła dostrzec oczu chłopaka, ukrytych pod maską, usta miał uśmiechnięte.

Odwróciła się i omal nie wpadła na Nicka, który niósł dla niej poncz. Uciekła gdzieś w półmrok sali.

Znalazła ciemny kąt pod chińskim lampionem, w którym zgasła świeca. Osłonięta kurtyną czarno-pomarańczowych wstęg, przystanąła tam i próbowała jakoś wziąć się w garść. Nie dostrzegała obrazów, które rodziły się w jej głowie.

Zanim się zorientowała, że ma towarzystwo, poczuła zapach leśnego dymu i bryzy znad oceanu, a oprócz tego jakiś trudno uchwytny zapach zwierzęcia i dębowych liści. Adam.

– Cassie – odezwał się. Nie powiedział nic więcej i było to jak wołanie Herna z jej snów. Jakby zapraszał ją, żeby zrzuciła z siebie w środku nocy ubranie i poszła tańczyć z nim wśród jesiennych liści.

A potem odezwał się już normalnym tonem:

– Cassie, nic ci nie jest? Diana mówiła...

– Co? – spytała szybko, a jej głos, gdyby nie był taki drżący, zabrzmiałby ostro.

– Po prostu martwi się, że coś ci dolega.

– Nic mi nie jest. – Próbowała powstrzymać łzy. – A tak przy okazji... Jestem zmęczona gadaniem różnych ludzi za moimi plecami. Faye powiedziała to, Diana tamto... Mam tego dość.

Ujął jej chłodne ręce.

– Moim zdaniem – rzekł przyciszonym głosem – jesteś po prostu zmęczona. I tyle.

Bo jestem, pomyślała Cassie. Zmęczona utrzymaniem sekretów i walką. Skoro już i tak jestem zła, to po co z tym walczyć?

W tym stanie ducha pomyśleć oznaczało dla Cassie to samo, co zacząć działać. Zanim się zorientowała, co robi, w taki sposób przesunęła dłoń w uścisku Adama, że ścisnęła jego rękę swoimi palcami. „Zadnym spojrzeniem, gestem ni uczynkiem...” Ale kpina, pomyślała. Już złamałiśmy tę obietnicę tysiące razy. Więc dlaczego nie złamać jej naprawdę? W ten sposób miałaby przynajmniej jakiś konkretny powód, żeby czuć się źle. W ten sposób Diana nie będzie go miała pierwsza.

O to właśnie chodziło. Diana może sobie mieć wszystko, ale Adama nie będzie miała pierwsza.

Mógłbym to zrobić, pomyślała Cassie. Nagle jej umysł znów zaczął działać chłodno i racjonalnie. Myśli przestały krążyć wokół bólu, który ścisnął jej serce. Adam nie mógłby się przed nią obronić, bo jest zbyt honorowy. Nigdy by nawet nie wziął pod uwagę, że Cassie może snuć plany, w jaki sposób go zdobyć.

Gdyby teraz się rozplakala... Gdyby udało jej się przyciągnąć go do siebie na tyle blisko, żeby ją przytulił... Potem mogłaby odprężyć się w jego ramionach i oprzeć o niego miękkim ruchem... Gdyby mogła położyć mu głowę na ramieniu, tak żeby dobiegł go zapach jej włosów... Gdyby westchnęła i odrzuciła głowę w tył... Czy oparłby się chęci pocałowania jej?

Raczej w to wątpiła.

W szkole były miejsca ciemniejsze niż ten kąt. I bezpieczniejsze, na przykład sala ekonomiki gospodarstwa domowego. Zamek w drzwiach mógł otworzyć każdy. Albo schowek, gdzie składowano materace gimnastyczne. Gdyby Adam ją pocałował, i gdyby ona oddała pocałunek, czy coś by ich powstrzymało przed pójdciem tam?

Cassie raczej w to wątpiła.

A Diana... Słodka głupia Diana, nigdy się nie zorientuje, co się stało. Gdyby Adam powiedział jej, że musiał zabrać Cassie na spacer, żeby się nieco uspokoiła, Diana mu uwierzy.

Nic nie mogło powstrzymać Cassie i Adama... Poza tamtą przysięgą. Jak to było?

Niech ogień mnie pali, niech powietrze mnie zdusi, niech ziemia mnie pochłonie, niech woda zaleje mój grób.

Tego Cassie się nie bała. Ogień i tak już spalił jej ciało, a powietrza i tak jej brakowało – nie mogła złapać tchu. Nic jej nie mogło powstrzymać. Przynęła się do Adama i opuściła głowę jak kwiat chyłący się na wiatle lodydze. Czula, jak z jej oczu płyną pierwsze, łatwe łzy. Usłyszała własny urywany oddech. Jego palce zacisnęły się na jej dłoni. Ten pefen trokni gest świadczył o tym, że Adam uważnie obserwuje, co się dzieje z Cassie.

– O Boże... – szepnęła.

— 58 —

Ogarnęła ją fala triumfu. A więc nie mógł się powstrzymać. To się zaraz stanie. Dębie i jemiolo, liście i cierniu, dotknijcie go tajemnym ogniem...

Co ona wyrabia?

Próbowała użyć magii wobec Adama? Usiłłć go słowami, które napłynęły z jej wnętrza, z jakiegoś głęboko ukrytego źródła wiedzy? To było niewłaściwe, niegodne, i to nie tylko dlatego, że członkowie Klubu nie rzucali na siebie nawzajem zaklęć bez wcześniejszego uzgodnienia.

To było niedopuszczalne ze względu na Dianę.

Dianę, która została przyjaciółką Cassie, kiedy nikt inny nie chciał z nią rozmawiać. Która obroniła ją przed Faye i przed całą szkołą. Nawet jeśli Cassie trudno było w tej chwili kontynuować tę przyjaźń, wspomnienie o Dianie było niczym gwiazda rozjaśniająca jej myśli. Gdyby je zdradziła, zdradziłaby wszystko, co miało jakiegokolwiek znaczenie.

Zła czy nie, Cassie nie mogła tego zrobić.

Wysunęła dłoń z mocnego uścisku Adama.

– Już mi lepiej – oznajmiła słabym głosem. Czula się, jakby coś zgmiotło jej wszystkie kości.

Adam próbował znów wziąć ją za rękę. To właśnie problem z magią, nie zawsze można cofnąć to, co się zaczęło robić.

– Adamie, naprawdę! – Wyrwała mu się. A potem drędała rozpacziwie: – Diana czeka.

To pomogło. Adam stał jeszcze chwilę w bezruchu, a potem odprowadził ją z powrotem do sali. Hern sprowadzający zbłąkaną nimfę z powrotem do Kręgu. Cassie podeszła do Laurel, przy niej czula się bezpieczniej. Nick gdzieś się ulotnił. No cóż, w sumie mu się nie dziwiła.

— 59 —

Diana rozmawiała z Sally Waltman, która mimo że straciła Jeffreya, nie wyglądała na zalamaną. Wręcz przeciwnie, miała zawziętą minę. Cassie i Adamowi pozostało więc towarzystwo Melanie i Laurel z ich parami, oraz Seana i Deborah. Wesola kompania czarownic. Obok nich stała grupka obcych.

Zaczynał się jakiś wolny taniec. Grupka obcych się rozeszła, poszli na parkiet. Wszyscy poza jedną osobą.

Ta jedna osoba, która nie ruszyła się z miejsca, stała samotnie w pobliżu członków Klubu. Była z drugiej klasy i Cassie jak przez mgłę przypominała ją sobie z lekcji francuskiego. Nieśmiała dziewczyna, niezbyt piękna, ale też i niebrzydka. Udawała, że nie ma nic przeciwko temu, że została sama. Że ją wszyscy opuścili.

Cassie ogarnęło współczucie. Biedactwo. Kiedyś ona sama znajdowała się w podobnej sytuacji.

– Masz ochotę zatańczyć? – To był głos Adama, ciepły i przyjazny. Ale nie zwracał się do Cassie, mówił do tej obcej dziewczyny. Jej twarz rozjaśniła się i radośnie wyszła z nim na parkiet. Łuski kostiumu syreny, który miała na sobie, błyszczały i migotały. Cassie patrzyła, jak odchodzą, i coś ją zakłuło w sercu.

Ale nie zazdrość. Miłość i szacunek.

– Rycerz bez skazy – stwierdziła Melanie.

– Co? – nie zrozumiała Cassie.

– To z Chaucera. Uczyliśmy się o tym na literaturze brytyjskiej. Adam właśnie taki jest. Jak rycerz bez skazy – wyjaśniła Melanie.

Cassie zastanawiała się nad tym przez moment. A potem spojrziała na Seana.

– Hej, chudziño, chcesz potrząsnąć trochę kośćmi? – spytała.

— 60 —

Twaz Seana się rozpromieniła.

No cóż, pomyślała Cassie, kiedy razem z Seanem zaczęli się kołysać do taktu muzyki. Jedno przynajmniej było pewne: ten taniec w niczym nie przypominał poprzedniego. Z Adamem sala gimnastyczna wydawała się miejscem pięknym i zaczerowanym. Teraz widziała tylko papierowe wycinanki i gole rury nad swoją głową. Ale przynajmniej Sean-Kościorup nie próbował przytulać jej do siebie zbyt mocno.

Zauważyła, że w jej stronę ruszył jakiś chłopak, ale szybko znalazła Nicka. Pojawił się zupełnie znikąd. Schowała się za nim. Przynajmniej ta część jej planu zadziałała – inni faceci się wycofali. To było dziwne uczucie, wiedzieć, że wszyscy cię pragną i nie mogą zdobyć. Nick nie zapytał, dlaczego wcześniej odbiegła, a ona nie dociekala, gdzie sam potem zniknął.

Zatańczyli kilka razy. Nie próbował jej pocałować.

A potem nadeszła pora, gdy członkowie Klubu musieli wyjść z imprezy. Pożegnali się ze zdumionymi i nieco oburzonymi osobami towarzyszącymi. Zebrał się przy wyjściu i nawet bogini Afrodyta o złotorudych włosach się nie spóźniła. Nawet dwóch identycznych Zaxów o skrzających się niebieskozielonych, lekko skończonych oczach, czekało przed drzwiami. A potem wszyscy razem ruszyli w mrok. Księżyc już zaszedł, ale zdawało się, że gwiazdy wręcz płoną.

Na przyłdku było zimno. Usiedli na resztkach fundamentów zrównanego z ziemią domu. Deborah i Faye w samym środku rozpały ognisko. Inni przynosili z samochodów zapasy. Cassie spodziewała się, że wszyscy będą poważni, ale Krag był wyraźnie w imprezowym nastroju, wszyscy ożywiłi atmosferą nocy, roześmiani, skłonni do żartów, zaprzeczając

— 61 —

niebezpieczeństwu związanemu z tym, co mniej więcej za godzinę mieli zrobić. Cassie złapała się na tym, że i ona dobrze się bawi. W ogóle nie zastanawiała się nad przyszłością.

Mieli mnóstwo jedzenia. Suszone pestki dyni („Bez soli!” – podkreśliła Laurel), chlebek dyniowy i pierniczki upieczone przez Dianę, pudełko pączków z lukrem czekoladowym lub pomarańczowym, przyniesione przez Adama, miskę mieszanki słodczy halloweenowych dostarczoną przez Susan, napoje chłodzące i jabłecznik z przypawami oraz dużą papierową torbę, przymieszoną przez Chrisa, w której coś grzechotało.

– Orzechy! Tak! Na jurność! – wrzasnął Doug do pozostałych chłopaków i zrobił ordynarny gest.

– Orzechy laskowe symbolizują mądrość – wyjaśniła cierpliwie Melanie, ale bracia Hendersonowie tylko się szyderczo uśmiechnęli.

Mieli też jabłka – cortlandy, jonatany, mackintosze.

– Jabłka oznaczają miłość i śmierć – oznajmiła Diana. – Zwłaszcza w czasie Halloween. Wiedziałaś, że są poświęcone bogini Herze?

– A wiedziałaś, że ich pestki zawierają tyjanek? – dodała Faye z dziwnym grymasem. Uśmiechała się ironicznie do Cassie od chwili, kiedy razem z Adamem wyłonili się zza zasłony z serpenitym na imprezie. Teraz pochylała się po kawałek piernika i mruknęła Cassie do ucha: – Co się stało, kiedy za tobą poszedł? Zmarnowałaś szansę?

– Nietrudno jest zabawić się z zajętymi facetami – szepnęła Cassie zmęczonym głosem, jakby tłumaczyła coś pięciolatkę.

Faye zachichotała.

— 62 —

– Nietrudnie? To ma się znaleźć na twoim nagrobku? Tu spoczywa Cassie. Postępowała... ładnie?

Cassie odwróciła głowę.

– Znam takie jedno zaklęcie z jabłkiem – mówiła Laurel do całej grupy. – Trzeba obrać jabłko nieprzerwaną spiralą, a potem rzucić skórę za ramię i jeśli się nie potamie, utworzy pierwszą literę imienia waszej prawdziwej miłości.

Próbowali to zrobić, bez większego sukcesu. Obierki wciąż się lamały. Susan skaleczyła się nożem Deborah, a kiedy Deborah udało się rzucić skórę przez ramię, zwinęła się tylko w spiralę.

– No cóż, to przynajmniej jest święty symbol bogini – stwierdziła Laurel, marszcząc brwi. – Albo rogatego Pana – dodała z psotnym uśmiechem, zerkając na Adama.

Cassie specjalnie tak obierała jabłka, żeby skórka się przerywała. Niewyraźnie się czuła przy tym przedstawianiu przyszłości. I wcale nie dlatego, że Melanie zauważyła radośnie:

– Kiedyś za takie wróżby w Halloween tracono czarownice.

– Jeszcze jedna mi się przypomniała – powiedziała Laurel. – Wrzucasz orzech w ogień i wymawiasz imiona parami. I czekasz, co się stanie. Na przykład, Susan i David Downey – dodała żartobliwie. – I jeśli ten orzech pęknie, to są sobie przeznaczeni. Jeśli nie, nie będzie z nich para.

– Jeśli mnie kocha, pęknie snadnie, gdy nienawidzi, wnet przepadnie! – zacytowała Susan teatralnym szeptem, a Laurel wrzuciła orzech laskowy do ogniska. Mały okrągły orzeszek tylko zaszczkał.

– Laurel i Doug – rzucił Chris złośliwie, wrzucając kolejny orzech.

— 63 —

– Chris i Sally Waltman! – odwzajemnił się Doug.
– Cassie i Nick!

Ten orzeszek wrzuciła Deborah, uśmiechając się szeroko. Faye nawet się nie uśmiechnęła, co rzuciło się w oczy.

– Adam... – powiedziała, trzymając orzech między dłońmi, czerwonymi paznokciami i czekając, aż skupi się na niej uwaga wszystkich. Cassie wpatrywała się w nią i miała wrażenie, że stoi na jakiejś krawędzi. – I Diana – dokończyła wreszcie Faye i wrzuciła orzeszek w płomień.

Cassie jak zaczarowana obserwowała orzech, który leżał między żarzącymi się węglami. Nie chciała na niego patrzeć, ale musiała.

– Jest mnóstwo innych tradycji związanych z Halloween – ciągnęła Laurel. – To czas, kiedy należy pamiętać o ludziach starych. O tych, dla których zbliża się zima ich życia. A przynajmniej tak twierdzi babcia Quincey.

Cassie nadal wpatrywała się w laskowy orzech. Miała wrażenie, że drępa. Ale czy pęknie?

– Późno się robi – rzucił Adam. – Chyba powinniśmy zacząć się szykować?

Diana strzepnęła z dłoni okruchy chlebka z dynią i wstała.

– Tak.

Cassie oderwała oczy od ognia zaledwie na moment, ale w tej właśnie chwili rozległ się odgłos jak z karabinu maszynowego. Dwa albo trzy orzechy pękły jednocześnie. A kiedy Cassie znów spojrzała w ogień, nie mogła się już zorientować, który z nich wrzuciła Faye. Albo pękł, albo straciła go z oczu. Nie miała pewności, co jest prawdą.

— 64 —

Ułamek sekundy później przeleciała jej przez głowę myśl o orzechu Deborah – dla Cassie i Nicka. Ale uniknęło jej też, co się stało z tym orzechem.

– No dobrze, teraz tak – oznajmiła Diana. – To będzie nieco inny Krag. Będzie miał większą Moc niż którykolwiek z naszych wcześniejszych Kragów, bo potrzeba nam silniejszej niż kiedykolwiek przedtem ochrony. I będzie mi potrzebna pomoc was wszystkich. – Po tych słowach spojrzała z powagą na Faye, a ona odpowiedziała spojrzeniem pełnym całkowitej niewinności.

Cassie patrzyła, jak Diana nożem o czarnej rękojeści nakreśla krag wewnątrz ruin. Ognisko znalazło się w jego środku. Wszyscy spoważniali i siedzieli wzrokiem ślad noża, który ciał ziemię, znacząc niemal idealny okrąg z niewielką przerwą w północno-wschodnim narożniku.

– Teraz wszyscy wejdźmy do Kręgu, a potem go domknij – zakomenderowała Diana. Wszyscy weszli do środka i ustawili się wzdłuż wewnętrznego obwodu okręgu. Tylko Radża został na zewnątrz, niespokojnie ich obserwując. Z gardła wyrwał mu się cichy skowyt. – Od teraz – rzekła Diana, domykając okrąg szybkim ruchem noża – nikt nie wychodzi poza bezpieczne wnętrze Kręgu. To, co przyzwiemy do jego wnętrza, będzie groźne. Ale to, co się będzie czaić na zewnątrz, może się okazać jeszcze groźniejsze.

– Jak bardzo? – spytał niespokojnie Sean. – Zna czy to, co będzie w środku?

– Nic nam nie grozi, dopóki nie będziemy zbliżać się do ognia ani go dotykać – wyjaśniła Diana. – Niezależnie od własnej siły, ten duch nie będzie mógł odebrać się od ognia, którego użyjemy, żeby go przywołać.

1. Tomasz Krag 2

— 65 —

No dobrze – dodała rzeźko. – Teraz wezwanie do Wieży Strażniczkiej Wschodu. Moce Powietrza, chronicie nas!

Stojąc twarzą w stronę mrocznego wschodniego nieba i oceanu, Diana wyciągnęła przed siebie płonącą pałeczkę kadziła i posłała jej dym na wschód przez Krag.

– Myślcie o powietrzu! – zwróciła się do pozostałych członków kowenu i Cassie nagle zorientowała się, że nie tylko wyobraża sobie powietrze, ale czuje je i... słyszy. To się zaczęło jak słaba bryza, która powiała ze wschodu, ale zaraz się wzmogło. Silny, porywisty wicher uderzał o ich twarze i szarpał długie włosy Diany, powiewając nimi niczym chorągwią. A potem zmienił kierunek i zaczął wiać wokół Kręgu, zamykając ich w jego wnętrzu.

Diana wzięła płonący kawałek drewna z ogniska i przesunęła się z nim, stając naprzeciw Cassie, której miejsce wypadło w południowym fragmencie Kręgu. Machając żagwią ponad głową Cassie, wyszeptwała:

– Wzywam teraz Wieżę Strażniczą Południa. Moce Ognia, strzeżcie nas!

Już nie musiała mówić: „myślcie o ogniu”. Cassie czuła ciepło obejmujące jej plecy, oczyma duszy widziała płomień, który buchnął wysoko za jej plecami. Zatańczył wokoło jak iskry wokół prochu, tworząc ognisty okrąg wokół koła w wiatru.

To się nie dzieje naprawdę, powiedziała sobie Cassie. To tylko symbole, które sobie wyobrażamy. Ale jak na wytwory wyobraźni symbole wyglądały bardzo realnie.

Diana znów zmieniła miejsce. Zanurzyła palec w plastikowym kubku i strąciła parę kropel wody w stronę zachodu, między Seana a Deborah.

– Wzywam Wieżę Strażniczą Zachodu. Moce Wody, chronicie nas!

W niebo strzeliło widmo szklizostielonej fali, wznosząc się coraz wyżej i wyżej. Fala objęła Krag ścianą wody.

Wreszcie Diana zwróciła się na północ, twarzą do Adama, i sygnęła sobą.

– Wieżo Strażnicza Północy! – Jej głos zadrział lekko, zdradzając, ile ją to wszystko kosztuje. – Moce Ziemi, strzeżcie nas!

Pod ich stopami zatrzęsła się ziemia.

Cassie była zaskoczona. Pozostali członkowie Kręgu jeszcze bardziej – tutaj, w Nowej Anglii, nie przywykli do trzęsień ziemi. Ale Cassie urodziła się przecież w Kalifornii. Zobaczyła, że Sean chce się zerwać z miejsca.

– Deborah, przytrzymaj Seana! – krzyknęła.

W mgnieniu oka motocyklistka złapała chłopaka za ramię i powstrzymała go przed ucieczką z Kręgu. Wtrząsy stawały się coraz silniejsze. A potem – z odgłosem, który przypominał grzmot – ziemia się rozstąpiła. Wokół całego Kręgu otwarła się rozpadlina, która pląnęła ostrym siarkowym odorem.

To wszystko nieprawda, to nieprawda! – tłumaczyła sobie Cassie. Ale widziała, że otaczają ją widma wszystkich czterech żywiołów, zbudzonych przez Dianę. Że obejmują Krag kolejnymi koncentrycznymi pasmami – szalejący wicher, ściana ognia, ściana morskiej wody i wreszcie rozpadlina w ziemi. Nic z zewnątrz nie mogłoby się przedrzeć przez tę barierę. Cassie nie chciałaby się też zakładać o to, że cokolwiek z wnętrza Kręgu mogłoby się bezpiecznie z niego wydostać na zewnątrz.

Diana, lekko roztrzęsiona, przeszła na swoje miejsce i usiadła pomiędzy Nickiem a Faye.

– Dobrze – powiedziała tak cicho, że niemal szepciem. – Teraz wszyscy skoncentrujmy się na ognisku. Patrzcie w płomień i pozwólcie Mocy dokonać reszty. Zobaczmy, czy coś się pojawi, żeby z nami porozmawiać.

Cassie odwróciła się do Melanie.

– Ale jeśli jesteśmy chronieni przed wszystkim, co jest na zewnątrz, komu uda się tu wejść, żeby z nami porozmawiać? – szepnęła.

– Komuś stąd – odszepnęła Melanie, przyglądając się jałowej ziemi wewnątrz Kręgu.

– Aha.

Cassie zapatrzyła się w płomień. Usiłowała oczyścić swój umysł, otworzyć się na wszystko, co chciało by się przedrzeć przez zasłonę pomiędzy światem niewidzialnym a rzeczywistym. Dziś była ta noc i to była właśnie ta pora.

Ogień zaczął dymić.

Najpierw tylko nieznamnie, jakby wrzucono tam kawałek wilgotnego drewna. Ale potem dym ściemniał – nadal przejrzysty, niemniej gęstszy. Uniósł się i zawisł nad ogniskiem skłębioną chmurą.

A potem zaczął się zmieniać.

Skręcał się, wzdymał, jak przewalające się jedna przez drugą burzowe chmury. Cassie wstrzymała oddech, a dym zaczął się kształtować. Przybrał formę jakiejś sylwetki.

Ludzkiej.

Postać zdawała się kształtować od góry do dołu. Miała na sobie starożytnie ubranie. Kapelusz z wysoką główką i sztywnym rondem. Płaszcz czy też pelerynę,

która zwisała się z szerokich ramion. Szeroki lniany kołnier. Bryczesy zawiązane pod kolanami. Cassie pomyślała, że chyba dostrzegła zaary butów o kwadratowych noskach, ale chwilami dolny fragment sylwetki rozpyływał się i zlewał z dymem ogniska. Zauważyła jedno. Dym nigdy na dobre nie odrywał się od ognia, cały czas pozostawał z nim połączony jakąś cienką smugą.

Postać zawiązała nieruchomo.

A potem przesunęła się w stronę Cassie.

Wydawało się, że jest zwrócona twarzą do Cassie. Dziewczynie przysłała do głowy nagła myśl – kiedy Adam po raz pierwszy wyjął czaszkę z plecaka, jeszcze na plaży, artefakt zdawał się patrzeć w jej stronę. Potem, w czasie ceremonii z czaszką, było podobnie. Kiedy Diana zdjęła materiał okrywający czaszkę, puste oczodoły jakby wpatrywały się prosto w oczy Cassie.

A teraz to coś się na nią gapilo.

– Powinniśmy zadać mu jakieś pytanie – zaproponowała Melanie, ale nawet jej głos, zwykle spokojny, teraz drżał. Miało się wrażenie, że kształt stworzony z dymu otacza jakąś groźbę, coś złego. Podobnego do mrocznej energii z czaszki, tylko jeszcze silniejszego. Wiązszego.

Kim jesteś? – pomyślała Cassie. Nie mogła wykrusić słowa. Nie musiała zresztą nic mówić. Ani przez chwilę nie miała żadnych wątpliwości co do tożsamości widniejącej przed nią postaci.

John Black.

A potem rozległ się głos Diany, wyraźny, ostrożny i spokojny:

– Zaprosiliśmy cię tu, bo znaleźliśmy coś, co należało do ciebie – powiedziała. – Chcemy się dowiedzieć, jak to kontrolować. Porozmawiasz z nami?

Nie doczekali się odpowiedzi. Cassie dostrzegła, że to coś uformowane z dymu chyba się do niej przysuwa. Ale może to było tylko złudzenie.

- Dzieję się straszne rzeczy - dodał Adam. - Musimy je powstrzymać.

To nie było złudzenie. Postać się zbliżała.

- Czy to ty kontrolujesz mroczną energię? - spytała nagle Melanie. - Nie żyjesz! Nie masz prawa wtrącać się w sprawy żyjących - wpadła jej w słowo Laurel.

- I w ogóle o co ci chodzi?! - odezwała się ostro Deborah.

Za szybko, pomyślała Cassie. Zbyt wiele osób zadaje pytania. Postać cały czas się zbliżała. Cassie stała jak sparaliżowana. Czula, że zagraża jej niebezpieczeństwo, którego nikt inny nie potrafił dostrzec.

- Kto zabił Kori? - wrknął Doug Henderson.

- Dlaczego mroczna energia zaprowadziła nas na cementarz? - wtrąciła Deborah.

- I co się stało z Jeffreyem? - spytała Susan.

Smuga dymu, która łączyła postać z ogniem, zrobita się cienka, a sam duch zawisł tuż przed Cassie. Dziewczyna bała się patrzeć w tę niewyraźną, przesłoniętą dymem twarz, ale musiała to zrobić. Miała wrażenie, że w jej konturach rozpoznaje twarz, która mignęła jej w wnętrzu kryształowej czaszki.

Wstań, Cassie.

To nie były prawdziwe słowa, one tylko rozległy się w jej myślach. W każdym razie, miały nad nią jakąś władzę. Cassie poczuła, że zmienia pozycję, że zaczyna się podnosić.

Chodź ze mną, Cassie.

Pozostali nadal zadawali pytania, a Cassie jak przez mgłę usłyszała, że gdzieś w oddali rozszczękał

się pies. O wiele donośniejszy był jednak głos w jej głowie.

Chodź, Cassie.

Wstała z ziemi. Wirujący mrok zdawał się teraz nieco mniej przejrzysty. Jakby zgęstniał. Wyciągnął w jej stronę bezkształtną dłoń.

A Cassie, żeby ją ująć, uniosła własną rękę.

ROZDZIAŁ 5

Cassie, nie!

Później zrozumiała, że to Diana wtedy krzyknęła. Ale w chwili, kiedy dobiegły ją te słowa, słyszała je niewyraźnie. Wydawały się spowolnione i wymawiane z trudem. Pozbawione znaczenia, jak to ciągle, wściekle szczekanie, które wciąż dochodziło z oddali. Czubiłki palców Cassie musnęły przejrzyste czarne palce postaci stojącej tuż przed nią.

I natychmiast poczuła wstrząs podobny do dreszczu, który budził w niej hematyt. Uniosła wzrok, zaszokowana, na wirującą, przydymioną twarz i nagle ją rozpoznała...

A wtedy wszystko runęło.

Rozległ się głośny plusk i krople lodowatej wody zmoczyły Cassie od stóp do głów. Jednocześnie zabrzmiał syczący odgłos rozpalonych węgla nagle zalanych wodą. Przydymiona męska postać zmieniła się, zmniejszyła i zaczęła się roztopiać, jakby z powrotem wysiał ją płomień ogniska. Tego samego, które

teraz zamieniło się w czarną masę mokrych, osmalonych patyków.

Po drugiej stronie ogniska stał Adam. Trzymał w ręku pojemnik po wodzie, którą zalał ogień. Tuż za nim stał Radzi, z sierścią zjezoną i obnażonymi zębami.

Cassie odezwała wzrok od własnej, wyciągniętej ręki i spojrzała na Adama. Zachwiała się. A potem wszystko wokół niej stało się szare i niewyraźne. Zemdlała.

- Jesteś już bezpieczna. Leż bez ruchu. - Głos zdawał się dobiegać z wielkiej odległości. Brzmiała w nim łagodna, choć władcza nuta. Diana, pomyślała Cassie tętnie i nagle ogarnęła ją jakaś wielka tęsknota. Chciała przytrzymać rękę przyjaciółki, ale nie miała siły się poruszyć, ani nawet otworzyć oczu.

- Masz tu wodę lawendową. - Drugi głos był wyższy i bardziej przejęty. Laurel. - Trzeba jej zwilżyć skórę, o tak...

Cassie poczuła chłód na czole i nadgarstkach. Słodki, czysty zapach nieco jej rozjaśnił w głowie.

Zaczęła teraz słyszeć inne głosy.

- ...może, ale nadal nie wiem, jakim cudem Adam to zrobił. Nie mogłam się poruszyć. Zupełnie, jakbym była sparaliżowana - mówiła Deborah.

- Ja też! Jakby mnie ktoś przybił do podłogi. - To Sean.

- Adamie, usiądź teraz, proszę, żeby Laurel mogła i na ciebie zerknąć. Dobrze? Coś ci się stało? - To był głos Melanie i Cassie nagle poczuła, że może otworzyć oczy. Usiadła i chłodna, wilgotna szmatka spadła jej z czoła na kolana.

- Nie, nie... Cassie, leż bez ruchu - zaprotestowała Diana, próbując zmusić ją, żeby znów się położyła. Cassie nie odrywała wzroku od Adama.

Jego cudowne, kędzierzawe włosy były straszliwie rozczochrane. Skórę miał zaczerwienioną, jak narcisz zbytnie mocno osmagany wiatrem, a mokre ubrania wisiały na nim w nieladzie.

- Nic mi nie jest - tłumaczył Melanie, która usiłowała posadzić go na krześle.

- Co się stało? Gdzie jesteśmy? - spytała Cassie. Leżała na kanapie w jakimś zaniedbanym salonie, który mgliście rozpoznawała, ale nadal czuła się mocno zagubiona.

- Przyniesiliśmy cię do domu Laurel - wyjaśniła Diana. - Nie chcieliśmy wystraszyć twojej mamy i babci. Zemdlałaś. Ale Adam uratował ci życie.

- Przeszedł przez cztery ochronne kręgi - wyjaśniła Susan głosem, w którym wyraźnie czuło się podziw.

- Głupota - skomentowała Deborah. - Ale imponująca.

A potem dobiegł ją leniwy, niski głos Faye:

- Moim zdaniem coś takiego wymagało niesłychanie oddania.

Na chwilę zapanowała pełna zaskoczenia cisza. A potem odezwała się Laurel:

- Och, wiesz, jak to wygląda. Adam i to jego porzucenie obowiązku. Chyba faktycznie jest oddany obowiązkom.

- Sam bym to zrobił. I Doug też. Gdybyśmy tylko byli w stanie się podnieść - upierał się Chris.

- I gdyby wam to przyszło do głowy, a założę się, że nie przyszło - odezwał się Nick suchym i nieco pomurnym głosem. Miał mroczną minę.

Cassie obserwowała, jak Laurel wilgotnym ręcznikiem ociera twarz i ręce Adama.

– To aloe i kora wierzby – wyjaśniła koleżanka. – Powinna pomóc na oparzenia.

– Cassie? – spytała łagodnie Diana. – Pamiętaj, co się stało, zanim zemdziałaś?

– Hm... Zadawaliście mi pytania, zbyt wiele pytań. A potem... Sama nie wiem, jakiś głos zaczął się odzywać w mojej głowie. To coś przypatrywało mi się... – Cassie przyszła do głowy nagła myśl. – Diana, w czasie ceremonii z czaszką w twoim garażu, pamiętasz? Miałas tę czaszkę przykrytą materiałem. – Diana pokiwała głową. – Czy ustawiłaś ją twarzą w jakimś konkretnym kierunku?

Diana się zdziwiła.

– W sumie było w tym coś, co mnie trochę zaniepokoiło. Ustawiałam czaszkę twarzą w stronę miejsca, gdzie sama siedziałam w kręgu... ale kiedy zdjąłem materiał, była zwrócona w przeciwną stronę.

– Patrzyła na mnie – stwierdziła Cassie. – Co znaczy, że albo ktoś ją przestawił, albo... sama się przesunęła.

Popatrzyły na siebie, poruszone i niespokojne, ale przynajmniej wreszcie zaczęły się do siebie odzywać. Cassie poczuła się bliższą Dianie niż w ciągu ostatnich tygodni. Przyszła pora się pogodzić, pomyślała.

– Diana... – zaczęła, ale w tej samej chwili coś dostrzegła. Maską Adama z rogami i dębowymi liśćmi leżała na krześle obok Diany, a przyjaciółka jedną szczerplą dłoń opierała na niej, głaszcząc liście, jakby czerpała z tego jakąś pociechę. To był zupełnie podświadomy gest. Taki, który wiele zdradzał. Serce Cassie przeszło dreszcz niechęci. Hern i bogini Diana. Na-

leżą do siebie, tak? Dzisiaj w nocy, później, pewnie dopełnią tej małej ceremonii, o której wspominała jej Faye.

Cassie uniosła wzrok i napotkała spojrzenie Faye. W złotych oczach czarownicy była ironia. Faye uśmiechnęła się lekko.

– Co się stało? – spytała Diana. – Cassie?

– Nic. – Cassie wyla wzrok w postrzępiony fioletowy chodnik na drewnianym parkiecie. – Nic. Czuję się już lepiej – dodała. To była prawda. Poczucie dezorientacji niemal znikło. Ale wspomnienie przydymionej twarzy nie chciało opuścić Cassie.

– Co za zakończenie Halloween – odezwała się Laurel.

– Trzeba było zostać na szkolnej imprezie – stwierdziła Susan. Usiadła wygodnie i skrzyżowała nogi. – Niczego się nie dowiedzieliśmy, a w dodatku Cassie ile się poczuła – dodała po chwili zastanowienia.

– Jednak czegoś się dowiedzieliśmy. Wiemy, że duch Johna Blacka nadal kręci się w pobliżu i że jest wrogi – zaprotestował Adam. – I na pewno nie chce odpowiedzieć na żadne z naszych pytań.

– Jest silny – stwierdziła Diana. – Dość silny, żeby wywrzeć wpływ na nas wszystkich i żeby nie pozwolić nam się ruszyć. – Popatrzyła na Cassie. – Pomijając Cassie. Jestem ciekawa dlaczego.

Cassie lekko się zmieszała i wzruszyła ramionami.

– Nieważne, jak bardzo jest silny – uspokajała wszystkich Melanie. – Halloween skończy się za parę godzin. Potem nie będzie miał już żadnej mocy.

– Ale nadal niczego nie wiemy o czasie. Ani o Kots – powiedział Doug, niezwykle jak na siebie poważnie.

– A mnie się wydaje, że nie wiemy nawet, czy John Black jest... Jak to ująłeś, Adamie? Wrogi – dobiegli ich niespieszny, chrapliwy głos Faye. – Może on po prostu nie miał ochoty na rozmowę.

– Och, nie bądź śmieszna... – zaczęła Laurel.

Zanim zdążyła się wywiązać sprzeczka, przerwała im Diana.

– Słuchajcie, jest późno, wszyscy jesteście zmęczeni. Dzisiaj wieczorem nie rozwiążemy żadnej sprawy. Jeśli Cassie naprawdę nic nie jest, powinniśmy wszyscy rozejść się do domów i trochę odpocząć.

Po chwili milczenia wszyscy zaczęli zgodnie kiwać głowami.

– Możemy pogadać o tym w szkole albo na urodzinach Nicka – dodała Laurel.

– Odprowadzę Cassie do domu – odezwał się Nick od drzwi.

Cassie zerknęła na niego szybko. Nie mówił zbyt wiele, kiedy leżała na kanapie. Ale był tam. Przyszedł tu ze wszystkimi pozostałymi, żeby się upewnić, że nic jej się nie stało.

– No to Deborah może wracać ze mną – stwierdziła Melanie. – Jechała z wami, prawda?

– Mnie też mogłabyś odwieźć? Jestem naprawdę zmęczona – poprosiła Diana, a Melanie bez ociągania pokiwała głową.

Cassie prawie nie zauważyła reszty pożegnań. Widziała tylko, jak Adam odjeżdżał swoimi dżipem cherokee na północ, a Diana wraca na południe, z Melanie i Deborah.

Żadnej ceremonii Herna i Diany dziś w nocy, pomyślała Cassie i zalała ją fala ulgi. Ulgi i odrobiny ja-

kiegoo wrednego zadowolenia. To było niewłaściwe, to było podle. Ale dokładnie tak zareagowała.

Wsiadła już do samochodu Nicka, gdy zauważyła Faye. Dziewczyna uśmiechnęła się do niej i uniosła brwi. Zanim się zorientowała, co robi, Cassie odwzajemniła uśmiech.

Następnego dnia, kiedy Cassie wyszła przed dom, przystanąła, zaszokowana. Klony cukrowe po drugiej stronie ulicy się zmieniły. Znikły jaskrawe jesienne barwy, które przywodziły jej na myśl ogień. Znikły też liście. Wszystkie gałęzie były gołe.

Drzewa wyglądały jak szkielety.

– Nick nie pozwala nam poszaleć na swoich trzydziu urodzinach – oznajmiła Laurel. – Szkoda, że nie możemy zorganizować mu prawdziwej imprezy niespodzianki.

Deborah parsknęła.

– Od razu by z niej wyszedł.

– Wiem. Co tam, spróbujemy wymyślić coś, co mu się nie wyda zbyt infantylne. No i – Laurel się rozjaśniła – przy pozostałych urodzinach sobie odbijemy.

– Jakich pozostałych urodzinach? – spytała Cassie.

Wszystkie dziewczyny z Klubu spojrzały na nią. Siedziały na zapleczu stołówki i naradzały się, a pozostali faceci trzymali Nicka z dala od tego miejsca.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiesz nic o porze urodzin? – spytała Susan z lekkim niedowierzaniem. – Diana ci nie powiedziała?

Diana otworzyła usta, a potem je zamknęła. Nie odezwała się. Cassie domyśliła się, że przyjaciółka nie

wie, jak im wyjaśnić, że już obie ze sobą tyle nie rozmawiają, a zwłaszcza prywatnie.

- Zobaczymy, czy uda mi się to jakoś uprościć. - Faye zachichotała cicho i zerknęła w sufit. Zaczęła wylizywać, zaginając palce zakończone długimi, błyszczącymi szkarłatnymi paznokciami. - Urodziny Nicka są trzeciego listopada. Adama piątego. Melanie siódmego. Moje... Aha, no i Dianę, są dziesiątego listopada...

- Zartujesz sobie? - przerwała jej Cassie. Laurel pokręciła głową, a Faye nadal pracowicie wylizowała.

- Chris i Doug mają urodziny siedemnastego listopada, Susan dwudziestego czwartego, a Deborah dwudziestego ósmego. Laurel, hm...

- Pierwszego grudnia - podpowiedziała Laurel. - A Sean trzeciego grudnia, i to by było na tyle.

- Ależ to... - Cassie urwała. W głowie jej się to nie mieściło. Nick tylko o miesiąc starszy od Seana? A wszystkie te młode czarownice zaledwie osiem czy dziewięć miesięcy starsze od niej? - Ale ty i Sean chodzicie do drugiej klasy, tak jak ja - odezwała się do Laurel. - A ja mam urodziny dwudziestego trzeciego lipca.

- Nie zmieszliśmy się w przedziale czasowym - wyjaśniła Laurel. - Wszyscy urodzeni po trzydziestym listopada muszą czekać do następnego roku na pójście do szkoły. Więc przyglądaliśmy się, jak wszyscy idą do przedszkola, gdy my zostawaliśmy jeszcze w domu. - Udała, że ociera łzy.

- Ale to i tak... - Cassie nie mogła znaleźć właściwych słów. - Nie wydaje wam się, że to dość niesamowite? Że wszyscy urodziliście się na przestrzeni miesiąca?

— 78 —

Susan pokazała dołeczki w psotnym uśmiechu. - Tamtego roku kwiecień był bardzo deszczowy. Nasi rodzice prawie nie wychodzili z domu.

- Owszem, to się wydaje dziwne - przyznała Melanie. - Ale w sumie większość naszych rodziców pozawierała małżeństwa poprzedniej wiosny. Więc nie ma w tym niczego tak bardzo dziwnego.

- Ale... - Cassie nadal uważała, że to dziwne, choć najwyraźniej wszyscy członkowie Klubu tak się do tego przyzwyczaili, że nie zwracali na to uwagi. I czemu ja nie pasuję do tego schematu? - pomyślała. Może dlatego, że jestem w połowie obca. Wzdrygnęła się, Melanie pewnie ma rację. Tak czy inaczej, nie ma się czym przejmować. Dala spokój tematowi i dziewczyny wróciły do planowania imprezy dla Nicka.

W końcu postanowiły połączyć wszystkie urodziny z tego tygodnia - Nicka, Adama i Melanie - i urządzić imprezę w sobotę, siódmego listopada.

- No i - stwierdziła Laurel, kiedy dzieliły się swoimi planami z chłopakami - ta impreza będzie naprawdę inna niż wszystkie. O nic nie pytajcie. Ale będzie niepowtarzalna.

- Hm, ale nie będzie żadnego zdrowego jedzenia? - upewnił się Doug z podejrzliwą miną.

Dziewczyny popatrzyły na siebie i zdusiły śmiech.

- No cóż... Będzie zdrowe, a przynajmniej niektórzy tak uważają - oznajmiła Melanie. - Po prostu poszekać, sami zobaczcie.

- Zamierzniemy - odezwał się Sean przerażonym głosem.

- Mając to, nie. - Laurel się roześmiała. Uniósła wyżej termos.

— 79 —

- Laurel... - Adam z trudem powstrzymywał śmiech. - Nic mnie nie obchodzi, jak gorące jest to, co tam masz w środku. Nie rozgrzejesz nas przy tym.

Srebrzysty księżyc łąka chwila miał wejść w pełni. Jaśniał teraz nad obydwanym oceanem. Właśnie ocean wskazywał Adam.

- To nie kakao - wyjaśniła mu niecierpliwie Deborah. - To coś, co same zmieszałyśmy.

Pięciu chłopaków stało naprzeciwko dziewczyn, które ustawiły się za plecami Laurel. Na plaży płonęło ognisko, ale z tej odległości w niczym nie łagodziło lodowatych podmuchów wiatru.

- Oni najwyraźniej nie chcą nam uwierzyć - powiedziała Faye, a Diana dodała:

- Chyba trzeba im będzie po prostu pokazać.

Laurel puściła w obieg termos. Cassie wzięła głęboki oddech, a potem pociągnęła łyk. Napój był gorący i smakował trochę jak lekarstwo - jak jeden z paskudnych wywarów ziołowych Laurel. W tej samej chwili, w której przeknęła, załapała ją laskoczące ciepło. Nagle nie potrzebowała już tego grubego swetra. Na plaży robiło się aż za gorąco.

- Do wody, niedowiarki - pogoniła wszystkich Melanie. Cassie nie była pewna, czy dobrze ją zrozumiała, ale tak samo jak pozostałe dziewczyny, zaczęła z siebie zrzucać niepotrzebne nagle warstwy ubrań. Chłopcy gapili się, wytrzeszczając oczy.

- Ja też chcę takie urodziny - powiedział nagle Sean, kiedy Faye zaczęła rozpinąć czerwoną kurtkę. - Dobra? Dobra? Chcę...

Chłopcy trochę się rozczarowali, kiedy okazało się, że pod spodem dziewczyny mają kostiumy kąpielowe.

— 80 —

- Ale co my mamy zrobić? - spytał Adam, wchylając zawartość termosu i uśmiechając się do poróżbionych do bikini dziewczyn.

- No cóż... - Faye się uśmiechnęła. - Możecie jakoś improwizować.

- Albo - wtręciła Diana - możecie poszukać za tą wielką skałą. Jest pewna szansa, że leżą za nią wasze kąpielówki.

- No to już coś - odezwała się Laurel radośnie do Cassie jakiś czas potem, kiedy obydwie unosiły się w wodzie zanurzone po szyję. - Impreza z pływaniem w morzu o północy w listopadzie. Prawdziwe czarownice.

- Byłoby bardziej jak prawdziwe czarownice, gdybyśmy byli ubrani tylko w promienie księżyca - skomentował Chris, potrząsając rozczochraną jasną głową jak mokry pies.

Cassie i Laurel popatrzyły na siebie, a potem zerknęły na Deborah, która podskakiwała wśród fał w pobliżu.

- Niezły pomysł - powiedziała Deborah i skinęła do nich głową. - Może ty pierwszy, Chris?

- Zaraz, chwilkę... Wcale nie... Hej, Doug. Pomocy!

- Dawajcie, dziewczyny! - krzyknęła Laurel. - Chris chce się kąpać nago, tylko trochę się wstydzi.

- Pomocy! Chłopaki, ratunku!

Przerodziło się to w rodzaj berka połączonego z wodnym wrestlingiem. Wszyscy się przyłączyli. Nick zaczął gonić za Cassie, a ona mu uciekała, wzbijając wielkie bryzgi. Błyskawicznie ciało powierzchni wody, płynąc w jej stronę. Znalazł się dość blisko, żeby ją poschwycić.

— 81 —

- Ratunku! - pisnęła Cassie, jednocześnie się śmiejąc, więc niechący opila się słonej wody. Ale pomocy nie było widać. Laurel i Deborah przeprowadzały właśnie atak na braci Hendersonów, a Adam i Diana byli bardzo daleko, ich głowy unosiły się nad falami obok siebie.

Nick odrzucił z oczu mokre włosy - czarniejsze niż onyks w świetle księżycy - i uśmiechnął się do niej szeroko. Cassie jeszcze nigdy nie widziała jego uśmiechu.

- Poddaj się - zażądał.

- Nigdy - odparła z całą godnością, na jaką mogła się zdobyć jednocześnie ochlapywana falami. Nick był rzeczywiście przystojny, ale nie chciała, żeby złapał ją właśnie tutaj. Jeszcze raz próbował ją chwycić, a Cassie znów zaczęła z piskiem wzywać pomocy, ale nagle między nimi pojawiła się wysoka fala.

- Dalej! Wynocha stąd! - warknęła Faye. Jej oczy błyszczały psotnie pod długimi, mokrymi rzęsami. - Mamy cię zmusić? Cassie, złap go za szyję, a ja mu ściągnę kąpielówkę!

Cassie nie miała pojęcia, jak ma złapać za szyję chłopaka tak silnego jak Nick, zwłaszcza że jednocześnie zaśmiewała się jak szalona, ale rzuciła się przed siebie. Faye zamurkowała jak delfin. Nick obrócił się i zrejterował. Odpływał tak prędko, jak tylko umiał.

Cassie popatrzyła na Faye i zobaczyła, że dziewczyna uśmiecha się do niej. Odpowiedziała tym samym.

- Dziękuję - rzuciła.

- Nie ma sprawy - odparła Faye. - Wiesz, że dla przyjaciół chętnie zrobię wszystko. A przecież jesteśmy przyjaciółkami. Prawda?

- 82 -

powodzie, dla którego przeszedł cztery kręgi ochronne, żeby cię ratować w Halloween. No i - podплыnęła bliżej Cassie, a jej złote, ocienione ciężkimi powiekami spojrzenie było nieruchome, jak u jastrzębia - opowiem jej o czasie. Jak ją jej wykradłaś i oddałaś mnie, żebyśmy mogły zabić Jeffreya.

- Przecież to było inaczej! Nigdy bym ci nie pozwoliła zdobyć czaszki, gdybym wiedziała, że...

- Jesteś pewna, Cassie? - Faye uśmiechnęła się nieznacznie, konspiracyjnym uśmiechem. - Moim zdaniem, gdzieś w głębi duszy, jesteśmy takie same. Jesteśmy... siostrami. I jeśli na mnie we wtorek nie zagłosujesz, to wszystkim wyjawię prawdę o tobie. Powiem im, jaka jesteś naprawdę, tam w środku.

Zła, pomyślała Cassie, wpatrując się w ocean. Odbiła światło księżycy niczym lustro, niczym kawałek hematytu, i całą ją otaczał. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

- Zastanów się nad tym, Cassie - ciągnęła Faye miłym głosem. - Masz czas na decyzję do wtorkowego wieczoru.

A potem odpłynęła.

Nadszedł wtorkowy wieczór.

Księżyc w pełni świecił wysoko nad ich głowami, Krag został nakreślony. Członkowie Klubu zasiedli wewnątrz. Diana, która założyła wszystkie symbole przywódczyni, przywołała dla ochrony cztery żywioły, ale teraz milczała. To Melanie zbierała głosy, od najstarszego do najmłodszego członka.

- Nicholas - powiedziała.

- Mówiłem wam już wcześniej - stwierdził Nick. - Nie będę głosował. Jestem tu, bo obydwie nalegały

- 84 -

Cassie zastanowiła się nad odpowiedzią, rozgarniając rękoma srebrzystą wodę.

- Chyba tak - powiedziała wreszcie powoli.

- To dobrze. Bo zbliża się chwila, kiedy będę potrzebowała wszystkich moich przyjaciół. W ten wtorek, kiedy księżyc będzie w pełni, Krag zwoła spotkanie.

Cassie pokiwiała głową, przez chwilę nie rozumiejąc, o co chodzi. Wiadomo, że odbędą spotkanie, i zrobią kolejną imprezę. Zbliżyły się urodziny Faye i Diana. Obie kończą siedemnaście...

- Głosowanie w sprawie przywództwa! - szepnęła Cassie i znów niechący wypila haust słonej wody. Popatrzyła na Faye z nagłą, okropną obawą. - Faye...

- No właśnie. - W świetle księżycy czarownica wyglądała jak syrena. Bez trudu unosiła się na powierzchni wody. Jej wspaniałe włosy opadały, przemrożone, na plecy, niczym splecione wodorosty. Nie odrywała wzroku od Cassie. - Chcę zostać przywódczynią kowenu, Cassie. I zostanę nią. A ty mi pomożesz.

- Nie.

- Tak. Bo tym razem mówię poważnie. Dalał ci trochę oddechu, pozwalałam robić, co chcesz, nie zmuszałam, żebyś grała według reguł. Ale koniec tego dobrego. Tej jednej rzeczy choć bardziej niż czeokolkiwki innego na świecie i ty mi w tym pomożesz. W przeciwnym razie... - Faye obejrzała się przez ramię w stronę, gdzie Adam i Diana pływali razem, daleko za nimi. A potem znów spojrzała na Cassie. - W przeciwnym razie, zrobię to - dokończyła. - Powiem Dianie. I to nie tylko o przytalanii na skarpie. Powiem jej, jak się z Adamem całowaliście na Jesiennym Balu. Myślałaś, że nikt tego nie zobaczy? I o prawdziwym

- 83 -

ście - spojrzał na Faye, a potem na Dianę - ale wstrzymuję się od głosu.

Z dziwnym poczuciem odrealnienia Cassie obserwowała jego przystojną, zimną twarz. Nick się wstrzymał od głosu, dlaczego i ona nie miałaby tego zrobić? Ale wiedziała, że Faye to nie zadowolili, chyba że będzie miała zapewnione zwycięstwo. Cassie po prostu nie miała pojęcia, jak powinna zagłosować. Gdyby tylko podarowano jej choć trochę więcej czasu...

Ale nie było czasu. Melanie znów się oderwała:

- Adamie.

Głos Adama zabrzmiał czysto i wyraźnie:

- Diana.

Ze stosu czerwonych i białych kamyków, które miała przed sobą, Melanie odłożyła na bok jeden biały.

- Jeśli chodzi o mnie, ja też głosuję za Dianą - powiedziała i dołożyła kolejny biały kamyk.

- Faye?

Faye się uśmiechnęła.

- Głosuję na siebie.

Melanie wyjęła czerwony kamyk.

- Diana.

- Ja też głosuję na siebie - powiedziała cicho Diana.

Trzeci biały kamyk.

- Douglas.

Doug uśmiechnął się jednym ze swoich najbardziej wariackich uśmiechów.

- Głosuję na Faye, naturalnie.

- Christopher.

- Hm... - Chris miał zmieszaną minę. Mimo smarszczonego czoła Faye i gorączkowych podpowiedzi Douga, wpatrywał się w dal, mrużąc oczy, jakby

- 85 -

tam poszukiwał decyzji. Wreszcie zrobił taką minę, jakby ją odnalazł, i popatrzył na Melanie.

- Dobra, Diana.

Wszyscy w kręgu wytrzeszczyli na niego oczy. Har- do wytrzymał spojrzenia. Cassie zacisnęła palce na kawałku hematytu w swojej kieszeni.

- Chris, ty krety... - zaczął Doug, ale Melanie go uciszyła.

- Żadnego gadania - powiedziała i położyła czwar- ty biały kamyk obok dwóch czerwonych. - Susan.

- Faye.

Trzy czerwone, cztery białe.

- Deborah.

- No, a niby kto? - parsknęła Deborah. - Faye, oczywiście.

Cztery czerwone, cztery białe.

- Laurel? - spytała Melanie.

- Diana zawsze była naszą przywódczynią i za- wsze nią będzie - stwierdziła Laurel. - Głosuję na nią.

Melanie wyjęła piąty biały kamień, na jej wargach zadrał lekki uśmiech.

- Sean.

Sean spoglądał nerwowo po wszystkich.

- Ja... - Faye wpatrywała się w niego bez zmruże- nia powiek. - Ja... Ja... Faye - powiedział i się przy- garbił.

Melanie wzdrygnęła ramionami i dołożyła kolejny czerwony kamyk. Pięć czerwonych, pięć białych. Ale chociaż jej szare oczy nadal były poważne, kąciaki ust wyraźnie zaczynały się unosić w uśmiechu. Wszyscy zwolennicy Diany odprężyli się i posylali sobie nawza- jem uśmiechy przez Krag.

- 86 -

Melanie spokojnie zwróciła się do ostatniej człon- kini kowenu:

- Cassandro? - spytała.

ROZDZIAŁ 6

Pod srebrzystą tarczą księżycy zapanowało kłopotli- we milczenie.

- Cassie? - powtórzyła Melanie.

Wszyscy teraz na nią patrzyli. Cassie czuła na so- bie gorące spojrzenie złotych oczu Faye i wiedziała już, dlaczego Sean się pod nią skulił. Były gorętsze niż kolumna ognia, którą Diana przywołała dla ich ochrony w Halloween.

Jakby coś ją do tego zmusiło, Cassie spojrzła w przeciwną stronę. Diana też na nią patrzyła. Jej oczy były jak jezioro, na którym unoszą się zielone liście. Cassie nie mogła oderwać od nich wzroku.

- Cassie? - oderwała się Melanie po raz trzeci. Jej głos zaharwił się leciutką nutą zwątpienia.

Nadal nie mogąc oderwać wzroku od oczu Diany, Cassie szepnęła:

- Faye.

- Co takiego?! - krzyknęła Laurel.

- Faye - powtórzyła Cassie, tym razem za głośno. W kieszeni ścisnęła kawałek hematytu. Jego chłód zdawał się przesączać do całego organizmu. - Powie- działam, że Faye, jasne? - oderwała się do Melanie, ale nadal patrzyła na Dianę.

- 87 -

W czystych zielonych oczach błysnęło zdziwie- nie. A potem, nagle, pojawiło się w nich zrozumienie, jakby ktoś cisnął kamieniem w spokojną toń jeziora. I kiedy Cassie to zobaczyła, kiedy dostrzegła, że Dia- na naprawdę rozumie, co się przed chwilą stało, coś w niej raz na zawsze umarło.

Cassie nie wiedziała już, dlaczego głosuje za Faye. Nie potrafiła sobie przypomnieć, jak to się wszystko zaczęło, w jaki sposób w ogóle weszła na tę ścieżkę. Wiedziała tylko, że chłód z jej dłoni i ramienia prze- snawa się, obejmując całe ciało, i że od tej pory nie ma już drogi powrotu.

Melanie siedziała bez ruchu, jak osłupiała, nie do- tykając stosiku czerwonych i białych kamyków. Wy- glądała tak, jakby zupełnie o nich zapomniała. To De- borah nachyliła się i wyjęła szósty czerwony kamyk, dokładając go do stosu Faye.

I w jakiś sposób ten ruch oraz widok tych sześciu czerwonych kamyków obok pięciu białych sprawił, że wszystko stało się rzeczywiste. Powietrze trzaskalo elektrycznością, kiedy wszyscy pochyliłi się naprzód.

- Faye została nową przywódczynią naszego ko- wenu - powiedziała powoli Melanie.

Faye wstała.

Jeszcze nigdy dotąd nie wydawała się taka wysoka ani taka piękna.

W milczeniu wyciągnęła rękę do Diany.

Ale to nie był gest przyjaźni. Otwarta dłoń Faye o dłu- gich, szkarłatnych paznokciach czegoś żądała. I w odpo- wiedź na to żądanie, bardzo powoli, Diana też podniosła się na nogi. Rozpięła srebrną bransoletę na ramieniu.

Adam patrzył na to jak rażony piorunem. Teraz po- derwał się z miejsca.

- 88 -

- Zaraz, momentik...

- To na nic, Adamie - powiedziała Melanie śmiec- ąco spokojnie. - Głosowanie jest ważne. Nic teraz tego nie zmieni.

Faye wzięła srebrną bransoletę z tajemniczym ru- nicznym napisem i zapięła ją na własnym, odkrytym kształtnym ramieniu. Metal zajął tam na blade- osiodowej skórze.

Palce Diany drżały, kiedy zdejmowała podwiązkę. Laurel, mrużąc coś i ocierając bzy z oczu gniewnym gestem, przysunęła się, chcąc jej pomóc. Ukłęda przed Dianą i zaczęła szarpać się z zieloną skórą i błękitnym jedwabiem podwiązki. Udało jej się ją rozpiąć i wstała z taką miną, jakby chciała tą podwiązką cisnąć w Faye.

Ale Diana wyjęła ją z rąk przyjaciółki i położyła na dłoni Faye.

Faye miała na sobie połyskliwą czarną tunikę, któ- rą włożyła na imprezę szkolną z okazji Halloween, tę rozciętą po obu bokach aż do biodra. Zapięła pod- wiązkę na lewym udzie.

A potem Diana podniosła obie ręce do włosów i zdjęła z nich diadem. Delikatne kosmyki włosów o barwie światła słońca i księżycy czeptały się srebrzy- stej korony, kiedy ją zdejmowała.

Faye sięgnęła i niemal wyrwała ją z rąk dawnej przywódczyni.

Faye wysoko uniosła diadem, jakby prezentowa- ła go kowenowi, czterem żywiołom i całemu światu. A potem włożyła go sobie na głowę. Półksiężyc na środku diademowi zabłysł na tle jej czarnych włosów.

Cały Krag głęboko odetchnął.

Cassie nie miała pojęcia, jak udało jej się wstać, ale nagle zorientowała się, że biegnie. Wyrwała się

- 89 -

z Kregu i rzuciła przed siebie, biegnąc wzdłuż oceanu, zapadając się w mokrym piasku. Biegła, aż coś chwyciło ją za ramię i powstrzymało.

- Cassie! - Adam patrzył jej prosto w oczy, jakby chciał zajrzeć w głąb duszy.

Zamachnęła się na niego ręką.

- Cassie, wiem, że tego nie chciałaś! Ona cię jakos zmusiła, prawda? Cassie, powiedz mi!

Znów spróbowała mu się wyrwać. Dlaczego zwracał jej głowę? Nagle poczuła wściekłość na Adama, na Dianę i na tę ich niekończącą się wiarę w nią.

- Wiem, że cię zmusiła - powtórzył Adam stanowczo.

- Nikt mnie nie zmuszał! - niemal krzyknęła.

A potem przestała się wyrwać i stała tam, patrząc na siebie, oboje mocno zdyszani. - Lepiej tam wracać - wypaliła Cassie. - Nie powinniśmy być sam na sam, zapomniałeś? Nie pamiętasz naszej przysięgi? Chciała chyba ostatnio nie musisz o niej zbyt często myśleć. W sumie dość łatwo jej dotrzymać, nie?

- Cassie, co się z tobą dzieje?

- Nic się nie dzieje! Po prostu odejdz, Adamie. Po prostu... - I zanim zdolała się powstrzymać, złapała go za ramiona i pociągnęła ku sobie. A potem go pocałowała. To był twardy, gniewny pocałunek i po chwili, kiedy się odsunęła, była nim równie zdumiona jak Adam.

Popatrzyli na siebie bez słowa.

- Wracać - powtórzyła Cassie, ledwo słysząc własne słowa przez łomot krwi w uszach. Skończyło się, wszystko się skończyło. Było jej tak zimno... Nie tylko dlatego, że wiał zimny wiatr, ale i w środku. Głęboko

w duchu czuła, że zamarza. Że zamarza na czarny lód. Wszystko wokół niej zrobiło się czarne.

Odepchnęła od siebie Adama i ruszyła w stronę silnego blasku ogniska.

- Cassie!

- Wracam... Pogratulować nowej przywódczyni.

W Kregu panował chaos. Laurel płakała, Deborah coś wołała, Chris i Doug patrzyli na siebie jak para kurcuiw na moment przed walką i obrzucali się wyzwiskami. Sean przycałił się za plecami Faye, żeby znaleźć się jak najdalej od pełnej pogardy Melanie. Susan tłumaczyła Dougowi i Chrisowi, że powinni wreszcie dorosnąć, a Faye się śmiała. Z nich wszystkich tylko Nick i Diana trwali w pełnym bezruchu. Nick palił w milczeniu, trzymając się nieco z boku całej grupy i obserwując wszystkich zmrużonymi oczami.

A Diana po prostu tam stała, dokładnie w tym samym miejscu, w którym Cassie widziała ją poprzednio. Zdarwało się, że nie widzi ani nie słyszy zamieszania wokół siebie.

- Zamkniecie się w końcu wszyscy?! - wrzasnęła Deborah, kiedy Cassie do nich podeszła. - Teraz Faye dowodzi.

- Właśnie - stwierdziła Susan. Chris i Doug zaczęli się nawzajem popychać. Susan dostrzegła Cassie i poszukała u niej pomocy. - Prawda?

Dziwne, jak szybko zapadła wtedy cisza. Wszyscy znów popatrzyli na Cassie.

- Prawda - odparła głosem twardym jak kamień.

Chris i Doug przestali się popychać. Laurel przestała płakać. Nikt się nie poruszył, kiedy Cassie przeszła i stanęła za plecami Faye. Z tego miejsca wyglądała,

jakby popierała Faye... Albo jakby zamierzała wbić jej nóż w plecy.

Jeśli Faye się wystraszyła, nie okazała tego.

- No dobra - zwróciła się do pozostałych. - Słyszeliście. Przewodzę. I teraz wydam wam pierwsze polecenie. - Obróciła lekko głowę, zwracając się do Cassie. - Chciałabym, żebyś to ty przyniosła czaszkę. Jeśli chodzi o resztę... Idziemy na cmentarz.

- Co?! - wrzasnęła Laurel.

- Jestem przywódczynią i mam zamiar wykorzystać do czegoś swoją moc, zamiast ciągle siedzieć i nic nie robić. W tej czaszce zgromadzona jest energia, którą możemy wykorzystać. Cassie, idź po czaszkę.

Wszyscy mówili teraz jeden przez drugiego, sprzeciali się, pokrzykiwali na siebie nawzajem. Kiedy Diana przewodziła kowenowi, nigdy się to nie zdarzało. Adam darł się na Faye, domagając się, żeby mu powiedziała, kiedy zdążyła oszaleć. Tylko Nick i Diana zachowali spokój. Nick obserwował wszystko, a Diana wpatrywała się w coś, co tylko ona sama mogła dostrzec.

Melanie próbowała zaprowadzić spokój, ale jej się to nie udało. Jakaś chłodna, analityczna część umysłu Cassie zauważyła, że gdyby Diana się teraz wtrąciła, gdyby wystąpiła i zabrała głos, kowen by jej posłuchał. Ale Diana nie zrobiła nic. Wzaski stały się jeszcze głośniejsze.

- Idź po nią, Cassie - warknęła Faye przez zacisnięte zęby. - Albo sama po nią pójde.

Cassie czuła, jak wkóło niej zbiera się Moc. Niebo nad jej głową wydawało się mocno naciągnięte, jak skóra bębna, jak struna harfy czekająca, aż ktoś ją szarpnie. Ocean za jej plecami szumiał tłumioną pa-

44. Wyczuwała ją w piasku pod swoimi stopami i widziała w bujących płomieniach ogniska.

Przypomniała sobie, co zrobiła z dobermanem na plaży dyniowym. Jakaś moc wystrzeliła z niej wtedy, różniona niczym promień lasera. Cassie czuła, że coś podobnego wzbiera w niej właśnie teraz. Czuła się połączona ze wszystkimi żywiołami, które tylko czekały, aż je uwolni.

- John Black przekaze nam swoją Moc! Odda ją nam, jeśli poprosimy! - krzyczała Faye. - Wiem to, komunikowałam się z nim. Ale musimy tam iść i go poprosić.

Komunikowała się z nim? Kiedy? - pomyślała Cassie. Wtedy, gdy pozwoliła jej po raz pierwszy dostać czaszkę w swoje ręce? Czy przy jakiejś późniejszej okazji?

- Ale dlaczego cmentarz? - zawołała Melanie. - Dlaczego tam?

- Bo on tak chce - odpaliła Faye niecierpliwie. - Cassie, mówię po raz ostatni! Przynies czaszkę!

Za jej plecami żywioły wzbierały... Cassie wbiła wzrok w kark Faye. Ale wtedy coś sobie przypomniała. Spojrzemnie w oczach Diany, kiedy zagłosowała przeciwko niej... Och! Co dobrego przyjdzie z tego, że teraz zabije Faye? Wszystko się już skończyło.

Cassie odwróciła się na pięcie i poszła do miejsca, gdzie leżała zakopana czaszka.

- Skąd ona w ogóle wie...? - zaczęła Melanie, ale przerwał jej wybuch śmiechu Faye. A więc to też skończone. Sekret Cassie się wydał. Wszyscy wiedzieli, że ukradła czaszkę. Diana nikomu nie powiedziała, gdzie ją schowała, nawet Adamowi. Cassie ruszyła biegiem, żeby już nic więcej nie słyszeć.

Zaczęła kopać w środku kręgu poczemialych kamieni, aż trafiła paznokciami na materiał, w który czaszka była owinięta. Potem odsunęła ziemię dokoła i wyjęła ją z piasku, po raz kolejny zaskoczona jej ciężarem. Cassie zatoczyła się, kiedy uniosła czaszkę i ruszyła z powrotem w stronę Faye.

Deborah wybiegła jej na spotkanie.

- Tędy - powiedziała, kierując Cassie w bok, zanim zdążyła podejść do grupy. - Chodź! - Zaczęły się wspinać na skarpy, na szczycie której dostrzegła motocykl Deborah.

- Faye to zaplanowała - odezwała się Cassie. Obejrzała się na Deborah i lekko uniosła głos. - Faye to wszystko zaplanowała!

- Tak. I co z tego? - Deborah się zdziwiła. Porządnym kapral niekwestionujący rozkazów swojego dowódcy. Co Cassie do tego, czy Faye to sobie zaplanowała? - Uznała, że będzie miała kłopoty z namówieniem wszystkich do pójścia na cmentarz, ale chciała się upewnić, że my tam dotrzemy - wyjaśniła.

- Nie wiem, jakim cudem zdoła namówić kogokolwiek z nich - stwierdziła Cassie, zerkając w dół na grupę na plaży. Wydawało się, że jakieś dziwne szaleństwo opanowało niektórych z nich. Każde słowo Faye wywoływało u nich atak szału. Susan szła w stronę urwiska, a Doug na wpół ciągnął za sobą Chrisa. Faye pchała Seana.

- To śledziro. Faye mówiła, że tyle osób wystarczy - stwierdziła Deborah, odwracając się od klifu. - Chodź!

Ta jazda motocyklem przypominała tę pierwszą, bo Deborah nie oszczędzała silnika, a księżyc był jeszcze jaśniejszy. Ale tym razem Cassie już się nie bała.

- 94 -

choć mogła się trzymać Deborah tylko jedną ręką. Drugą przyciskała czaszkę do piersi. Dojechały na cmentarz i chwilę potem usłyszały silniki samochodów. Nadjechał samuraj z Chrísem, Dougiem i Susan. Za nim corvette Faye. Przywódczyni kowenu wysiadła na kierownicy, a Sean wytoczył się z siedzenia pasażera.

- Idźcie za mną - poleciła Faye. Odrzuciła długie włosy na plecy i ruszyła do północnego narożnika cmentarza. Przy każdym kolejnym kroku jej gołe igrabne nogi ukazywały się w rozcięciach tuniki. Za podwiązką na udzie zatknęła sztylet z czarną rękojeścią. Kiedy grunt zaczął się wznosić, zatrzymała się.

Cassie stanęła obok. Obojema rękami przyciskała czaszkę do piersi, przerażając świadoma tego, gdzie się znaleźli. Tutaj, w rzędzie starych grobów ojca Faye, matki Seana i wszystkich innych zmarłych rodziców z Crowhaven Road. Sean już pochlipywał i tylko silny uścisk ręki Deborah powstrzymał go przed ucieczką.

Faye odwróciła się twarzą do wszystkich. Nawet w najgorszych chwilach ta wysoka, obdarzona wyrazistą urodą dziewczyna miała jakiś wrodzony autorytet i zdolność zastraszenia ludzi. Teraz podkreślały to jeszcze symbole przywódczyni - diadem, bransoleta i podwiązka. Otaczała ją aura mocy i piękna.

- Już czas - rzekła Faye - odebrać energię, którą należała kiedyś do pierwotnego kowenu, a którą John Black zgromadził w tej czaszce. John Black chce, żebyśmy ją przejęli i wykorzystali przeciwko naszemu wrogom. Możemy ją odzyskać już teraz.

Wyjęła sztylet z czarną rękojeścią zza podwiązki i wyciągnęła go z pochwy. Szybkim ruchem zakreśliła nierówny okrąg wśród zeschłej trawy.

- 95 -

- Do środka - zakomenderowała i pozostali zajęli swoje miejsca.

Rozkazuje, a oni nawet nie zastanawiają się, co robią, pomyślała Cassie. Nikt nie zadawał pytań. Zalało się, że wszyscy poddają się pospiechowi, jaki narzuciła Faye. Nawet Sean przestał jęczeć i patrzył jak urzeczony.

Widok Faye rzeczywiście zapierał dech w piersiach, kiedy stała z uniesionym sztyletem i szybko wzywała ochronę żywiołów. Za szybko, myślała Cassie. Taka słaba ochrona, a przecież wszystkie wysiłki Diany w Halloween nie wystarczyły. Ale ona też nie mogła się odezwać. Wszyscy czuli się jak na przejażdżce kolejką górską, której nikt nie mógł zatrzymać. A już najmniej ze wszystkich Cassie - taka zziębnięta i otepiała...

- Położ czaszkę w samym środku, Cassie - zażądała Faye. Głos miała zdyszany, jej klatka piersiowa unosiła się szybko i opadała. Wydawała się bardziej podniecona, niż kiedy chodziło o Jeffreya, Nicka czy chłopaków od pizzy.

Cassie przykłęka i położyła omotany materiałem przedmiot w środku nierównego kręgu Faye.

- Teraz - rzuciła Faye dziwnym, rozradowanym głosem, wpatrując się w zapiaszczony pakunek u swoich stóp - możemy odzyskać moce, które od początku powinny być należące do nas. Wzywam na świadków wszystkie żywioły...

- Przestań! - krzyknął Adam, wybiegając spośród nagrobków.

Reszta kowenu była z nim, włącznie z Dianą, która nadal wyglądała, jakby poruszała się przez sen. Nawet Nick, milczący i wycofany jak zawsze, szedł za nimi.

- 96 -

Faye porwała z ziemi owiniętą czaszkę i przytrzymała obojema rękami.

- Swoją szansę już mieliście - powiedziała. - Teraz moja kolej.

- Zatrzymaj się chociaż na moment i pomyśl - tłumaczył Adam. - John Black nie jest naszym przyjacielem. Jeśli naprawdę się z tobą kontaktował, wszystko, co ci powiedział, to kłamstwa...

- Sam jesteś kłamcą! - odparła Faye.

- Chris, Doug... Ta czaszka zabija Kori. Jeśli znów wywołacie mroczną energię...

- Nie słuchajcie go! - krzyknęła Faye. Wyglądała jak jakaś barbarzyńska królowa. Stała na szeroko rozstawionych długich nogach, ze srebrem połyskującym na tle czerni jej tuniki i jeszcze ciemniejszej czerni włosów. Cassie zorientowała się, że gdy Adam z nią rozmawiał, Laurel i Melanie zachodziły ją, każda z innej strony.

Faye też to zauważyła.

- Nie pozwól wam się powstrzymać! To początek nowego Kręgu!

- Proszę cię, Faye... - zawołała rozpacziwie Diana, jakby nareszcie zaczęła się budzić.

- Na Ziemię, na Powietrze, na Ogień, na Wodę! - krzyknęła Faye i jednym szarpnięciem zerwała materiał zakrywający czaszkę. A potem w obu dłoniach uniosła ją nad głowę.

Srebro. Światło księżyca w pełni odbiło się w kryształach i zdawało się w nim płonąć. Wyglądało to zupełnie tak, jakby nad twarzą Faye unosiła się jeszcze inna twarz - wyrazista, nienaturalna twarz kościotrupa. A potem z czaszki zaczęła się wydzielać ciemność. Coś czarniejszego niż niebo między gwiazdami

1 - Tajemny Krąg 2

- 97 -

zaczęło się łać z jej oczodołów, z zięjącego otworu nosowego i spomiędzy wyszczerzonych zębów. Niczym węże, pomyślała Cassie, jak zahipnotyzowana obserwując wydarzenia. Węże i wiję, i jakieś dawne smoki. Takie, które drapią o ziemię twardymi łuskami i płoną trucizną, kiedy oddychają. Wszystko, co złe, wszystko, co czarne, wszystko, co nienawistne, pelzające i podło zdawało się wylatywać z tej czaszki. Chociaż nic z tego nie było prawdziwe. To była tylko ciemność. Tylko całkowity brak światła.

Rozległ się odgłos niczym szum pszczoł w ulu, ale dźwięk był wyższy i groźniejszy. Narastał. Faye stała pod tą straszliwą kaskadą ciemności, a przeraźliwe brzęczenie jak dwa szpikulce do lodu wbijało się w uszy Cassie. Gdzieś w oddali szeptał pies...

Ktoś to musi zatrzymać, zrozumiała Cassie. Nie, ja to muszę powstrzymać. Teraz!

Próbowała wstać, kiedy czaszka eksplodowała.

Wszystko było ciche i ciemne.

Cassie wcale nie chciała, żeby to się zmieniło.

Ktoś obok jęknął.

Usiadła i rozejrzała się wokoło, usiłując jakoś pozbierać w całość wszystkie wydarzenia. Cementarz wyglądał jak pobojowisko. Wszędzie leżały ciała – Adam, rozciągnięty na ziemi, z jedną ręką wysuniętą w stronę Kręgu, i Radza obok niego; Diana, z pośliskliwym podnieśnięciem się na kolana i ręce i potrząsał głową.

Faye leżała w powodzi czarnego jedwabiu, a ciemne włosy zakrywały jej twarz. Jej dłonie o długich, czerwonych paznokciach układały się tak, jakby coś w nich trzymała, ale były puste. Czaszka zniknęła.

Ktoś znowu jęknął. Cassie obejrzała się i zobaczyła Deborah. Dziewczyna siadała i ręką pocierała twarz.

Żyją? – spytała ochryplym głosem, rozglądając się wokoło.

Nie wiem – szepnęła Cassie. Ją też bolalo gardło. Przeraziły ją te unieruchomione ciała. Tylko włosy Diany drżały na wietrze. No i Nick, potykając się, szedł w stronę kręgu.

Ale potem wszczął się ruch. Ludzie zaczęli się podnosić. Sean jęczał, Susan też. Deborah podczołgała się do Faye i odsunęła jej włosy.

Oddycha.

Cassie skinęła głową. Nie wiedziała, co powiedzieć. Adam pochylił się nad Dianą – szybko odwrócił wzrok od tej sceny. Melanie i Laurel podniosły się, podobnie Chris i Doug; obaj wyglądali jak bokserzy przygotowni po nokcaucie. Wszyscy, zdaje się, żyli.

A potem Laurel krzyknęła przeraźliwie i wskazała swoją ręką.

O Boże! Tamten wzgórek! Popatrzcie na tamten wzgórek!

Cassie obróciła się i zamarła. Przyglądała się pagórkowi i nie wierzyła własnym oczom.

Wzgórek, o którym opowiadała jej babka, nazywają go, zdaje się, „magazynem”, stał otworem. Zardzewiała kłódka znikła, a żelazne drzwi odsunęły kawał betonu. Ale to nie było wszystko. Szczyt wzgóрка, tam gdzie rosła rzadka cementarna trawa, pękł niczym przejrzała śliwka. Jak kokon owada, który wyrwał się z niego na wolność.

Wszędzie wzdłuż rzędu grobów przy ogrodzeniu nagrobki chwiały się dziko. Te najbliższe pagórka, na których widniały nazwiska rodziców z Crowhaven

Road, były połamane i poprzewracane. Rozszczyplone, pomyślała Cassie. To mało popularne słowo przyszło znikąd i wydawało się dziwnie trafne.

Z wnętrza pagórka dolatywał nieprzyjemny odór. – Muszę to obejrzeć – mruknęła Deborah. Cassie jeszcze nigdy nikogo tak nie podziwiała, jak ją w tym momencie. Deborah, potykając się, ruszyła w stronę otwartego wzgóрка. Miała w sobie więcej odwagi niż wszyscy inni razem wzięci. Cassie wstała niepewnie i ruszyła chwytającym krokiem za nią, a potem obie padły na kolana na krawędzi paskudnie śmierdzącej rozpadliny.

Do środka wpadało blade światło księżycy. Wnętrze pagórka było puste. Ale ubita ziemia pokryta była jakąś mazią.

A potem wzrok Cassie przykuło światło i ruch.

Coś pojawiło się na niebie od północnego wschodu. Przypominało zorzę polarną, ale ciągle migotało i było jednolicie czerwone.

– To nad Crowhaven Road – stwierdził Nick.

– O Boże, co się tam dzieje?! – zawołała Laurel.

– Wygląda jak pożar – mruknęła Deborah nadad zachrypłym głosem.

– Cokolwiek to jest, lepiej tam pojedźmy – zaproponował Nick.

Adam obejmował Dianę i usiłował ją ocucić. Susan oraz Sean podtrzymywali się nawzajem, a Chris i Doug nadal wyglądali, jakby oberwali w bóje. Melanie i Laurel trzymały się na nogach, chociaż dość niepewnie.

– Nick ma rację – powiedziała Melanie. – Niech Adam zajmie się wszystkim tutaj. My sprawdzimy, co się tam dzieje.

Cassie zerknęła na Faye, na powaloną na ziemię przywódczynię. A potem zawróciła i bez słowa poszła do Melanie.

Nie miało najmniejszego znaczenia, że piątka, która ruszyła chwytającym krokiem w stronę drogi, tak niesławno znajdowała się jeszcze po przeciwnych stronach barykady. Nie mieli czasu, żeby zastanawiać się nad takimi błahostkami. Cassie wsiadła z Deborah na motocykl, a Melanie i Laurel wskoczyły do samochodu Nicka. Pozostali ruszali ich śladem, kiedy już oprzytomnieją. I o ile będą chcieli.

Wiatr ryczał w uszach Cassie jak morskie fale. Ale poczucie Mocy, które towarzyszyło jej wcześniej, związane z czterema żywiołami, teraz znikło. Nie była w stanie myśleć. Umysł miała mętny i otumaniony, jakby była chora. Wiedziała tylko, że musi się jakoś dostać na Crowhaven Road.

– To nie pożar! – krzyknęła Deborah, kiedy się odhizali. – Nie ma dymu.

Miały pędem mroczne domy – Diany, Deborah. Pusty klasycystyczny dom pod numerem 3. Dom Melanie, Laurel, Faye... Opuszczony wiktoriański budynek. Dom Hendersonów, Adama, Susan, Seana...

– To u ciebie, Cassie! – zawołała Deborah.

Tak. Wiedziała, że tak będzie. Coś w głębi jej duszy wiedziało o tym, zanim w ogóle tu dotarły.

Kłom rysował się jak czarny szkielec na tle czerwonej poświaty, która otaczała dom pod numerem 12. Ale to nie była czerwien ognia, tylko jakieś magiczne światło – pasowa czerwien zła.

Cassie przypomniała sobie, jak bardzo nie podobał jej się ten dom, kiedy go zobaczyła po raz pierwszy. Zienawidziła go wtedy za to, że był wielki i brzydki,

z odrapanym, pomalowanym na szaro szalowaniem zapadającymi się okapami i brudnymi oknami. Ale teraz czuła się z nim związana. To był stary dom jej rodziny, należał do niej. A co ważniejsze, w środku były jej matka i babka.

ROZDZIAŁ 7

Cassie zeskokczyła z motoru i pobiegła podjazdem. Ale kiedy dotarła do kręgu czerwonej poświaty, zwolniła. Purpurowe światło w jakiś sposób sprawiło, że trudno jej się było poruszać, a nawet oddychać. Zupełnie jakby powietrze zrobiło się gęściejsze.

Jak w zwolnionym tempie, Cassie brnęła w stronę drzwi. Były otwarte. W środku, zwyczajne światło lamp w holu wyglądało blade i głupio przy czerwonym blasku, który spowijał wszystko. Zupełnie jak światło latarki zapalanej za dnia.

A potem Cassie zobaczyła coś, co sprawiło, że niemal przestała oddychać.

Ślady stóp.

Coś poplamilo błotem sosnowe deski na podłodze... Chociaż to nie było błoto. Czarne jak smoła, lekko dymiło, jak jakaś pierwotna maź z piekła rodem.

Ślady wiodły na górę, a potem znów wracały na dół.

Cassie bała się iść dalej.

- Co to?! - krzyknął Nick, stając za jej plecami. Jego głos wydawał się zamierać w zgęstniałym powie-

triu. Był stłumiony i spowolniony. Cassie obróciła się do chłopaka i to było zupełnie jak próby poruszania się we śnie, kiedy każdy szybki ruch zamienia się w jęskanie.

- Chodź! - rzucił Nick i pociągnął ją za ramię. Cassie obejrzała się i zobaczyła w drzwiach Deborah, Melanie i Laurel. One też poruszały się jak w zwolnionym tempie.

Porwoliła Nickowi poprowadzić się i razem z trudem wspięli się na schody. Czerwona poświata była tu słabsza i trudniej było dostrzec ślady stóp. Mimo to szli za nimi bołem, kierując się bardziej intuicją niż wzrokiem, aż do drzwi pokoju matki. Cassie wskazała im drogę. Za bardzo się bała, żeby wejść do środka.

Nick złapał dłoń galkę i ją przekroczył. Drzwi powoli się otworzyły. Cassie zobaczyła puste łóżko matki.

- Nie! - krzyknęła. Zdawało się, że czerwone światło pochwyliło jej krzyk i przeciągało go bez końca. Zapomniała o przerwaniu i rzuciła się przed siebie do wnętrza pokoju. Łóżko było rozgrabane, jakby ktoś w nim wcześniej spał, ale pościel odrzucono na bok. Nigdzie nie widziała matki.

Cassie rozejrzała się z rozpaczą po pustym pokoju. Okno było zamknięte. Ogarnęła ją okropna obawa przed stratą. Jakies straszne przecucie. Te czarne i dymiące ślady stóp prowadziły prosto do łóżka jej matki. Ono tu weszło i stanęło tuż obok niej, a potem...

- Chodź! Na dół! - ponaglił ją Nick od drzwi. Cassie odwróciła się do niego. Wrzasnęła.

Drzwi powoli zaczynały się zamykać, a w cieniu, za nimi, kryła się biała, przypominająca ducha postać.

Kolejny krzyk Cassie urwał się, kiedy postać ruszyła w jej stronę, i dziewczyna dostrzegła błąd.

mizerną twarz i ciemne włosy rozpuszczone na szarym ple ramiona. Postać miała na sobie długą, białą koszulę nocną. To była jej matka.

- Mamó! - zawołała Cassie, a potem rzuciła się przed siebie, ramionami obejmując matkę w tali. Ocho, dzięki Bogu, dzięki Bogu, pomyślała. Teraz już wszystko będzie dobrze. Matka była bezpieczna, wszystkim się zajmie. - Och, mamó, tak się wystraszyłam - wyjąkała.

Ale coś nadal było nie tak. Matka nie oddawała uścisku. Jej wyprostowane, ale pozbawione życia ciało w nocnej koszuli w ogóle nie reagowało. Mama Cassie po prostu tam stała, a kiedy Cassie się cofnęła, zobaczyła, że pustym wzrokiem patrzy gdzieś w przestrzeń.

- Mamó? Mamó? - prosiła błagalnie. Potrząsnęła szczupłą, białą sylwetką. - Mamó! Co się dzieje?

Piękne oczy jej matki były puste jak oczy lalki. Nic niewidzące. Zdawało się, że ciemne cienie pod tymi oczyma pochłaniają je całe. Ramiona kobiety bezwładnie zwisały po bokach.

- Mamó - znów powtórzyła Cassie, teraz już prawie z płaczem.

Nick otworzył drzwi.

- Musimy ją stąd zabrać - stwierdził.

Tak, pomyślała Cassie. Próbowała sobie wmówić, że to tylko to światło. Że może poza zasięgiem czerwonej poświaty matka otrzeźwieje. Ujęli ją pod bezwładne ramiona i wyprowadzili do holu. Matka Cassie się nie opierała. Melanie, Laurel i Deborah podbiegły do nich z różnych stron.

- Zglądaliśmy do wszystkich pokoiów na tym piętrze - poinformowała Melanie. - Nikogo więcej tu nie ma.

- Moja babcia... - zaczęła Cassie.

- Pomóżcie nam sprowadzić panią Blake na dół - powiedział jej Nick.

Na dół, przy schodach, czarne ślady skręcały w lewo, a potem kluczyły po domu. Cassie wpadła do głowy pewna myśl.

- Melanie, Laurel, możecie wyprowadzić moją babcię na zewnątrz? Poza to światło? Zadbacie, żeby była bezpieczna? - Melanie pokręciła głową, a Cassie dodała: - Wyjdź stąd, jak tylko będę mogła.

- Bądź ostrożna - poprosiła Laurel z przejęciem. Cassie patrzyła, jak prowadzą matkę w stronę drzwi, a potem sama zmusiła się, żeby przestać patrzeć.

- Chodźcie - rzuciła do Nicka i Deborah. - Babcia może być w kuchni.

Ślady prowadziły w tamtą stronę. Ale było też coś jeszcze, jakies przecucie, które ogarnęło Cassie. Okropne przecucie, że znajdzie babkę w kuchni i że ona będzie tam sama.

Deborah szła na ugiętych nogach niczym skrajająca się łowczyni. Podążała śladem czarnych stóp skrzydła domu, tego, które zostało zbudowane przez pierwsze czarownice w 1693.

Nick szedł z tyłu. I Cassie jakoś młgście zrozumiała, że oni jej strzegą, że dają jej najbezpieczniejsze miejsce w szeregu. Chociaż w domu nie było teraz bezpiecznych miejsc. Kiedy przestąpili próg starego skrzydła, czerwona poświata zrobiła się jeszcze bardziej intensywna, a powietrze wydawało się gęściejsze. Cassie czuła, z jakim wysiłkiem pracują jej płaca.

O Boże! To wyglądało jak pożar. Czerwona poświata była wszędzie, a powietrze parzyło skórę Cassie. Deborah przystanąła i Cassie omal na nią nie wpadła. Usiłowała wyrzec z ramienia koleżanki, ale oczy ją piekły i zasnuwały się łzami.

Poczuła za sobą Nicka, zacisnął mocno dłoń na jej ramieniu. Cassie przez zmrużone powieki wpatrywała się w gęste czerwone światło.

Zobaczyła babkę! Staruszka leżała obok paleniska, przy długim drewnianym stole, przy którym tak często pracowała. Stół leżał na boku, na podłodze walały się ziola i wieszaki do suszenia roślin. Cassie ruszyła w stronę babki i wtedy dostrzegła jeszcze coś, czego jej umysł nie chciał przyjąć do wiadomości. Nick powstrzymał ją, a Cassie zapatrzyła się na to coś, co pochylało się nad starą kobietą.

Było spalone, poczemiale, straszne. Wyglądało, jakby jego napięta skóra popękała. Miało sylwetkę człowieka, ale Cassie nie widziała oczu, ubraną ani włosów. Kiedy spojrzano w ich stronę, przez jedną przerażającą chwilę widziała czaszek prześwitującą srebrną przez poczemiałą twarz.

Teraz ich już widzieli. Cassie miała wrażenie, jakby ona, Nick i Deborah stąpali się w jedno. Nick nadal ją trzymał, a ona z kolei przywarła do Deborah. Chciała uciekać, ale nie mogła, bo tam, na podłodze, leżała jej babcia. Nie mogła zostawić babki na pastwę tego spalonego stwora.

Ale nie mogła też walczyć. Nie wiedziała, jak walczyć z czymś takim. Nie czuła już żadnego połączenia z żywiołami – w tym okropnym, zamienionym w piekło wnętrzu wydawała się odcięta od wszystkiego, co znajdowało się na zewnątrz.

— 106 —

Zaraz! Może mieli jakąś broń? Hematyt w kieszeni Cassie nie był już chłodny. Kiedy chciała go dotknąć, sparzył ją. Niedobre. Powietrze, Ogień i Ziemia wracały się przeciwko nim. Potrzebowali czegoś, czego ten stwór nie mógł kontrolować.

— Myślcie o wodzie! – krzyknęła do Nicka i Deborah. Jej głos był zduszony w tym zgęstniałym, parzącym powietrzu. — Myślcie o oceanie, o zimnej wodzie, w lodzie!

Kiedy to powiedziała, natychmiast wyobraziła sobie wodę. Chłodną... niebieską... nieskończoną. I nagle przypomniała sobie, jak stała na szczycie klifu po raz pierwszy po przyjeździe do domu babki i wpatrywała się w błękit tak intensywny, że aż jej dech w pierśi raparło. Ocean, niewyobrażalnie ogromny, rozciągał się przed nią. Wyobraziła go sobie teraz – błękit i szarość, jak w oczach Adama. Słońce połyskiwało na faliach, a oczy Adama błyszczały, roześmiane...

Wiatr zatrzęsł szybami w okiennych ramach, a kurek nad zlewem zaczął dygotać. Gdzieś u jego podstawy powstała nieszczelność i wybił z niej cienki strumień wody. Coś pękło w zmywarce i zalało podłogę. Woda z sykaniem wydobywała się z rury pod zlewem.

— Teraz! – zawołała głośno Deborah. — Dawajcie, bierzmy go teraz!

Cassie wiedziała, że to zły pomysł, jeszcze zanim słowa Deborah uchwyciła. Nie mieli dość siły. Byli zbyt słabi, żeby atakować to coś bezpośrednio. Ale Deborah, która zawsze lekceważyła zagrożenia, już się rzuciła przed siebie. Nie było czasu, żeby ją ostrzec czy powstrzymać. Serce Cassie zamarło, a nogi się pod nią uginały, kiedy rzuciła się w stronę poczemiałej postaci.

— 107 —

To coś mogło ich zabić. Jedno dotknięcie popalonych, stwardniałych rąk mogło pozbawić ich życia, ale stwór cofnął się przed nimi. Cassie zdumiała się, że jeszcze żyją. Ze jeszcze się poruszają, ale tak właśnie było. To coś cofało się, przyczało, uciekało. Zawisła i przeszło przez dawne frontowe drzwi, po drodze osmalając kłamkę. Runęło w mrok i znikło.

Drzwi otworzyły się na oścież, szarpane wiatrem. Czerwona poświata zgasała. Za drzwiami Cassie widziała chłodne srebrzystoniebieskie światło księżycowe.

Wzięła głęboki, urwany oddech, wdzięczna już za sam fakt, że może oddychać bez bólu.

— Udało się nam! – Deborah się śmiała. Zaczęła klepać Nicka po ramieniu i plecach. — Udało się nam! Dobra! Ten bydlak uciekł!

Odszedł, pomyślała Cassie. Odszedł, bo chciał. Wcale nie zwyciężyliśmy.

A potem obróciła się gwałtownym ruchem do Nicka.

— Moja matka! I Laurel z Melanie... One tam są na zewnątrz...

— Pójdę i sprawdzę. Ale moim zdaniem już sobie poszło. Na razie – odparł.

Na razie. Nick wiedział to samo, co ona. To coś nie zostało pokonane, a jedynie się wycofało.

Na trzęsących się nogach Cassie wróciła do środka i przykłęka przy leżącej na podłodze babce.

— Babciu? – odezwała się. Bała się, że stara kobieta nie żyje. Ale nie. Babka z trudem, ale oddychała. A potem Cassie wystraszyła się, że jeśli te pomarszczone powieki się uniosą, to oczy ukryte pod nimi będą patrzyły pustym spojrzeniem lalki. Ale już się otwierały, dostrzegły ją, poznawały. Oczy babki pociemniały od bólu, ale patrzyły przytomnie.

— 108 —

— Cassie – szepnęła. — Mała Cassie.

— Babciu, nic ci nie będzie. Nie ruszaj się. — Cassie usiłowała sobie przypomnieć cokolwiek z tego, co się stało o postępowaniu z rannymi. Co robić? Utrzymać ją w cieple? Unieść jej stopy? — Trzymaj się – powiedziała staruszka, a do Deborah rzuciła: — Drzwi są zamknięte, szybko!

— Nie – sprzeciwiła się babka. Spróbowała usiąść, jej twarz wykrzywiła się bólem. Jedną dłoń o zgrubiałych stawach przycisnęła do cienkiego szlafroka, który miała na nocnej koszuli. Do serca.

— Babciu, nie ruszaj się – błagała gorączkowo Cassie. — Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobre.

— Nie, Cassie – powiedziała babka. Nadal oddychała z widocznym trudem, ale jej głos brzmiał zadziwiająco silnie. — Żadnej karetki. Nie ma czasu. Musisz nas wysłuchać. Mam ci coś do powiedzenia.

— Powiesz mi później. — Cassie zaczynała już płakać, ale starała się mówić spokojnie.

— Nie będzie żadnego później – wykrztusiła babka. Już nie próbowała się podnieść. Oddychała ostrożnie i powoli. Przemówiła wyraźnym głosem, ścisnąjąc rękę Cassie w swojej dłoni: — Zostało mi mało czasu, a ty musisz mnie wysłuchać. To ważne. Podejdz do kominka i poszukaj na ścianie po prawej stronie obrotowej cegły. Jest mniej więcej na poziomie półki nad kominkiem. Wyciągnij ją i przynieś mi to, co znajdziesz w dziurze.

Cassie, potykając się, podeszła do kominka. Luźna cegła... Nic nie widziała, za bardzo płakała. Wyczuła ją palcami, przesuwając po nierówności w tynku. Coś się pod nią poruszało.

— 109 —

Luźna cegła. Wbiła czubki palców w otaczający ją skruszony tynk i poruszała cegłą, aż udało się ją wyjąć. Odłożyła ją i sięgnęła w ciemną, chłodną szczelinę.

Palcami namacała coś gładkiego. Przynęła to bliżej, a potem chwyciła dłoń i wyjęła.

To była Księga Cienia.

Ta z jej snu, ta w czerwonej skórzanej okładce. Cassie uklękła przy babce.

– Nie zdołał mnie zmusić, żebym mu powiedziała, gdzie jest ukryta. Nie dowiedział się ode mnie niczego – powiedziała babka i się uśmiechnęła. – Moja babka pokazała mi tę kryjówkę. – Poglądziła księżką, a potem zacisnęła poznaną starczymi palcami dłoń na ręce Cassie. – Należy do ciebie. Przekazała przez moją babkę mnie, a teraz przeze mnie tobie. Masz dar widzenia i Moc, tak samo jak ja, tak samo jak twoja matka. Ale nie możesz uciec, tak jak zrobiła to ona. Musisz tu zostać i stawieć mu czoło.

Urwała i zakaszła. Cassie spojrzała na Deborah, która słuchała uważnie, a potem znów przeniosła wzrok na babkę.

– Babciu, proszę cię. Proszę, pozwól nam wezwać karetkę. Nie możesz się poddawać...

– Ja się nie poddam! Przekazuję to wszystko tobie. Ty, Cassie, żebys mogła walczyć dalej. Pozwól mi to zrobić, zanim umrę. W przeciwnym razie wszystko pójdzie na marne, wszystko. – Znów zakaszła. – To nie miało być tak. Tamta dziewczyna, Fayę, ogłosiła mnie. Nie sądziłam, że zadziała tak szybko. Myślałam, że będziemy miały więcej czasu, ale nie mamy. Więc teraz słuchaj.

Z trudem chwyciła powietrze i ścisnęła palcami dłoń Cassie aż do bólu, a potem spojrzała ciemnymi oczami prosto w oczy wnuczki.

— 110 —

– Pochodzisz z długiej linii czarownic, Cassie. Wasz o tym. Ale nie wiesz, że nasza rodzina zawsze miała dar najwyraźniejszego widzenia i najpotężniejszą Moc. Jesteśmy najsilniejszą linią i umiemy przewidywać przyszłość. Ale inni nie zawsze w to wierzą. Nawet wśród naszych.

Zerknęła w stronę Deborah.

– Wy, młodzi ludzie, myślicie, że wszystko nowe odkrywacie sami, prawda? – Na jej poodranej zmarszczkami twarzy pojawił się uśmiech. – Nie macie zbyt wiele szacunku dla starych ludzi, ani nawet dla własnych rodziców. Wydaje się wam, że przeżyliście swoje życie jak w bezruchu, prawda?

Zaczyna tracić koncentrację, pomyślała Cassie. Nie wie, co mówi. Ale jej babka ciągnęła z wysiłkiem.

– Ten wasz pomysł, żeby odnaleźć stare księgi i odnowić tradycje... myślicie, że wam pierwszym coś takiego przyszło do głowy?

Cassie tylko bezradnie pokręciła głową, ale Deborah zmarszczyła ponuro brwi.

– No, a nie było tak? – spytała.

– Nie. Och, moje drogie, nie. Za moich czasów, kiedy sama byłam młodą dziewczyną, też się nad tym zastanawialiśmy. Czasami zwolowaliśmy spotkania. Ci z nas, którzy mieli dar widzenia, zapisywali swoje wizje, a ci, którzy mieli leczące dłonie, opowiadali o ziołach i leczeniu. Ale to pokolenie waszych rodziców stworzyło prawdziwy kowen.

– Naszych rodziców?! – odezwała się Deborah z niedowierzaniem. – Moi rodzice tak się boją magii, że prawie mdleją, gdy tylko o niej wspomnę. Oni nigdy

— 111 —

– Teraz tak jest – powiedziała spokojnie starszuszka, a Cassie próbowała uciszyć Deborah. – Teraz. Później pominą. Zmusili się, żeby zapomnieć. Musieli, rozumiesz, żeby przetrwać. Ale kiedy byli młodzi, wszystko wyglądało inaczej. Byli tylko nieco starsi od was, dzieci z Crowhaven Road. Twoja matka miała jakieś dziewiętnaście lat, Deborah, a matka Cassie zaledwie siedemnaście. To wtedy pojawił się w New Salem Mężczyzna w Czerni.

– Babciu... – szepnęła Cassie. Po jej krzyku przebiegały zimne dreszcze. Wnętrze, niedawno tak gorące, wprawiało ją teraz w drżenie. – Och, babciu, proszę...

– Nie chcesz wiedzieć, rozumiem. Rozumiem. Wiem. Ale musisz wysłuchać, obie musicie. Musicie zrozumieć, z czym się będziecie mierzyć.

Z kolejnym atakiem kaszlu babka Cassie próbowała nieco zmienić pojęcie. Jej oczy przymgłyły się wspomnieniami.

– To było jesienią 1974. Najzimniejszy listopad od kilkudziesięciu lat. Nigdy nie zapomnę, jak stał w progu naszego domu, strzepując śnieg z butów. Powiedział, że ma zamiar zamieszkać pod numerem 13 i że potrzebuje zapalek, żeby rozpaść ogień drewnem, które dźwigał. W tamtym starym domu nie było innego ogrzewania. Stał pusty, odkąd go opuścił po raz pierwszy.

– Od kiedy? – spytała Cassie.

– Od 1696. Odkąd po raz pierwszy wyjechał na morze i zginął, kiedy zatonął jego statek. – Babka pokręciła głową, nie patrząc na Cassie. – Och, tak, to był John Black. Ale wtedy tego nie wiedzieliśmy. Był

— 112 —

cierpieniem można by zapobiec, gdybyśmy wiedzieli. Cóż, nie ma sensu teraz o tym mówić. – Poklepała dłoń Cassie. – Polityczyliśmy mu zapalki, a dziewczyny i młodzi mężczyźni z naszej ulicy pomogli mu odrestaurować dom. Był od nich o kilka lat starszy, i te jego podróże... Opowiadał nadzwyczajne historie. Był też przystojny. I to w taki sposób, który nie zdradzał kryjącego się w głębi mrocznego serca. Wszyscy dali się ogłupić i oczarować. Nawet ja.

Sama nie wiem, kiedy zaczął rozmawiać z młodymi o starych zwyczajach. Chyba w miarę szybko. Nie tracił czasu. A oni chętnie go słuchali. Uważali, że my, ich rodzice, jesteśmy starzy i nudni, kiedy zaczęliśmy się sprzeciwiać. A, prawdę mówiąc, niewielu z nas sprzeciwiało się kategorycznie. W starych zwyczajach jest wiele dobrego, a przecież nie znaleźliśmy jego zamiarów.

Teraz Cassie już drżała z zimna, ale nie mogła się porwać. Słuchała tylko głosu babki, jednego dźwięku w kuchni poza cichym sykaniem wody.

– Dobra odpowiedź osoby i połączył ich w parę. Tak, tak to mniej więcej wyglądało, chociaż my, rodzice, nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Kojarzył małżeństwa. Ta dziewczyna z tym chłopakiem, tamten chłopak z tamtą dziewczyną, i w jakiś sposób sprawa, że im się to wszystko wydawało rozsądne. Udało mu się nawet doprowadzić do zerwania między tymi, którzy zamierzali się pobrać. Twoja matka, Deborah, chciała wyjść za ojca Nicka, ale on to zmienił. Jednego z braci wymienił na drugiego, a oni mu na to pozwolili. Miał na nich taki wpływ, że zrobiliby wszystko.

1. January King 2

— 113 —

Zawierali małżeństwa zgodnie ze starą tradycją przez powiązanie rąk. W marcu odbyło się dziesięć ślubów. I wszyscy świętowaliśmy, ogłupieni idiotami. Wszyscy ci młodzi ludzie byli tacy szczęśliwi, nigdy się nie kłócili, więc myśleliśmy, że mamy mnóstwo szczęścia! Byli zupełnie jak wielka grupa braci i siostr. No cóż, to była za duża grupa jak na jeden kowen, ale nad tym się nie zastanawialiśmy...

Dobrze też było widzieć, z jakim szacunkiem odnosili się do starych tradycji. W maju świętowali Beltane, a w noc letniego przesilenia zbierali świętojańskie ziele i je mieli. Pamiętam, że we wrześniu wszyscy śmiali się i pokrzykiwali, kiedy obnosili wieniec z jęczmienia uosabiający żniwa. Nie mieli pojęcia, co planował John Black...

Wtedy wiedzieliśmy już, że niedługo pojawią się dzieci, i to był kolejny powód do świętowania. Ale w październiku niektóre ze starszych kobiet zaczęły się niepokoić. Dziewczyny były wszystkie takie blade i wydawało się, że te ciężkie łączy znoszą. Biedna Carmen Henderson to była skóra i kości, pomijając brzuch. Bo brzuch wyglądał tak, jakby nosiła bliźnięta słoni. W Samhain nie urządzono żadnych wielkich obchodów, dziewczyny źle się czuły...

A potem, trzeciego listopada, się zaczęło. Deborah, twój wujek, ten którego nigdy nie znalazł, wezwał mnie do łóżka swojej żony. Pomogłam Sharon urodzić małego Nicka, twójego cioteczno brata. Od początku był waleczny, nigdy nie zapomnę, jak się darł. Ale było też coś jeszcze. Coś, czego nie widziałam nigdy w oczach noworodka, i wracałam do domu, rozmyślając nad tym. W tych oczach była moc, jakiej jeszcze nigdy przedtem u nikogo nie widziałam.

Dwa dni później wszystko się powtórzyło. Elizabeth Conant urodziła chłopca o włosach barwy czerwonego wina i oczach jak morze. To dziecko na mnie popatrzyło i wyczułam jego moc.

- Adam - szepnęła Cassie.

- Zgadza się. Trzy dni później Sophie Burke zaszła rodzić. Ta, która zachowała własne nazwisko nawet po zamążpójściu. Jej córeczka, Melanie, była jak postać z bajki. Wyglądała tuż po urodzeniu jak dwutygodniowe niemowlę i patrzyła na mnie równie świadomie, jak ja na nią. Najdziwniejsze były narodziny Diany i Faye. Ich matki były siostrami i rodziły swoje dzieci równocześnie, w dwóch osobnych domach. Jedno dziecko było jasne jak słońce, a drugie ciemne jak wędek nocy. Ale te dwie małe były w jakiś sposób ze sobą związane. Widać to było, nawet kiedy były tak małe.

Cassie pomyślała o Diane i przeszły ją jakiś ból, ale odwrnęła go od siebie i dalej słuchała. Głos jej babki powoli słabł.

- Biedne małżeństwa... To nie była ich wina. To nie jest wasza wina - powtórzyła starszka, nagle koncentrując spojrzenie na Deborah i Cassie. - Nikt was nie może obwiniać. Ale do trzeciego grudnia urodziło się jedenastoro dzieci. Bardzo dziwnych dzieci. Ich matki nie chciały tego przyznać, ale kiedy nadszedł styczeń, nie można już było temu dłużej zaprzeczać. Małżeństwa umiały przyzywać Moc i potrafiły człowieka wystraszyć, jeśli nie dawało im się tego, czego chciały.

- Wiedziałam - szepnęła Cassie. - Wiedziałam, że to zbyt dziwne, że te wszystkie dzieci urodziły się w ciągu jednego miesiąca... Wiedziałam.

- Ich rodzice też wiedzieli, ale nie rozumieli, co to oznacza. Chyba ojciec Adama jako pierwszy pośledził to wszystko razem i im wytłumaczył. „Jedenastoro to dzieci”, powiedział. Domyślił się, że jeszcze jedno i powstanie kowen. A kto był tą dwunastą osobą? No jak to, męczczyzna, który zadbał, żeby wszystkie te dzieci się urodziły i który zamierzał im przewodniczyć. John Black powrócił, żeby stworzyć najsilniejszy Krąg, jaki kiedykolwiek widział ten kraj. Nie ze swojego pokolenia, ale z następnego. Tak powiedział ojciec Adama. Kowen z ich dzieci. Z początku nikt nie wierzył w tę historię. Niektórzy rodzice wystraszyli się, a inni byli zwyczajnie niemądrzy. Inni z kolei nie mogli zrozumieć, jakim cudem po tych wszystkich latach John Black miałby powstać z martwych. To jedyna tajemnica, której do tej pory nie udało się rozwikłać. Stopniowo jednak niektórych z tej grupy dało się przekonać. Ojciec Nicka, który stracił swoją narzeczoną i patrzył, jak zostaje poślubiona jego młodszemu bratu... On uwierzył. I Mary Meade, matka Diany, która była równie mądra, jak sliżna. Nawet i ojciec Faye, Grant Chamberlain... Ten z kolei był zimnym człowiekiem, ale wiedział, że jego mała córka potrafi podpalić zastony w domu, nawet ich nie dotykając, i rozumiał, że coś jest nie tak. Przemówił do rozumu niektórym z pozostałych i pewnej zimnej nocy, pierwszego lutego, całą grupą wybrali się, żeby porozmawiać o tym z Blackiem.

ROZDZIAŁ 8

Babka Cassie pokręciła głową.

- Żeby z nim porozmawiać! Gdyby poradziła się was, starszych kobiet, może byśmy zdążyli ich ostrzec, ja i babcia Laurel, babcia Adama i Constance, cioteczka babka Melanie... mogłybyśmy im parę rzeczy opowiedzieć, może ich uratować. Ale oni poszli tam, sami, nie nikomu nie mówiąc. W święto Imbolc, pierwszego lutego, ponad połowa grupy, którą Black sam zebrał, poszła rzucić mu wyzwanie. I z tej grupy nie wrócił nikt.

Po pomarszczonych policzkach starej kobiety spływały powoli łzy.

- Więc sama widzisz, że to ci dziełni, ci silni poszli tam i zginęli. Ci, którzy zostali przy życiu, byli zbyt przerażeni albo zbyt głupi, żeby dostrzec niebezpieczeństwo. Przepraszam cię, Deborah, ale taka jest prawda. - Cassie przypomniała sobie, że oboje rodzice Deborah żyją. - Wszyscy najlepsi z Crowhaven Road poszli walczyć z Johnem Blackiem w noc Imbolc - strągnięta babka.

- Ale jak? - szepnęła Cassie. Myślała o rzedzie nagrobków na cmentarzu. - Jak oni zginęli, babciu?

- Nie wiem. Wątpię, czy ktokolwiek z żyjących wie, może poza... - Urwała i pokręciła głową, mruczając coś pod nosem. - Na niebie był ogień, a potem burza. Znad oceanu przyszedł huragan. Starsze kobiety zebrały razem dzieci, które z nimi zostawiono, i tych z rodziców, którzy nie poszli z resztą grupy. Udało nam się ich ocalić. Ale następnego dnia dom

pod numerem 13 był spalony do gołej ziemi, a wszyscy ci, którzy poszli stawiać czoło Johnowi Blackowi, nie żyli. Większości ciał nigdy nie znaleźliśmy. Jak sądzę, zmiały je ocean. Ale udało nam się znaleźć pod numerem 13 zwęglone zwłoki. Wiedzieliśmy, że to on, bo poznaliśmy pierścien, który nosił, z takim czarnym, blyszczącym kamieniem, który kiedyś nazywaliśmy magnetytem. Zapomnialiśmy, jak się na niego teraz mówi. Zabraliśmy go na stary cmentarz i pochowaliśmy w ziemnym bunkrze. Charles Meade, ojciec Danny, przywalił wejście kawałem betonu. Stwierdziliśmy, że skoro wrócił raz, może próbować zrobić to znówu któregoś dnia. I zamierzaliśmy go powstrzymać, jeśli tylko się uda. A potem ci z rodziców, którzy przeżyli, pochowali Księgi Cienia i zrobili, co było w ich mocy, żeby swoje dzieci trzymać z daleka od spraw magii. I to dziwne, ale większość z nich zapomniała, co się tylko dało. Pewnie dlatego, że nie mogliby o tym pamiętać i pozostać przy zdrowych zmysłach. Aż mi się to teraz dziwne wydaje, jak wiele zdołali zapomnieć.

Jej głos słabł coraz bardziej. Babka mocno chwyciła Cassie za nadgarstek.

- A teraz posłuchaj mnie, dziecko. To ważne. Niektórzy z nas nie zapomnieli, nie byliśmy w stanie. Nazywałam swoją córkę imieniem prorokini, a ona wobec własnej córki postąpiła tak samo, bo zawsze miałyśmy dar jasnowidzenia. Twoją matką nie mogła znieść tego, co ukazywały jej własne moce, i uciekła z New Salem. A ja patrzyłam, jak wszystkie moje przecznia spełniają się, jedno po drugim. Dzieci, które urodziły się przy Crowhaven Road tamtego listopada, wyrosły i okazały się odmienne, mimo wszystkich starań ich rodzi-

— 118 —

stw. Ciągnęło je do Mocy i do dawnych zwyczajów od samego początku. Wyrosły silne. A niektóre okazały się... złe. Patrzyłam, jak to się dzieje i słyszałam głosy Johna Blacka. Spalili jego ciało, ale ducha spalić nie mogli. Zawsze tu był, czekał, czepiał się starego cmentarza i pustej parceli pod numerem 13. Czekał na swą swoją kowen. Na ten, który sobie zaplanował, któregoś czasu miał się narodzić. Czekał, aż dorosną. Czekał, aż go znów przyzwą... Wiedzieliśmy, że tak się stanie. I wiedzieliśmy, że tylko jedno może mu stanąć na drodze, kiedy już do tego dojdzie. Ty, Cassie. Masz w sobie siłę naszej rodziny, jasnowidzenie i Moc. Błagałam swoją matkę, żebyście wróciły do domu, bo wiedzieliśmy, że bez ciebie dzieci z Crowhaven Road sobie nie poradzą. Ze zwrócą się ku niemu, tak jak kiedyś ich odrzucił. I że Black zostanie ich przywódcą i panem. Tylko ty możesz go teraz powstrzymać przed przeciągnięciem ich na swoją stronę.

- A więc o to sprzeczałyście się z mamą - powiedziała Cassie ze zdumieniem. - O mnie.

- Sprzeczałyśmy się w kwestii odwagi. Ona chciała cię ochraniać, ja wiedziałam, że ochraniając cię, stracimy wszystkich pozostałych. Twoje przeznaczenie określono, jeszcze zanim się urodziłaś. A najgorzej było to, że nie mogłyśmy ci o nim powiedzieć. Właśnie to głosiły przepowiednie. Miałaś przyjechać tu, nie wiedząc nic, i stopniowo odkrywać własną drogę, jak jakaś niewinna istota rzucona na ofiarę. I tak się stało. Zrobiłaś wszystko, czego mogłyśmy po tobie oczekiwać. I zaczynał się zbliżać czas, kiedy mogłybyśmy ci to wszystko wyjaśnić... Ale zmyliła nas Faye. A przy okazji, jak jej się to udało?

— 119 —

- Ja... - Cassie nie wiedziała, co ma powiedzieć. - Pomogłam jej, babciu - wykrztusiła wreszcie. - Znaleźliśmy kryształową czaszkę, która należała do Johna Blacka; była pełna mrocznej energii. Za każdym razem, kiedy jej używaliśmy, ktoś ginął. A potem... - Cassie wzięła głęboki, urywany oddech. - A dziś wieczorem Faye kazała nam zanieść czaszkę na cmentarz. I tam ją odkryła... Sama nie wiem... Wydobyła się z niej tyle ciemności...

Babka Cassie kiwała głową.

- Był mistrzem ciemnych spraw. Zupełnie jak prawdziwy Męczyzna w Czerni, Pan Śmierci. Ale Cassie, czy naprawdę rozumiesz? - Stara kobieta z wysiłkiem próbowała usiąść, żeby spojrzeć Cassie w twarz. - Kiedy zabraliście tę czaszkę na cmentarz i uwoiliście energię, wystarczyło jej, żeby sprować dzić go z powrotem. On tu teraz jest, znów wrócił. Nie jako duch czy zjawą, ale człowiekiem. Żywy, oddychający człowiek. Następnym razem, kiedy go zobaczysz, będzie wyglądał inaczej. Skorzysta z szansy. I będzie próbował cię ogłupić. - Opadła na łóżko, znużona.

- Ale babciu, och... Ja pomogłam go uwolnić. Tak strasznie mi przykro... - W oczach Cassie zakręciły się łzy.

- Nie wiedziałam. Wybaczam ci, dziecko, a co się stało, to się nie odstanie. Ale musisz być gotowa... - Oczy babki Cassie zamknęły się powoli, a oddech wydobywał się z jej piersi z jakimś przerażającym osłabieniem.

- Babciu! - Cassie potrząsnęła staruszką w panice.

Stare oczy powoli jeszcze raz się otworzyły.

- Biedna Cassie. To niełatwe. Ale masz w sobie siłę, jeśli jej poszukasz. A teraz weź to. - Słabym gestem

— 120 —

now wsunęła w dłoń Cassie Księgę Cienia. - Mądrość naszej rodziny i mądrość przepowiedni. Przeczytaj to. Naucz się tego. Odpowie ci na niektóre pytania, na które mnie już nie wystarczy czasu. Odnajdziesz własną drogę...

- Babciu! Babciu, proszę...

Oczy babki nadal były otwarte, ale zmieniły się, przesywały mgłą, jakby już ją przestawały widzieć.

- Nie martw się już odejściem, teraz, kiedy opowiedziałam tę historię... Jest jednak coś jeszcze. Coś, co powinnaś wiedzieć...

- Cassie! - Głos dobiegł od strony wejścia i zaskoczył dziewczynę tak bardzo, że poderwała się z miejsca, unosząc wzrok. U drzwi stała Laurel, z twarzą podobną ze zmartwienia. - Co się tutaj dzieje? Nic ci nie jest? Potrzebujesz lekarza? - Popatrzyła na babkę Cassie, leżącą na podłodze.

- Laurel, nie teraz! - westchnęła Cassie. - Plakała, ale z całej siły trzymała powykęcane, stare dłonie babki. - Babciu, proszę, nie odchodź. Boję się, babciu. Potrzebuję cię!

Wargi babki poruszały się, ale wydobył się spomiędzy nich tylko cichusieńki szepot.

- Nigdy się nie bój, Cassie. W mroku nie ma nic strasznego, jeśli mu się stawi czoło...

- Proszę, babciu, proszę. O nie!... - Cassie opuściła głowę na piersi babki i zapłakała. Sękaty oddech już nie ścisnął jej rąk. - Powiedziałam, że masz mi jeszcze coś do powiedzenia - wyjąkała. - Nie możesz odejść...

Z piersi staruszki wydobył się niemal niedosłyszalny oddech. Cassie wydawało się, że usłyszała słowo: John. A potem:

- Nic nie umiera na wieczność, Cassie...

— 121 —

Klatka piersiowa babki uniosła się jeszcze raz i znieruchomiła.

Na zewnątrz żółtawy księżyc wisiał nisko na niebie.

- Żalobny Miesiąc - powiedziała cicho Laurel. - Tak się go kiedyś nazywało.

To odpowiednia nazwa, pomyślała Cassie. Oczy miała już teraz suche, ale zbierały w nich kolejniaczy. Musiały jednak zaczekać. Miała mnóstwo roboty, zanim będzie mogła odpocząć i popłakać. Historia zasłyszana od babki wyjaśniła wiele, lecz nie wszystko. Miała tak wiele pytań, tyle musiała się dowiedzieć. Lecz najpierw musiała zrobić tę jedną rzecz.

W pobliżu, na ulicy, zaparkowało kilka samochodów. Cała reszta kowenu tu przyjechała. Nie, nie cała reszta. Cassie widziała Susan i Seana, Hendersonów, Adama i Dianę. Ale nie dostrzegła tej jednej osoby, której szukała.

- Melanie i Nick zabrali twoją mamę do ciocięcej babki Melanie, Constance - powiedziała Laurel z wahaniem. - Uznali, że dzisiejszej nocy to dla niej najlepsze miejsce. Ciagle była trochę półprzytomna, ale jestem pewna, że wydobrzeje.

Cassie z trudem przełknęła ślinę i skinęła głową. Ona sama nie była pewna niczego. Wiedziała tylko, co musi zrobić. I to już.

Nigdy się nie bój, Cassie. W mroku nie ma nic przerażającego, jeśli mu się stawi czoło.

Staw temu czoło. Staw temu czoło i wytrzymaj.

A potem Cassie zobaczyła osobę, której szukała.

Faye stała w cieniu poza zasięgiem świateł samochodów. Jej czarna tunika i włosy zlewały się z mro-

kiem, ale biała twarz i srebrna biżuteria rzucały się w oczy.

Podeszła do niej bez wahania. W tej chwili mogłaby uderzyć Faye, udusić ją, zabić. Ale powiedziała tylko:

- To koniec.

- Co takiego? - Oczy Faye lekko zabłyśły, żółtawe jak księżycowe światło. Minę miała niewyraźną, zmieszana. W oczach czaiło się coś niebezpiecznego.

- To koniec, Faye - powtórzyła Cassie. - Szantaż, groźby... Koniec tego wszystkiego. Już nie jestem twoją zakładniczką.

Skrzydółka nosa Faye się rozszerzyła.

- Ostrzegam cię, Cassie, to nie jest dobry moment, żeby wystawiać na próbę moją cierpliwość. Nadal przewodzę kowenowi. Głosowanie jest ważne. Nie możesz zrobić nic, żeby to zmienić...

- Nie mam zamiaru tego zmieniać. Na razie. W tej chwili informuję cię tylko, że nie masz już nade mną władzy. Skończyło się.

- Skończy się wtedy, kiedy ja tak powiem! - warknęła Faye. Cassie zdala sobie teraz sprawę, jak bliska wysłuchu jest Faye. W jak niebezpiecznym nastroju była. Ale to już nie miało znaczenia. Może nawet tak będzie lepiej: pozbędzie się wszystkich kłopotów za jednym zamachem.

- Nie żartuję, Cassie. - Faye szeptała, ale brzmiało to jak warczenie. - Jeśli się ode mnie odwrócisz, odważę się na coś więcej...

Cassie wzięła głęboki oddech, a potem powiedziała:

- A proszę cię bardzo.

W mroku nie ma nic przerażającego, jeśli mu się stawi czoło.

- Dobra - syknęła Faye przez zęby. - Tak właśnie zrobisz.

Odwróciła się i podeszła do miejsca, gdzie stał Diana i Adam, objęci. Adam podtrzymywał Dianę. Cassie dostrzegła to i na moment jej serce zamarło. Ale musiała to zrobić. Mimo przysięgi, mimo bólu, który sprawi Dianie, musiała to zrobić.

Faye obróciła się i spojrzała na swojego nowego wroga. Jej spojrzenie mówiło wyraźnie: „Jeszcze pożałujesz”. Cassie zastanowiła się w napaędzie naglej paniki, czy rzeczywiście tak będzie. Pożałuje? Może jednak postąpiła źle i stawiała opór Faye w nieodpowiednim momencie. Czy nie byłoby lepiej zacząć i zastanowić się, pomyśleć o tym wszystkim...?

Ale Faye już zagadnęła Dianę. Na twarzy miała wypisany wyraz złośliwego triumfu. Kowen nie był dziś wieczorem zadowolony z Faye, ale Faye i tak była jego przywódczynią i nic tego nie mogło zmienić. A teraz przywódczyni zamierzała zacząć swoje panowanie od zemsty na tych, których nienawidziła najbardziej.

- Diana - powiedziała. - Mam dla ciebie małą niespodziankę.

MOC

ROZDZIAŁ 1

Diano, mam dla ciebie małą niespodziankę – powiedziała Faye.

Smaragdowozielone oczy Diary, otoczone gęstymi, ciemnymi, długimi rzęsami, były nieco nieprzytomne. Jeszcze nie doszła do siebie po przeżyciach tej nocy. Twarz miała zmęczoną, kiedy spojrzała na Faye.

No cóż, niedługo będzie jeszcze gorzej.

Teraz, kiedy to się wreszcie miało stać, Cassie oparęło uczucie dziwnej wolności. Koniec z ukrywaniem się, koniec z kłamstwami i unikami. Koszmar wreszcie nadszedł.

– Pewnie powinnam była powiedzieć ci wcześniej, ale nie chciałam cię martwić – ciągnęła Faye. Jej oczy płonęły złotem od dzikiego wewnętrznego ognia.

Adam szybko zerknął na Cassie, a potem na Faye. Najwyraźniej doszedł do jakiegoś szybkiego, jeśli nie druzgoczącego wniosku. Ujął Dianę dłonią za łokieć.

– Co by to nie było, może zacząć – powiedział. – Cassie powinna być zobaczyć się z matką, a...

– Nie, Adamie Conant, to nie może czekać – przerwała Faye. – Czas, żeby Diana dowiedziała się, jacy ludzie ją otaczają. – Czarnowłosa czarownica szybko stanęła przed Dianą, a jej biała skóra promieniała

— 127 —

jakąś dziwną nicością. – Ludzie przez ciebie wybrani – powiedziała do swojej ciotecznej siostry. – Twoja najbliższa przyjaciółka... I on. Szlachetny sir Adam. Chcesz wiedzieć, dlaczego nie udało ci się zostać przywódczynią? Chcesz wiedzieć, jak bardzo jesteś w gruncie rzeczy trawiona?

Wszyscy skierali się teraz wokół nich i patrzyli. Cassie dostrzegła zaskoczenie i podejrzliwość na ich twarzach. Świecący od zachodu księżyc w pełni był tak jasny, że naczał cienie i oświetlał wszystkie szczegóły rozgrywanej się sceny.

Cassie dojrzała na nich wszystkich – na twarzą Deborah, piękną Susan o idealnej twarzy, teraz oszpeconej gmasmem zdziwienia, na chłodną Melanie i pełną wściekłości, przypominającą chochlika Laurel. Popatrzyła na Chrisa i Douga Hendersonów, zwirowanych kłótni, którzy stali obok przyuczajonej sylvetki Seana. Za nimi stał lodowato przystojny Nick.

Na koni spojrzała na Adama.

Nadal łączył ją z ramię, ale jego dumna, nieprzykła twarz była teraz spięta i czujna. Spojrzała na niego i przez moment panowało między nimi pełne porozumienie. Potem Cassie, zawstydzona, odwróciła wzrok. Nie miała prawa podierać się siłą Adama. Za moment cała prawda o niej miała zostać ujawniona wszystkim członkom Kręgu.

– Cały czas miałam nadzieję, że postąpią, jak należy i się otworzą – ciągnęła Faye. – Ze względu na siebie, jeśli już nie na ciebie. Ale najwyraźniej...

– Faye, czy ty mówisz? – przerwała Diana, tracąc cierpliwość.

— 128 —

– No jak to, przecież o Cassie i Adamie – odparła Faye, powoli otwierając coraz szersze złote oczy. – O tym, co wyrabiają za twoimi plecami.

Te słowa padły jak kamienie wrzucone w spokojną toń jeziora. Zapadła długa chwila całkowitego milczenia, a potem Doug Henderson odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem.

– Ta-a... A moja mama jest tancerką na burze – stwierdził złośliwie.

– A Matka Teresa to tak naprawdę Kobieta Kot – dodał Chris.

– Faye, daj spokój – rzekła Laurel ostro. – Nie ośmieszaj się.

Faye się uśmiechnęła.

– Nie mam pretensji, że mi nie wierzycie – powiedziała. – Ja też byłam zaskokowana. Ale, widzicie, to się zaczęło, jeszcze zanim Cassie przyjechała do New Salem. Zaczęło się, kiedy Adam pojechał na Cape Cod.

Tym razem milczenie miało nieco odmienny charakter. Cassie widziała, że Laurel rzuciła szybkie spojrzenie Melanie. Wszyscy wiedzieli, że ostatniego lata Cassie spędziła kilka tygodni w Cape. I wszyscy wiedzieli, że Adam też był w tamtej okolicy, szukając Artefaktów Mistrza. Cassie dostrzegła w otaczających ją twarzach rodzące się stopniowo pełne zdumienia zrozumienie.

– To wszystko zaczęło się tam na plaży – opowiadała Faye. Widać było, że świetnie się bawi, że jak zawsze cieszy ją, że jest ośrodkiem zainteresowania. Wyglądała seksownie i władczo, kiedy oblażała wargi i odczwała się gardłowym głosem, zwracając się do całej grupy, choć jej słowa były przeznaczone

1. Tajemny Krąg 2

— 129 —

dla Diary – To chyba była miłość od pierwszego wejrzenia. W każdym razie nie umieli utrzymać rąk przy sobie. Kiedy Cassie tu przejechała, napisała o tym wiersz. – Faye przekrzywiła głowę i wyrecytowała:

Każdej nocy leżę i śnię o tym jedynym, który mnie pocałował i rozbudził we mnie pożądanie. Spędziłam z nim raptiem jedną godzinę, i od tej pory moje dni i noce są pełne ognia...

– To prawda, to jej wiersz! – zawołała Susan. – Pamiętam to. Przyłapałyśmy ją w starym skrzydle nauk ścisłych i nie chciała, żebyśmy go przeczytały.

Deborah kiwała głową, a jej drobna twarz się zamurzyła.

– Ja też pamiętam.

– Pamiętacie może również, jak dziwnie zachowywali się oboje podczas inicjacji Cassie – zawtórowała im Faye. – I że Radia jakoś dziwnie szybko polubił Cassie. Zawsze na nią skakał, próbował ją polizać i tak dalej. No cóż, to wszystko jest w samie bardzo proste: to dlatego, że znali się już wcześniej. Oczywiście, nie chcieli, żeby ktoś z nas się o tym dowiedział. Próbowali to ukrywać. Ale koniec końców dali się przyłapać. To było tego wieczoru, kiedy po raz pierwszy użyliśmy czaszki w garażu Diary. Adam odprowadził Cassie do domu. Ciekawe, jak do tego w ogóle doszło.

Tym razem to Laurel i Melanie zrobiły zaskoczone miny. Najwyraźniej przypomniały sobie wieczór pierwszej ceremonii z czaszką, kiedy Diana poprosiła Adama, żeby odprowadził Cassie do domu, a Adama, po krótkim wahaaniu, się zgodził.

– Myśleli, że są na urwisku sami... Ale ktoś ich obserwował. Dwa małe kotusie, moi dwaj maluchy przy-

jaciele... – Faye poruszyła leniwie palcami zakończonymi długimi, szkarłatnymi paznokciami takim ruchem, jakby coś głaskała. Cassie przeszył nagły błysk zrozumienia.

Kociaki. Te cholerne, małe, krwiożercze kociaki, które szalały sobie w sypialni Faye. Czy ona chciała powiedzieć, że kociaki to jej szpiedzy? Że umie się z nimi porozumiewać?

Cassie ogarnął dojmujący chłód, kiedy spoglądała na wysoką, mrocznie piękną dziewczynę, wyczuwając coś niezmiernie i śmiertelnie groźnego w złotych oczach o ciężkich powiekach. Cały czas zachodziła w głowę, kogo Faye miała na myśli, kiedy mówiła o „przyjaciółkach”, którzy widzieli różne rzeczy i informowali ją o nich, ale coś takiego nigdy jej nie przyszło do głowy. Faye uśmiechnęła się kocim uśmiechem satysfakcji i patrząc na nią, skinęła głową.

– Mam mnóstwo sekretów – powiedziała, zwracając się bezpośrednio do Cassie. – To tylko jeden z nich. No, ale w każdym razie – przemówiła do pozostałych – tamtej nocy zostali nakryci. Oni, no cóż... Całowali się. To i tak delikatnie powiedziane. Od takiego całowania może dojść do spontanicznego samozapłonu. Pewnie po prostu nie mogli się dłużej oprzeć pożądaniu. – Westchnęła.

Diana patrzyła teraz na Adama, czekając, aż zaprzeczy. Ale Adam zaciskał zęby i spoglądał przed siebie, na Faye.

– Obawiam się, że to nie była jedyna okazja – ciągnęła Faye, przyglądając się własnym paznokciom z miłą wyrażającą fałszywy żal. – Od tamtej pory często im się to przytrafiało, kradli te sekretne chwile, kiedy nie widziałyś, Diana. Tak jak na Jesiennym Balu...

O, jaka szkoda, że cię tam nie było. Zaczęli się całować na samym środku parkietu. Potem chyba poszli gdzieś, żeby mieć nieco więcej prywatności...

– To nieprawda! – zawołała Cassie, zdając sobie jednocześnie sprawę, że w ten sposób praktycznie potwierdza, że wszystko inne, co powiedziała Faye, było prawdą.

Wszyscy się w nią teraz wpatrywali, a Hendersownie przestali dwić. Ich lekko skośne, niebieskozielone oczy były skupione i uważne.

– Chciałam ci o tym powiedzieć – odezwała się Faye do Diary – ale Cassie mnie wprost błagała, żebym tego nie robiła. Płakała, histeryzowała i prosiła. Powiedziała, że umrze, jeśli się dowiesz. Powiedziała, że zrobi wszystko. No i to wtedy... – Faye westchnęła, patrząc gdzieś w przestrzeń – zaproponowała, że zdobędzie dla mnie tę czaszkę.

– Co takiego? – nie wytrzymał Nick. Jego zwykłe opanowana twarz wyrażała zdziwienie.

– Tak. – Faye znów opuściła wzrok na swoje paznokcie, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu, który unosił kąćki jej ust. – Wiedziała, że chcę się przyjrzeć czaszce, i powiedziała, że mi ją przyniesie, jeśli zachowam milczenie. No cóż, co miałam robić? Zachowywała się jak wariatka. Po prostu nie miałam serca jej odmówić.

Cassie przygryzła zębami dolną wargę. Chciała krzyknąć, protestować, że było zupełnie inaczej... Ale co by to dało?

– I pewnie nie miałas serca odmówić też zajęcia się czaszką? – zakpiła Melanie. Jej oczy były pełne pogardy.

– No cóż... – Faye uśmiechnęła się lekceważąco. – Powiedzmy po prostu, że to była zbyt dobra okazja, żeby ją przepuścić.

– To nic zabawnego! – zawołała Laurel. Jej twarz wyrażała smutek i niesmak. – I tak ci nie wierzę...

– No to niby skąd dziś wieczorem wiedziała, gdzie zakopana jest czaszka? – spytała gładko Faye. – Nocowała u ciebie, Diana, wtedy kiedy poszliśmy śladem mrocznej energii na cmentarz. Wykraďte się i dowiedziała, gdzie schowana jest czaszka, bo zajrzała do twojej Księgi Cienia. Ale najpierw ukradła klucz do szafki z drewna orzecha i ją przeszukała. – W złotych oczach Faye pojawił się radosny triumf. Dłużej już nie mogła go ukrywać.

Wśród zebranych nikt już nie zaprzeczyłby prawdziwości jej słów. Cassie rzeczywiście wiedziała, gdzie jest zakopana czaszka. Z tego nie mogła się wytłumaczyć.

Cassie widziała, jak z twarzy członków konwenu powoli znikowało niedowierzanie i zastępowało je ponure oskarżenie.

Zupełnie jak w *Szarłatnej literze*, pomyślała nieprzytomnie. Stała nieco z boku, obserwowana przez wszystkich. Równie dobrze mogłaby stać na szafocie z przypiętą na piersi literą oznaczającą cudzołownictwo. Bezradna, wyprostowała plecy i próbowała wysoko unieść brodę, zmuszając się do patrzenia całej grupie w oczy. Nie będę płakać, pomyślała. Nie odwrócę wzroku.

A potem zobaczyła twarz Diary.

Jej twarz wyrażała smutek i niesmak. Stała jak sparaliżowana, a w jej zielonych szeroko otwartych oczach była rozpacz.

– Przynęcała, że będzie lojalna i wierna Kręgowi i że nigdy nie skrzywdzi nikogo, kto do niego należy – mówiła Faye chrapliwym głosem. – Ale kłamała. Pewnie to nie dziwne, skoro jest w połowie obca. I tak uważam, że już wystarczająco długo to trwało. Ona i Adam dość się już sobą nacieszyli. No więc, znasz już prawdę. A teraz – dokończyła, spoglądając z miną pełną zamysłonej satysfakcji na wstrząśniętych członków Kręgu, a już zwłaszcza na całkowicie zniechęconą cioteczną siostrę – pewnie lepiej, żebyśmy wrócili do domu. To był długi wieczór. – Uśmiechając się nieznacznie, odwróciła się.

– Nie. – To było tylko jedno słowo, ale wystarczyło, żeby zatrzymać Faye. Wszyscy pozostali też obrócili się w stronę Adama.

Cassie jeszcze nigdy nie widziała, żeby jego oczy spoglądały w taki sposób – przypominały srebrzyste błyskawice. Wysunął się naprzód swoim zwykłym, lekkim krokiem. W geście, którym złapał Faye za ramię, nie było ani odrobiny agresji, ale uchwyt musiał mieć żelazny. Cassie zrozumiała to, widząc, że Faye nie może mu się wyrwać. Czarnowłosa czarownica opuściła wzrok na jego dłoń z urazą i zdumieniem.

– Miałas swoje pięć minut – powiedział do niej Adam. Jego głos był wyważony i spokojny, ale słowa przypominały odłamki rozpalonego do białości żelaza. – Teraz czas na mnie. A wy wszyscy – obejrzał się na całą grupę, spojrzaniem zabraniając im odejść – mnie wysłuchacie.

ROZDZIAŁ 2

Opowiedziałas tę historię na swój sposób – zaczął Adam. – Część z tego jest bliska prawdy, ale niektóre fragmenty to zwykłe kłamstwa. Nic nie wydarzyło się dokładnie tak, jak to opowiedziałas.

Znów obejrzał się na Krąg.

– Nic mnie nie obchodzi, co o mnie pomyślicie – powiedział. – Ale tutaj chodzi jeszcze o kogoś innego. A ona – zerknął na Cassie i zdążyła dostrzec jego niebieskoszare oczy, które błyszczały jak srebro – nie zasłużyła na to, żeby przez to przechodzić. A już na pewno nie dzisiaj wieczorem.

Kilku członków kowenu, a zwłaszcza Laurel i Melanie, odwróciło oczy z lekkim zawstydzeniem. Ale reszta nadal gapiła się gniewnie i nieufnie.

– No więc jak wygląda twoja wersja tej historii? – odezwała się nachmurzona Deborah. Jej mina mówiła, że dziewczyna czuje się oszukana i że wcale jej się to nie podoba.

– Po pierwsze, to wcale nie wyglądało tak, kiedy Cassie i ja się poznaliśmy. To nie była miłość od pierwszego wejrzenia... – Adam zaważał się na moment, wpatrując się w przestrzeń. Pokręcił głową. – To w ogóle nie była miłość. Pomogła mi, uratowała mnie przed facetami z bronią. Takimi, którzy lubią się bawić w polowania na czarownice. – Spojrzał twardo na Chrisa i Douga Hendersonów.

– Ale ona nie wiedziała... – wtrąciła Deborah.

– Wtedy nie wiedziała, kim jestem. Nie wiedziała, kim sama jest. Czarownice wydawały jej się postaciami z bajek dla dzieci. Cassie pomogła mi, bo

potrzebowałem pomocy. Tamci mnie ścigali, a ona pomogła mi się ukryć na łodzi, a potem wysłała ich w przeciwną stronę. Próbowali ją zmusić, żeby im powiedziała, gdzie jestem, ale mnie nie wydała.

Zapadło milczenie. Deborah, która odwagę ceniła wyżej od wszystkich innych cech, miała nieco zmieszany minę. Nie patrzyła już tak ponuro.

Ale Faye wyla się jak ryba, która usiłuje się zerwać z haczyka, a jej mina była nieprzyjemna.

– Jakże to słodkie. Dzielną bohaterka. A ty po prostu nie mogłeś się oprzeć, żeby się z nią nie zabawić.

– Nie bądź kretynką, Faye – stwierdził Adam, lekko ją potrząsając za ramię. – Nic z nią nie robiłem. My po prostu... – Znów pokręcił głową. – Podziękowałem jej. Chciałem, żeby wiedziała, że nie zapomnę tego, co zrobiła. Pamiętacie, wtedy jeszcze myślałem, że ona jest z obcych. I nie poznałem jeszcze takiego obcego, który zrobiłby coś podobnego dla kogoś z nas. Była po prostu miłą obcą dziewczyną. Taką raczej cichą i ładną. Chciałem jej podziękować. Ale kiedy na nią spojrzełem, poczułem nagłe... Zupełnie jakby coś nas łączyło. Teraz to może jakoś głupio brzmieć, ale naprawdę nie miałem widziałem tę więź...

– Srebrna nić – szepnęła Cassie. Oczy miała pełne łez i nawet nie zdawała sobie sprawy, że się odezwała, dopóki nie zobaczyła odwracających się w jej stronę twarze.

Melanie uniósł brwi, a Diana też drgnęła, może tylko dlatego, że usłyszała, jak Cassie przerywa tak długo trwające milczenie. Susan ścisnęła swoje małe usta w okrągłe „O”.

– Tak, chyba tak to wyglądało – przytaknął Adam, znów wpatrując się gdzieś w dal. – Sam nie wiem... To

było tylko takie dziwne wrażenie. Tak naprawdę byłem jej po prostu wdzięczny i chętnie bym się z nią zaprzyjaźnił. Jak wam się to podoba? Przyjacieli wśród obcych? – Błogę się szmery rubawiernia i niedowierzania. – No i – Adam popatrzył wprost na Dianę – dlatego podarowałem jej tę różę z chalcedonu, którą dostałem od ciebie.

Tym razem żadnych szmerów. Ponsura cisza.

– To był symbol przyjaźni, sposób na spłacenie długu – ciągnął Adam. – Uznałem, że jeśli kiedyś będzie miała kłopoty, to mógłbym to wyczuć przez kryształ i zrobić coś, żeby jej pomóc. Więc dałem go jej. I to wszystko, co zrobiłem. – Popatrzył na Faye wojowniczo, a jeszcze bardziej wyzywająco rozejrzał się po reszcie grupy. – Tylko... Tak, właśnie... Pocałowałem ją. Pocałowałem ją w rękę.

Laurel zamrugowała. Hendersonowie zerknęli na Adama z ukosa, jakby chcieli powiedzieć, że chyba zwariował, chociaż mimo wszystko to jego sprawa, które fragmenty i jakiej dziewczyny chce całować. Faye usiłowała zrobić oburzoną minę, ale niezbyt dobrze jej to wyszło.

– A potem wyjechałem z Cape – powiedział Adam. – Nie widziałem Cassie aż do powrotu do New Salem na inicjację Kori, która okazała się inicjacją Cassie. I jeszcze jedna ważna rzecz. Kiedy rozmawiałem z nią na plaży w Cape, nie powiedziałem jej, kim jestem ani gdzie mieszkam. Więc cokolwiek zrobiła, kiedy tu przyjechała, jakiegokolwiek by pisała wiersze, nie miała pojęcia, że Adam to ja. Nie wiedziała, że Diana i ja jesteśmy parą. Aż do tamtego wieczoru, kiedy pojawiłem się na plaży.

– Świetnie. I to był powód, żeby udawać, że się nie znacie, żeby się skradać i potajemnie, za plecami

wszystkich, spotykać – wtrącała Faye, znów przypuszczając atak.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz – odparł Adam ostro, z taką miną, jakby miał ochotę potrząsnąć Faye. – Nigdzie się nie wykradaliśmy. Po raz pierwszy sam na sam rozmawialiśmy wieczorem po nieudanej ceremonii z czaszką. Dokładnie tego wieczoru na urwisku, kiedy zobaczyli nas twoi mali szpiecy, Faye. Tylko czy wiesz, co Cassie mi powiedziała, w czasie tej naszej pierwszej rozmowy? Powiedziała, że jest we mnie zakochana i że wie, że tak nie wolno. Odkład się dowiedziała, że nie wolno, odkład zdala sobie sprawę, że nie jestem pierwszym lepszym facetem z jakiejś plaży, ale chłopakiem Diany, próbowała z tym walczyć. Złożyła nawet przysięgę... przysięgę krwi, że nigdy nikomu nie pokaże, słowem, spojrzaniem ani czynem, co do mnie czuje. Nie chciała, żeby Diana się dowiedziała i zaczęła jej współczuć. Czy to brzmi jak zachowanie kogoś, kto się potajemnie z kimś wykrada?

Krag mu się przyglądał. Melanie odezwała się pierwsza:

– Wyjaśnij mi coś. Chcesz powiedzieć, że w oskarżeniach Faye nie ma prawdy?

Adam z trudem przełknął ślinę.

– Nie – odparł cicho. – To nie tak. Tamtej nocy na urwisku... – Urwał i znów przełknął, a potem jego głos stwardniał. – Nie umiem wyjaśnić tego, co się stało. Wiem tylko, że to była moja wina, a nie Cassie. Robiła wszystko, co tylko mogła, żeby mnie unikać. Żeby mi schodzić z drogi. Ale kiedy już zostaliśmy sami, coś nas do siebie ciągnęło. – Popatrzył na Dianę bez zmużenia oka, chociaż na jego twarzy odbił się wyraźny ból. – Nie jestem z siebie dumny, ale nigdy

— 138 —

nie chciałem cię zranić. Cassie jest niewinna. Tamtej nocy rozmawiała ze mną wyłącznie dlatego, że chciała mi oddać różę z chalcedonu. Żebym mógł ją tobie zwrócić. W tym wszystkim zachowywała się całkowicie uczciwie i honorowo. Niezależnie, ile ją to kosztowało. – Urwał i zacisnął wargi. – Gdybym wiedział, że ta żmija ją szantażuje...

– Wypraszam sobie – przerwała Faye, a jej złote oczy niebezpiecznie zabłyśły.

Adam odpowiedział jej równie groźnym spojrzeniem.

– Bo tak było, prawda, Faye? Szantaż. Twoi mali szpiecy dostrzegli nas tamtej nocy, kiedy się żegnaliśmy i przysięgaliśmy sobie, że nigdy się więcej nie spotkamy. I postanowiliśmy wyciągnąć z tego jak najwięcej. Wiedziałem potem, że coś się dzieje między tobą a Cassie, ale nie domyśliłem się, co to może być. Nagle zrobiła się jakaś taka śmiertelnie przerażona, ale dlaczego po prostu do mnie nie przyszła i nie powiedziała mi, co kombinujesz... – Zamilkł i spojrzał w stronę Cassie.

W milczeniu pokręciła głową. Jak miała to wyjaśnić?

– Nie chciałam cię w to wplątywać – powiedziała głosem niewiele donońszyszym od szeptu. – Balam się, że powiesz Dianie. A Faye mówiła, że jeśli Diana się dowie...

– To co? – spytał Adam. A kiedy Cassie znów pokręciła głową, lekko potrząsnął ramieniem Faye. – To co, Faye? Gdyby Diana się dowiedziała, toby ją zabiła? Zniszczyło kowen? Tak właśnie powiedziała Cassie?

Faye uśmiechnęła się złośliwie.

— 139 —

– Gdybym to zrobiła, powiedziałabym prawdę, nie? Patrząc, jak wszystko się potoczyło. – Wyrwała się Adamowi.

– Więcej wykorzystywała fakt, że Cassie jest przywiązana do Diany. Zaszantażowała ją, żeby zmusić do pomocy w zdobyciu czaszki, prawda? Zależę się, że musiałaś się trochę wysilić, żeby ją przekonać.

Adam tylko zgadywał, ale trafił idealnie. Cassie od-ruchowo pokręciła głową.

– Dowiedziałam się, gdzie jest...

– Ale jak? – przerwała Diana, po raz pierwszy zwracając się bezpośrednio do Cassie. Cassie spojrzala w jej czyste, zielone oczy, pełne łez zbierających się na ciemnych rzęsach.

– Zrobiłam to, co kazała mi Faye – powiedziała drżącym głosem. – Najpierw poszukiwałam w szafce z orzechowego drzewa. Pamiętasz, że kiedy zostałam u ciebie na noc, obudziłaś się, a ja byłam w twoim pokoju? Nie znalazłam tam czaszki, myślałam, że będę musiała zrezygnować, ale wtedy przysnił mi się pewien sen. I on mi przypomniał o czymś, co widziałam w twojej Księdze Cieni, o tym, że zły przedmiot można oczyścić, zakopując go w piasku. Wiec poszłam i przeszukałam całą plażę. Aż wreszcie znalazłam czaszkę w tym kręgu z kamieni.

Cassie urwała i spojrzała na Faye, a potem jej głos zabezmiął silnie.

– Ale kiedy już wykopałam czaszkę, dotarło do mnie, że nie mogę jej oddać Faye. Po prostu nie mogłam tego zrobić. Ale ona mnie śledziła i odebrała mi artefakt.

Cassie wzięła głęboki oddech i zmusiła się, żeby znów spojrzeć Dianie w oczy. Błagała ją w ten sposób o zrozumienie.

— 140 —

– Wiem, że nie powinnam była oddawać czaszki. Powinnam postawić się Faye, wtedy i później też. Ale byłam słaba i głupia. Teraz tego żałuję. Szkoda, że nie przyszłam i nie opowiedziałam ci tego wszystkiego na początku, ale tak bardzo się balam, że cię zranie... – Łzy nie pozwalały jej mówić i mąciły wzrok. – A co do tego, co powiedział Adam... Ze to wszystko jego wina. Musisz wiedzieć, że to nieprawda. To była moja wina. I w noc imprezy z okazji Halloween usiłowałam go zmusić, żeby mnie pocałował, bo wtedy tak bardzo było mi źle i myślałam, że tak naprawdę nic nie ma znaczenia, skoro i tak jestem zła.

Diana miała policzki mokre od łez. Zrobiła zdumioną minę.

– Skoro co?!

– Skoro jestem zła – powtórzyła Cassie. W swoich słowach usłyszała nagą okropną prawdę. – Przecież to ja odpowiadam za śmierć Jeffreya Lovejoja.

Cały kowen popatrzył na nią w osłupieniu.

– Zaraz, momentik – odezwała się Melanie. – Wytłumacz mi to.

– Ile razy ktoś korzystał z czaszki, uwalniała się z niej mroczna energia, która potem kogoś zabijała – wyjaśniła Cassie powoli i wyraźnie. – To Faye i ja użyłyśmy czaszki tego dnia, gdy został zabity Jeffrey. A gdyby nie ja, Faye nigdy by nie użyła czaszki i Jeffrey nadal by żył. Dlatego to ja jestem odpowiedzialna za jego śmierć.

W oczach Diany znów pojawiło się ożywienie.

– Ale przecież nie wiedziałaś, czym to grozi – stwierdziła.

Cassie gwałtownie pokręciła głową.

– To żadna wymówka. Nie da się tego ot, tak usprawiedliwić. Ani tego, że robiłam gorsze rzeczy, bo

— 141 —

uznałam, że i tak jestem zła, więc nie mają one znaczenia? Ale to nieprawda. Słuchałam Faye i pozwalałam jej się zastraszać. – I zatrzymałam hematyt, pomyślała, ale tego tematu wołała nie poruszać. Wzruszyła ramionami, odpędzając kolejne lzy. – Nie zaprotestowałam nawet wtedy, gdy zmusiła mnie, żebym głosowała na nią jako przywódczynię. Przepraszam cię, Diano... bardzo cię przepraszam. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam.

– A ja wiem – odezwała się Diana drżącym głosem. – Adam już to powiedział: bo się bałaś.

Cassie pokiwała głową. Wszystkie słowa, które powstrzymywała tak długo, teraz wyrwały się na wolność.

– Kiedy już raz coś dla niej zrobiłam, nie mogłam przestać. Było coraz więcej rzeczy, którymi mogła mnie szantażować. Robiło się coraz gorzej i nie wiedziałam, jak się z tego wyplątać... – Głos Cassie się załamał. Faye rozchyliła usta, odsłaniając zęby, i usiłowała podejść bliżej, żeby coś powiedzieć, ale Adam uciszył ją jednym spojrzeniem. A potem Cassie odwróciła się i zobaczyła oczy Diany.

Lśniły jak kryształowe oliwiny trzymane pod światło, pełne niewypłakanych łez, ale też... Czegoś innego. To było spojrzenie, którego Cassie nie spodziewała się już nigdy zobaczyć, a już na pewno nie kiedy Diana patrzyła na nią. Pełne bólu, tak, ale też przebaczenia i tęsknoty. Spojrzenie pełne miłości.

Coś się w Cassie załamało, coś twardego i niewzruszonego, co rosło w niej, odkąd zaczęła oszukiwać Dianę. Postąpiła niepewnie krok naprzód.

A potem ona i Diana objęły się ramionami, obie zapłakane, tuląc się do siebie z całej siły.

– Przepraszam, bardzo cię za wszystko przepraszam – płakała Cassie.

— 142 —

Zdawało się, że Diana dopiero po bardzo długiej chwili się odsunęła, a kiedy to zrobiła, odeszła od całej grupy i odwróciła się, żeby popatrzeć w mrok. Cassie otała policzkę grzbietem dłoni. Księżyc, który wisiał nad horyzontem, błyszczał jak złote pasma włosów Diany.

Panowała całkowita cisza, pomijając odległy ryk fal rozbijających się o brzeg. Cała grupa stała bez ruchu, jakby czekając na coś, czego nikt nie umiałby jasno wytłumaczyć.

Dana wreszcie znów się do nich odwróciła.

– Uważam, że usłyszeliśmy już wystarczająco dużo – stwierdziła. – Chyba rozumiem, może nie wszystko, ale większość. Posłuchajcie mnie, bo nie chcę tego jeszcze kiedyś powtarzać.

Wszyscy w milczeniu zwrócili na Dianę pełne oczekiwania twarze. Cassie miała wrażenie, że za chwilę zostanie wydany jakiś osąd. Diana wyglądała jak kapłanka czy księżniczka, wysoka i biała, ale stanowcza. Była w niej dziwna godność, otaczała ją aura wielkości i przekonania, które przeczyły bólowi odbijającemu się w jej oczach.

Zaraz się dowiem, jaka mnie czeka kara, pomyślała Cassie. Cokolwiek to miało być, zasłużyłam sobie na to. Zerknęła na Adama i zobaczyła, że on też czeka. W jego oczach nie było śladu prośby o zmiłowanie, ale Cassie wiedziała, jak się musiał czuć. Oboje stali przed Dianą, połączeni swoim występkiem, zadowoleni, że cała sprawa wreszcie wyszła na jaw.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek jeszcze kiedyś rozmawiał o tym, co się dzisiaj stało – oznajmiła Diana głosem cichym i wyraźnym. – Nigdy. Kiedy powiem, co mam do powiedzenia, wszyscy uznamy ten temat za

— 143 —

zamknięty. – Popatrzyła na Adama, ale unikała spojrzenia mu prosto w oczy. – Chyba wiem – rzekła powoli – co się z tobą działo. Takie rzeczy czasem się zdarzają. Wybaczam ci. A jeśli chodzi o ciebie, Cassie... Ty jeszcze mniej zasługujesz na potępienie. Przecież nie mogłaś wiedzieć, kim jest Adam. Żadnego z was dwojga nie obwiniam. Proszę tylko o jedno...

Cassie odetchnęła całą drżącą. Nie mogła się już ani chwili dłużej powstrzymać.

– Diano – wtrąciła. – Choć, żebyś coś wiedziała, Przez cały ten czas gdzieś w głębi ducha byłam zła i zazdrosna, że Adam należy do ciebie, a nie do mnie. Aż do dzisiejszego wieczora. Ale to wszystko się teraz zmieniło, naprawdę. Teraz chcę tylko, żebyście z Adamem byli szczęśliwi. Nic nie jest dla mnie ważniejsze niż ty i obietnica, którą złożyłam. – Przez moment Cassie zastanawiała się, czy Adam był mniej ważny, ale odsunęła od siebie tę myśl i powiedziała otwarcie, z całkowitym przekonaniem: – Adam i ja... Oboje złożyliśmy tę obietnicę. Jeśli dasz nam jeszcze jedną szansę, żebyśmy jej mogli dotrzymać... Tylko tę jeszcze jedną szansę...

Diana już otwierała usta, ale Cassie mówiła dalej, zanim przyjaciółka zdążyła wtrącić chociaż słowo.

– Proszę cię, Diano. Przecież wiesz, że możesz mi zaufać, że możesz zaufać nam. Musisz nam pozwolić tego dowieść.

Diana zastanawiała się nad czynią.

– Tak. Tak, masz rację. – Zaczepnęła głęboko powietrza i wypuściła je, spoglądając na Adama niemal niepewnie. – No cóż, w takim razie, może... Może po prostu na jakiś czas o tym wszystkim zapomnijmy? Po prostu... zczynimy wszystko od nowa?

— 144 —

Jakiś mięsień w twarzy Adama lekko drgnął. W milczeniu wziął Dianę za rękę.

Diana wyciągnęła dłoń do Cassie, a ta ujęła ją i mocno ścisnęła w szczupłych, zimnych palcach. Chciało jej się jednocześnie śmiać i płakać. Zamiast tego, po prostu uśmiechnęła się do Diany błądo. Spojrzała na Adama i zobaczyła, że on też próbuje się uśmiechnąć, chociaż oczy miał tak mroczne, jak burzowe chmury nad oceanem.

– I to wszystko?! – wypląta Faye. – W porządku? Sama słodycz i światłość? Znów się wszyscy kochacie i po prostu pójdziecie teraz do domu, trzymając się za rączki?

– Tak – rzucił krótko Adam, patrząc na nią ostro. – Przynajmniej co do tego ostatniego. Wracamy do domu. Już dawno trzeba to było zrobić.

– Cassie powinna odpocząć – zgodziła się Diana. Odrętwienie i bezradność zupełnie znikły z jej postawy. I chociaż Diana wydawała się Cassie o wiele bardziej krucha niż kiedykolwiek przedtem, zdawało się też, że jest bardziej niż kiedykolwiek stanowcza. – Wszystkim nam się przyda odpoczynek.

– I trzeba wezwać lekarza, albo coś – odezwała się niespodziewanie Deborah. Wskazała głową w stronę numeru 12. – Babcia Cassie...

– Tak właściwie po której stronie jesteś? – warknęła Faye. Deborah tylko spojrzała na nią chłodno.

Diana zacisnęła palce na dłoni Cassie.

– Tak. Masz rację. Zadzwonimy do doktora Sterna. A Cassie może jechać do mnie do domu.

Faye wybuchnęła krótkim, szczekliwym śmiechem, ale nikt oprócz niej się nie roześmiał. Nawet bracia Hendersonowie zachowali poważne miny, a ich

16 – Tajemny Krąg 2

— 145 —

lekko skośnie oczy były pełne namysłu. Susan nawijała na palce lok jasnorurowych włosów, spoglądając na trzymające się za ręce Dianę i Cassie. Laurel skinęła głową pokrzepiająco, kiedy Cassie na nią spojrzała, a chłodne oczy Melanie liły spokojną akceptacją. Sean przygryzał wargę, przynosząc niepewne spojrzenie z jednego członka grupy na drugiego.

Ale to wyraz twarzy Nicka zaskoczył Cassie najbardziej. Na jego twarzy, zwykle pozbawionej emocji, malowało się napięcie. Jakby w jego duszy toczyła się jakaś walka.

Cassie nie miała czasu się nad nim zastanawiać. Nie pomyślała nawet o Faye, która stała bezradna i wściekła, bo jej plan opanowania kowemu legł w gruzach.

– Chciałabys najpierw zejść do mnie do domu, Cassie? – spytała Melanie. – Ciotka Constance zajmuję się twoją mamą, więc jeśli chciałabys się z nią zobaczyć...

Cassie gorliwie pokiwiała głową. Miała wrażenie, że minęło sto lat, odkąd po raz ostatni widziała matkę. Odkąd weszła do pokoju wypełnionego czerwoną poświatą i spojrzała w szkliste, puste oczy matki. Mama na pewno czuje się już lepiej i będzie mogła opowiedzieć Cassie, co właściwie stało się u nich w domu...

Ale kiedy wraz z Melanie i Dianą – która ani na moment nie puściła jej dłoni w czasie tej krótkiej jazdy pod numer 4 – weszły do domu, Cassie podupała na duchu. Ciocieczna babka Melanie, kobieta o wąskich ustach i surowych oczach, w milczeniu wprowadziła je do gościnnego pokoju na parterze. Jedno spojrzenie na przypominającą zjawę postać leżącą na łóżku przejęło serce Cassie chłodnym niepokojem.

– Mamo? – szepnęła, z góry wiedząc, że nie doczeka się odpowiedzi.

Boże, jej matka wyglądała tak młodo. Młodszej nawet niż zwykle, aż nienaturalnie. Zupełnie jakby na tym łóżku leżała nie matka Cassie, ale jakaś nastolatka o ciemnych włosach i wielkich, niespokojnych czarnych oczach, która byłaby tylko trochę podobna do pani Blake. Jak ktoś obcy.

Na pewno nie ktoś, kto mógłby Cassie w jakiś sposób pomóc.

– Wszystko w porządku, mamo – szepnęła Cassie, odsuwając się od Diany, żeby położyć dłoń na ramieniu matki. – Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Wyzdrowiejesz.

W gardle coś ją zapiekło i poczuła, że Diana łagodnie prowadzi ją do wyjścia.

– Obie miałycie dość wrażeń – stwierdziła Melanie, kiedy znowu wszystkie wyszły przed dom. – Wezwijmy lekarza. I policję, jeśli będą musieli przyjechać. A ty i Cassie idźcie trochę się przespać.

Reszta kowemu czekała na ulicy i wszyscy pokiwali głowami, kiedy usłyszeli słowa Melanie. Cassie popatrzyła na Dianę, która też skinęła głową.

– Dobrze – zgodziła się Cassie. Jej głos brzmiał słabo i był nieco chropawy. Dotarło do niej, jak strasznie jest zmęczona, wprost do szpiku kości. Trochę kręciło jej się w głowie i cała ta rozgrywająca się przed nią scena zaczęła przypominać sen. To było naprawdę dziwne stać w środku nocy na cudzym podwórku, wiedzieć, że babka nie żyje, a matka jest w szoku i że nie ma właściwie domu, do którego mogłaby wrócić. Na ulicy nie było nikogo dorosłego, żadnego zamieszania, tylko członkowie Kregu i ten niesamowity

spokój. Właściwie dlaczego nie było tu żadnych rodziców? Przecież niektórzy musieli słyszeć, co się stało.

Domy przy Crowhaven Road nadal były jednak mroczne i milczące. W drodze do domu Melanie Cassie wydawało się, że dostrzeża światło gaszone szybko w domu Susan i zaciągniętą zasłonę w oknie domu Hendersonów. Jeśli dorodzi nie spali, to najwyraźniej nie chcieli się angażować.

Jesteśmy zdani na siebie, pomyślała Cassie. Ale obok niej szła Diana, a w światłach samochodów należących do członków kowemu dostrzeża wysoką sylwetkę Adama. Cassie poczuła przytępienie sił spowodowane samą ich obecnością.

– Jutro będziemy musieli porozmawiać – stwierdziła. – Mam wam mnóstwo do powiedzenia. Wszystkim z was. Rzeczy, o których mówiła mi babka, tuż zanim... zanim umarła.

– Możemy spotkać się w porze lunchu na plaży... – zaczęła Diana, ale przerwał jej gardłowy głos Faye:

– Nie, nie możemy. To ja teraz decyduję, gdzie się odbywają spotkania, może zapomniałaś?

Faye trzymała głowę wysoko, a srebrny diadem z półksiężycem połyskiwał na tle jej kruczoczarnych włosów. Diana otworzyła usta, ale po chwili je zamknęła.

– Dobrze – odparł Adam ze zwodniczym spokojem, występując z Kregu samochodowych reflektorów. Stanął obok Faye. – Jesteś przywódczynią, więc decyduj. Gdzie się spotykamy?

Faye zmrużyła oczy.

– W starej pracowni nauk ścisłych. Ale...

– Dobra. – Adam nie czekał, aż dziewczyna skończy. Odwrócił się do niej plecami. – Zawiozę was do domu – zaproponował Dianie i Cassie.

Faye miała wściekłą minę, ale cała trójka już ruszyła w swoją stronę.

– Tak przy okazji, Diano... Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! – zawołała za nimi złośliwie.

Diana nie odpowiedziała.

ROZDZIAŁ 3

Hiacynto! Jesteś tam? Hiacynto!

Cassie zamrugała w jasnym słonecznym świetle. Widziała już wcześniej to wnętrze. To kuchnia jej babki. Choć może niezupełnie... Ściany babcinej kuchni były nierówne i wyblakłe, wyglądały na proste i czyste. Palenisko w kuchni babki było przybrudzone sadzą stuleci – to wydawało się niemal nowe i miało nieco inny kształt. Żelazny hak do wieszania garnków aż liła.

To było wnętrze z jej snu. Z tego snu, który przyśnił jej się, kiedy ostatni raz nocowała u Diany. Niski fotel, na którym siedziała, był ten sam. I ten sen zdawał się zaczynać w tym samym miejscu, w którym poprzedni się skończył.

– Hiacynto, śpisz z otwartymi oczami? Przyszła Kate!

Cassie ogarnęło uczucie wyczekiwania i ożywienia. Kate, kim jest Kate? Nawet nie wiedziała, dlaczego

to robi, ale wstała i wtedy dotarło do niej, że ma na sobie sukienkę, która sięga czubków zgrabnych, brokatowych pantofelków. Z jej kolan na podłogę osunęła się Księga Cienia oprawiona w czerwonej skórce.

Odwróciła się w stronę, z której dobiegał głos. Tam, gdzie w kuchni jej babki byłyby boczne drzwi. W tym domu te drzwi były chyba frontowe. Wśród wpadającego do środka słonecznego światła dostrzegła stojące w nich dwie sylwetki. Jedna, wysoka, przypominała purytańskie kobiety z rycin, jakie widywała w książkach do historii. Druga postać była niższa i miała lśniące włosy.

Cassie nie dostrzegła twarzy żadnej z osób, ale niższą radosnym gestem wyciągnęła do niej rękę. Sięgnęła, chcąc je ująć, postąpiła krok naprzód...

I wtedy sen się zmienił. Było ciemno i słyszała zbolaty jęk rozdieranego drewna. Rozpylona w powietrzu sól zapiekła ją w twarz i Cassie bezskutecznie usiłowała przesyć wzrokiem ciemności.

Statek tonął. Szli na dno. Wszyscy. A Arkana Miśtra ginęły wraz z nimi. Na jakiś czas.

Ale tylko na jakiś czas. Cassie poczuła napelniającą jej myśli twardą determinację i w głębi gardła postmakowała goryczy. Lodowata woda zalewała jej stopy. Nagle sen się rozmył. Próbowano go jakoś zatrzymać, ale rozpyłają się wokół niej, a mrok burzliwej, szormowej nocy zmienił się w spokojną ciemność sypialni Diany.

Obudziła się.

I poczuła ulgę nie do opisania. Żyła.

Wcale nie było aż tak ciemno. Świat rozjaśniał zasłony, pokój zaczynał się robić szary. Diana spokojnie spała obok niej. Jak ona mogła tak spokojnie spać

po wszystkim, co się wydarzyło? Po tym, jak się dowiedziała, że jej najlepsza przyjaciółka zakochała się w jej chłopaku. Po tym, jak straciła przywództwo nad kowenem. Jak Diana mogła w ogóle zasnąć? Ale ciemne rzęsy Diany spokojnie i nieruchomo kładły się cieniem na policzki, a na jej twarzy nie było śladu goryczy.

Jest taka dobra. Ja nigdy bym taka nie mogła być, pomyślała Cassie. Nawet gdybym przez całe życie się starała. Mimo to czuła się lepiej już tylko dlatego, że była blisko niej.

Cassie wiedziała, że nie uda jej się znowu zasnąć. Usiadła, oparła się o wezgłowie łóżka i się zamysliła.

Boże! Jak to dobrze, że z Dianą wszystko w porządku. I z Adamem. Cassie niemal bała się myśleć o Adamie, bo spodziewała się bólu. Ale chociaż gdzieś głęboko czuła jakieś ukłucie, nie był to ból nie do zniesienia. Trucizna zazdrości i gniewu znikła całkowicie. Szczęście pragnęła, żeby Adam i Diana byli szczęśliwi. Stała się inną osobą niż ta, która przez ostatnie sześć tygodni płonęła frustracją, nie mogąc mieć chłopaka dla siebie.

Wiele dziwnych rzeczy robiła przez te ostatnie sześć tygodni. Tak wiele, że sama sobie wydawała się teraz obcą osobą. W głowie mi się to nie mieści, pomyślała. Pojechałam kraść dynie z Chrisem i Dougiem. Odpędziłam od Chrisa tego psa – to było zupełnie nie w moim stylu. Bawiłam się w Faceta z Pizzą u Faye. Pojechałam na tę zwiariowaną przejażdżkę motorem z Deborah... No, to akurat nie było takie znowu złe.

Mnóstwo rzeczy, które robiła w ostatnim miesiącu, wcale nie było takie złe. Kłanstwa, oszustwa i poczucie winy to okropieństwo, ale niektóre ze zmian okazały

się przyjemne. Zbliżyła się do Deborah i do Susan, trochę się dowiedziała, co kręci braci Hendersonów. Nawet Nick... Teraz miała wrażenie, że rozumie go lepiej. I odnajdywała w sobie siłę, o jaką nigdy samej siebie nie podejrzewała. Siłę, żeby odpędzić ten cień postaci na cmentarzu. Johna Blacka? A po śmierci Jelfreya siłę, żeby zaprosić chłopaka na imprezę z tańcami. Siłę, żeby stawić opór Faye.

Miała tylko nadzieję, że wystarczy jej tej siły, żeby stawić czoło dniom, które ją teraz czekały.

Cassie nie zaglądała do starej pracowni nauk ścisłych od czasu, kiedy Faye zwała ją tam i przetrzymywała pierwszego tygodnia szkoły. Teraz było tam tak samo ciemno i nieprzyjemnie, jak zapamiętała. Nie miała pojęcia, dlaczego Faye zaplanowała spotkanie właśnie tam. Może dlatego, że to jej terytorium, tak jak plaża zawsze stanowiła terytorium Diany.

Dziwnie było widzieć Faye na czele grupy, na miejscu Diany. Kiedy stała przed kowenem, wszystkie oczy kierowały się na nią. Faye miała na sobie swoje zwyczajne szkolne ubranie – czarne legginsy i sweter w czarno-czerwone pasy, ale mimo to otaczała ją jakaś tajemnicza aura przywództwa. Kiedy spacerowała po sali, jej gwiaździste rubiny błyskały w promieniach światła wpadających przez szczeliny okiennic.

– Rozumiem, że to Cassie chciała, żebyśmy się dzisiaj zebrali. Ma nam wiele do powiedzenia. Tak, Cassie?

– Chcę wam powtórzyć to, co moja babka powiedziała mi przed śmiercią – odparła Cassie spokojnym głosem. Patrzyła przy tym Faye prosto w oczy. – Zanim zabił ją John Black. – Jeśli spodziewała się, że Faye

się zawstydzi, to się rozczarowała. Ocenione ciężkimi powiekami złote oczy pozostały aroganckie i pewne siebie. Faye najwyraźniej nie brała na siebie żadnej odpowiedzialności za czyny Johna Blacka, chociaż to właśnie ona go uwolniła.

– To był naprawdę John Black? – spytała Susan z powątpiewaniem. Dotknęła idealnych ust prześlicznie wymankiowanym paznokciem, jakby myślenie stanowiło dla niej nowe i trudne ćwiczenie. – Naprawdę tu był?

– Tak, naprawdę tu jest – potwierdziła Cassie. Susan wcale nie była taka głupia, na jaką wyglądała. A czasem miewała naprawdę zaskakujące obserwacje. Cassie uznała, że warto by mieć ją po swojej stronie. – Uciekł z tego wzgórzka ziemi na cmentarzu. To był chyba jego grób. Kiedy zamiesiliśmy czaszkę na cmentarz i uwolniliśmy mroczną energię, dała mu siłę, aby powstać.

– Powstać z martwych? – spytał nerwowo Sean.

Zanim Cassie zdążyła odpowiedzieć, odezwała się Melanie:

– Ten pagórek nie mógł być grobem Johna Blacka, Cassie. Przepraszam, ale to niemożliwe. Usypano go raptem kilkanaście lat temu.

– Wiem, że jest nowy. To nie jest pierwszy grób Johna Blacka. Nie wiem zresztą, czy w ogóle miał grób w XVII wieku... Pewnie nie, jeśli zginął na morzu... – Z różnych stron posypały się zdziwione spojrzenia, ale Cassie prawie ich nie dostrzegła. – W każdym razie, to nie jest jego grób z tamtych czasów. To jego grób z 1976.

Laurel nalewała akurat z termosu ziołowej herbatki. Rozlana gorąca płyn na podłogę.

Faye stanęła jak wryta.

- Co? - warknęła.

Nawet Diana i Adam wydawali się zbici z tropu i popatrzyli na siebie. Wsparcie nadeszło z niespodziewanej strony.

- Dajcie jej opowiedzieć - odezwała się Deborah. Z kciukami zatkniętymi w kieszenie swoich dżinsów podeszła do miejsca, gdzie Cassie siedziała na odwróconej skrzynce i stanęła obok niej.

Cassie głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Wiedziałam, że jest w tym coś dziwnego, kiedy zobaczyłam na cmentarzu groby waszych rodziców, wszystkie z 1976. Diana powiedziała, że zginęli podczas huraganu, ale mnie się to nadal wydawało dziwne. Znaczący, dlaczego zginęli tylko wasi rodzice? Zwłaszcza, że dowiedziałam się, że wszyscy urodzili się zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Tyle małych dzieci, można by pomyśleć, że w zwykłym huraganie niektóre z nich też zginęły. Nie wspominając już nawet o tym, jakie to dziwne, że wszyscy urodzili się w tym samym miesiącu.

Odrpętyła się już trochę, chociaż nadal trudno jej było mówić, kiedy wszyscy się na nią patrzyli. Ale przynajmniej dzisiaj ich oczy nie błyszczały wrogością i podejrzliwością. Tylko Faye miała nieprzyjemny wyraz twarzy i stała z ramionami splecionymi na piersi, mrużąc kacie oczy.

- Widzicie, wyjaśnienie tego wszystkiego jest w sumie całkiem proste - ciągnęła Cassie. - John Black wrócił tu kilkanaście lat temu, gdy wasi rodzice byli młodzi. Nikt nie miał pojęcia, że to on. Moja babcia powiedziała, że nikt się nie domyślił, w jaki sposób udało mu się wrócić, ale to jednak był John Black. Pró-

bował stworzyć z naszych rodziców kowen, kiedy byli niewiele starsi od nas.

- Z naszych rodziców? - odezwał się Doug kpiąco. - Daj spokój, Cassie, co ty wygadujesz? - Inni zaczęli się śmiać, a miny mieli od sceptycznych, przez zaniepokojone, aż po zwyczajnie kpiące.

- Nie, zaczekajcie - włączył się Adam, nagle ożywiony. - Są rzeczy, które mogłyby to wyjaśnić. Wiem, że moja babcia od czasu do czasu wydaje się kompletnie szalona, ale mówiła mi różne rzeczy o rodzicach... O tym, że my, dzieciaki, stworzyliśmy kowen. Rzeczy, które do tego pasują. - Jego szaroniebieskie oczy pały ożywieniem.

- Jest jeszcze coś - stwierdziła Deborah, zerkając z ukosa na Nicka. - Babcia Cassie powiedziała, że moja mama miała wyjść za mąż za ojca Nicka. Ale John Black kazał jej poślubić mojego tatę. To by wyjaśniało, dlaczego mama płoszy się, jeśli się przy niej wspomni o magii. I dlaczego zawsze ma minę winowajczyni, kiedy mówi, że Nick staje się z wiekiem coraz bardziej podobny do własnego ojca. To może wiele wyjaśnić.

Nick jak zwykle stał z boku, w najciemniejszym kącie. Wpatrywał się w podłogę tak intensywnie, że chyba za chwilę oczami wywierciłby w niej dziurę.

- Tak, to możliwe - rzekł tak cicho, że Cassie ledwie go dosłyszała. Zastanawiała się, co też mu chodziło po głowie.

- To by wyjaśniało, dlaczego oni tak się na siebie ciągle wydzierają. Moi rodzice, znaczy - dodała Deborah.

- Wszyscy rodzice drą się na siebie. - Chris wzruszył ramionami.

- Wszyscy rodzice z tej ulicy to ci, którzy prze-trwali śmierć Johna Blacka - ciągnęła Cassie. - Prze-trwali, bo nie poszli z nim walczyć. Moja babcia powiedziała, że kiedy urodziło się jedenaścioro dzieci w ciągu jednego miesiąca, wasi rodzice wreszcie się potapali, do czego dążył John Black. Chciał mieć taki kowen, którym mógłby władać. Kowen z dzieci, które mógłby nagiąć do swojej woli, kiedy jeszcze dorastały. To wy - Cassie rozejrzała się po grupie - mieliście stać się jego kowenem.

Członkowie Klubu popatrzyli na siebie.

- A co z tobą, Cassie? - spytała Laurel.

- Ja urodziłam się później. Tak samo jak Kori, wie-cie. Nie należałyśmy do planu Johna Blacka, byśmy były zwykłymi dziećmi. Ale wy mieliście do niego nale-żeć. Tak to sobie zaplanował.

- No i ci rodzice, którym się to nie spodobało, po-szli się z nim rozmówić - wtrąciła Deborah. - Zabili go, spalili jego i dom pod numerem 13, ale sami przy tym ponieśli śmierć. Ci, którzy nadal żyją, to ichórze. Zostali w domu.

- Jak mój ojciec - powiedziała nagle Susan, uno-sząc wzrok znad swoich paznokci. - On się napraw-dę denerwuje, kiedy się przy nim wspomni o wojnie w Wietnamie albo o Titanicu. O jakiegokolwiek okazji, przy której ładnie ginęli, ratując innych ludzi. I nie chce rozmawiać o mojej mamie.

Cassie zobaczyła wokół siebie zdziwione spojrze-nia członków Klubu. W wielu oczach pojawiało się zrozumienie.

- Jak mój tata - odezwała się z namysłem Diana. - Zawsze powtarza, że mama była bardzo dzielna, ale nigdy nie wyjaśnił, dlaczego tak uważa. Nie dziwne-

go, skoro sam nie poszedł. Skoro pozwolił jej iść tam samej. - Zagryzła wargę, zmartwiona. - To okropne, odkryć coś takiego o własnym ojcu.

- Tak. No cóż, ja mam gorzej - stwierdziła Debo-rah z ponurą miną. - Żadne z moich rodziców nie po-szło. I z waszych też nie - dodała, zwracając się do Hendersonów. Bracia popatrzyli na siebie i zmasz-czyli brwi.

- Znaczący, że ci z nas bez obojga rodziców to szczę-ściarze? - spytała Melanie, unosząc brwi.

- Przynajmniej wiesz, że byli odważni - rzuciła krótko Deborah. - Ty, Adam, Laurel i Nick macie po-wody do dumy. Już wolałabym, żeby mnie wychowy-wała babcia albo ciotka niż mieć rodziców, którzy bez przerwy się na siebie wydzierają, bo tak się wstydzą tego, co zrobili.

Cassie znów spojrzała na Nicka i zobaczyła, że z jego twarzy coś zniknęło. Jakieś napięcie, które widzia-ła u niego zawsze, odkąd go tylko poznała. Nadało mu to odmienny wygląd, w jakiś sposób delikatniejszy, bardziej wrażliwy. W tej chwili uniośł brwi i spojrzał na nią, przylapując ją na tym, że się na niego gapi-ła. Chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła i ku swo-jemu zdziwieniu w jego spojrzeniu nie dostrzegła śla-du wrogości. Kącik ust uniośł mu się w ciepłym, ale pełnym ulgi uśmiechu. Miała ochotę też się do niego uśmiechnąć, żeby wiedział, że mu współczuje.

A potem zorientowała się, że Faye ich obserwuje. Odwróciła się i szybko przemówiła do całej grupy:

- Tamci, którzy zginęli, stracili życie dlatego, że nasi rodzice nie trzymali się razem. Tak właśnie po-wiedziała moja babcia. Ostrzegala, że teraz my je-stemy w niebezpieczeństwie, bo John Black po nas

wróci. Nadal chce mieć swój własny kowen, a teraz znów jest człowiekiem: żywym, oddychającym człowiekiem. Powiedziała, że kiedy go znów zobaczymy, wcale nie będzie popalony i okropny. I że możemy go nie rozpoznać, ale musimy być gotowi na spotkanie z nim.

- Dlaczego? - spytał Adam silnym głosem, który rozległ się wyjątkowo donośnie w nagłej ciszy. - Co będzie chciał zrobić?

Cassie uniosła ręce. Między nią i Adamem nie było już wstydliwych sekretów, ale za każdym razem, kiedy na niego patrzyła, czuła coś w rodzaju więzi. Nowej więzi, porozumienia między dwojgiem ludzi, którzy przeszli próbę ognia i wyszli z niej silniejsi. Między nimi już zawsze będzie istniało to zrozumienie.

- Nie wiem - odparła. - Może spróbuje nas ogłupić. Tak przynajmniej stwierdziła moja babka. Zmusi nas, żebyśmy poszli za nim tak jak nasi rodzice. Ale w jaki sposób? Tego nie wiem.

- Pytam dlatego, że może John Black nie chce wszystkich z nas - stwierdził Adam spokojnie. - Mówiłaś, że tak wszystko poprowadził, żeby urodziło się nas jedenastoro. Bo jeśli on dołączy do kowenu jako jego przywódca, będzie dwunasty. Ale ty Cassie nie byłeś wśród tej jedenastki. Ani Kori. I wygląda to tak, jakby specjalnie usunął ją z drogi.

Diana głęboko zaczerpnęła powietrza.

- O mój Boże, Cassie! Musisz wyjechać. Musisz uciekać z New Salem, jechać do Kalifornii... - Urwała, bo Cassie pokręciła głową.

- Nie mogę - odrzekła krótko. - Babka uprzedzała, że muszę zostać i walczyć. Powiedziała, że właśnie dlatego mama mnie tu przewiozła, żebym mogła się

z nim zmierzyć. Może i jestem w polowie obca, ale zdaje się, że jestem tym dzieckiem, którego nie zaplałował, więc może mam nad nim jakąś przewagę.

- Po co tyle skromności? - wtrąciła Deborah sucho. - Starsza pani wspomniła, że to dlatego, że wasza rodzina zawsze była najsilniejsza. Ze masz największy dar widzenia i najwięcej Mocy.

- No i mam teraz Księgę Cienia - dodała Cassie, nieco zawstydzona. Pochyliła się, żeby wyjąć z plecaka księgę oprawioną w czerwoną skórę. - Babka ukrywała ją za obłuzowaną cegłą w ścianie kuchennego kominka. John Black chciał ją zdobyć, więc musi w niej być coś, czego się boi. Zamierzam ją przeczytać i dowiedzieć się, co to takiego.

- A co może zrobić reszta z nas? - spytała Laurel. Cassie zorientowała się, że to pytanie skierowane jest do niej. Pomijając Faye, która gotowała się ze złości, wszyscy spoglądali na nią wyczekująco. Zbita z tropu, znów uniosła ręce i pokręciła głową.

- Możemy porozmawiać z babciąmi. Tymi, które jeszcze żyją i mieszkają w okolicy - podsunęła Deborah. - Przynajmniej tak myślę. Babcia Cassie powiedziała, że nasi rodzice zapomnieli o magii, że zmusili się, żeby o wszystkim zapomnieć, bo chcieli przetrwać. Ale pomyślałam sobie, że babcie nie musiały niczego zapominać i że wiele mogą nam powiedzieć. Na przykład babunia Quincey, prababcia Laurel i babcia Adama, stara pani Franklin. Nawet twoja ciocietna babka, Mel.

Melanie zrobiła powątpiewającą minę.

- Ciotka Constance zupełnie nie aprobuje starych tradycji. Jest w tej sprawie dość... niewzruszona.

- A babunia Quincey jest taka kruchutka - wrzuciła się Laurel. - A jeśli chodzi o starszą panią Franklin... No cóż, ona nie zawsze mówi do rzeczy.

- To i tak łagodnie powiedziane - dodał Adam. - Spójrzmy prawdzie w oczy, moja babcia czasami niezłe odlatuje. Ale uważam, że Deborah ma rację, tylko one nam zostały, więc musimy wykorzystać okazję. Możemy też spróbować wyciągnąć trochę informacji od niektórych rodziców. Co mamy do stracenia?

- Calkiem sporo, jeśli to mojego tatę zaczniemy wypytywać - mruknęła Susan. Uniosła palce w smudze światła padającej od okna, żeby przyrzeć się paznokciom. Ale Chris i Doug Hendersonowie wyszczerzyli zęby w szerokim uśmiechu i oznajmili, że sami chętnie przesłuchają wszystkich rodziców.

- Powiemy: „Hej, a pamiętacie tego gościa, którego usmażyliście jak Freddiego Kruegera szesnaście lat temu? No, to on wrócił, więc może chcielibyście pomóc nam go rozpoznać?” - stwierdził Doug, smakując każde słowo.

- Twoja babcia nie powiedziała nic, co by nam pomogło? - spytała Laurel, kierując te słowa do Cassie.

- Nie... Zaraz! - Wyprostowała się. Ożywiła się. - Powiedziała, że zidentyfikowali ciało Johna Blacka w tym spalonym domu po pierścieniu z magnetytem. - Popatrzyła na Melanie. - Jesteś specjalistką od kryształów. Co to jest magnetyt?

- To czarny tlenek żelaza - wyjaśniła Melanie w zamyśleniu, mrużąc ciemne oczy. - Przypomina hematyt, który też jest tlenkiem żelaza. Ale hematyt jest krwistoczerwony, kiedy się go potnie na cienkie plasterki. Magnetyt jest czarny i ma właściwości magnetyczne.

Cassie usiłowała zapanować nad wyrazem twarzy. No cóż, wiedziała, że hematyt, który znalazła, pochodził z ruin domu Johna Blacka. Być może to faktycznie był jego kamień. Nie zdziwiłaby się, gdyby nosił pierścien z czymś podobnym. Mimo wszystko, ogarnął ją lekki niepokój. Naprawdę byłoby lepiej, gdyby się pozbyła tego kamienia. W tej akurat chwili leżał bezpiecznie w kasetce w szufladzie, gdzie go odłożyła, kiedy Diana podwiozła ją do domu, żeby mogła wziąć stamtąd przed lekcjami jakieś ubranie.

- No dobrze, będziemy czujni - oświadczył Adam, oszczędzając Cassie konieczności odrywania się. - Z babciąmi możemy porozmawiać jutro. Albo może powinniśmy poczekać, aż będzie po pogrzebie babci Cassie?

- Dobrze - mruknęła Cassie.

- Podsuwasz wiele sugestii, Adamie - odczekała się Faye, która już nie mogła wytrwać w milczeniu. Ramiona nadal miała splecione na piersi, a jej jasnomiodowa skóra była zaróżowiona z gniewu.

Adam spojrzal na nią obojętnie.

- Tak naprawdę to przyszła mi do głowy jeszcze jedna - powiedział. - Moim zdaniem powinniśmy ponownie zgłosować i wybrać przywódcę.

Faye skoczyła w jego stronę, a jej złote oczy zapłonęły.

- Nie możecie tego zrobić!

- Dlaczego? Jeśli wszyscy się zgodzą? - rzekł Adam spokojnie.

- Bo tak nigdy nie bywało - syknęła Faye. - Spójrz do którejkolwiek Księgi Cienia, to się przekonasz! Głosowanie to głosowanie. Wygrałam i nic tego nie zmieni. Jestem przywódczynią tego kowenu!

Adam spojrzal na pozostałych, szukając wzrokiem pomocy, ale Melanie miała zamkniętą minę, a Diana tylko powoli kręciła głowę.

- Ona ma rację, Adamie - odezwała się cicho Diana. - Głosowanie odbyło się zgodnie z regulami. Nie ma żadnych zasad pozwalających zmienić jego wynik. - Melanie niechętnie zgodziła się z nią i poklęwała głową.

- Nie podoba mi się, że robisz wszystkie te plany, nie pytając mnie o zdanie - ciągnęła Faye, znów krążąc po sali jak pantera w klatce. Miało się wrażenie, że cisza z oczu iskry, kiedy czerwone kamienie na jej szyi i palcach błyskały w pasmach światła zza okien.

- Włec co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? - spytała Laurel wojowniczo. Odrzuciła przy tym na plecy długie, jasnobrunatne włosy. - To ty chciałaś uwolnić Johna Blacka, Faye. Mówiłaś, że nam pomoże, że odda nam swoją Moc. No i co teraz? Co powiesz, kiedy już tu jest?

Faye oddychała z trudem.

- Może nas tylko sprawdzi...

- Zabijając babcię Cassie? - wtrąciła ostro Deborah. - Nie bądź głupia, Faye. Byłam tam. Widziałam to. Nie ma żadnego wytłumaczenia dla mordowania starszych pań.

Faye spiorunowała wzrokiem przyboczną, która najwyraźniej przeszła na stronę wroga.

- Nie wiem, dlaczego to zrobił! Może ma jakieś plany, o których nie wiemy.

- To najprawdziwsza rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałaś - przerwała Melanie. - On rzeczywiście ma plany, Faye, żeby nas przeciągnąć na swoją stronę. Już

zabił cztery osoby. A jeśli go rozłożymy, to na pewno nas też z radością pozabiją.

Faye przestała chodzić z kąta w kąt i uśmiechnęła się triumfalnie.

- Nie może - rzuciła. - Jeśli Cassie ma rację... Nie mówię, że ją ma, ale jeśli ją ma, to Black nas potrzebuje do informowania kowenu. Więc nie może nas zabijać.

- No cóż, w każdym razie, nie może nas wszystkich pozabijać - odezwał się Adam sucho. - Za to może się pozbyć jednej osoby.

Zapadło milczenie. Członkowie Kręgu niepewnie popatrzyli na siebie.

- No cóż, w takim razie lepiej zadbaćcie o to, żeby nikt z was nie był tą osobą - stwierdziła Faye, uśmiechając się do zebranych. To nie był jej zwykły leniwy uśmiech, bardziej przypominał obnażenie zębów. Zanim ktokolwiek zdołał coś powiedzieć, zawróciła i zamasztyłym krokiem wyszła z sali. Słyszeli jej kroki, kiedy zbiegała szybko po schodach, a potem trzaśnięcie drzwi skrzydła nauk ścisłych.

Cassie, Adam i Diana zerknęli na siebie. Adam pokręcił głową.

- No to mamy kłopoty - powiedział.

- A więc to są nasze wnioski ze spotkania? - odezwała się Deborah.

Diana znużonym gestem oparła czoło na dłoń.

- Potrzebujemy jej - stwierdziła. - Jest przywódczynią kowenu i potrzebujemy jej po swojej stronie, nie po jego. Lepiej chodźmy z nią porozmawiać.

Członkowie Klubu powoli powstawali z miejsc. Na zewnątrz było aż za jasno i Cassie zmrużyła oczy. Właśnie skończyła się siódma lekcja i ludzie wylewali się ze

szkolnych drzwi. Cassie rozglądała się po tłumie, ale nigdzie nie widziała Faye.

- Pewnie pojechała do domu - domyśliła się Diana. - Musimy za nią jechać...

Cassie nie dosłyszała reszty zdania. Wśród tłoczących się na parking uczniów nagle błysnęła jej znajoma twarz. Dziwne, bo ten ktoś stanowczo wydawał się tu nie na miejscu. Musiała długo szukać w pamięci nazwiska tej osoby. Na liście boskiej, gdzie ona widziała ten zadarty nos, włosy w kolorze słomy, zimne piwne oczy? To był ktoś, kogo dobrze znała, ktoś, kogo przywykła oglądać dzień po dniu, ale kiedy przyjechała do New Salem, z wielką radością o tym kimś zupełnie zapomniała.

Cassie przypomniała sobie uczucie wilgotnego upału. Wspomnienie piasku pod stopami, potu płynącego po bokach, tustego olejku do opalania na nosie. Odgłos fal uderzających o brzeg, zapach przegrzanych ciał i wrażenie przygnębienia.

Cape Cod.

Ta znajoma osoba to Portia!

ROZDZIAŁ 4

Hej, Cassie, uważaj - rzucił Chris, który wpadł na nią, kiedy stanęła jak wryta. - Co się stało?

- Właśnie kogoś zobaczyłam. - Cassie sama czuła, jak szeroko otworzyła oczy, wpatrując się w tłum. Portia znikła w morzu podskakujących głów. - To dziewczyna, którą poznałam latem... - Urwała i zamysliła się nad tym, jak ma wyjaśnić Kręgowi fenomen Portii. Ale Adam też ją widział.

- Łowczyń czarownic - stwierdził ponuro. - To jej bracia mieli broń. Traktują to całkiem poważnie. To nawet nie ich hobby, ale obsesja.

- I przyjechali tutaj? - zadrwiła Deborah. Cassie przenosiła wzrok z ciemnowłosej dziewczyny na Adama i z powrotem. Najwyraźniej ci ludzie już się kiedyś spotkali z polowaniem na czarownice. - Niezbyt mądrze.

- Może to był przypadek albo jakaś pomyłka. Może jej rodzice przeprowadzili się, a ona przeniosła się z nimi, czy coś. - Laurel, jak zawsze, starała się być optymistką.

Cassie pokręciła głowę.

- Portia nie popełnia pomyłek - mrugnęła. - I żał mi przypadku, który spróbuje stanąć jej na drodze. Adamie, co teraz zrobimy? - Zmartwiła się tym wszystkim niemal bardziej niż wiedzą, że John Black jest gdzieś na wolności w New Salem. Tamten lęk ogłupiał, był zbyt wielki, żeby mieć jakiś związek z rzeczywistością. Lęk przed Portią był czymś bardziej znajomym i Cassie poczuła, że zaczyna ją ogarniać dawna, odruchowa beznadność. Nigdy nie umiała radzić sobie z Portią, z każdej utarczki z nią wychodziła oniemiała, upokorzona i pokonana. Przymknęła oczy.

Przecież już taka nie jestem. Ani taka nie będę, pomyślała. Ale ze strachu żółdek podchodził jej do gardła.

- Poradzimy sobie z nią - zaczął Adam ponuro, ale przerwał mu Doug. Zielononiebieskie oczy chłopaka rozbliły.

- Hej, ona jest wrogiem, tak? A John Black, mistrz czarów, powiedział, że pomoże nam zniszczyć naszych wrogów, tak? No to...

- Nawet o tym nie myśl - wtrącała szybko Melanie. - Przestań, Doug, serio mówię.

Doug zwiesił ramiona, ale zerknął bokiem na brata bliźniaka spod opuszczonych rzęs.

- Zła magia - mruknął Chris, wpatrując się w dal.

Cassie popatrzyła na Adama.

- Nigdy - odpowiedział krzepięco. - Nie martw się, Cassie. Nigdy w taki sposób.

Cassie mieszkała teraz u Diany.

- No przecież nie możesz zostać w tym wielkim domu sama - stwierdziła Diana tego popołudnia i razem z Laurel i Melanie pomogły Cassie przenieść rzeczy. Adam i Deborah przyszli, na wszelki wypadek, i spacerowali niespokojnie wokół domu. Wpłyszłość pozostałych członków Klubu też wpadała pod takim czy innym pretekstem. Tylko Faye się nie pojawiła. Nikt jej nie widział od chwili, kiedy znikła z terenu szkoły.

Sam dom nie był jakos szczególnie uszkodzony, pomijając te dziwne wypalone miejsca na posadzkach i niektórych drzwiach. Oficjalna interpretacja, przyjęta przez dorosłych, którzy poprzedniej nocy przyjechali, żeby zabrać ciało babci Cassie, mówiła, że došlo do pożaru, a pani Howard tak się przestraszyła, że dostała ataku serca. Klub nie wspominał o intruzie, a policja nawet nie ogrodziła domu taśmą, żeby zabezpieczyć teren. Jakim cudem, zdaniem policji, drewniany parkiet mógł w taki dziwny sposób zapalić się w różnych miejscach, Cassie nie miała pojęcia. Nikt

jej o nic nie pytał, a ona sama na pewno nie wybierała się na komisariat, żeby ich o wszystkim informować.

Dom wydawał się pusty. Niosło się po nim echo, chociaż kręcili się po nim członkowie Klubu. Cassie miała wrażenie, że w niej samej też jest pustka. Nigdy by nie pomyślała, że aż tak bardzo będzie tęskniła za babką - zwykłą, zgarbioną staruszką o potarganych siwych włosach, z brodawką na policzku. Ale te stare oczy wiele widziały, a powykrywane artretyzmem dłonie były zręczne i łagodne. Jej babcia wiedziała tyle różnych rzeczy. W jej towarzystwie Cassie zawsze czuła się lepiej.

- Szkoda, że nie mam jej zdjęcia - stwierdziła Cassie cicho. - To znaczy mojej babci. - Czarownice nie lubły pozować do zdjęć, więc nie zostało jej nawet to.

- Była całkiem fajną staruszką - powiedziała Deborah i zarzuciła sobie na ramię wielką torbę, a potem podniosła tekturowe pudło pełne książek i płyt. - Chcesz jeszcze coś?

Cassie rozważała się po pokoju. Jasne, wszystko, pomyślała. Chętnie zabrałaby swoje wielkie łóżko z baldachem w kolorze przydymionej róży, miękkie wyscielane fotele i solidną mahoniową komodę, która miała dokładnie ten sam kolor, co oczy Nicka.

- To się nazywa „bomba”, ta komoda tutaj - powiedziała do Deborah. - Robiono je w Massachusetts, to jedyne miejsce w koloniach, gdzie produkowano komody w tym stylu.

- Tak, wiem - odparła Deborah obojętnie. - W moim domu jest takich pełno. Waży tonę i nie uda ci się tego przesunąć. Chcesz wziąć sprzęt grający, czy jak?

- Nie, mogę korzystać ze sprzętu Diany - odparła Cassie ze smutkiem. Czowała się tak, jakby zostawiła za

sobą całe życie. Przenoszę się tylko parę domów dalej, napomniała samą siebie, kiedy Deborah wyszła.

- Cassie, jeśli chcesz zajrzeć do nas dziś po południu i zobaczyć się z mamą, to ciotka Constance nie ma nic przeciwko temu. - Melanie stanęła w drzwiach. - O dowolnej porze, byle przed obiadem.

Cassie pokiwiała głową. Czula, że coś ją ścisiska w pierś. Matka. Oczywiście, mamie nie się nie stanie, ciocieczna babcia Melanie chętnie się nią zajęła i lepiej, żeby u niej została, niż żeby zabrano ją gdzie indziej. No powiedz, co chciałaś powiedzieć! Na oddział psychiatryczny, skarciła się w myślach. Gdyby lekarze ją zobaczyli, chcieliby ją oddać do szpitala albo do jakiegoś zakładu. Ale to nie miejsce dla niej. Zresztą mama wyzdrowieje. Musi po prostu trochę wypocząć, to wszystko.

- Dzięki, Melanie - odparła Cassie. - Przyjdę, kiedy skończymy z przeprowadzką. Miło ze strony twojej babci, że się nią zajęła.

- Dla ciotki Constance to nic miłego, to po prostu obowiązek - stwierdziła Melanie i zawróciła do wyjścia. - Ciotka Constance mocno wierzy w wypełnianie obowiązku.

To tak jak ja, pomyślała Cassie. Zaczęła zbierać ubrania z łóżka. To tak jak ja.

- Przypomniałam sobie jeszcze coś... Za chwilę zejść na dół! - krzyknęła za Melanie.

Pomyślała o hematycie. Jedną ręką sięgnęła i otworzyła kasetkę na biuletterie... Zesztywniała. Przerzuciła palcami zawartość kasetki, ale bezskutecznie.

Kawałek hematytu znikł. Cassie ogarnęła paniką. Miała zamiar coś zrobić z tym kamieniem, ale cały czas to odkładała. Teraz,

kiedy znikł, zdala sobie sprawę z tego, jak niebezpieczny jej się wydawał.

Tym razem, zapowiedziała sobie, nie będziesz trzymać sprawy w sekrecie i zamartwiać się nią sama. Tym razem zrobisz to, co powinnaś była zrobić na samym początku, czyli powiesz Dianie.

Cassie zeszła po schodach. Diana i Laurel były w ogrodzie ziołowym i zbierały rośliny, które zdaniem Laurel mogły się przydać. Cassie zebrała się na odwagę.

- Diano - powiedziała. - Muszę ci coś powiedzieć. Zielone oczy Diany rozszerzyły się, kiedy Cassie opowiadała jej o hematycie, o tym jak go znalazła. I jak go trzymała w sekrecie. Nikt o nim nie wiedział poza Deborah oraz Faye.

- A teraz znikł - dokończyła Cassie. - Moim zdaniem, to nie oznacza niczego dobrego.

- Nie - odparła Diana powoli. - Na pewno nie, Cassie, nie rozumiesz? Kiedy nosiłaś ten hematyt, on na ciebie działał. Sprawiał, że robiłaś różne rzeczy... Miałas go przy sobie na tamtej imprezie z okazji Halloween, kiedy chciałaś, żeby Adam cię pocałował?

- Ja... tak. - Cassie czuła, że krew uderza jej do twarzy. - Ale, Diano, chciałabym powiedzieć, że to przez hematyt. Tak jednak nie było. To po prostu przeze mnie. To ja tego chciałam.

- Być może, ale załóż się, że i wcześniej tego chciałaś, a przecież tego nie robiłaś. Hematyt nie zmusiłby cię, żebyś zrobiła coś wbrew własnej woli, ale może ułatwiać ci robienie rzeczy, których normalnie byś unikała.

- Tak jak onyks. Poddaj się własnej ciemnej stronie - szepnęła Cassie.

– Tak – powiedziała Diana.

– Musi go mieć ktoś z nas, ktoś z Kręgu – oznajmiła z przekonaniem Cassie. – Bo włożyłam go dziś rano do kasetki i nikogo wtedy w domu nie było. Ale kto go zabrał?

Diana pokręciła głową. Laurel się skrzywiła.

– Ja się trzymam roślin – oznajmiła. – Są bezpieczniejsze, jak długo się je szanuje i wie, co się robi. Nie wpływają na człowieka.

Na prośbę Cassie, we trzy jeszcze raz przeszukały pokój. Ale hematytu nigdzie nie znalazły.

We czwartek Cassie poszła do szkoły. Dziwnie było siedzieć na zajęciach z literatury i wiedzieć, że życie wokół niej toczy się jak zwykle. Wszyscy ci ludzie – uczniowie odliczający dni do Święta Dziękczynienia, nauczyciele prowadzący lekcje, wicedyrektor przechodzący korytarzami ze znaną miną – nie mieli pojęcia, co się znalazło na wolności ledwie krok od nich i tylko czekało na kolejną okazję do ataku. Oczywiście, Cassie miała o tym raczej mgliste pojęcie. Jaką formę przyjmie teraz John Black? Jak będzie wyglądał, kiedy znowu go zobaczy? Rozumiała jednak, że grozi im niebezpieczeństwo.

Faye nie pokazała się na angielskim. Cassie musiała zostać po lekcji, żeby wyjaśnić panu Humphriesowi, dlaczego nie było jej przez dwa dni. Okazał jej współczucie i wydłużył termin napisania kolejnego wypracowania, ale trochę za długo ją przetrzymał. Cassie była już spóźniona na algebrę, kiedy wbiegła do łazienki na trzecim piętrze. Po zamknięciu się w kabynie, usłyszała na zewnątrz głosy, które sprawiły, że zamarła i zapomniała o upływie czasu.

— 170 —

Dziewczyny prowadziły rozmowę, która najwyraźniej toczyła się już od jakiegoś czasu.

– No i potem miała wracać do siebie, do Kalifornii – mówił pierwszy głos. Cassie słyszała go zbyt wiele razy, żeby go nie rozpoznać. Portia. – Ale to najwyraźniej też było kłamstwo, jeśli to jest ta sama Cassie, którą tam poznałam.

– Mówiłaś, że jak ona wyglądała? – odezwał się drugi głos. Ostry, swarliwy... Cassie rozpoznała Sally Waltman.

– Och, to takie kompletne zero. Jest zupełnie przeciętna, przeciętnego wzrostu, nieco wyższa od ciebie...

Lekkie chrząknięcie od strony Sally.

– Nie żebyś ty była niska, oczywiście. Jesteś... drobniutka. W każdym razie, ona jest taka dość szczupła i wszystko w jej wyglądzie jest po prostu zwyczajne: zwyczajne brązowe włosy, zwyczajna drobna twarz, zwyczajne ubrania. Zupełnie nie ma o czym mówić. W sumie, jest niesłychanie nudna...

– To nie ta sama Cassie – przerwała Sally szorstko. – Za tą w czasie Jesiennego Balu wszyscy faceci uganiali się z wywieszonymi ozorami. Nie wyłączając mojego chłopaka. I popatrz tylko, dokąd go to zaprowadziło. Na pierwszy rzut oka może i wydaje się przeciętna, ale w jej włosach jest mnóstwo różnych odcieni i zmieniają wygląd zależnie od światła. Poważnie. I jestem pewna, że ona tylko tak udaje, ale wygląda tak jakoś krucho i słodko. Faceci uwielbiają opiekować się takimi dziewczynami, a one potem zaczynają rozstawać ich po kątach. I wszystko jej wybaczą, może dlatego, że otwiera te swoje wielkie oczy i udaje, że uważa się za kogoś gorszego. To takie typowe: „Och, jestem po prostu zwyczajną dziewczyną, ale

— 171 —

naprawdę tak bardzo się staram”. I wszyscy chętnie to kupują.

Cassie z oburzeniem otworzyła usta i szybko je zamknęła.

– A oczy ma niesamowicie – ciągnęła Sally z goryczą. – Nie tyle w kolorze, bo są takie sobie szaroniebieskie. Ale są takie wielkie i spojrzenie ma tak szczere, że aż się od tego robi człowiekowi niedobrze. Zawsze wygląda tak, jakby oczy miała pełne łez i mogła się lada chwila rozplakać. To niesamowicie działa na facetów.

– To jest ta sama dziewczyna – stwierdziła stanowczo Portia. – Tylko wtedy, kiedy ją poznałam, miała dość rozumu, żeby się z tym wszystkim nie obnosić. Wtedy знаła swoje miejsce.

– No cóż, teraz należy do najpopularniejszej paczki w szkole. Oni wszyscy uważają, że są cudowni i że wszystko im wolno. Włącznie z zabijaniem ludzi.

– No, z tym to już koniec – odezwała się Portia z satysfakcją. – Wszystko się teraz dramatycznie zmieniło. Na lepsze. Wiesz, cieszę się, że mama zdecydowała się przeprowadzić tutaj po rozwodzie. Myślałam, że będzie okropnie, ale teraz wszystko wygląda coraz lepiej. Cassie uważała, żeby się nie poruszyć. A więc Sally i Portia łączyły siły? Gdyby tylko były teraz tak mile i zechciały dokładniej opisać swoje plany...

Ale kilka następných zdań zagłuszył odgłos spuszczonej wody, a potem usłyszała słowa Sally:

– Lepiej pójść na rachunek różniczkowy. Chcesz się spotkać na lunchu?

– Tak. I uważam, że powinnaś odwiedzić mnie w domu w Święto Dziękczynienia – powiedziała Portia. – Na pewno polubisz moich braci.

— 172 —

Cassie stała, otoczona opiekuńczo pozostałymi członkami Kręgu. Była sobota, pogrzeb dobiegał już końca.

To nie był stary cmentarz. Ten, który został „zniszczony przez wandalów” (to oficjalna interpretacja policji) tej nocy, kiedy zmarła jej babka. Pogrzeb odbywał się na nowym cmentarzu, tym samym na którym pochowano Kori. To znaczy, nowym w kategoriach typowych dla New Salem. Najstarsze groby pochodziły z początku XIX wieku. Cassie zastanawiała się, dlaczego rodzice jej przyjaciółki pomordowani przez Johna Blacka w 1976, nie zostali tu pochowani. Może ktoś uznał, że stary cmentarz jest dla nich bardziej odpowiednim miejscem.

Ludzie podchodzili do niej i mówili, jak bardzo im przykro. Pytali też o jej matkę. Oficjalnie mówiło się, że jest w szoku po śmierci babci Cassie i czuje się tak źle, że nie mogła przyjść na pogrzeb. Cassie powtarzała wszystkim, że mama w końcu wydobrzeje.

Faye też się pokazała, ku zdziwieniu Cassie. Jej czarna, koronkowa sukienka była piękna, nawet jeśli nieco zbyt obcisła jak na pogrzeb. Czerwone usta i paznokcie stanowiły jedyne plamy koloru w jej postaci.

– Przykro mi – odezwał się chłodno znajomy głos. Cassie uniosła oczy i dostrzegła Portię. Sally stała tuż za nią; te dwie w ostatnich dniach stały się po prostu nierozłączne. – Jaka to niespodzianka, spotkać cię tutaj – dodała Portia, wbijając w Cassie spojrzenie piwnych oczu. Cassie dobrze je pamiętała. Wredne jak spojrzenie żmii, pomyślała. Zdawały się mieć jakieś hipnotyczne właściwości i niemal od razu poczuła, że zaczyna ją ogarniać przytłaczające poczucie bezradności.

— 173 —

Próbowała z nim walczyć, odezwać się, ale Portia już ciągnęła:

- Nie wiedziałam, że masz tu rodzinę. Ale może teraz, kiedy już nie masz, wrócisz do Kalifornii...?

- Nie, zostaję. - Ku własnej irytacji, Cassie nie znalazła żadnych innych słów. Na pewno dziś wieczorem przyjdzie jej do głowy jakiś miładźco celna riposta.

Ale w New Salem nie była sama.

- Cassie nadal ma tu rodzinę. - Adam stanął u jej boku.

- Ta-s... wszyscy jesteście braćmi. I wszystkie żyjące istoty są, no, połączone - powiedział Chris i stanął po drugiej stronie Cassie. Popatrzył na Portię tymi swoimi dziwnymi zielononiebieskimi oczami. Doug dołączył do brata, uśmiechając się swoim szalonym uśmiechem.

Portia zamrugała. Cassie zapomniała już, jakie wrażenie wywierali Hendersonowie na ludziach, którzy ich jeszcze nie znali.

Portia doszła jednak szybko do siebie.

- No właśnie... Mówi się, że wszyscy ludzie są braćmi. No cóż, może któregoś dnia poznać i moją rodzinę. - Popatrzyła na Adama. - Jestem pewna, że ucieszą się ze spotkania. - Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Cassie i Adam wymienili spojrzenia, ale zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, podszedł do nich pan Humphries.

- To było piękne nabożeństwo - zwrócił się do Cassie. - Wszystkim nam będzie brak twojej babci.

- Dziękuję - odparła Cassie. Udało jej się uśmiechnąć do niego. Lubila pana Humphriasa z tą jego za-

dhaną niedużą, szpakowatą bródką i sympatycznymi oczami, które spoglądały zza szkielec okularów w złoty oprawkach. - Miko, że pan przyszedł.

- Mam jednak nadzieję, że twoja matka wkrótce się lepiej poczuje - rzekł jeszcze pan Humphries, a potem odszedł. Następną w kolejce była pani Lanning, nauczycielka historii amerykańskiej, ale Cassie nadal nie spuszczała wzroku z pana Humphriasa. Dołączył do niego wysoki, ciemnowłosy mężczyzna i Cassie usłyszała pomruk głębokiego głosu, a potem szybszy, wyższy ton odpowiedzi nauczyciela angielskiego.

- ... przedstawić mnie? - mówił ciemnowłosy mężczyzna.

- Ależ oczywiście - odparł pan Humphries. Znowu podszedł do Cassie razem z nieznanym. - Cassie, pozwól, że ci przedstawię naszego nowego dyrektora, pana Jacka Brunswicka. Chciałby poznać swoich uczniów jak najwcześniej.

- No właśnie - stwierdził wysoki mężczyzna głębokim, przyjemnym głosem. Ujął rękę Cassie w mocnym uścisku. Jego dłoń była duża i silna. Zerknęła na nią i już otworzyła usta, żeby powiedzieć coś uprzejmego, ale potem zamarła, sparaliżowana, czując, że serce zaczyna jej walić jak młotem, a krew odpływa z twarzy.

- Chyba źle się poczuła... To był taki długi dzień... - mówiła pani Lanning, ale jej głos dochodził jakby z bardzo daleka. Ujęła dziewczynę pod ramię.

Ale Cassie nie mogła puścić silnej, zgrabnej dłoni ciemnowłosego mężczyzny. Ciągłe miała przed oczami sygnet na jego palcu wskazującym, z wygrawerowanym symbolem, który przypominał jej inskrypcje na

srebrnej bransolecie Diany - teraz należącej do Faye. Kamień w sygnecie był czarny i lśnił metalicznie. Wyglądał jak hematyt, ale Cassie wiedziała, że to nie hematyt. To był magnetyt.

A potem, wreszcie, Cassie uniosła wzrok na nowego dyrektora szkoły i zobaczyła twarz, którą widziała w czasie ceremonii z czaszką w garażu Diany. Twarz, która mknęła wtedy, coraz szybciej, w jej stronę, usiłując wydostać się na wolność. Przez moment wydawało jej się, że widzi zarys czaszki, nalożony na twarz dyrektora, jakby dostrzegła dokładnie budowę jej kości. Puste oczodoły, wyszczerzone zęby...

Cassie zachwiała się na nogach. Pani Lanning usiłowała ją podtrzymać. Usłyszała zaniepokojone głosy Adama i Diany. Nie widziała jednak nic poza mrocznymi oczami nowego dyrektora. Przypominały skłisną wulkaniczną skałę, ocean o północy, magnetyt. Te oczy ją pochłaniały...

Cassie. Jakis głos odezwał się w jej myślach.

Otoczyła ją napierająca zewsząd ciemność. Zemdlała.

Mrok. Była na statku... Nie. Nie na statku. Walczyła o życie w lodowatej wodzie. Cassie zamachnęła się rękoma, usiłując wydostać się na powierzchnię. Nic nie widziała...

- Spokojnie! Cassie, nic ci nie grozi, wszystko w porządku.

Z czoła Cassie spadł wilgotny kompres. Była w salonie u Diany; leżała na kanapie. W pokoju panował półmrok, bo zasłony zostały zaciągnięte, a światła zgaszone. Diana nachylała się nad nią, a duża, srebrzysta

kaskada jej włosów opadała niczym kurtyna oddzielająca Cassie od świata.

- Diano! - Złapała dziewczynę za rękę.

- Już dobrze. Nic ci nie jest. Nic ci nie grozi.

Cassie wypuściła powietrze i oparła się o poduszki kanapy. Spojrzała Dianie w oczy.

- Jack Brunswick to John Black. - To było beznamiętne stwierdzenie.

- Wiem - powiedziała Diana ponuro. - Kiedy zemdlałaś, wszyscy zauważyliśmy ten sygnet. Chyba nie spodziewał się, że go rozpoznamy tak szybko.

- Co się działo? Co zrobił? - Cassie wyobraziła sobie zamieszanie na cmentarzu.

- Nie specjalnego. Odszedł, kiedy nieśliśmy cię do mojego samochodu. Adam i Deborah poszli jego śladem, ale starali się nie rzucić w oczy. Próbuje go wytropić. Nikt inny... nikt z dorosłych nie zorientował się, że dzieje się coś złego. Stwierdzili, że byłaś wyczerpana. Pan Humphries powiedział, że może powinnaś wziąć trochę wolnego od szkoły.

- Może wszyscy powinniśmy - szepnęła Cassie. W głowie jej się kręciło. John Black jako dyrektor szkoły. Co on, na litość boską, zaplanował? - Powiedziałaś, że Adam poszedł za nim? - odezwała się, a Diana kiwnęła głową. Cassie poczuła ukłucie niepokoju i irytacji. Wolalaby, żeby Adam był tutaj, żeby mogła z nim porozmawiać. Potrzebowała go...

- Hej, wszystko tu u was w porządku? - Chris i Doug stanęli w drzwiach, jakby to był jakiś budoar damy, do środka którego nie wolno zaglądać.

- Nic jej nie jest - uspokoiła ich Diana.

- Jesteś pewna, Cassie? - zagadnął Chris i odważył się zrobić kilka kroków w głąb salonu. Cassie pokiwiała

slabo głową, a potem nagle przypomniała sobie o słowach Sally w szkolnej łazience. „Faceci uwielbiają opiekować się takimi dziewczynkami”. To przecież nieprawda... Sally wszystko się pomieszało, nic nie rozumiała.

– Chodźcie, chłopaki, w lodówce jest ciasto karmelowe. – Diana zaprosiła braci do kuchni. – Ludzie z całego sąsiedztwa zwołaj nam jedzenie i potrzebujemy pomocy, żeby to wszystko się nie zepsuło. – Cassie pomyślała, że to dziwne, że Diana zostawia ją samą, ale potem zorientowała się, że z Dougiem i Chrismem przyszedł ktoś jeszcze.

W korytarzu tuż za drzwiami salonu stał Nick. Kiedy Diana wyprowadziła Hendersonów, powoli wszedł do środka.

– Hm... Cześć, Nick – powiedziała niechętnie Cassie.

Rzucił jej dziwny, szybki uśmiech i przysiadł na oparciu kanapy. Znikła gdzieś ta jego kamienna maska. W ciemnym wnętrzu Cassie wydawało się, że chłopak jest nieco zmęczony i trochę smutny, ale może tylko jej się tak wydawało.

– Jak się czujesz? – spytał. – Przez chwilę nieźle nam tam napędziłaś strachu.

Nick wystraszony? Cassie jakos nie mogła w to uwierzyć.

– Już dobrze – powiedziała i zaczęła szukać czegoś jeszcze, co mogłaby dodać. Czula się zupełnie jak z Portią. Kiedy naprawdę potrzebowała słów, w głowie miała pustkę.

Milczenie się przeciągało. Nick spoglądał na spirale i kwiaty na obiciu kanapy.

– Cassie – odezwał się wreszcie. – Chciałbym z tobą porozmawiać.

– Och, naprawdę? – wymamrotała się niepewnie. Czula się bardzo dziwnie, była zgrzana i zawstydzona, a jednocześnie trochę słaba. Nie chciała, żeby Nick mówił dalej, chociaż jakaś część jej duszy tego pragnęła.

– Wiem, że to raczej nie jest idealny moment – stwierdził ironicznie, przenosząc spojrzenie na tapetę na ścianie. – Ale tak to się wszystko toczy, że możemy zginać, zanim idealny moment nadejdzie. – Cassie otworzyła usta, ale nie udało jej się niczego wyrzucić, a Nick ciągnął nieustępliwie, niepowstrzymanie, głosem cichym, ale zupełnie wyraźnym: – Wiem, że ty i Conant byliście do siebie dość mocno przywiązani. I wiem, że był dla ciebie bardzo ważny. Zdaję sobie sprawę, że jestem tylko namiastką, ale jak powiedziałem, tak to się wszystko układa, że może głupotą byłoby czekać na sytuację idealną. – I nagle patrzył wprost na nią, a Cassie dostrzegła w jego mahoniowych oczach coś, czego nie widziała w nich nigdy przedtem. – No więc, Cassie, co o tym myślisz? – spytał. – O tobie i o mnie?

ROZDZIAŁ 5

Cassie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Nick mówił dalej.

– Wiesz, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, wydałaś mi się zupełnie zwyczajna – wyznał. – A potem zacząłem dostrzegać w tobie różne rzeczy. Twoje

włosy, usta. To, w jaki sposób walczyłaś, nawet gdy byłaś przerażona. Tamtej nocy, kiedy zginął Lovtey, byłaś śmiertelnie wystraszona, ale to ty zaproponowałaś, żebyśmy poszukali mrocznej energii, a kiedy znaleźliśmy się na cmentarzu, nie ustępowałaś kroku Deborah. – Nick urwał i uśmiechnął się z zalem. – Ani nam, chłopakom – dodał.

Cassie poczuła, że ma ochotę odpowiedzieć mu uśmiechem i szybko go zdusiła.

– Nick, ja...

– Jeszcze nic nie mów. Chciałbym, żebyś wiedziała, że... Czulem się źle po tym, jak cię potraktowałem, kiedy przyszedłaś zaprosić mnie na imprezę. – Zaczynał zęby i wpatrzył się uważnie w jakiś kwiatek na obiciu kanapy. – Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Po prostu mam chyba paskudny charakter. Mam go od tak dawna, że już się nawet nad nim nie zastanawiam. – Nick wziął głęboki oddech i mówił dalej: – Widzisz, zawsze nie cierpiałem mieszkania z rodzicami Deb. Czulem się tak, jakbym im coś zawdzięczał. To mnie tak wkurzało. Zupełnie jakby moja mama i tata w jakiś sposób nawalili, dając się zabić w czasie huraganu i pozwalając, żeby ich syn był na utrzymaniu innych ludzi. Ja ich przez to zniechędziłem. Ciotkę i wujka też.

Nick urwał i w zamysłieniu pokręcił głową.

– Tak, zwłaszcza ciotkę Grace. Ona ciągle opowiada o moim ojcu. Powtarza, jaki był nieostrożny, jak było mu wszystko jedno, że kogoś zostawi po sobie. Tego typu bredury. Do szalu mnie to doprowadzało. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że to dlatego, że tak za nim tęskni.

Cassie była zafascynowana.

– To dlatego nie lubisz magii? – spytała na ślepo, ale on spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Sam nie wiem... Może to ma jedno z drugim coś wspólnego. Nie lubiłem reszty kowensu, bo miałem wrażenie, że im wszystkim trafił się lepszy los niż mnie. Wszyscy mieli chociaż po jednym z dziadków, jeśli nie rodziców. Ja nie miałem nikogo. Tylko tych swoich zmarłych rodziców, którzy w jakiś sposób mnie zawiedli. A oni wszyscy tak optymistycznie do tego podchodzili... Jak Conant. On... – Nick przerwał i spojrzał na Cassie cierpko. – No cóż, może im mniej o nim powiem, tym lepiej. W każdym razie, znam już teraz prawdę. Moi rodzice nie zawiedli i jeśli sam zawiodę, to nie będę mógł ich już za to obwiniać. Mam tylko jedną osobę do obwiniania. Siebie. Więc przepraszam, że tak się zachowałem.

– Nick, nie ma sprawy. Przecież zabrałeś mnie na tę imprezę.

– Tak, kiedy wróciłaś i zaprosiłaś mnie jeszcze raz. To wymagało odwagi. A potem, kiedy cię tam zabrałem, pojechaliśmy pod numer 13 i stało ci się coś złego. – Kącił ust Nicka opadł. – Nic nie mogłem na to poradzić. To Conant cię uratował.

Wspomnienie tamtej sylwetki z dymu w czasie ceremonii w noc Halloween, mrocznego kształtu, który wylonil się z ognia Samhain, przemknęło przez myśl Cassie. Odepchnęła je od siebie, czując panikę ścisnącą ją za serce. Nie chciała teraz myśleć o Johnie Blacku. Przeraził ją w postaci dymnego kształtu, ale jako człowiek był o wiele bardziej groźny. Jego oczy...

– Cassie. – Nick ujął jej nadgarstek silnymi palcami. – Już dobrze. Nic ci nie będzie.

Odetchnęła głęboko i pokiwała głową, powoli odzyskując świadomość i przypominając sobie, gdzie jest.

– Dzięki – szepnęła. Dobrze się czuła z dłonią Nicka na ramieniu. Palce miał ciepłe, a uścisk mocny. I... Boże! Tak bardzo potrzebowała kogoś, na kim mogłaby się oprzeć... Przypomniała sobie, jak siedziała w samochodzie Adama, jak aż do bólu pragnęła się do niego przytulić. Jak potrzebowała, żeby on ją przytulił. Wiedziała, że jej tego nie wolno, że nigdy jej tego nie będzie wolno. Teraz odczuwała podobny ból, a Adam był już dla niej kompletnie stracony. Od tak dawna musiała żyć z uczuciem pustki.

– Wiem – mówił Nick cichym głosem – że nie jesteś we mnie zakochana. Wiem, że nie jestem nim. Ale, Cassie, podobasz mi się, podobasz mi się bardziej niż wszystkie dziewczyny, które dotąd spotkałem. Tak przyzwyczajony traktujesz ludzi, nie jesteś ostra, ale w środku równie twarda jak Deb. Może i tak twarda jak ja. – Roześmiał się krótko. – Do nikogo z Kręgu nie żywisz urazy, nieważne jak cię traktowali na początku. Deb naprawdę była tym zaskoczona. W końcu sprawiłaś, że wszyscy zaczęli cię szanować. Hendersonowie jeszcze nigdy nie zadurzyli się w żadną dziewczynę, a teraz kompletnie im odbiło. Zdaje mi się, że na Gwiazdkę zrobisz dla ciebie bombę domowej roboty.

Cassie nie mogła nie roześmiać się razem z nim.

– No cóż, może to im pozwoli opuścić nieco parę.

– Nawet Faye cię szanuje – ciągnął Nick. – W przeciwnym razie nie starałaby się tak bardzo ci zaszkodzić. Postachaj, Cassie, nie umiem wyjaśnić, co takiego w sobie masz. Jesteś dobra, a przecież jednak

twarda. Zawsze sobie radzisz. I masz najpiękniejsze oczy, jakie widziałem w życiu.

Cassie poczuła, że krew napływa jej do twarzy. Czuła na sobie jego wzrok i to ona musiała teraz zacząć wpatrywać się we wzór tapety. To dziwne, gorące uczucie stawało się z chwili na chwilę silniejsze.

Pomyślała o tym pierwszym tygodniu szkoły, kiedy Deborah i Hendersonowie dokuczali jej, przerzucając się jej plecakiem. I nagle czyjeś ramię znalazło się w jej polu widzenia, łapiąc plecak, ratując ją. Nick. A jaki miły był dla niej w tej kotłowni, kiedy znalazła zwołki Jeffreya, kiedy podtrzymywał ją i powtarzał: „Spokojnie, spokojnie”. Jego ramiona były wtedy mocne i opiekuńcze, Nick niczego się nie bał. Lubila Nicka.

Ale to nie wystarczy.

Cassie zapalała się tym, że kręci głową.

– Nick... Bardzo cię przepraszam. Nie powinienem cię zachęcać...

– Wiem, że nie jesteś we mnie zakochana. Ale jeśli chcesz po prostu spróbować... Będę tu, kiedy będziesz kogoś potrzebowała. Mogłoby być nawet fajnie – powiedział, jak na siebie bardzo lekkim tonem. – Moglibyśmy się lepiej poznać.

Cassie pomyślała o tym, jak jeszcze chwilę przedtem zła była, że Adama nie ma w domu Diany. Nie miała prawa w taki sposób domagać się jego obecności. I było to niebezpieczne. „Będę tu, kiedy będziesz kogoś potrzebowała”. Skąd Nick wiedział, jakie to dla niej ważne?

Uniosła na niego wzrok i powiedziała głosem, który sama ledwie słyszała:

– Dobrze.

Mahoniowe oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia. Biorąc po uwagę zwykłe opamiętanie Nicka, należało to uznać za kompletne osłupienie. Kąciaki ust uniosły mu się w leciutkim, zdziwionym uśmiechu. Minę miał tak uszczęśliwioną, że aż zaraził nią Cassie. Dlaczego nigdy nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy ten chłopak uśmiechał się do niej?

– Nie sądziłem, że się zgodzisz – rzekł, nadal zdumiony.

Cassie roześmiała się, ale zaczerwieńiła jeszcze bardziej.

– Więc dlaczego spytałeś?

– Stwierdziłem, że warto to zrobić, nawet jeśli wyślesz mnie potem do diabła.

– Nick... – Cassie poczuła coś dziwnego. – Nigdy bym cię nie posłała do diabła. Jesteś... No, jesteś dla mnie kimś bardzo szczególnym. – Nie wiedziała, jak ma wyrazić to, co chodziło jej po głowie, zresztą słowa i tak wyleciały jej w gardło. Pole widzenia rozmyło jej się, rozplynęło. Zamrugowała mocno, żeby odgonić lzy i poczuła, że spływają jej na policzki. Nick przysunął się do niej i w jakiś sposób znalazła się w jego objęciach, płacząc mu w ramię. Jeszcze nie nigdy nie wydawało jej się tak wygodnie, jak to ramię w swetrze z szarej wełny.

Pociągnęła nosem i poczuła, że Nick opiera policzek o jej włosy.

– Po prostu spróbujemy przez jakiś czas – powiedział miękko. A Cassie pokiwała głową i ułożyła się wygodniej w jego ramionach.

Zrobiło się ciemno, kiedy odprowadziła Nicka do frontowych drzwi. Diana była na górze; Chris i Doug

poszli już dawno temu. Cassie poczuła się niepewna i nieśmiała, kiedy stuknęła do drzwi Diany.

– Wejź – usłyszała. Przypomniała sobie pierwszy raz, kiedy zapukała do tych drzwi i weszła do tego pokoju. Dzień, kiedy Diana obroniła ją przed Faye w skrzydle nauk ścisłych. Wtedy Diana siedziała na kanapie w zagłębieniu okna, otoczona wirującymi małymi łęczkami. Teraz siedziała przy biurku, a przed nią piętrzyły się papiery.

– No i jak? – spytała, odwracając się.

Cassie poczuła gorąco na policzkach.

– Ja... My... Zdecydowaliśmy, że spróbujemy. Być... No cóż, być w jakiś sposób razem, znaczy.

Diana otworzyła usta. Popatrzyła Cassie w oczy, jakby czegoś w nich szukała.

– Wy... co?! – spytała, a potem wzięła się w garść. Jeszcze chwilę przyglądała się Cassie uważnie. – Rozumiem – powiedziała.

– Nie jesteś wściekła? – Cassie próbowała domyślić się, co się dzieje z tymi szmaragdowzielonymi oczami.

– Wściekła? Ja miałabym być na ciebie wściekła? Jestem tylko... zdziwiona, to wszystko. Ale niczym się nie przejmuj. Nick to miły facet. I wiem, że go nie skrzywdzisz. Wiesz, że jest kimś szczególnym.

Cassie pokiwała głową, ale zdziwiła się, słysząc w ustach Diany swoje własne słowa. Nie wiedziała, że Diana to rozumie.

– Tak, moim zdaniem dobrze się stało – stwierdziła Diana stanowczo i odepchnęła papiery na bok.

Cassie odetchnęła z ulgą. A potem spojrzała na dokumenty, które Diana przeglądała. Były stare i pośliznięte, pokryte grubymi liniami czarnych napisów

układających się w kolumny. Pismo miało sporo zakrętasów i prawie żadnych znaków przestankowych, z tego, co widziała Cassie, ale dawalo się odczytać.

- Co to jest?

- Osobiste zapiski Johna Blacka. Listy i inne takie... Zebraliśmy je wszystkie, kiedy zaczęliśmy szukać Arkanów Mistrza. Przeglądałam je, bo myślałam, że znajdę może jakąś słabość, którą moglibyśmy wykorzystać przeciwko niemu. Właśnie stąd dowiedziałam się, gdzie w ogóle powinniśmy szukać kryształowej czaszki. Napisał w tej sprawie list do jednego z przodków Seana. Ten sam list znaleźliśmy u Seana na strychu. Oczywiście, nie podał dokładnej lokalizacji wyspy, ale zamieścił w nim kilka wskazówek.

- Nie wyobrażam sobie, żeby zaufał komuś na tyle, by dawać mu jakies wskazówki.

- Bo nie ufał. Najwyraźniej planował wrócić po czaszkę i zabrać ją stamtąd. Może po to, żeby ją wykorzystać. Albo żeby ją ukryć w jakimś bezpieczniejszym miejscu. W każdym razie umarł, zanim zdążył to zrobić.

- Utonął - mrugnęła Cassie, obracając w palcach niewielki, prostokątny arkusik papieru. Wydrukowano na nim: „Kolonja Massachusetts Bay, 8 dolarów”. Matko Boska! To był banknot! To był banknot z XVIII wieku.

- Mówiłaś to już wcześniej - przypomniała Diana. Przeglądała się Cassie z namysłem. - Tak się zastanawiam, skąd właściwie to wiesz.

- Co? A, chyba któraś z was mi powiedziała. - Cassie próbowała się skoncentrować. - Może Melanie.

- Melanie nie mogła ci tego powiedzieć. Nikt z nas nie mógł, Cassie, bo nikt z nas tego nie wiedział. Jesteś

pierwszą osobą, która stwierdziła, że John Black zginął na morzu.

- Ale... - Cassie była zupełnie zbita z tropu. Zastanowiła się, kiedy właściwie wpadła na tę myśl. - No ale w takim razie, jak... - I nagle wiedziała. - Moje sny... - szepnęła, cofając się aż do łóżka. - Och, Diana, on się pojawiał w moich snach. Mnie się śniło, że tonę, że jestem na statku, który znika pod wodą. Ale to nie byłam ja, to on. To był John Black.

- Cassie... - Diana podeszła i usiadła obok niej. - Jesteś pewna, że to był on?

- Tak. Bo to się powtórzyło dzisiaj, kiedy zobaczyłam go na cmentarzu. Spojrzałam mu w oczy i wtedy... Poczułam, że się zapadam. Że tonę. Wszędzie dookoła mnie była slona i zimna woda. Czulałam jej smak.

Diana objęła Cassie. Ramiona przyjaciółki zaczynały się trząść.

- Nie myśl już o tym.

- Nic mi nie jest - szepnęła Cassie. - Ale dlaczego on chce, żebym przez to przechodziła? Dlaczego umieszcza te obrazy w mojej głowie? Próbuje mnie zabić?

- Nie wiem - stwierdziła Diana drżącym głosem. - Cassie, mówiłam ci już wcześniej, nie musisz tu zostawać...

- Ale zostanę. - Cassie pomyślała o swojej babce i jej słowa echem odbiły się w jej myślach: „W mroku nie ma nic strasznego, jeśli tylko stawi mu się czło”.

Ocean był mroczny. Pod powierzchnią było tak ciemno jak o północy, i zimno. Przypominał hematyt. Ale mogło sobie z tym poradzić, pomyślała Cassie. Nie będę się bala! Odepchnęła strach jak najdalej od siebie i powoli zaczęła czuć, że ten wewnętrzny dygot się uspokaja.

Moja rodzina ma dar widzenia i Moc, pomyślała. Będę korzystać z tej mocy, żeby stawić mu czoło. Żeby stanąć z nim twarzą w twarz.

Odsunęła się od Diany.

- Moim zdaniem wpadłaś dziś wieczorem na dobre pomysły - powiedziała i kiwnęła głową w stronę papierów na biurku. - Przejrzyj te papiery i swoją Księgę Cieni, a ja będę nadal czytać swoją. - Spojrzała na kanapkę w oknie, gdzie księga w czerwonej skórzannej okładce leżała obok bloczka kolorowych karteczek samoprzylepnych i rozsypanych pisaków orsz zakreślaczy.

- Znalazłaś już coś ciekawego? - spytała Diana, kiedy Cassie usiadła na kanapce przy oknie i rozłożyła księgę na kolanach.

- Nic na temat Johna Blacka. Na początku zakłęcia są chyba takie same jak u ciebie. Ale wszystko w niej jest interesujące i kto wie co się w końcu okaże przydatne - stwierdziła Cassie. Uparła się, że zaznajomi się z wszystkimi zaklęciami i amuletami wymienionymi w księdze, że nauczy się jak najwięcej z nich i przynajmniej zapamięta, gdzie ma odszukać resztę. Był to jednak projekt, którego realizacja mogła potrwać lata, a oni nie mieli tyle czasu. - Diana, wydaje mi się, że lepiej będzie, jak porozmawiamy ze starszankami z miasta... I to szybko. Zanim... No wiesz, zanim zdarzy się coś takiego, co nam tę rozmowę unieвозмоżliwi. - Z powagą zajrzała Diane w oczy.

Przyjaciółka zamrużyła. Dobrze rozumiała, co Cassie ma na myśli. Potem pokiwiała głową.

- Masz rację. Już zabił przynajmniej cztery osoby. Jeśli uzna, że babcie są zagrożeniem... - Z trudem przełknęła. - Porozmawiamy z nimi jutro. Powiem

Adamowi, kiedy zadzwoni. Ma się odezwać, kiedy z Deborah wróca po śledzeniu Johna Blacka.

- Mam nadzieję, że John Black ich nie zobaczy - jęknęła Cassie.

- Ja też - odparła Diana cicho, a potem znów pochyliła głowę nad papierami.

Spotkanie odbyło się następnego dnia na plaży. Paje nie miała okazji oprostować miejsca, bo się nie pojawiła.

- Jest z nim - wyjaśniła Deborah krótko. - Poszłam za nią dziś rano - Adam i ja ustaliliśmy tak wczoraj wieczorem. Spotkała się z nim w tej samej kawiarni, co wczoraj...

- Zaraz, zaraz! - powiedziała Laurel. - Trochę za bardzo się spieszysz. W jakiej kawiarni?

- Ja to opowiem - odparł Adam, reagując na spojrzenie Diany. - Wczoraj poszliśmy z cmentarza śladem... pana Brunswicka. To w ogóle żart, tak przy okazji.

Diana skinęła głową.

- Kiedyś trochę malowałam olejami i wiem, że to nazwa farby - oderwała się do Cassie i reszty grupy. - Czarnej farby.

- Bardzo zabawne - stwierdziła Cassie. Siedziała obok Nicka, na nowym miejscu, gdzie czuła się nieco niezręcznie. Była ciągle świadoma jego obecności, jego ramienia tuż obok jej ręki. Gdyby nieco się pochyliła w prawo, mogłaby go dotknąć i ta myśl ją pocieszała. - Zastanawiam się, co zrobił z osobą, która naprawdę miała zostać dyrektorem - powiedziała.

- Nie mam pojęcia. - Adam nie mógł nie zauważyć, kogo kogo Cassie usiadła ani tego nowego spojrzenia

Nicka, tej jakiejś opiekuńczości. Cassie dostrzegła, że zerknął szybko i badawczo na chłopaka. Nie było to w żaden sposób przyjazne. – Nie wiem, jak udało mu się zdobyć tę posesję. W ogóle nie mam pojęcia, po co mu ona. – Znowu spojrzal na Nicka i już otwierał usta, kiedy Diana powiedziała:

– Mów dalej, Adamie. Opowiedz, co się stało, kiedy wczoraj za nim poszliśmy.

– Hm? Aha, tak. No cóż, odjechał sam, szarym kadłakiem. Pojechaliśmy za nim; Deborah na motorze, a ja dziupem. Pojechał do miasta i wszedł do Perko's Koffee Kup. I zgadnijcie, kto tam przyjechał parę minut potem?

– W czarnej koronkowej minisukience i z naprawdę zadziorną miną? – wtrąciła Deborah.

– Faye – szepnęła Diana tak, jakby robiło jej się niedobrze. – Jak mogła?

– Nie wiem, ale zrobiła to – stwierdziła Deborah. – Obserwowaliśmy ją przez okno, podeszła do boku, w którym siedział. On jest żywym człowiekiem, z krwi i kości. Pił tam kawę. Rozmawiali przez jakąś godzinę. Faye puszyła się i potrząsała głową jak młoda klacz na pokazie. A jemu się to chyba podobało. W każdym razie, uśmiechał się do niej.

– Zaczekaliśmy, aż wyjdą, a wtedy Deb pojechała za nią, a ja za nią – dodał Adam. – Pojechał do letniego domu na przylądku, chyba go sobie wynajął. Został tam przynajmniej do pierwszej, bo wtedy odjechał.

– A dokąd pojechała Faye? – spytała Melanie.

Deborah się skrzywiła.

– Nie wiem.

– Jak to?

– Bo mnie zgubiła, jasne? Jazda na harleju trochę utrudnia konspirację. Zaczęła przejeżdżać na czerwonych światełkach i nagle zwracać. W końcu mnie zgubiła. Chcesz jeszcze coś wiedzieć na ten temat?

– Deb – napomniała ją Cassie. Deborah spiorunowała ją wzrokiem, a potem przewróciła oczami i wzruszyła ramionami.

– No, w każdym razie, dziś rano czekałam przed jej domem, a ona znowu wyszła się z nim spotkać. Zajęli boks w głębi sali, nie przy oknie. Wszedł do środka, ale w sumie nie widziałam, co się działo. Chyba mu coś dała, ale nie jestem pewna co.

– Super – prychnęła Susan, a Deborah spojrzała na nią gniewnie.

– Znaczy, to super, że ona jest... jak to się mówi? W znowie z nim. Czy ktoś ma ochotę na tego pączka? – Susan delikatnie otrząsnęła cukier z ciastka i je nagryzła.

Laurel mruknęła coś na temat białego cukru, który jest gorszy niż trutka na szczury, ale nie starczyło jej energii, żeby dodać coś więcej.

– Jest smaczne – powiedziała Susan niewyraźnie. – Brakuje tylko kremowego nadzienia.

– Lepiej porozmawiajmy ze starszankami – stwierdziła Cassie. – Znaczy z babcią Adama i babcią Laurel, i ciocięzną babcią Melanie.

– Dzisiaj jest dobry dzień – podsunęła Melanie. – Co niedziela po południu spotykają się i jedzą u nas w domu lunch. No wiesz, taka popołudniowa herbatka, kanapki, drobne ciasteczka i tak dalej.

– No właśnie – przypomniała sobie Cassie. – Moja babcia też chodziła na te spotkania.

– Ciasteczka? – zainteresowała się Susan. – Dlaczego nie nie mówiliście? Chodźmy.

– Dobrze... Nie, zaraz – powstrzymała ich Diana. Rozrezała się po zebranych. – Słuchajcie, pewnie nie ma sensu o to pytać, ale czy ktoś z was zabrał kawałek hematytu z pokoju Cassie? – Wszyscy popatrzyli na nią, a potem na pozostałych. Wszyscy poza Cassie i Laurel. Kręcono głowami, a na twarzach pojawił się taki sam wyraz zdziwienia.

– Ktoś zabrał hematyt? – spytała Deborah. – Ten kawałek, który znalazłaś pod numerem 137 – Cassie pokiwiała głową, dyskretnie przyglądając się pozostałym członkom Kręgu. Adam zmarszczył brwi, bracia Hendersonowie mieli skonsternowane miny. Sean wydawał się zdenerwowany, no ale z drugiej strony, Sean zawsze wydawał się podenerwowany. Melanie się zmartwiła. Nick powoli kręcił głową, a Susan wzruszyła ramionami.

– Nie oczekiwałam, że ktoś się przyzna – oznajmiła Diana. – Ale to chyba głętego, że osoba, która go wzięła, jest nieobecna. Bo siedzi w Perko's Koffee Kup. – Westchnęła. – No dobra. Chodźmy pod numer 4.

Cassie już dość dobrze poznała dom Melanie, odkąd jej matka tam zamieszkała. Dom został zbudowany w amerykańskim stylu federalnym. Był bardzo podobny do domu babki Cassie, ale o wiele bardziej zadbane. Ściany z białym szalunkiem zostały świeżo odmalowane, a wszystkie sprzęty były schludne i w idealnym stanie. Ciotka Constance siedziała we frontowym saloniku z panią Franklin, czyli babcią Adama, i babcią Laurel, panią Quincey. Wcale nie ucieszyła się na widok jedenaścioro członków kowenu, którzy stłoczyli się przy drzwiach salonu.

– Ciociu Constance? Czy mogę z tobą pomówić?

Starsza pani spojrziała na Melanie chłodno i z dezaprobatą. Była chuda, miała królewską postawę, a w jej twarzy o wydatnych kościach policzkowych Cassie znajdowała pewne podobieństwo do klasycznej urody Melanie. Włosy nadal miała bardzo ciemne, ale może je farbowała.

– Przyszłaś w odwiedziny do matki? – spytała, gdy zauważyła w grupie Cassie. – W tej chwili śpi i naprawdę uważam, że nie należy jej przeszkadzać.

– W sumie, ciociu Constance, przyszliśmy porozmawiać z tobą – odparła Melanie. Spojrzała na pozostałe panie obecne w saloniku. – Z wami trzema.

Między brwiami ciotki Constance zarysowała się zmarszczka, ale niska i pułchna kobieta siedząca na sofie wyraźnie się ucieszyła.

– Och, Connie, zaprosi ich do środka. Dlaczego nie? Tu jesteś, Adamie! Coś ty wczoraj tak późno wrócił, hm?

– Nie wiedziałem, że zauważyłaś, babciu – zdziwił się.

– Och, widzę więcej, niż się ludziom wydaje. – Pani Franklin zachichotała, sięgnęła po ciasteczko i wsunęła je do ust. Siwe włosy miała niedbale splecione w warkoczki i upięte na głowie, a jej wygląd sugerował roztrzepanie, które ostro kontrastowało z surowym, białozłotym salonikiem. Cassie bardzo ją lubiła.

– Co się dzieje, Laurel? – spytał drżący głos i Cassie spojrziała na babunię Quincey, maleńką kobietę o twarzy jak wyschnięte jabłuszko. Była prababcią Laurel. Wydawała się taka malutka i lekka, że zdawało się, że każdy podmuch wiatru może ją porwać.

- No cóż... - Laurel spojrzła na Adama i to on zabrał głos:

- Tak naprawdę, chodzi o coś związane z moim późnym powrotem do domu. O to, co robiłem wczoraj wieczorem. I jest też chyba związane z czymś, co zaszło dawno temu, mniej więcej wtedy, kiedy my wszyscy się urodziliśmy.

Ciotka Constance już marszczyła brwi, a babunia Quincey zacisnęła wargi w wąską linię. Starsza pani Franklin zachichotała, ale rozglądała się po pokoju w taki sposób, że Cassie zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście słyszała słowa wstuka.

- No i? - spytała ostro ciotka Constance. - Wyjaśnij, o co ci chodzi.

Adam spojrzął na resztę członków Kręgu. Wszyscy starali się dodać mu ducha spojrzemiami. Wybrali go na swojego rzecznika. Zaczerniał powietrze i odwrócił się do starszych pań.

- Byłem do późna poza domem, bo śledziłem naszego nowego dyrektora szkoły, pana Jacka Brunswicka - powiedział. Nazwisko nie wywołało żadnej reakcji. - Mam wrażenie, że mogłyście go znać pod innym nazwiskiem. - Całkowite milczenie. - To nazwisko jest nam wszystkim doskonale znajome i brzmi John Black - dokończył Adam.

Cisza została przerwana, bo ciotka Constance poderwała się na nogi tak gwałtownie, że jedna z delikatnych filiżanek z wzorem liści wierzby spadła na podłogę.

- Wynosi się z mojego domu! Wynocha, ale już! - wrzasnęła.

zwracał uwagi. Starsza pani Franklin uśmiechała się do nich wszystkich pogodnie. Diana prosiła cioteczną babkę Melanie, żeby ich wysłuchała, ale bezskutecznie.

- Po raz ostatni! - krzyknęła ciotka Constance, wymachując rękoma, jakby w ten sposób chciała wygonić Dianę i resztę Klubu za drzwi.

- Panno Burke! - wrzasnęła Cassie. Sama już też była blisko łez, chociaż Nick łagodnie próbował wyprowadzić ją z pokoju, odkąd te krzyki się zaczęły. Cassie nie chciała wychodzić. Wydawało jej się, że rozumie, co ciotka Constance miała na myśli, kiedy wspominała o tym, że dzieciaki się w coś „wtrącały”. - Panno Burke - powtórzyła, znów wysuwając się naprzód. Znalazła się dokładnie naprzeciwko ciotki Constance. - Przepraszam - powiedziała Cassie i nagle zrobiło się na tyle cicho, że mogła dosłyszeć niepewność we własnym głosie. - W pani pokoju gościnnym leży moja mama i, jak pani wie, jestem bardzo wdzięczna, że tak troskliwie się nią pani zaopiekowała. I to moja babunia została pochowana. Ale jak pani sądzi, kto do tego doprowadził? Przecież nie Klub. Babunia powiedziała mi przed śmiercią, że on cały czas planował swój powrót. I że ona zawsze wiedziała, że w jakiś sposób mu się to uda. To prawda, że jego powrót jest po części winą Kręgu. To także moja wina. I jest nam bardzo przykro, bardziej niż może to pani sobie wyobrazić. Ale on naprawdę tu jest. - Urwała na moment, a potem dodała niemal szeptem: - Naprawdę.

Ciotka Constance bardzo szybko oddychała, powstając przez nos. Wyprostowała się jeszcze bardziej po królewsku, a jej wargi stanowiły cienką czerwoną kreskę.

Ciociu Constance! - Melanie aż się zachnęła.

- Słyszaleś mnie! - nakazała starsza pani Adamowi. Spojrzała na resztę grupy. - Wszyscy się stąd wyśpieszcie! Nie podobają mi się takie żarty, a już zwłaszcza nie teraz. Mało kłopotów narobiliście wtargnięciem się, gdzie nie trzeba? Biedna Alexandra leży w gościnnym pokoju, a Maeve dopiero co spoczęła w grobie... Melanie, życzę sobie, żeby oni opuścili mój dom!

Laurel i babunia Quincey obie jednocześnie zatrzepotały rękoma.

- Ojej, ojej - mówiła babunia Quincey, unosząc dłonie, które wyglądały jak małe ptasie łapki.

- Och, proszę, panno Burke - błagała Laurel niemal we łzach.

- Nie macie za grosz szacunku - irytowała się ciotka Constance, z trudem łapiąc oddech. Oczy jej tak błyszczały, jakby dostała gorączki.

- Młodzi ludzie nigdy go nie mają, Constance. - Babunia Adama zachichotała. - No cóż, pamiętam, kiedy byliśmy w ich wieku. Ileż nam w głowie było figli... O raju! - Nadal śmiejąc się i kręcąc głową, babunia Adama wsunęła do ust kolejne ciasteczko.

- Babciu, proszę cię, posłuchaj. To nie są żarty - zaczął Adam bezzadnie, ale to nie nic dało. Za duży hałas zapanował, wszyscy mówili naraz. Przekrzykując wszystkich, cioteczna babka Constance wciąż powtarzała, że mają się wynosić. Wrzeszczała do Melanie, że mają zostawić skorupy filiżanek na podłodze i po prostu wyjść. Babunia Quincey machała rękoma i robiła różne uspokajające gesty, na które nikt nie

- Obawiam się, że nie mogę uwierzyć w nic z tego, co mi tu opowiadasz. To po prostu niemożliwe... - Wyraz twarzy kobiety zmienił się, jakby przeszył ją ból. Skrzywiła się i chwyciła za klatkę piersiową.

- Ciociu Constance! - zawołała Melanie, podbiegając do niej. Potrzeba było połączonych sił jej i Adama, żeby posadzić sztywno trzymającą się kobietę na fotelu.

- Mam wezwać lekarza? - spytała Diana.

- Nie! - powiedziała ciotka Constance, unosząc głowę. - To nic takiego. Już mi lepiej.

- To nie jest nic takiego, Constance - odezwał się drżący głos i Cassie zobaczyła, że babunia Quincey podnosi się z sofy i staje obok fotela. - To twoje serce mówi ci, że to prawda. Moim zdaniem lepiej będzie, jeśli wysłuchamy tych dzieci.

Zapadło milczenie. Cioteczna babka Melanie spoglądała to na Melanie, to na Adama, to na Cassie. Cassie zmusiła się, żeby wytrzymać jej przesywający wzrok.

Oczy ciotki Constance przymknęły się. Kobieta powoli oparła się o wezgłowie fotela.

- Racja - westchnęła, nie patrząc na nikogo. - Wejdźcie wszyscy do środka i znajdźcie sobie coś do siedzenia. A potem możecie mi opowiedzieć tę swoją historię.

- No więc ostatecznie zdecydowaliśmy, że lepiej będzie porozmawiać z wami trzema, bo tylko wy możecie pamiętać go z tamtego ostatniego razu - zakończyła opowieść Diana. - Chcieliśmy też zapytać rodziców...

- Do rodziców z tym nie idźcie - odrzuciła stanowczo ciotka Constance. Siedziała i słuchała całej

historii, a jej mina robiła się coraz bardziej ponura. W pokoju zapanowała atmosfera mrocznego lęku. – Nie rozumiem – dodała i spojrzała na Cassie nieobecny wzrokiem, co przypominało dziewczynie puste spojrzenie jej matki. – Nie będą pamiętać. Dobry Boże, sama chciałabym móc zapomnieć...

– Co było, to było – rzekła babunia Quincey.

– Tak – oznajmiła ciocieczna babka Constance. Wyprostowała się. – Ale nie wiem, jak waszym zdaniem mają wam pomóc trzy stare kobiety; przeciwko niemu...

– Pomyśleliśmy, że może będzie pani pamiętała coś na jego temat, jakąś jego słabość, coś, co moglibyśmy wykorzystać do walki z nim – drążył Adam.

Ciotka Constance powoli pokręciła głową. Babunia Quincey nachmurzyła się, a jej twarz zamieniła się w sieć setek zmarszczek. Starsza pani Franklin miała bardzo spokojną minę. Cassie nie umiała stwierdzić, czy wysłuchiwała tej całej historii, czy nie.

– Jeśli on może powstać z martwych, to pewnie nie ma za dużo słabości – szepnęła szorstko ciotka Constance. – Zawsze umiał sprytnie manipulować. Mówisz, że Faye Chamberlain stanęła po jego stronie?

– Tego się obawiamy – potwierdził Adam.

– To niedobrze. Wykorzysta ją, żeby dotrzeć do was, do waszych słabych punktów. Odciągnijcie ją od niego, jeśli zdołacie. Tylko jak? – Ciotka Constance, koncentrując się zmarszczyła brwi. – Hematyt... odbiercie go jej. Jest bardzo niebezpieczny. Black może go użyć, żeby wpływać na jej umysł. – Diana zerknęła na Cassie, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówilam?”. Ciotka Constance ciągnęła: – I mówicie, że czaraszka znikła? Jesteście pewni?

— 198 —

– Tak – stwierdził Adam.

– Wygląda na to, że eksplodowała, kiedy Faye ją trzymała w rękach, tuż zanim wszyscy straciliśmy przytomność – dodała Cassie. – Niemiecki, coś z niej wystrzeżiło. A potem nie mogliśmy znaleźć żadnych śladów.

– No cóż... Nie da się jej w takim razie wykorzystać przeciwko niemu. A ty, Cassie, nie znalazłaś w Księdze Cienia nic, co mogłoby pomóc?

– Jeszcze nie. Ale nie doczytałam do końca – przyznała Cassie.

Ciotka Constance kręciła głową.

– Moc. Przeciw niemu przede wszystkim potrzebna wam Moc. Jesteście wszyscy zbyt młodzi, żeby z nim walczyć. A my jesteśmy za stare. A między naszym a waszym pokoleniem są sami głupcy. Nie ma tu dość wielkiej Mocy...

– Kiedyś była – oznajmiła babunia Quincey trzęsącym się głosem.

Ciotka Constance zerknęła na nią i jej mina się zmieniła.

– Kiedyś... Tak, oczywiście. – Odwróciła się do Kregu. – Jeśli stare opowieści są prawdziwe, to kiedyś istniała Moc na tyle silna, żeby zniszczyć Johna Blacka.

– Jaka moc? – spytała Laurel.

Ciotka Constance odpowiedziała pytaniem:

– Jak Adamowi udało się odnaleźć czarstkę?

– To nie był przypadek – rzekła Diana. – Wyruszył na poszukiwanie Arkanów Mistrza... – Urwała. – Arkana Mistrza – szepnęła.

– Tak. Te, które należały do pierwszego kowenu, do prawdziwych czarownic z Salem. Naszych przodków, którzy założyli New Salem, kiedy łowcy czarownic wygonili ich stamtąd.

— 199 —

Cassie wypowiedziała na głos pierwszą myśl, jaka jej przyszła do głowy:

– Ale czym tak właściwie były Arkana Mistrza?

Odpowiedziała jej babunia Quincey:

– Symbolami przywódczyni czarownic, oczywiście. Diadem, bransoleta i podwiązka.

– Te, których używamy, to tylko imitacje – powiedziała Melanie. – To wyłącznie symbole. Arkana należące do pierwotnego kowenu były naprawdę potężne. Stanowiły prawdziwe narzędzia, których można było używać. Ale, ciotciu Constance – obróciła się w stronę swojej ciociecznej babki – to John Black ukrył Arkana Mistrza. Adam szukał ich od lat, tutaj i na Cape Cod. Jak mamy je znaleźć teraz?

– Nie wiem – odparła kobieta. – Ale co do jednego się mylicie. John Black ich nie ukrył, to tamten kowen to zrobił. Ukryli przed nim Arkana, żeby nie mógł ich wykorzystywać. Wiedzieli, że przy połączonej mocy czarunki i Arkanów byłyby niezwyciężony. Tak przynajmniej powiedziała mi moja własna babka.

– Nie szukałby miejsca, żeby ukryć Arkana Mistrza zbyt daleko – dodała babunia Quincey. – Tak podpowiada zdrowy rozsądek. John Black był podrywaczem, ale nasi przodkowie nie. To byli raczej domatorzy.

– Przyszłście po nasze rady. No cóż, moja jest następująca – oznajmiła ciotka Constance. – Znajdźcie Arkana Mistrza. Jeśli wszyscy staniecie razem, wypożyczeni w nie, to będziecie mieli szansę go pokonać. – Jej wargi znów zacisnęły się w wąską linię.

– Dobrze – odparł Adam. – Rozumiemy.

Cassie wypuściła oddech, usiłując nie dopuszczać do siebie rozczarowania. Rada była bardzo dobra, ale ona liczyła na... Na co? Chyba na swoją własną

— 200 —

babcię. Chciała własnej babki, która była taka mądra i w jakiś sposób zawsze potrafiła sprawić, że Cassie czuła się silniejsza, niż jej się wydawało.

– I dalej czytaj tę książkę, którą przekazała ci babcia! – odezwała się nagle babunia Quincey, patrząc wprost na Cassie. Cassie pokręciła głową, a starszuszka obdarzyła ją pomarszczonym, ale dziwnie intensywnym uśmiechem.

Pani Franklin też się uśmiechała, klepiąc się po kolanach i rozglądając wkoło, jakby o czymś zapominała.

– Jaki dzień jest jutro? – spytała.

Zapadła cisza. Cassie nie była pewna, czy babcia Adama zwraca się do nich, czy mówi do samej siebie. Ale potem starszuszka powtórzyła:

– Jaki dzień jest jutro? – I spojrzała na nich zachęcająco.

– Hm... To nasze urodziny – podsunął Chris.

Ale Diana zrobiła zaskoczoną minę.

– Chyba... To chyba będzie noc Hekate – powiedziała. – Czy o to pani chodziło?

– Tak, właśnie – podchwyciła pani Franklin z zadowolaniem. – Och, kiedy byłam młoda, urządzaliśmy wtedy ceremonię. Pamiętam tę ceremonię pod światłem księżycy, kiedy w mrokach czaili się Indianie...

Zebrani popatrzyli po sobie. Pani Franklin nie mogłaby tego pamiętać: Indian nie było już w okolicy od stuleci.

Ale Diana była naprawdę podekscytowana.

– Myśli pani, że powinniśmy odbyć ceremonię?

– Ja bym tak zrobiła, kochanie – oznajmiła pani Franklin. – Ceremonię dla dziewcząt. My, dziewczyny, zawsze miałyśmy swoje sekrety, nieprawdaż, Connie? I trzymałyśmy się razem.

— 201 —

Diana nieco się zakłopotowała, a potem powoli, stanowczo pokiwiała głową.

- Tak. Tak! Dobrze byłoby, gdyby dziewczyny mogły zebrać się razem. Wszystkie dziewczyny. I chyba wiem, jaką ceremonię zorganizować. To nie jest właściwa pora roku, ale to najmniej ważne.

- Jestem pewna, że będziecie się dobrze bawić - powiedziała pani Franklin. - A teraz jeszcze... Cassie!

Cassie spojrzała na nią, zaskoczona.

- Cassie - powtórzyła babcia Adama. Głowę przechyliła na bok i westchnęła w taki sposób, jak się wzdycha, kiedy ktoś pokazuje człowiekowi zdjęcie uśmiechniętego niemowlęcia. - Ojej, śliczna jesteś, chociaż wcale nie przypominasz matki. Ale... - Urwała nagle i rozejrzała się wkoło. - Hm?

Ciotka Constance wyglądała jeszcze surowiej niż zwykle, nie spuszczając z pani Franklin ostrego spojrzenia.

- Edith... - odezwała się głosem bez wyrazu.

Pani Franklin popatrzyła na babunię Quincy, która również wpatrywała się w nią z wielką koncentracją.

- No cóż... Chciałam tylko powiedzieć, że dostrzegam trochę podobieństwa do matki w jej wyrazie twarzy - powiedziała i miło skinęła Cassie głową. - Nie przejmuj się aż tak bardzo, kochanie. Wszystko się dobrze skończy.

Ciotka Constance odprężyła się odrobinię.

- Tak. To wszystko, Melanie. Lepiej zabierz już swoich przyjaciół.

I na tym się skończyło. Cała jedenastka wstała, podziękowała, grzecznie się pożegnała i znów znaleźli

się przed wielkim białym domem w słabym listopadowym słońcu.

- Uff! - westchnęła Cassie. - Adamie, rozumiesz o co tam chodziło pod koniec?

- Niestety - odpowiedział i się skrzywił. - Czasem się taka robi.

- Nie chodzi mi o nią, a bardziej o tamte dwie - zaczęła Cassie, ale Deborah wtrąciła się, zmiecierpliwiona:

- No więc o co chodzi z tą nocą Hekate?

- To noc wiedźmy - odparła Diana. - Właśnie ją reprezentuje Hekate.

- Wiedźmy? - powtórzyła Susan z niesmakiem, a Cassie rozumiała, o co jej chodzi. Słowo przywoływało niemiłe obrazy: zgarbionej, pomarszczonej staruchy z zatrutym jabłkiem w dłoni.

- Tak. - Diana zerknęła na Cassie. - To nic takiego strasznego. Wiedźma oznacza po prostu starą kobietę, to ostatni etap kobiecego życia. Panna, matka, a potem wiedźma. Wiedźmy są mądre i, no cóż, twarde. Może nie tyle fizycznie, ile umysłowo. Wiele już widziały, wiele przeżyły i rozumieją różne rzeczy. To one przekazują nam rozmaitą wiedzę.

- Tak jak moja babcia - stwierdziła Cassie z rozdającym się zrozumieniem. Oczywiście, ta przygarbiona, pomarszczona postać to był dokładny obraz jej babci. Ale bez zatrutej jabłka, pomyślała. Jeśli babcia proponowała coś innym ludziom, to zawsze była to pomoc. - Bajki dają nam na ten temat złe wyobrażenia - powiedziała.

- Owszem. - Diana stanowczo pokiwiała głową. - Kiedy się zestarzeje, mam nadzieję, że będę taką wiedźmą jak twoja babcia.

- A jak sobie tam chcesz - powiedział Doug i przewrócił oczami.

- One wszystkie próbują nam pomóc - oznajmiła Melanie. - Nawet ciotka Constance. Ale co będziemy robić w noc Hekate?

- To noc wróżb i przepowiedni - wytłumaczyła Diana. - Musimy znaleźć rozstaje dróg, gdzie będziemy mogły uczcić Hekate. Była grecką boginią rozstajów dróg, one symbolizują transformację. Początek nowego etapu w życiu. To może być starość albo śmierć, albo jakaś inna zmiana.

- Moim zdaniem wszyscy teraz stoimy na rozdrożu - rzekła poważnie Melanie.

- Moim też. - Diana spojrzała na Adama. - Twoja babcia ma rację, to coś, czym powinny zająć się dziewczyny. Ale w ten sposób wykluczamy was, facetów...

Adam uśmiechnął się szeroko.

- Och, na pewno znajdziesz sobie coś do roboty. Może Chris i Doug będą mieli jakieś pomysły. - Mówił lekkim tonem. Cassie już wcześniej zauważyła, że chłopakom z Kręgu nie przeszkadza to, że dziewczyny podejmują decyzje czy robią coś po swojemu. Nie czuli się zagrożeni; zdawali się wiedzieć, że są tak samo ważni, tyle że w inny sposób.

- Tylko bądźcie ostrożne - poprosił Nick bez śladu rozbawienia w głosie. Chris i Doug przepychali się i spierali, w jaki sposób chcą uczcić własne urodziny. Kiedy Nick się odezwał, uspokoił się. - Moim zdaniem powinnyście znaleźć rozstaje niedaleko stąd - ciągnął Nick, zwracając się do Diany i Cassie. - I lepiej, żebyśmy czekali na was gdzieś niedaleko.

Cassie popatrzyła mu w twarz. Dostrzegła troskę w jego uważnym, opanowanym spojrzeniu. Wzięła go za rękę i poczuła, jak jego silne palce przepłatają się z jej palcami.

- Bądźmy ostrożne - obiecała. Zobaczyła, że Deborah rzuca zdziwione spojrzenie na ich splecione dłonie. Błysk zrozumienia pojawił się na twarzy motocyklistki. Chris szturchnął łokciem Douga, a ten wyraźnie się nachmurzył. Zwykle spokojne oczy Melanie otworzyły się szeroko, a Laurel i Susan się uśmiechnęły.

Cassie nie mogła nie zauważyć, że Adam się nie uśmiechnął. Nie uśmiechnął się już ani razu do końca dnia.

Tęj nocy Cassie coś się śniło. To coś było wirujące, bezpostaciowe i miało coś wspólnego z Księżą Cieni. Ona i Diana siedziały razem do późna, czytając i ucząc się z niej. Nie znalazły nic pomocnego. Ale w snach Cassie czuła, że jest na skraju ważnego odkrycia.

Znów pochwyliła obraz zalanego słońcem pokoju. Szybki, jasny, po którym natychmiast zastąpiła ciemność. Poczuła, że się budzi, i rozejrzała się po sypialni Diany, zupełnie jakby mogła ten obraz odnaleźć.

- Cassie - mruknęła Diana. - W porządku?

- Tak - odszepnęła. Ucieszyła się, kiedy Diana znów znieruchomiała. To Diana nalegała, żeby Cassie spała w jej pokoju, martwiąc się koszmarami, które prześladowały przyjaciółkę. Gdyby jednak obecność Cassie miała przeszkadzać Dianie, Cassie nie mogłaby tu dłużej zostać. I tak już sprawiała Dianie dość kłopotów. Przyjaciółka nie mogła jeszcze chodzić przez nią niewyspana.

W sumie, w domu Meade'ów Cassie spała dość spokojnie. Ten budynek nie przypominał domu pod numerem 12, który skrzypiał i postukiwał tak bardzo, że ciągle coś wyrzucało ją ze snu. Pewnie chodziło o jakies różnice w sposobie budowania, stwierdziła Cassie. Nowsze części domu Diary zostały zbudowane o wiele później, może używano wtedy jakichś lepszych materiałów?

Cassie leżała przez chwilę w ciepłym mroku, nasłuchując cichego oddechu Diary. Gdzie był John Black dziś w nocy? – zastanawiała się. Gdzieś na ładzie, w swoim wynajętym domku? A może tutaj, na wyspie New Salem?

Z jakiegoś powodu myśli, że New Salem leży na wyspie, niepokoiła Cassie. Czula się odizolowana, jak w obłączonym mieście. Jakby John Black mógł ich wszystkich naprawdę odciąć od reszty świata i rzucić na łaskę i miłość oceanu.

Nie bądź niemądra, powiedziała sobie. Ale niteczki paniki, które wily się w jej żołądku, nie dawały się uspokoić. Zaczęła się nagle zastanawiać, czy matce nie byłoby lepiej w szpitalu, gdzieś daleko stąd. Wszędzie, byle nie tutaj.

Przecież on nie ma powodu jej krzywdzić. To nas nienawidzi, myślała desperacko.

Ale przyszedł po jej babkę. Dlaczego? Po Księżę Cienia?

Teraz to ja mam Księżę Cienia, zdążyła sobie sprawę i coś ją ścisnęło za serce. A jeśli John Black postanowi wrócić i ją odebrać?

Ta myśl podzialała jej na wyobraźnię. Czula, że całe łóżko drży od uderzeń jej serca. A jeśli Black przyjdzie tutaj? Teraz. Jest człowiekiem z krwi i kości, ale

jest też czarownikiem. Czy obowiązują go te same zasady co innych ludzi? Czy mógłby wśliznąć się tu jak duch i czołgać się po podłodze w stronę łóżka?

Muszę zachować spokój. Muszę. Jeśli się rozspię, będzie po wszystkim. Dla mamy, dla kowenu, dla wszystkich. Potrzebni będą wszyscy, żeby z nim walczyć. Nie mogą zawieść.

– W mroku nie ma nic przerażającego, jeśli tylko stawi się mu czoło – szepnęła do siebie przez zaciśnięte zęby. – W mroku nie ma nic przerażającego, jeśli tylko stawi się mu czoło...

Pałace łąz połyły się z jej oczu, ale wciąż szeptała słowa babki, jak mantrę. Szeptala je i szeptala, aż w końcu zasnęła.

Następnego dnia zajęcia w szkole zaczęły się apelem. Faye znów nie było na jej zwykłym miejscu w pracowni angielskiego, ale kiedy Cassie weszła do sali gimnastycznej, ze zdumieniem zobaczyła ciemnowłosą dziewczynę tuż obok podestu.

Stała tam spokojnie, niemal skromnie jak na Faye. Miała na sobie dobrze skrojony kostium i wyglądała jak bardzo sprawna, seksowna sekretarka. Grzywę czarnych włosów upięła w miękką kok, a w rękę trzymała podkładkę z plikiem papierów. Potrzebowała tylko pary okularów w rogowych oprawkach i mogłaby być asystentką jakiegoś miliardera.

Cassie nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Rozzejrzała się po zebranych i zobaczyła Susan i Seana, którzy na pierwszej godzinie mieli zajęcia wyrównawcze z angielskiego. Kiwnęła na nich głową, odłączyli się od reszty klasy i zbliżyli do niej. Niebieskie oczy Susan były jeszcze większe niż zazwyczaj.

– Widziałas Faye? Co ona tam robi?

– Nie wiem – odparła Cassie. – Ale na pewno nie dobrego.

– Wygląda całkiem, całkiem – stwierdził Sean, szybkim ruchem oblizując wargi. – Po prostu fantastycznie.

Cassie zerknęła na Seana. A potem po raz pierwszy od długiego czasu przyjrzała mu się uważnie, w sumie od tamtego razu, kiedy zatańczyła z nim na imprezie z okazji Halloween. Latwo było nie dostrzec Seana. W tłumie zdawał się po prostu znikać. Ale tutaj, kiedy stali koło niej tylko on i Susan, Cassie skupiła się na chłopaku.

Powinno bardziej na niego uważać, pomyślała. Przez jej myśli przeleciał jakiś obraz – Sean taki, jakim go zobaczyła po raz pierwszy. Błyszczące oczy, polyskliwa kłamra paska z wygrawerowanym imieniem. Stał obok szafki pełnej reklam wyposażenia siłowni i szczyrzył do niej zębami. Coś w tym obrazie bardzo ją niepokoiło. Ale nie wiedziała co.

Ostatni uczniowie z drugiego i trzeciego rocznika wchodzili do sali. Cassie zobaczyła braci Hendersońców i Deborah siadających razem ze swoją klasą historii. Były też Diana, Melanie i Laurel, z klasą literatury brytyjskiej, oraz Sally Waltman z siedzącą tuż obok Portii Bainbridge, o znanych słomianych włosach. Zobaczyła Adama i jego klasę chemii, ale nie wiedziała Nicka.

– Wygląda na to, że Faye wzięła sobie zajęcia nadobowiązkowe – mruknął tuż za nią jakiś głos. Cassie obejrzała się z ulgą. Nick skinął głową chłopakowi, który zajmował miejsce tuż za nią, a on szybko się pozbierał i przesiadł. Cassie prawie nie zwróciła na

to uwagi. Za często widywała takie sceny. Dzieciaki z Crowhaven Road dawali znać, na co mają ochotę i to dostawali. Bez dyskusji i od razu. Tak to działo.

Nick usiadł na zwolnionym miejscu i wyjął paczkę papierosów. Otworzył ją i wyjął jednego. A potem zawążył wzrok Cassie.

Patrzyła na niego z umiesionymi brwiami. Naśladowała Dianę najlepiej, jak umiała. Promieniowała dezaprobatą.

– Aha – stwierdził Nick. Spojrzał na papierosy, a potem znów na nią. Wsadził wysuniętego papierosa z powrotem do paczki i schował ją do kieszeni. – Paskudny zwyczaj – powiedział.

– Raz, dwa, trzy, próba mikrofonu... – To był głos Faye. Cassie szybko się odwróciła.

– Działa – oznajmiła Faye z uśmiechem, który Cassie umiała określić wyłącznie jako zalotny. Czarnowłosa czarownica odsunęła się od mównicy i podszedł tam wysoki mężczyzna, który również stał na podium. Poprawił mikrofon, spojrzał na tłum siedzących uczniów.

– Dzień dobry – przywitał się. Na dźwięk jego głosu Cassie przeszła fala ciemności. Każdy mięsień w jej ciele napiął się w obronnym odruchu, gotów posłuchać jakiegoś głęboko ukrytego instynktu walki lub ucieczki. To tylko głos, myślała beznadnie. Jak czyjś głos może tak działać na człowieka?

– Niektórzy z was już wiedzą, że nazywam się Jack Brunswick i jestem waszym nowym dyrektorem.

Rozległy się słabe, niepewne brawa, które szybko ucichły. Już teraz wśród zebranych wyczuwało się niepewność i czujność. Zwykle szepty i poruszenia znikły jak płomień zdmuchniętej świecy, aż w całej wielkiej sali zapanowała kompletna cisza. Wszystkie oczy zwróciły się na podest.

Jest bardzo przystojny, pomyślała Cassie, usiłując zwalczyć odruch, który kazał jej uciekać jak najdalej stąd. Dlaczego tak gwałtownie reagowała na jego obecność? Czuli się tak jak w noc jej własnej inicjacji, kiedy Adam wyjął kryształową czaszkę. Cassie spojrzała na nią tylko raz i poczuła, że przerwienie przebiega jej dreszczem po plecach. W jej oczach tę czaszkę zdawała się otaczać aura mroku. Dopiero później dotarło do niej, że nie wszyscy członkowie kowenu dostrzegli to samo, co ona.

Rozglądając się teraz, Cassie widziała po minach innych uczniów, że nie czują ciemności emanującej z nowego dyrektora. Ona natomiast miała wrażenie, że Jack Brunswick rzuca cię na całe auditorium. Inny wydawał się silny i imponujący.

- Zdamy sobie sprawę, że w Liceum New Salem ostatnio było sporo zakłóceń - mówił, przeczesując niespiesznie wzrokiem rzędy uczniów. Cassie miała dziwne wrażenie, że zapamiętywał każdą twarz. - Na pewno uciechy was wiadomość, że z tym już koniec. Smutne wydarzenia, które trapiły szkołę, są już za nami. Czas na nowy początek.

„Zakłócenia”, o których wspominał nowy dyrektor, to śmierć dwojga uczniów i jego poprzednika, po-

myślała Cassie. Skoro sam ich zabił, rzeczywiście możesz zdecydować, że to już koniec. Zastanawiała się jednocześnie, jak Black zdolał zamordować ich z zażądaniem. Czy to działanie samej tylko mrocznej energii? Chciała szeptem podzielić się tym pytaniem z Nickiem albo Susan - albo z Seanem, dodała szybko w myślach z poczuciem winy - ale trudno jej było oderwać wzrok od mężczyzny na podium.

- Doszły mnie wieści, że do niedawna administracja szkoły traktowała kwestie dyscypliny z pewną... nonszalancją. Ta polityka niejakiej, jakby to ująć, permisywności niewątpliwie miała na celu same korzyści. - Dyrektor spojrzal w stronę nauczycieli, którzy stali pod ścianami sali, jakby chciał dać do zrozumienia, że mógłby użyć innych określeń na opisanie tamtych działań, ale nie chce mówić źle o niezjących. - Zezwalamo na działania, które szkodziły nie tylko uczniom, biorącym w nich udział, ale i samej idei ponadpodstawowej edukacji. Niektórym grupom zezwalamo na szczególnie przywileje.

O czym on mówi? - myślała Cassie. Zupełnie jak polityk; mnóstwo wyszukanych słów, zero treści. Jednak coś w głębi jej ducha związało się z niepokojem.

- No cóż, nasza polityka ulegnie teraz zmianie. Jestem pewien, że ostatecznie większość z was będzie z tych zmian zadowolona. Ster trzyma nowa ręka. - Uśmiechając się, dyrektor uniósł dłoń.

I zaczął mówić dalej. Cassie nigdy potem nie umiała dokładnie przypomnieć sobie jego słów, ale pamiętała ton głosu, głęboki i władczy. Rozkazujący. W jego przemówieniu padło wiele gładkich powiedzonek: „surowa miłość”, „staroświecka dyscyplina”, „kara odpowiednia do przewinienia”. Czuli reakcję

sluchających - nad ich głowami gromadził się mrok. Jakby w tym tłumie wzbierało coś i rości. Przeraziło ją to niemal bardziej niż sam John Black. Zupełnie jakby karmił i napełniał uczniów jakąś okropną mocą. Powinno go nienawidzić, zamiast tego wydawali się zachwyceni.

Zasady. Zasady muszą być przestrzegane. Uczniowie nieprzestrzegający zasad będą odsyłani do gabinetu dyrektora...

- Chyba już czas na instrukcje. - Jack Brunswick zwrócił się do uczennic, które stały blisko niego. Faye i kilka innych dziewczyn zeszło z podestu i zaczęło rozdawać papiery.

Cassie obserwowała dyrektora, a on z kolei obserwował uczniów. Stał w swobodnej pozycji, bez wysiłku skupiając na sobie ich uwagę nawet wtedy, kiedy nic nie mówił. Tak, jest przystojny, pomyślała. Wygląda trochę jak młody Sherlock Holmes - głęboko osadzone oczy, orli nos, zdecydowane usta. W głosie miał nawet ślady brytyjskiego akcentu. Miły głos, pomyślała Cassie. Kulturalny i pełen siły przekonywania.

Jack Brunswick wyglądał raczej jak łowca czarownic niż jak czarownik.

Faye doszła do rzędu Cassie i wręczyła jej plik papierów.

- Faye! - rzuciła cicho Cassie, ale czarownica dziewczyna spojrziała tylko na nią i poszła dalej. Zbita z tropu, Cassie wzięła dla siebie jeden komplet wydruków, a resztę przekazała Susan. Plik składał się z trzech kartek papieru zadrukowanych maczkiem.

„Wykroczenia - typ A. Wykroczenia - typ B. Wykroczenia - typ C.”

To była lista zakazów, linijka po linijce... Tu i tam Cassie wylapywała jakiś fragment.

„Noszenie ubrań niecelujących z powagą i godnością instytucji edukacyjnej... Korzystanie z szafki lub przebywanie na korytarzu o każdej porze poza przeznaczoną na zmianę pracowni w czasie przerwy... Posiadanie lub używanie pistoletów na wodę... Śmiecenie... Bieganie po korytarzach... Niewypełnienie polecenia nauczyciela lub innej osoby pełniącej dyżur na korytarzu...”

Dyżury na korytarzu? - zastanowiła się Cassie. U nas nie ma osób pełniących dyżury na korytarzach. Czytała dalej.

„Publiczne demonstrowanie uczuć... Niezwracanie do recyklingu styropianowych tac po lunchu... Trzymanie stóp na siedzeniach lub oparciach krzesel...”

- On chyba nie mówi serio - szepnęła Susan. Nick cicho zagwizdał.

- Będziecie mieli czas zapoznać się w trakcie lekcji z tymi zaleceniami i dokładnie je sobie przyswoić - powiedział nowy dyrektor. Cassie kątem oka dostrzegła rzędy unoszących się głów. Szelest papierów ustal. - A teraz chciałbym poprosić o zgłaszanie się na ochotnika do dyżurów na korytarzach. Ta funkcja związana jest z ogromną odpowiedzialnością, więc proszę się dobrze zastanowić, zanim umiesciecie rękę.

W całym auditorium ręce podrywały się w górę. Uczniowie z Liceum New Salem jeszcze nigdy tak szybko się do niczego nie zgłaszali. Cassie zobaczyła Portię, wyprostowaną i drżącego niczym pies myśliwski wystawiający zwierzynę. Sally, która siedziała obok niej, wymachiwała uniesioną ręką jak wariatka. Zupełnie jak dzieciak w trzeciej klasie podstawówki,

który rwie się do odpowiedzi. Cała sala wyglądała tak, jakby uczniowie postanowili przechwycić hitlerowski pozdrowienie.

Oczy Johna Blacka przesunęły się po siedzących, uważnie obserwując każdą twarz.

A potem Cassie zorientowała się, że Sean też unosi rękę.

– Sean! – syknęła. W sali było tak cicho, że nie odważyła się odezwać głośnie. Susan zerknęła na Seana, a potem odsunęła się od niego. Nick nie mógł dosięgnąć kolegi. – Sean! – powtórzyła Cassie.

Zdawało się, że jej nie słyszy. Utkwił błyszczące oczy w podium. Na twarzy miał gorliwość, był spięty.

Cassie poczuła swędzenie w dłoniach. Była zde-sperowana. Przechyliła się przez Susan, żeby złapać Seana za lewe ramię i z całą siłą, jaką mogła zebrać, pomyślała: Sean!

Poczuła, że moc wypływa z niej niczym uderzenie ciepła, tak samo jak wtedy, kiedy stanęła naprzeciw psa strzegącego pola dyń. Wybuch czystej energii. Sean szybko na nią spojrzal, z bardzo zdziwioną twarzą.

– Opuść rękę – szepnęła, po tym wysiłku drżąc i znużona. Sean popatrzył na swoją rękę, jakby nigdy przedtem jej nie widział, i szybko ją opadł. Złapał się poręczy siedzenia, nadal patrząc z ukosa na Cassie.

Teraz i Susan próbuje się ode mnie odsunąć, zorientowała się Cassie. Jasnonuda dziewczyna i Sean mieli przestraszone miny. Cassie spojrzała w stronę podium i zobaczyła, że nowy dyrektor patrzy prosto na nią, a jego włosy wykrzywają się w nieznamym uśmiechu.

Super. Cały ten cyrk chyba mu się podoba. A moi przyjaciele się mnie boją.

— 214 —

– I to całkiem na serio – stwierdził Adam, dołączając do nich. Jego szaroniebieskie oczy na moment pobiegły w stronę ramienia Nicka obejmującego Cassie, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił. – Przeczytaliście ten kawałek o wykroczeniach typu C?

Cassie opuściła ostatnią stronę. Przerzuciła teraz kartki wydruku i spojrzała na nią.

– „Jazda na deskorolce, na rolkach, na motorze...”, „Noszenie walkmanów na terenie szkoły...”, „Palenie lub używanie innych produktów zawierających tytoń...”

To ma być coś gorszego niż typ B, na przykład zażywanie narkotyków czy bójki?

– Zdaje się, że te ostatnie są skierowane do konkretnego odbiorcy – rzekł ponuro Adam.

I wtedy Cassie zrozumiała. Przypomniała sobie swój pierwszy dzień w liceum w New Salem, kiedy o mało nie zbili jej z nóg bracia Hendersonowie. Tylko że ona wtedy jeszcze nie wiedziała, że to są Hendersonowie. Widziała tylko dwóch wariatów w koszulkach zespołów heavy-metalowych, z rozczochranymi jasnymi włosami, którzy szaleli po korytarzach na rolkach i słuchali muzyki z walkmanów.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Te zasady są dla nas – szepnęła.

Adam spojrzal jej w oczy i pokiwał głową.

– Palenie – przypominała sobie Cassie. Ścisnęła Nicka za rękę, obracając się tak, żeby mu spojrzeć w twarz. – Nick, proszę, musisz uważać. Black chce nas dopaść, a my nie jesteśmy jeszcze gotowi na konfrontację... Nick! – Ogarniały ją złe przeczucia. Nick miał kłopoty z autorytetami i każdy zakaz traktował

— 216 —

John Black nadal wpatrywał się w nią i nie odwracał wzroku, a potem, z lekkim uśmiechem, zwrócił się do całego auditorium.

– Bardzo dobrze. Ci z was, których wybrano, zostaną po apelu, żeby zapoznać się ze swoimi nowymi obowiązkami. Reszcie dziękuję i życząc miłego dnia.

Cassie włoski na karku stanęły dęba.

– Wybrani? – szepnęła, rozglądając się wokół. Nie było przecież żadnej selekcji. Ale niektórzy uczniowie z tych, którzy podnosili ręce, przechodzili teraz spokojnie, w ciszy w stronę podium. Portia i Sally były wśród nich.

Nie rozumiecie? Przecież musicie widzieć, jakie to dziwne, myślała Cassie, obracając się, żeby zerknąć na pana Humphriesa, stojącego w przejściu. Pan Humphries jednak nie wydawał się wcale zdziwiony tym, co się działo. Spokojny i chyba nawet zadowolony wprowadzał swoją klasę z sali. Wyglądał, jakby był na łożkach uspokajających, pomyślała Cassie i zadrżała. Jak zahipnotyzowany.

John Black nadal stał przy mównicy. Czula jego oczy na sobie, kiedy wychodziła z sali.

Cassie ociągała się, idąc korytarzem za swoją klasą angielskiego. Chciała zrównać krok z Nickiem, Susan i Seanem. Susan i Sean zerkali na nią dzwinnie, ale Nick otoczył ją ramieniem.

– To było niezłe – powiedział cicho.

Cassie poczuła się lepiej, póki nie zauważyła, że nie miał swojego wydruku.

– Zostawiłem go na krześle – odparł na jej pytanie. A wtedy zaniepokoiła się jeszcze bardziej.

– To oznacza śmiecie – zganila chłopaka. – Śmiecie należy do wykroczeń typu A. Nick, musimy uważać. On chce nam dać w kość.

— 215 —

jak wyzwanie. W tej chwili, sądząc po jego minie, nie zamierzał przestrzegać zakazów nowego dyrektora. – Nick!

– Karą za wykroczenie typu C jest wezwanie do gabinetu dyrektora – oznajmił Adam. – Black usiłuje nas dopaść. To gierka oparta na jego zasadach.

– Nick, chcę, żebyś mi obiecał, że przynajmniej spróbujesz nie pakować się w tarapaty – prosiła Cassie. – Nick, musisz mi obiecać.

Spojrzał na nią. Zaciśnięta dłoń na jego ręce i spojrzała na niego z całą uwagą. Proszę cię, myślała. Dla mnie, proszę.

Nick zmarszczył brwi, a potem odwrócił wzrok.

– Dobrze – powiedział i pokiwał głową, unosząc jednocześnie oczy do nieba. – Dobrze, spróbuję... nie dać się złapać.

Cassie nieco się odprężyła.

– Dziękuję – szepnęła. W tej samej chwili podeszły do nich Diana, Melanie i Laurel. Miały ponure miny.

– Wylapaliście to coś na samym początku, że niby poprzednie kierownictwo zezwalało na pewne działania? – spytała Melanie. – To o nas mówił. O Klubie i jego szczególnych przywilejach. Powiedział, że to wszystko się teraz zmieni.

– Dawal im znać, że już nie mamy władzy. W sumie to udzielał resztkę porzucenia, żeby... – zaczęła Cassie.

Umilkła. I ona, i pozostali członkowie Klubu popatrzyli na siebie w milczeniu.

– Żeby wszyscy wydobyli strzelby z szaf, bo sezon polowania na czarownice właśnie się zaczął – oznajmił wreszcie Nick. Znowu objął Cassie ramieniem.

— 217 —

- Wynośmy się stąd – zaproponowała Susan.
- Nie możemy – odparła Laurel. – Opuszczenie terenu szkoły bez zezwolenia to wykroczenie.
- Wszystko jest jakimś wykroczeniem – stwierdziła Susan.
- A gdzie Chris i Doug? – spytała ostro Cassie. – I Deborah?
Wszyscy rozejrzeli się wkoło. Oprócz Nicka, bracia Hendersonowie i motocyklistka byli pierwszymi kandydatami do pakowania się w kłopoty.
- Na pierwszej godzinie mają historię, ale chyba nie wrócili razem z klasą – odparł Sean. – Zdaje się, że zostali w sali.
- Chodźcie – rzucił krótko Adam.
Chris i Doug stali pod salą gimnastyczną. Otaczała ich grupa innych uczniów, szykowali się do bójki.
- ...więcej nie będziemy na to pozwalali – z radośnym triumfem mówił właśnie jakiś obcy chłopak.
- Co ty nie powiesz?! – odwrzasnął Doug.
- Tak! Wasze dni się skończyły, stary! Zostaniecie odesłani do dyrektora!
- Szybko to podłapali – mruknął Nick do Cassie.
- Wszyscy zostaniecie odesłani do dyrektora – oznajmił Adam i przepchnął się między obcymi, żeby stanąć obok Chrissa i Douga. Spojrzył na następników. W dłoni trzymał wydruk niczym magiczny talizman. – Bójka to wykroczenie typu B. Wszyscy za to podpadniecie.
Przez moment się wahali, ale potem cofnęli się, zerkając jeden na drugiego.
- Jeszcze się zobaczymy – rzucili na koniec i zawrócili korytarzem. Doug próbował ruszyć ich śladem.

— 218 —

- Kiedy chcecie i gdzie chcecie! – wrzasnął, kiedy Nick go złapał i zatrzymał. – Puszczaj mnie – warknął.
- Nie możemy sobie jeszcze pozwolić na konfrontację – tłumaczyła bliźniakowi Diana. – Dobra robota – pochwaliła Adama.
- Tym razem podziałalo – odparł. – Ale jeśli mam rację, to w końcu wszyscy się zorientują, że te zakazy są skierowane głównie przeciwko nam. Może oni wcale nie będą mieli kłopotów, jeśli wdadzą się bójkę, ale my tak.
Ku ogromnej uldze Cassie zza rogu wyszła właśnie Deborah.
- Deb, gdzie ty była?
- Patrzyłam, jak korytarzowi dyżurni otrzymują instrukcje. Dają im takie plakietki. Jak esesmanom.
- Oni są zupełnie jak hitlerowcy – zgodziła się Cassie.
- On tu organizuje polowanie na czarownicę – dodał Adam.
- Ciekawe, czy robił to już wcześniej – zastanowiła się Susan.
Cassie właściwie zamierzała coś powiedzieć, ale przerwała w pół słowa i zagapiła się na Susan. Wyglądała tak... głupawo jak pusta laleczka. I nawet teraz grzebała w torbie, szukając puderniczki. A jednak znów trafiła w dziesiątkę.
- A Faye pracuje dla niego... – mówiła Diana.
Cassie jej przerwała:
- Nie, czekaj, posłuchajcie. Słyszeliście, co właśnie powiedziała Susan? Nie rozumiecie? „Ciekawe, czy robił to już wcześniej”. Wście co? Zażość się, że tak.

— 219 —

- W 1692 – rzekł Adam powoli – w Salem. Jak mogliśmy być tacy głupi?
- Hm? – mruknął Chris.
- Uważają, że to John Black zorganizował polowanie na czarownicę w Salem – wytłumaczyła Diana. – Ale...
- Może nie zorganizował, ale przytożył się do niego, wspomógł je – stwierdziła Cassie. – Upewnił się, że po prostu nie rozejdzie się po kościach, rozbudził histerię. Tak jak robił to dzisiaj.
- Ale dlaczego? – spytała Laurel.
Zapadło milczenie, a potem Adam uniósł głowę. Już nie marszczył brwi. Głos miał ponury.
- Żeby zmusić kowen do wyjazdu. Żeby pojechali za nim. Nie mogli tam zostawać dłużej w takiej atmosferze, więc pojechali jego śladem do New Salem, zabierając ze sobą wszystko, włącznie z Arkanami Mi-strza.
- Mówiliście, że Black był liderem tamtego pierwszego kowenu – podjęła Cassie. – Ale zastanawiam się, czy był ich liderem jeszcze przed wyjazdem do New Salem, czy dopiero później.
Twarze członków Kręgu zrobiły się poważne.
- Moim zdaniem znów usiłuje zrobić coś takiego – powiedział Adam. – Nastawia wszystkich przeciwko nam, żebyśmy nie mieli dokąd się zwrócić, poza nim. Żeby tylko on mógł nas obronić.
- Może sobie iść do diabła – rzuciła wojowniczo Deborah takim tonem, jakby to powinno być dla wszystkich oczywiste.
- Taa... No cóż. Jestem pewien, że Black wie, że na razie nie będziemy się czołgać przed nim na kola-

— 220 —

nach – mruknął Nick. – Ale za parę tygodni może to wyglądać nieco inaczej.
- Chyba trzeba porozmawiać z Faye – stwierdziła Diana.
Zaczekali na przywódczynię kowenu przy tylnych drzwiach sali gimnastycznej, bo Deborah uznała, że Faye najprawdopodobniej wyjdzie właśnie tamtędy. Kiedy pojawiła się w progu, w ręku niosła podkładkę do papierosów.
- Nareszcie sam na sam – rzucił ironicznie Nick, gdy otoczyli ją całą jedenastką i zmusili, żeby się zatrzymała. Spoglądając w twarze członków Kręgu akurat w tamtej chwili, Cassie przypomniała sobie, jak wyglądały Faye, Deborah i Susan, kiedy przytapały ją na szpiegowaniu ich przed szkołą. Piękne, skupione i śmiertelnie groźne. Niebezpieczne.
Faye popatrzyła na nich i odrzuciła głowę w tył. Nie wyglądało to tak samo efektywnie, kiedy włosy miała spięte w kok.
- Z drogi. Mam mnóstwo do zrobienia – powiedziała.
- Dla niego? – spytał Adam ostro. Diana położyła mu dłoń na ramieniu i sama zabrała głos:
- Faye, wiemy, że teraz nie masz czasu na rozmowę. Ale dzisiaj wieczorem organizujemy ceremonię. To noc Hekate...
- I nasze urodziny – dodał Chris z niezadowolonym.
- ...i chcemy, żebyś przyszła.
- Wy organizujecie ceremonię? – zdziwiła się Faye. Nie wyglądała już jak asystentka jakiegoś bogacza, a bardziej jak jej dawne wcielenie; czarna

— 221 —

pantera. – Nie możecie. To ja jestem przywódczynią kowenu.

– Jak możesz być przywódczynią kowenu, skoro w ogóle cię z nami nie ma? Zamierzamy urządzić tę ceremonię dziś wieczorem, Faye, na skrzyżowaniu Crowhaven i Marsh Street. Jeśli tam przyjdiesz, możesz, oczywiście, ją poprowadzić.

Faye szukała wzrokiem wsparcia u Deborah i Susan, swoich odwiecznych przybocznych. Ale drobniutka twarz motocyklistki zastęgała w wyrazie gniewnego niezadowolenia, a porcelanowobłękotne oczy Susan spoglądały obojętnie. Żadna nie chciała jej pomóc.

– Zdrajczyńie – parsknęła Faye z pogardą. Zaciśnęła piękne, nadąsane usta. – Będę tam. I poprowadzę ceremonię. A teraz lepiej się stąd wynoście, zanim was zauważy dyżurny z korytarza.

Odwróciła się i odeszła.

Udało im się przetrwać cały dzień bez większych kłopotów, chociaż Susan musiała zostać po lekcjach za to, że nie wyrzuciła do kosza papierka po babeczce. Nie za to, że zostawiła go na stoliku ani coś w tym stylu. Po prostu za to, że nie wyrzuciła go do kosza, jak tylko skończyła jeść. To było urodziny typu A.

Tego wieczoru obchodzili urodziny braci Hendersonów u Adama w domu. Chris i Doug byli ogromnie rozczarowani. Mieli ochotę na imprezę na plaży i pływaniu na golasa.

– I na wszystko, co szalone – upierał się Chris. Adam odparł, że albo taka impreza, albo żadna.

Faye pojawiła się około dziesiątej, ubrana w tunikę z czarnego surowego jedwabiu, tę samą, którą miała na sobie w noc wyboru przywódcy kowenu.

— 222 —

– Za moich czasów nosiło się białe – zachichotała pani Franklin, wprowadzając ją do zabalaganionego salonu, pełnego podniszczonych, wygodnych mebli. – Ale czasy się zmieniają.

Faye nawet jej nie odpowiedziała.

– No, jestem – rzuciła, rozglądając się wkoło z wyniosłą miną. – Chodźmy.

Cassie przyglądała się srebrnemu diademowi, który lśnił na czarnych jak noc włosach Faye, srebrnej bransoletce na jej krągłym ramieniu i podwiązce z zielonej skóry z błękitnym jak niebo jedwabiem na jej udzie. Zastanawiała się, jak wyglądają prawdziwe Arkana Mistra, te które były używane przez pierwszy kowen.

Niewiele było rozmów, kiedy siedem dziewczyn ruszyło powoli Crowhaven Road. Diana i Faye szły na przedzie. Cassie słyszała, że Diana coś mówi, ale nie rozróżniała słów. Jasnowłosa dziewczyna niosła białą torbę, w której miała rzeczy potrzebne do zakreślenia kręgu i zainicjowania spotkania.

Doszły na rozstaje dróg. „To musi być takie miejsce, z którego droga rozchodzi się w trzy strony – zapowiedziała wcześniej Diana – żeby symbolizować trzy etapy kobiecości: dziewczynę, matkę i wiedźmę”. W tym miejscu Marsh Street dochodziła do biegnącej na północ i na południe Crowhaven Road.

– Musimy stać na samej drodze? – spytała teraz Susan. – A jeśli ktoś nadjedzie?

– Wtedy szybko uskończymy na bok – powiedziała Laurel.

– Chyba nic tu nam nie grozi – stwierdziła Diana. – Nie ma zbyt wielu samochodów o tak późnej porze. Chodźcie, dziewczyny, jest zimno.

— 223 —

– To moja ceremonia – upominała ją Faye, ujmując rytualny sztylet z czarną rękojęcią.

– Nigdy nie mówiłam, że nie – odparła Diana cicho. Odstąpiła na bok, patrząc, jak Faye zakreśla krąg. Cassie poczuła, że twarz płonie jej rumieńcem, kiedy tak stała za plecami Diany i patrzyła, jak Faye robi to, co zawsze robiła Diana. Co Diana robiłaby nadal, gdyby nie Cassie. Chciała szepnąć coś do Diany, ale zamiast tego złożyła sobie tylko w głębi serca obietnicę.

Jakoś to wszystko naprawię. Faye nie będzie wieczną przywódczynią kowenu. Cokolwiek musiałabym zrobić, zrobię to, pomyślała. Przysięgam na Ziemię, na Wodę, na Ogień i na Powietrze, dodała w myślach z rozrządzeniem.

ROZDZIAŁ 8

Faye nakreśliła na drodze okrąg sztyletem z czarną rękojęcią. Potem obeszła krąg, opryskując go wodą czerpaną z kubka, następnie z długim patyczkiem kadziła, a w końcu z zapaloną świecą. Były to symbole żywiołów, które wcześniej wzewała Cassie: Ziemi, Wody, Powietrza i Ognia. Słodki, przenikliwy aromat kadziła dobiegł Cassie w zimnym nocnym powietrzu.

– No dobrze, wejście do środka – zaprosiła dziewczyny Faye. Weszły do kręgu przez przerwę w jego południowo-wschodnim fragmencie i usiadły na jego obwodzie. Dziwnie jest widzieć w kręgu tylko twarze dziewczyn, pomyślała Cassie.

— 224 —

– Chcesz coś wyjaśnić czy ja mam to zrobić? – spytała Diana. Trzymała dłoń na białej torbie. Coś w niej jeszcze było.

– Och, wyjaśnij sobie – rzuciła od niechcenia.

– Dobrze. Każda z nas bierze po świecy, rozumiecie, zapala ją, a potem ustawiamy je w kręgu pośrodku. I każda z nas mówi słowo, którym można opisać jeden z aspektów kobiecości. Nie jego etapy, wiecie: dziewczyna, matka, wiedźma, ale jego cechy. Takie...

– Cnoty – podsunęła jej Melanie.

– Właśnie. Cnoty. Potem pokażemy świecę żywiołom i poprosimy o ich błogosławieństwo. To w pewien sposób potwierdzenie tego, czym my, dziewczyny, jesteśmy. Uczenie naszej kobiecości.

– Myślę, że to uroczę – odezwała się miękko Cassie.

– Dobra, do dzieła. Kto chce czerwoną? Czy w ogóle muszę pytać? – Diana wyjęła z torby czerwoną świecę. Cassie pomyślała, że chyba czuje bardzo delikatny aromat cynamonu.

– Ja. Uosabiam czerwień – oznajmiła Faye. Obróciła świecę w dłoniach, podziwiając jej gładki wosk. A potem uniosła ją prosto i szybkim ruchem dłoni zastłoniła kciok. Cassie zobaczyła, że pojawił się płomyk, przeświecający przez palce Faye tak, że wyglądały jak różowa muszla, a jej długie czerwone paznokcie zabłyśły jak klejnoty.

Diana, która wyciągała już do Faye paczkę zapalek, odłożyła je.

– Namietność – powiedziała Faye głębkim głosem, uśmiechając się tym swoim dawnym, powolnym uśmiechem do całej grupy, a potem nakapala wosku na ziemię i ustawiła w nim świecę.

11 - Dłony Krąg 1

— 225 —

- Czy to cnota? - spytała sceptycznie Melanie.
Faye uniosła brew.
- To jeden z aspektów kobiecości. Ten, który chce
uczcić.
Czerwona świeca jaśniała jak gwiazda.
- Następna jest pomarańczowa - rzekła Diana -
Kto ją chce?
- Ja ją wezmę - zgłosiła się Susan. Pomarańczo-
wa świeca kolorem zbliżona była do odcienia włosów
dziewczyny. Susan ją powąchała.
- Bezoskwinię - oznajmiła i Cassie na odległość po-
czuła słodki, zmysłowy zapach. - No dobrze, piękno -
powiedziała Susan. Zapaliła zapalnik a od niej świecę.
- Piękno zdecydowanie nie jest...
- No cóż, może to nie cnota, ale na pewno coś, co
kobiety posiadają - wtrąciła Cassie. Melanie przewróci-
ła oczami. Susan ustawiła pomarańczową świecę na
drodce, obok czerwonej.
- Dobra, chcę być następną. Wiem, co mam ro-
bić - stwierdziła Deborah. Złapała białą torbę, pogrze-
bała w niej i wyjęła żółtą świecę.
- Zapalnik - odezwała się władczą do Susan, która
położyła je na wyciągniętej dłoni przyjaciółki. Debo-
rah zapaliła żółtą świecę.
- Odwaga - powiedziała jasno i wyraźnie, usta-
wiając świecę w przezroczystej płamie żółtego wosku
nakapanego na drogę. Cassie poczuła czysty, ostry
zapach cytryny i pomyślała, że pachnie jak Deborah,
jak odwaga. Płomień żółtej świecy, palący się obok
dwóch pozostałych, oświetlał ciemne włosy Deborah
i odbijał się szalerczo w jej skórzanej kurtce.
- Dobrze. Zielona - kontynuowała Diana, sięga-
jąc po torbę.

- Ja - Melanie wzięła ciemnozieloną świecę. Sie-
dziła tuż obok i Cassie nachyliła się, żeby powąchać
wosk. Pachniał czymś leśnym; sosną, uznala Cassie.
Jak bożonarodzeniowe drzewko.
- Mądrość - oznajmiła Melanie, a jej chłodne sza-
re oczy spoglądały stanowczo, kiedy zapalała świecę.
Przez moment wdychała jej zapach, a potem ustawiła ją
na drodze. Cztery płonące świece utworzyły półokrag.
- Niebieska - rzekła Diana. Cassie poczuła ukłu-
cie niepokoju i odywiania. Niebieski był jej ulubionym
kolorem i chciała tej świecy, ale nie była pewna, czy
powinna się jej domagać. Ale kiedy Diana i Laurel
się nie odezwały, przypomniała sobie, że Laurel lubiła
ametysty i często nosiła fiolet. Cassie odchrząknęła.
- Ja ją wezmę - oświadczyła i sięgnęła po blade-
niebieską świecę, którą wyciągała przed siebie Diana.
Była bardzo zadowolona, że w tęczy barw kowenu
reprezentuje błękit. Ale nie wiedziała jeszcze, co ma
powiedzieć. Jaki jest błękit? - zastanowiła się wcha-
jąc świecę, żeby zyskać na czasie. Jaka kobięcą cnotę
chciałabym uczcić?
Nie bardzo mogła rozpoznać zapach, słodki a jed-
nocześnie ostry.
- To woskownica - wyjaśniła Melanie, kiedy Cas-
sie nadal wahała świecę. - Ten zapach ma swoją hi-
storię. Wszyscy w koloniach robili kiedyś świece z wo-
skownicą.
- Och! - Może dlatego zapach wydawał się znajo-
my. Może jej babka paliła takie świece. Jej babka trzy-
mała się wielu starych tradycji. Cassie już wiedziała,
jaką cnotę chciałaby teraz uczcić.
- Inspiracja - powiedziała. - Czyli wyobraźnia,
a może rodzaj natchnienia, rozumiecie. Kiedy babka

pomagała mi zrobić kostium muzy na Halloween, po-
wiedziała, że za to właśnie odpowiadają muzy. Obda-
rzały ludzi inspiracją, zdolnością wymyślania nowych
rzeczy, natchnionymi pomysłami. I były kobietami, te
muzy, znaczy.
Cassie nie zamierzała wygłaszać całej mowy i te-
raz opuściła wzrok, zawstydzona. Nie dostałam zapali-
lek, pomyślała. I wtedy sama doznała blasku inspi-
racji. Otaczając knot świecy dłonią tak, jak zrobiła to
Faye, skoncentrowała się mocno, myśląc o ogniu, o ja-
snych, buchających płomieniach. A potem pchnęła tę
myśl umysłem, tak samo jak zrobiła to z dobermanem
i z Seanem. Poczuła, jak moc wypływa z niej niczym
uderzenie ciepła i skupia się na knocie, a potem nagłe
płomyk buchnął tak wysoko, że musiała szybkim ru-
chem cofnąć rękę, żeby się nie oparzyć.
- Ot, taki pomysł - powiedziała nieco drżącym gło-
sem i nakapala wosku na drogę, żeby ustawić w nim
niebieską świecę. Pozostałe dziewczyny gapły się na
nią z otwartymi oczami. Wszystkie poza Faye, która
oczy miała zmużone i ocienione powiekami.
Deborah uśmiechnęła się szeroko.
- Zdaje się, że mamy tu więcej niż jedną specja-
listkę od ognia - stwierdziła. Faye zirytowała się jesz-
cze bardziej.
- Ach, fioletowa - oznajmiła Diana, przytomnie-
jąc i wyciągając z torby świecę o barwie lawendy.
- To ja. Jak ty to zrobiłaś, Cassie? No dobrze, nie
przerywam ceremonii. Chciałabym tylko wiedzieć -
papiłala Laurel. Popatrzyła na świecę. - Nie wiem, jak
ująć moją cnotę jednym słowem - rzekła. - Chciałam
powiedzieć coś o proekologicznym nastawieniu, takim
jakimś poczuciu więzi ze wszystkim, co istnieje. Jeste-

śny częścią ziemi i powinniśmy dbać o wszystko, co ją
zamieszkuje razem z nami.
- Może empatia? - podesunęła cicho Melanie. -
Moim zdaniem, to by było to.
- Dobre słowo. Empatia. - Laurel zapaliła fioleto-
wą świecę.
- Jak ona pachnie? - szepnęła Susan, kiedy Lau-
rel ustawiła świecę na drodze między niebieską świecą
Cassie a czerwoną Faye, kompletując tęczyowy krąg.
- Jest słodki i kwiatowy, to chyba hiacynt - od-
szepnęła Laurel.
- Czekajcie - odezwała się Cassie. - Jeśli ta świe-
ca stoi tutaj, to co z Dianą? Nie zapalisz świecy, Dia-
no? - Poczuła się zazdrosna w imieniu przyjaciółki,
chciała, żeby jasnawłosa dziewczyna też mogła zapalić
świecę.
- Tak. Białą stawia się w środku, a już tylko ja zo-
stałam, żeby ją tam umieścić.
Idealne rozwiązanie, pomyślała Cassie, patrząc,
jak Diana wyjmuje białą, pachnącą wanilią świecę
i unosi ją w górę. Diana bez żadnych wątpliwości re-
prezentowała biel, tak jak Faye czerwień.
Było to widać także w słowie, które wybrała.
- Czystość - powiedziała po prostu, zapalając bia-
łą świecę zapalnik i sięgając do wnętrza kręgu świec,
żeby ustawić ją na środku. To słowo zabrzmiałoby
idiotycznie w ustach kogoś innego, ale Diana wygląda-
ła jak uosobienie czystości, siedząc tam tak, z piękną
twarzą oświetloną świecami, z jedwabistymi, prosty-
mi włosami tego niemożliwego koloru opadającymi jej
na plecy. Minę miała poważną. Kiedy Diana mówiła
o czystości, miała na myśli właśnie czystość i nawet
Faye nie ośmieliła się zakpić.

Krag świec wyglądal ładnie – siedem języków płomienia podskakujących i roztańczonych w nocnym powietrzu; siedem zapachów łączących się w jeden wspaniały, złożony aromat. Powiewy wiatru przynosiły do Cassie zapach cynamonu, potem sosny, potem ostrej cytryny.

– Namietność, piękno, odwaga, mądrość, natchnienie, empatia i czystość – wyliczyła Laurel, wskazując na świece, które reprezentowały każdą z cech.

– Niech wszystkie... – odpowiedziała Diana, lekko szturchając Faye.

– Niech wszystkie nas obdarzają – ciągnęła Faye. – Ziemia, Woda, Ogień, Powietrze, bądźcie świadkami. Nie żebyśmy już tych cech nie posiadały – dodała, patrząc na krag płonących świec z zadowolonym uśmiechem. Laurel posłała Cassie porozumiewawcze spojrzenie nad płomieniami, a Cassie odpowiedziała podobnym spojrzeniem.

– No cóż, w każdym razie, mamy je wszystkie, choć każda po jednej – powiedziała Deborah i uśmiechnęła się szeroko. Diana odpowiedziała łagodnym uśmiechem. Przez moment wszystkie dziewczyny uśmiechały się do siebie ponad płomieniami, a Cassie miała poczucie, jakby były wszystkie częścią czegoś większego od siebie. Każda z nich wносиła coś ważnego i wspólnie stanowiły coś więcej niż tylko sumę poszczególnych części.

– Powinnyśmy teraz pozwolić im płonąć całą noc – powiedziała Melanie, ruchem głowy wskazując na świece.

– A jeśli ktoś je przejedzie? – spytała Susan.

– No cóż, pewnie jeśli nie będziemy tego widziały, to nie będzie to miało znaczenia – stwierdziła Diana.

na. – Zaraz, czekajcie, jest jeszcze coś co chciałybyśmy zrobić. To nie jest częścią nocy Hekate, ale też ma związek z Grecją. Arretoforia. To oznacza święto naufania. – Znowy sięgnęła do białej torby. – Greckie kapłanki Ateny kiedyś tak robiły. Jedną ze starszych członkiń grupy, czyli ja, daję pudełko najmłodszej członkini, tobie, Cassie. Musisz iść i zakopać gdzieś to pudełko, nie zaglądając do środka. To powinna być jakaś długa i niebezpieczna podróż, ale uważam, że Nick ma rację. Lepiej się stąd nie oddalać. Po prostu sejdź na bok drogi i gdzieś to zakop.

– I to wszystko? – Cassie popatrzyła na pudełko, które Diana jej wręczyła. Było zrobione z jasnego drewna, całe rzeźbione w jakies maleńkie, zawile wzory: pszczoły, niedźwiedzie i ryby. Coś w jego wnętrzu grzechotało. – Mam je po prostu zakopać?

– To wszystko – przytaknęła Diana i wręczyła Cassie ostatni przedmiot ze swojej białej torby, niewielką łopatkę. – Chodzi o to, że masz nie zaglądać do środka. Dlatego nazywa się to właśnie świętem zaufania. W ten sposób czymy zaufanie, odpowiedzialność i przyjaźń. Kiedyś wrócimy tu i odkopimy to pudełko.

– Dobrze. – Cassie zabrała pudełko i łopatkę, wyszła z kręgu i odeszła od grupy, zostawiając za sobą tańczące płomyki świec.

Nie chciała zakopywać pudełka blisko drogi. Ziemia tam była zbita i pokryta żwirem, nietawo byłoby w niej kopać, tylko by drapała jej powierzchnię. Poza tym, tak blisko drogi ktoś mógłby dostrzec, że ziemia została poruszona i wykopać pudełko przed czasem.

Cassie szła dalej na wschód. Słyszała z tamtego kierunku szepot morza i czuła lekką, słosną bryzę.

Mięła kilka wielkich głazów, a potem wyszła na plażę, pustą i w pewien sposób niesamowitą. Fale o koralnikowych białych grzbietach rozbiły się cicho o brzeg.

Złoty księżyc, w początkach trzeciej kwadry, wznosił się nad oceanem. Żalobny Miesiąc, przypominała sobie Cassie. Miał dokładnie odcień oczu Faye. W sumie wyglądał jak pośłódka, stawał oko i Cassie miała nieprzyjemne wrażenie, że ktoś ją śledzi, kiedy wzięła łopatkę w zimny, suchy piasek i zaczęła kopać.

Tyle wystarczy na głębokość. Teraz piasek nabierany łopatką był już zbity i Cassie miała nadzieję, że wilgoć nie uszkodzi pudełka Diany. Kiedy wkładała drewniany przedmiot do dołka, światło księżycza zaśniło na mosiężnym zamczku. Pudełko nie było zamknięte. Przez moment kusilo ją, żeby je otworzyć.

Nie bądź głupia, skarciła się. Po tym wszystkim, przez co przeszłyście z Dianą, jeśli nie umiesz zrobić tak prostej rzeczy jak zakopanie tego pudełka bez zagładania do środka...

Nikt się nie dowie, sprzeciwił się jakiś głos w jej myślach.

Ja będę wiedziała, odpowiedziała Cassie temu głosowi. To wystarczy. Zdecydowanym ruchem zasypała pudełko piaskiem, nabierając go i łopatką, i ręką, żeby uporać się z tym jak najszybciej.

I właśnie wtedy dostrzegła czerń.

To tylko jakiś cień, pomyślała. Księżyc był już dość wysoko, żeby rzucić długi cień zza skały, która wznosiła się tuż nad wodą. Cassie obserwowała skałę kątem oka, a jednocześnie wyglądała ziemię nad zakopanym pudełkiem. Proszę, teraz nikt się nie zorientuje,

że coś tutaj ukryto. Cień zbliżał się, ale to dlatego, że księżyc wspiniał się po niebie...

Nieprawda, pomyślała Cassie. Przestała otrzępywać dłonie z piasku i spojrzała w tamtą stronę.

Cienie robią się krótsze, kiedy księżyc jest wyżej na niebie. To tak samo jak ze słońcem. Ale ten cień ewidentnie zbliżał się do niej.

Szum oceanu nagle zrobił się natarciwy.

Powinam była słuchać się Diany. Powinam była trzymać się blisko dziewczyn, stwierdziła Cassie. Powoli, jakby od niechcenia, obejrzała się przez ramię. Wydawało się, że skały, które ominęła wcześniej, są teraz bardzo daleko. Nie widziała zza nich nigdzie kręgu świec. Nie słyszała też innych odgłosów poza falami. Czowała się bezbronna i samotna.

Nie zachowuj się, jakbyś się bała. Wstań i odejść, powiedziała sobie. Serce tłuło jej się w piersi. Kiedy wstała, cień się poruszył.

O Boże! Nie mogła udawać, że to coś normalnego. Ten cień w ogóle nie przylegał do skały. Była to tylko ciemność wśród piasku, płynna niczym woda, poruszająca się w jej stronę. To było żywe.

Idź, idź! – poganiała się w myślach. Ale nogi nie chciały się ruszyć. Były znieruchomiałe, jak sparaliżowane. Nie mogła zrobić kroku.

Cassie...

Uniosła głowę gwałtownym ruchem i poszukiwała wzrokiem osoby, która do niej mówiła. Ale to był tylko szum fal.

Cassie...

Chcę się stąd wydostać, pomyślała. Nogi nadal odmawiały jej posłuszeństwa.

Mrok poruszał się jak smola i sunął w jej stronę. Rozdzielił się, okrążając ją z obu stron, zamykając w środku.

Cassie...

Ten cień szeptał do niej głosem Johna Blacka. Wokoło niej falowała bezkształtna ciemność. Jak dym. A kiedy Cassie na nią spojrzała, miała wrażenie, że w środku widzi węże i czarne łuki, wszelkie obrzydliwe pelzające stwory. To coś chciało się dostać do jej umysłu.

Czuła, że tego próbuje. Czuła nacisk, kiedy ciemność wirowała wokół jej stóp. Dzięki Bogu, że już nie mam tego hematytu, pomyślała.

Powinłam była posłuchać, dlaczego nie słuchałam? - zganiała się. Dziewczyny jeszcze przez chwilę nie zaniepokoją się jej nieobecnością. Tyle że zaraz będzie za późno. Chciała krzyknąć, ale gardło miała tak samo sparaliżowane jak nogi. Mogła tylko stać i patrzeć, jak falująca ciemność opływa jej stopy.

Odepchnij ją umysłem, pomyślała, ale była za bardzo przerażona. Nie mogła odstraszyć tej ciemności w podobny sposób, w jaki porzyla się dobermana. Nie była aż tak silna.

Proszę, pomóżcie mi, pomyślała.

A potem, myślała już tylko o tym, cały czas. Och, błagam, pomocy, niech ktoś mi pomoże. Niech ktoś tu przyjdzie, nie ucieknę stąd sama. Proszę, pomocy...

Cassie...

Kolejny szepc. Zdawało się, że mówią to fale, mrok i patrzący na to wszystko księżyc.

Pomocy...

- Cassie! - To był czyjś krzyk. Z oddali dobiegło jeszcze szczekanie psa. Kiedy Cassie usłyszała ten

odgłos, jej umysł zalały obrazy bezpieczeństwa i pociechy. Rozejrzała się wokoło gorączkowo. Nogi nadal miała unieruchomione.

- Tu jestem! - odrzyknęła. I nagle poczuła, że jest wolna. Czerni odsuwała się, cofała pod skalę. Mieszala się z leżącym tam prawdziwym ciemieniem.

- Cassie! - Ten głos był znajomy i kochany.

- Tu jestem - powtórzyła i ruszyła, potykając się, w stronę głosu. Te wizje, bezpieczeństwa, pociechy i bliskości, nadal w niej wirowały, ciągnęły w swoją stronę. Kiedy tylko dotarła do skał, złapały ją i mocno podtrzymały czyjeś silne ramiona. Poczuła przy sobie ciepło ludzkiego ciała.

Ponad ramieniem Nicka napotkała spojrzenie oczu Adama.

Księżyc świecił mu prosto w twarz, nadając jego oczom dziwne barwy, niebieskie i fioletowe jak podstawa płomienia. Jak niebo przed jakąś dziwną burzą. Pomyślała, że widzi odbijające się w jego źrenicach srebro. Radża kręcił się obok niego i nadal poszcze kiwał. Owczarek wymachiwał ogonem jak szalony, obskakuje Cassie. Adam złapał go za futro na karku i przytrzymał.

- Nic ci nie jest? Stalo ci się coś? - spytał Nick.

- Nie, nie mi nie jest - odszepnęła. Nie miała pojęcia, co mówi.

- Nie powinnas była oddalać się samotnie - irytował się - A one nie powinny były ci na to pozwolić.

- Już w porządku, Nick. - Przywarła do niego z całej siły i schowała głowę na jego ramieniu dokładnie w tej samej chwili, w której Adam zawrócił, odciągając opierającego się Radżę. Przytuliła się do Nicka, wiedząc, że chłopak czuje jej drżenie.

- Cassie... - Poglaskał ją po plecach uspokajająco.

Lekko się odsunęła. Adam znikł. Spojrzała na Nicka w świetle księżycy, na czyste rywy jego przystojnej twarzy; na lekki chłód malujący się na jego twarzy. Jego oczy nie były jednak chłodne.

Namiętność, pomyślała i przywołała w myślach obraz czerwonej świecy Faye. A potem go pocałowała.

Nigdy tak naprawdę z nikim się nie całowała, pomijając Adama, ale chyba skądś wiedziała, jak to się powinno robić. Usta Nicka były ciepłe i wrażenie było przyjemne. Wyczuła jego zaskoczenie, a potem coś głębszego i słodsze. Oddał jej pocałunek.

Pocałowała go, żeby nie myśleć. I dokładnie to osiągnęła. Susan kompletnie się myliła co do Nicka. Żaden z niego jaszczur. Lekkie dreszcze ognia przebiegały nerwy Cassie, laskocząc ją w czubkach palców. Ogarnęło ją ciepło.

Wreszcie oboje przerwali pocałunek. Cassie spojrziała na chłopaka. Nie rozłączyła palców splecionych z jego palcami.

- Przepraszam - powiedziała niepewnym głosem. - Byłam po prostu wystraszona.

- Przypomnij mi, że mam cię często straszyć - odparł Nick. Miał lekko oszołomioną.

- Lepiej wracajmy. John Black tu był.

Musiąca to przyznać Nickowi, nie wrzasnął: „Co takiego?!” ani nie próbował nią potrząsać. Rozejrzała się wokoło szybko, uważnym spojrzeniem, zmieniając sposób, w jaki ją obejmował, tak że przytrzymał jej ramię lewą ręką, a prawą miał wolną.

- Już znikł - wyjaśniła. - Zza tamtej skały wysunął się cień, ale teraz już znikł.

- Po tym, co się stało, nikt już nie będzie chodził sam - postanowił Nick, prowadząc ją w stronę skał. Musieli się na nie wspiąć, żeby wrócić na rozstaje dróg.

- Chyba próbował się dostać do mojego umysłu - opowiadała Cassie pozostałym, kiedy znaleźli się już wszyscy z powrotem w domu Adama. Siedziała obok Nicka i mocno trzymała go za rękę. - Może chciał zdobyć jakiś wpływ albo przeciagnąć na swoją stronę, czy coś. Nie wiedziałam, jak go powstrzymać. Udałoby mu się, gdybyście do mnie nie przybiegli.

- Nikt nie powinien już nigdzie chodzić sam - stwierdził Nick, patrząc twardo na Dianę. Nick rzadko zabierał głos na spotkaniach, ale teraz jego głos brzmiał stanowczo i trudno się z nim było spierać.

- Zgadzam się - powiedziała Melanie. - Co więcej, uważam, że powinniśmy zrobić coś, żeby się bronić. Zbudować coś w rodzaju tarczy ochronnej przed nim.

- Co masz na myśli? - zapytał Adam. Siedział na poręczy fotela Diany. Twarz miał spokojną, a głos opasowany.

- Kryształy mogłyby pomóc. Może ametyst. Pomogłyby nam skupić się na walce z nim, na zwalczaniu wszelkich psychicznych ataków. Oczywiście, gdyby ktoś jednocześnie nosił taki kryształ, który Black mógłby wykorzystać przeciwko niemu, na przykład hematyt, nie zdołoby się to na nic. - Melanie spojrzała na Faye.

Faye zrobiła ręką jakiś niecierpliwy gest.

- Już mówiłam mojej wicibskiej kurzynce, że nie mam żadnego hematytu. Nie muszę kłaść kryształów innych ludzi.

- Dobrze, nie będziemy się kłócić - stwierdziła Diana. - Melanie, masz dość ametystów u siebie? Może ty nam parę pożyczysz, Laurel? Uważam, że powinniśmy się przygotować natychmiast, żeby każdy, wracając dziś do domu, miał już przy sobie ametyst.

- Tak. Trzymajcie je przy sobie przez cały czas - poradziła Melanie. - Kiedy będziemy się kąpać, kiedy idziecie spać, w szkole, wszędzie. Ale noście je pod ubraniami i nie pozwólcie mu ich zobaczyć, jeśli to możliwe. W ten sposób będą skuteczniejsze.

- Ale zakończenie imprezy... - irytował się Doug i sięgnął po kurtkę.

- Myśl o tym jak o drobnym urodzinowym upominku - odparł Nick bez śladu współczucia. - Rodzaj pamiętki. - Szybko uściśnął palce Cassie i zerknął na nią z ukosa, jakby chciał jej powiedzieć, że on wie, co z dzisiejszego wieczora będzie wspominał.

Cassie rozgrzała ta myśl. Ale kiedy wychodzili z domu Melanie, zapytała lekkim tonem:

- A tak przy okazji, jak to się stało, że mnie odszukałicie?

- No właśnie, znudziście się swoją imprezą czy jak? Przekonałście się, że sami się nie potraficie bawić, więc musicie nas poszukać? - wtrąciła Deborah, zerkając ciemnymi oczami na Chrisa.

Chris spojrział na nią dziwnie.

- Nie, bawiliśmy się dobrze. To Adam powiedział, że musimy iść. Powiedział, że Cassie jest w niebezpieczeństwie.

Kawałek ametystu Cassie był dość spory. Kamień osadzono w srebrnych szponach sowy o rozłożonych skrzydłach i Cassie czuła jego chłód na skórze pod swoim białoniebieskim swetrem. Przejrzała się w lustro Diany, żeby się upewnić, że wisiorek nie tworzy wybrzuszenia, a potem dotknęła go nerwowym gestem. Cassie miała do tej pory trzy kryształy - różę z chalcedonu, którą podarował jej Adam, kwarcowy naszyjnik, który zawiesiła na jej szyi Melanie przed jesiennym bale i ten kawałek hematytu, który znalazła pod numerem 15. Niedługo się nimi cieszyła. Chalcedon oddała Adamowi, kryształ górski zginął w noc bału na cmentarzu, a hematyt został skradziony. Miała tylko nadzieję, że ametystowi nic się nie stanie.

W nocy niebo się zachmurzyło i było stalowoszare, kiedy Diana wiozła je do szkoły dziś rano. A szkoła ostatnio była tak samo ponura jak pogoda. Dyżurni nosili plakietki i mieli groźne miny. Stali na każdym korytarzu i czekali, aż ktoś złamie jakąś zasadę. Co zwykle nie trwało zbyt długo. Zasad było tak wiele, że lamano się jakieś już samym faktem, że człowiek był żywy.

- O mało nie zostaliśmy odesłani do dyrektora za noszenie urządzenia powodującego hałas - żalił się Chris, kiedy szli korytarzem w przerwie na lunch.

Cassie zeszytywała.

- Co zrobiłicie?

- Przekupiliśmy dyżurnego - odparł Doug z szelmowskim uśmiechem. - Daliśmy mu walkmana.

- Mojego walkmana - podkreślił wyraźnie zasmucony Chris.

- Ciekawe, jaka jest kara za przekupstwo? - zastanowiła się Laurel, kiedy doszli do stołówki.

Cassie już otworzyła usta, ale słowa zamarty jej na wargach. Przez oszkloną ścianę stołówki dostrzegła coś, co wprost ją zamurowało.

- O Boże! - jęknęła Laurel.

- W głowie mi się nie mieści - szepnęła Diana.

- A mnie tak - powiedział Adam.

Na samym środku stołówki stała drewniana konstrukcja, którą Cassie rozpoznała z lektury książek do historii. Składała się z dwóch części, które po zamknięciu więziły nadgarstki i szyję człowieka, wystające po drugiej stronie urządzenia.

Dyby.

I kogoś w nie zakuto.

Tkwil w nich jakiś chłopak, wysoki krzepki, którego Cassie pamiętała ze swoich lekcji algebry. Zatańczył z nią na jesiennym Balu i nieco za dużo sobie pozwalał z rękami. Lubił też pyskować nauczycielom. Ale nigdy nie widziała, żeby zrobił coś, co zasługiwałoby na taką karę.

- To mu nie ujdzie na sucho. - Zielone oczy Diany błyszczały złością.

- Komu, dyrektorowi? - spytała Deborah. Ona, Susan i Nick stali przy drzwiach stołówki, czekając na resztę. - Już mu uszło. Parę minut temu oprowadzał po szkole wycieczkę rodziców i przyszli też tutaj... On im to pokazał, na litosc boską. Powiedział, że to część programu „surowej miłości”. Powiedział, że w innych szkołach każe się osobom sprawiającym kłopoty stawiać na stotach, żeby każdy mógł im się przyżreć, ale

że on stwierdził, że dyby są bardziej humanitarne, bo można w nich usiąść. Tak to mówił, że to się prawie wydawało rozsądne. A oni tylko potakiwali głowami i się uśmiechali. Wszystko to kupili.

Cassie zrobiło się niedobrze. Myślała o lochu czarownic w Salem. Razem z Chrism i Dougiem przeszli wtedy wąskimi korytarzami, gdzie po obu stronach były niewielkie mroczne cele. Te dyby przyprawiły ją o podobny protest żółdka. Jak ludzie mogą robić coś podobnego innym ludziom? - pomyślała.

- I jeszcze udaje, że to część naszego dziedzictwa - mówił Nick, unosząc wargę w grymasie niesmaku, a Cassie rozumiała, że chłopak czuje to samo, co ona.

- Możemy o tym porozmawiać przy jedzeniu? - spytała Susan, przestępując z nogi na nogę. - Umieram z głodu.

Ale kiedy poszli w stronę zaplecza - prywatnego schronienia Klubu w czasie ostatnich lat - zastąpiła im drogę niewysoka osoba.

- Przykro mi - sarknęła Sally Waltman. - Ta salka jest teraz zarezerwowana dla dyżurnych.

- Doprawdy? - oderwała się Deborah.

Znikąd pojawili się dwaj faceci z plakietkami i stanęli po obu stronach Sally.

- Owszem - powiedział jeden z nich.

Cassie spojrziała przez szybę do wnętrza zaplecza - dzisiaj nie klębił się przed nią tłumek papioń - i zobaczyła słonkowe włosy Portii. Była otoczona dziewczynami i chłopakami, którzy spoglądali na nią z podziwem. Wszyscy nosili takie same plakietki.

- No cóż, będziecie musieli usiąść sobie gdzie indziej - stwierdziła Sally. - A ponieważ przy żadnym

pojedynczym stole nie ma tylu miejsc, wasza grupa będzie musiała się rozdzielić. Jaka szkoda.

– Wyjdziemy na zewnątrz – powiedział krótko Nick i wziął Cassie pod ramię.

Sally się rozesiadła.

– Nie wydaje mi się. Koniec z jedzeniem przed szkołą. Jeśli nie usiądziecie tutaj przy stołach, musicie jeść na stojąco.

Cassie czuła, że Nick napina mięśnie. Przytrzymała go mocno za ramię. Diana w podobny sposób powstrzymywała Adama, którego szarobłkitne oczy były jak kawalki stali i nie odrywały się od chłopa stojących przy Sally.

– Nie warto – stwierdziła cicho Diana, z wymuszonym spokojem. – On dokładnie tego chce. Chodźcie, stanjemy tam.

Sally miała rozczarowaną minę, kiedy wszyscy ruszyli w stronę ściany. Potem w jej oczach zablaskotniał triumf.

– On już złamał zasady – powiedziała, wskazując Douga. – Ma przy sobie radio.

– Nie jest włączone – zaprotestował Doug.

– Nie musi być włączone, chodzenie z nim to wykroczenie typu A. Proszę, pójdziesz ze mną – Towarzyszący jej dyżurni wysunęli się naprzód, żeby w razie czego poprowadzić Douga.

– Zabierzcie go – rzuciła Sally zadowolonym głosem. Dyżurni wyciągnęli ręce po Douga. Bliźniak już przygotował pięść do ciosu. A potem całe zamieszanie przerwał czyjś gardłowy głos.

– Co się tu dzieje? – spytała Faye, a jej złote oczy plonęły. Miała na sobie kolejny z kostiumów, ten był czarno-żółty.

Sally spojrzała na nią gniewnie.

– Odmawiają zastosowania się do poleceń dyżurnego – poskarżyła. – A on ma przy sobie radio.

Faye sięgnęła ręką i odpięła walkmana od paska Douga.

– Teraz już nie ma – oznajmiła. – A ja im mówię, że mogą zjeść gdzie indziej. Może na zewnątrz. Na moją odpowiedzialność.

Sally próbowała coś z siebie wykrztusić, ale Faye zachichotała tylko i wyprowadziła członków Klubu ze stołki.

– Dzięki – powiedziała Diana i przez moment ona i Faye spoglądały sobie w oczy. Cassie pomyślała o świecach płonących na drodze. Nowy etap w życiu. Czy Faye też zaczynała nowy etap w życiu? Wracala do kowenu?

Ale następne słowa Faye rozwały jej złudzenia.

– Wiecie, nie ma powodu, żebyście nie mogli jeść na zapleczu – oświadczyła. – Wszyscy możecie zostać dyżurnymi. On tego chce...

– Black chce nas przeciągnąć na swoją stronę – przerwała jej Deborah pogardliwie.

– Chce połączyć z nami siły. Jest jednym z nas.

– Nie, nie jest – stwierdziła Cassie i pomyślała o cieniu pod skalą. – W niczym nas nie przypomina.

Faye rzuciła jej dziwne spojrzenie.

– W sali 3-207 na ostatniej lekcji jest zebranie dyżurnych. Zastanówcie się nad tym. Im prędzej do niego dołączyć, tym łatwiej się do wszystkiego ułożyć. – Rzuciła walkmana z powrotem w ręce Douga nonszalanckim gestem i odeszła.

Lunch minął w kiepskiej atmosferze. Przed szkołą było zimno i poza Susan nikt nie miał apetytu.

Sean pojawił się późno, kiedy całe zamieszanie już się skończyło. Omawiali plany walki z Johnem Blackiem, ale jak zwykle wracali do jednej kwestii, mocy. Potrzebowali Mocy, żeby walczyć z nim skutecznie. Potrzebowali Arkanów Mistrza.

Każdy miał inny pomysł, gdzie ich szukać. Adam proponował plażę – zwłaszcza wokół Devil's Cove, gdzie pan Fogle, poprzedni dyrektor, zginął pod kamienną lawiną. Deborah myślała raczej o starym cmentarzu.

– Jest tu od XVII wieku – powiedziała. – Dawny kowen z łatwością mógł tam coś ukryć.

Melanie i Diana dyskutowały nad możliwością wykonania wahałki z kryształu. Wykrywałyby ślady jasnej energii, którą mogły promieniować Arkana.

Cassie siedziała spokojnie w pobliżu Nicka i niewiele mówiła. Miała niemądrą, rozpaczliwą ochotę zapomnieć o tym wszystkim i schować głowę na jego ramieniu. Nie znała New Salem tak dobrze jak inni. Jak miała podsunąć rozsądne miejsce do poszukiwań? Poza tym doskwierało jej przecięcie czegoś niedobrego, jakichś złych rzeczy, które łąda chwila się wydarzą.

Przegramy, pomyślała, słuchając zmartwionych głosów pozostałych. Jesteśmy tylko dziećmi, a on ma za sobą stulecia doświadczeń. Przegramy.

Lęk, że stanie się coś złego, wzmagał się w miarę, jak mijał dzień. Wpadła na stojącego na korytarzu Nicka, kiedy szła na ostatnią lekcję.

– Fatalnie wyglądasz – powiedział.

– Dzięki – odparła Cassie, usiłując się do niego uśmiechnąć.

– Nie. Chodzi mi o to, że jesteś taka blada. Dobrze się czujesz? Chcesz jechać do domu?

– „Oddalenie się poza teren szkoły bez pozwolenia” – przytoczyła odruchowo Cassie, a potem znalazła się w jego ramionach.

– Mogą wziąć to pozwolenie i je sobie... – zaczął Nick.

Cassie po prostu się do niego przytuliła. Był dla niej taki dobry; bardzo chciała go pokochać. Zmusiła się, żeby go pokochać, zdecydowała. Może powinni wracać na Crowhaven Road i iść tam, gdzie będą sami. Nick nie lubił okazywać uczuć, kiedy każdy mógł to zobaczyć.

– Przytul mnie – poprosiła. Zrobił to. A potem ją pocałował.

Tak. Po prostu idź z prądem. Stań się częścią Nicka. To bezpieczne. Nick się tobą zajmie. Teraz mogła już przestać myśleć.

– No, no, no... To mi wygląda na wykroczenie typu A – odezwał się czyjś bardzo przejęty głos. – Publiczne demonstrowanie uczuć, uwłaczające powadze i godności placówki edukacyjnej. Co ty na to, Portio?

Nick i Cassie odsunęli się od siebie. Cassie się zarumieniała.

– Moim zdaniem to po prostu obrzydliwe – stwierdziła Portia Bainbridge.

Za nią stała grupa dyżurnych. Najwyraźniej szli na to swoje zebranie. Było ich może ze trzydziestu. Serce Cassie zaczęło nagle mocno i szybko bić.

– I to jest jej wina – ciągnęła Portia, patrząc na Cassie z góry. – Słyszałam, jak go o to prosiła. Zabierzmy ją.

– No właśnie. Mała flirciara – parsknęła Sally. Cassie przypomniła sobie głos Sally łazienki, ten jał. „Za tą w czasie Jesiennego Balu wszyscy faceci

ugniali się z wywieszonymi ozorami. Nie wyłączając mojego chłopaka". Zaczęła myśleć o sobie zupełnie inaczej od chwili, kiedy podśledła Sally mówiącą o niej w tych słowach.

Nick patrzył na grupę dyżurnych. Jego twarz była zimna. Wyglądał zupełnie jak ten dawny Nick, którego kiedyś poznała. Zimny jak lód.

- Dokąd ją zabieracie? Za wykroczenie typu A kara jest zatrzymanie po lekcjach. A może nie czytacie własnych zasad? - powiedział.

- To my decydujemy, jakie są kary... - zaczęła Portia, ale Sally jej przerwała.

- Nie chciała współpracować z dyżurną w czasie przerwy na lunch - powiedziała. - To za to ją zabieramy. Pan Brunswick udzielił nam szczegółowych instrukcji. Zaprowadzimy ją do jego gabinetu. Niech sobie z nim porozmawia.

- Możecie zaprowadzić tam nas oboje - stwierdził Nick i mocniej objął Cassie ramieniem.

Było ich zbyt wielu. Cassie rozglądała się po grupie dyżurnych i nie dostrzegała wśród nich ani jednej przyjaznej twarzy. Wszyscy byli z ostatniego rocznika i wszyscy nienawidzili czarownic. Nigdzie nie dostrzegła Faye.

- Nick - odezwała się do chłopaka cichym głosem, niewiele głośniejszym niż walenie jej serca. - Chyba lepiej z nimi pójść. - Spojrzała na Sally. - Chciałabym tylko jeszcze się z nim pożegnać.

Sally z ironiczną miną skinęła głową. Cassie objęła Nicka za szyję.

- Sprowadź pozostałych - szepnęła mu na ucho. - Dyżurni będą na swoim zabranu... Znajdźcie jakiś sposób, żeby mnie uwolnić.

Kiedy się cofnęła, mahoniowe oczy Nicka spojrzaly na nią porozumiewawczo. Potem chłopak obojętnie zerknął na Sally i odsunął się na bok.

Grupa dyżurnych otoczyła Cassie i poprowadziła korytarzem. Traktowali ją, jakby była co najmniej morderczynią. Ogarnęła ją szalona ochota do śmiechu, ale kiedy doszli do pomieszczeń administracyjnych, wyparły ją lęk i zdenerwowanie.

Zaplanował to, pomyślała. Może niekoniecznie dokładnie to i dokładnie dzisiaj. Ale wiedział, że w końcu dopadnie nas pojedynczo. Próbowała ignorować cichy głos, który podszeptywał: Wiedział, że dopadnie ciebie, to na tobie mu zależy.

Bo była obca. A może dlatego, że zakłócała jego plany. Przez jej umysł przeleciał obraz Kori leżącej sztywno i nieruchomo ze skróconym karkiem u stóp wzgórz. Już widziała, co spotykało ludzi, którzy nie pasowali do planów Johna Blacka.

- Może jeśli zatrzymasz rękami, odpuści ci - szepnęła Sally złośliwie i wpełnęła ją za drzwi gabinetu.

Cassie nie odpowiedziała. Nie mogła.

Nie była w tym gabinecie, odkąd poszła do pana Fogle'a, poskarżyć się, że Faye ją prześladowa. Gabinet wyglądał tak samo, tyle że teraz na kominku płonął trzaskający ogień. A za biurkiem stał inny mężczyzna.

Nie patrz na niego, pomyślała Cassie, kiedy drzwi się za nią zatrzasnęły, ale nie zdołała się powstrzymać. Czarne oczy pochwyciły jej spojrzenie, kiedy tylko zerknęła w stronę biurka. Jastrzębia twarz nie zdradzała ani śladu zdziwienia na jej widok.

Dyrektor odłożył na biurko smukłe, złocone pióro z ledwie dostrzegalnym stuknięciem.

- Cassandro - powiedział.

Pod Cassie ugięły się kolana.

To był głos cienia. Mocny, płynny, taki spokojny, niewinny - pełen zła. Pod spojrzeniem czarnych jak hematyt oczu poczuła się naga. Jakby zagłębiał w głąb jej umysłu. Szukał jakiejś szczeliny, żeby się dostać do środka.

- Panie dyrektorze - odparła. Jej głos brzmiał dziwnie w jej własnych uszach. Uprzejmy, ale zdystansowany.

Uśmiechnął się.

Miał na sobie czarny sweter z półgolfem i czarną marynarkę. Stał, opierając czubki palców o biurko.

- Taka dzielna - stwierdził. - Jestem z ciebie dumny.

To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała. Cassie wytrzeszczyła na niego oczy. Odruchowo uniosła palce do ametystowego wisiora ukrytego pod swetrem.

Poszedł wzrokiem za jej ruchem.

- Nie zawracalbym sobie głowy takimi drobiazgami - oznajmił z nieznacznym uśmiechem. - Ten kryształ jest zbyt mały, żeby działać skutecznie.

Cassie powoli opuściła rękę. Skąd wiedział? Czuliła się taka zagubiona, taka wytrącona z równowagi. Wpatrywała się w stojącego przed nią mężczyznę i usiłowała powiązać go jakoś z tą popaloną istotą, która schylała się nad jej babką w kuchni, z XVII-wiecznym czarownikiem, który sprowadził przerażony kowen do New Salem. Jak on się tu w ogóle znalazł? To było pytanie. Gdzie leży źródło jego siły?

- Ametyst to słaby kamień, kamień serca - ciągnął dalej cicho. - Czystość celu, Cassie, to cały sekret.

Czystość i jasna wizja. Nigdy nie zapominaj o swoim celu.

Miała dziwne wrażenie, że on właśnie odpowiadał na jej pytanie. O Boże, dlaczego Nick nie przychodził? Serce waliło jej tak mocno... Była przerażona.

- Pozwól, że ci pokażę - powiedział ciemnowłosy mężczyzna. - Zechcesz podać mi ten wisior? Tylko na chwileczkę - dodał, gdy Cassie stała bez ruchu.

Cassie powoli sięgnęła do zapinki na karku. Chłodnymi palcami rozpięła srebrny łańcuszek i zdjęła wisior. Nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić.

Powolnym, precyzyjnym ruchem wyjął jej go z rąk. I nagle, niespodziewanie, Cassie pomyślała o magiku, który za moment pokaże sztuczkę. A przecież on niczego nie ukrywa w rękawie, pomyślała. Tylko ciało, którego w ogóle nie powinno tam być.

Trzymając wisior w uniesionej dłoni, dyrektor odwrócił się od Cassie. Ogień w kominku buchnął i zatrząskał, a Cassie poczuła pulsowanie krwi w szyi i w końcach palców. Nie zniósł tego dłużej, pomyślała. Nick, gdzie jesteś?

- Proszę... - rzekł dyrektor głosem, który wydał się dziwnie zmieniony. - Taki ametyst to kamień pełen zanieczyszczeń. Dla mocy zawsze wybieram kryształ górski... - Zaczął się obracać.

Nie, pomyślała Cassie. Wszystko działo się w zwolnionym tempie, jakby oglądała film na wideo klatka po klatce. Wideo odtwarzane na jakimś rewelacyjnym sprzęcie, w którym każda stopklatka była ostra i wyraźna, bez żadnego rozmazania. Cassie nawet nie wiedziała, skąd pojawiło się to „nie”, poza tym, że coś w głębi jej umysłu krzychało, protestowało, próbowało ją ostrzec: Nie patrz, och, nie patrz!

Cassie chciała zatrzymać ten ruch, zatrzymać kadrę, ale nie mogła. Trwało to strasznie długo, ale ciemnowłosy mężczyzna nadal się obracał. Zwracał w jej stronę.

Widziała elegancką czarną marynarkę, czarny sweter. A ponad golfem swetra monstrum tak straszne, że łyży połyły się z jej oczu i zdusiły krzyk rodzący się w gardle. Ten człowiek nie miał twarzy.

Ani włosów, brwi, oczu ani nosa. Ani ust, tylko ten zarys wyszczerzonych, zaczińniętych zębów. Nawet i to, nawet te gule kości, które miała przed oczyma, były płynne jak woda.

Cassie nie mogła krzyknąć, nie mogła złapać oddechu. Nie mogła zapanować nad umysłem.

O Boże! O Boże, ta czaszka nie znikła! Nic dziwnego, że nie mogliśmy jej znaleźć, ona wcale nie eksplodowała, bo teraz jest w jego głowie. Och, Diano, Adamie, ona jest w jego głowie...

- Widzisz, Cassandro - zza zaczińniętych zębów przemówił nieludzki głos. - Czystość plus jasność wizji równa się moc. A ja mam więcej mocy niż wam się, dzieciom, w ogóle śniło.

O Boże! Nie wierzę w to, nie wierzę! To się nie dzieje, nie chcę już tego oglądać...

- Mój duch nie jest skazany na to ciało - ciągnął spokojnie, z okropną wyrazistością. - Może przelewać się jak woda tam, dokąd go skierują. Mogę skoncentrować jego moc, gdzie chcę.

Puste oczodóły spojrzwały w dół, na wisiołek z ametystem, który zwiślał z idealnie normalnej z wyglądu dłoni. Głęboko wewnątrz kryształ odbijał się płomieniem z kaminka. A potem Cassie to poczuła - wybuch mocy podobny do tego, jaki sama wysłała, żeby

przestraszyć psa, ostrzec Seana czy zapalić świecę. Tylko że ten był o wiele silniejszy, o wiele bardziej skoncentrowany niż jej nieudolne próby. Prawie to widziała, jak błysk światła.

Wisiołek z ametystem się roztrzaskał.

Srebrna sowa kiwała się na łańcuszku, ale teraz z jej szponów nie zwisało nic. Kryształ znikł.

Uszy Cassie pochwyciły brzęk, kiedy kawaleczki ametystu spadały na podłogę. Ale tak naprawdę nie zarejestrowała tego odgłosu świadomie. Była oślepią i ogłuszona paniką.

- A teraz, Cassandro... - odezwał się znów ten głos, ale nagle przerwał mu hałas tak głośny, że nawet Cassie nie zdołała go zignorować. Od strony placu przed szkołą dobiegał tumult. Wrzaski, jakie wydają dopingujący kibice, ale pełne gniewu. Czyjeś przenikliwe wycie wybijało się na tle innych okrzyków.

Dyrektor rzucił srebrny wisiołek i podszedł do okna, które wychodziło na dziedzińiec szkoły.

Cassie się ocknęła. Chciała tylko jednego - wyostać się stąd. Teraz, kiedy uwążył mężczyzny coś rozproszyło, rzuciła się do drzwi.

Przebiegła przez biuro, nawet nie rznącwszy okiem w stronę sekretarek. Na korytarzach pierwszego piętra panował chaos. Wszyscy wybiegali z klas.

- Bójka! - wrzeszczał jakiś chłopak na schodach. - Chodźcie!

To zupełnie jak zamieszki, wszystkich naraz nie zdołają kontrolować, dotarło do półprzytomnej Cassie. Nadal biegła. Zbiegła ze schodów, a potem ruszyła korytarzem, instynktownie kierując się w stronę całego zamieszania.

- Cassie, zacczekaj!

To nie był męski głos, ale i tak groźny. Faye. Cassie zatrzymała się na moment, rozpaczywie szukając wzrokiem Nicka, Diany albo Adama.

- Cassie, stój, na miłość boską. Nikt nie próbuje cię skrzywdzić. Biegłam za tobą cały ten kawał z biura administracji.

Cassie czujnie cofała się przed nią. Korytarz był już pusty. Wszyscy wybiegli przed szkołę.

- Cassie, posłuchaj mnie chociaż. On cię nie usiłuje zamordować, przysięgam. Chce ci pomóc. On cię lubi.

- Faye, chyba oszalałaś! - Cassie straciła panowanie nad sobą i zaczęła krzyknąć: - Nie wiesz, czym on jest! Wszystko, co w nim widzisz, to tylko iluzja! On jest potworem!

- Nie bądź śmieszna. Jest jednym z nas...

- O mój Boże! O Boże - powiedziała Cassie. Zaczynała odrosgowywać i kolana trzęsły jej się tak bardzo, że musiała się oprzeć o ścianę. Osunęła się po niej, rozdzierając płakat zapraszający na mecz futbolowy w Święto Dziękczynienia. - Nie widziałas go. Nic nie wiesz.

- Wiem, że się zachowujesz jak małe dziecko. Nawet nie zostałaś, żeby wysłuchać, co miał ci do powiedzenia. Zamierzał ci wszystko wyjaśnić...

- Faye, ocknij się! - krzyknęła Cassie. - Na miłość boską, ocknij się i spójrz na niego! On nie jest tym, czym ci się wydaje. Osłęplaś?

- Myślisz, że wszystko wiesz. - Faye cofnęła się i zapłotała ramiona na piersi. Uniosła brodę i popatrzyła na Cassie z góry. W oczach miała dziwny triumf. Jej krwistoczerwone usta rozciągnęły się w uśmiechu. - Wydaje ci się, że pojadłaś wszystkie rozumy, ale na-

wet nie wiesz, jakie nazwisko nosił, kiedy mieszkał tu po raz ostatni. Kiedy skontaktował się z naszymi rodzicami i mieszkał pod numerem 13.

Cała siła, którą Cassie zyskała tak niedawno dzięki lękowi, znikła i ziemia nagle zachwiała się pod stopami dziewczyny. Podparła się ręką o podłogę. Faye nadal patrzyła na nią tymi dziwnymi, pełnymi triumfu oczami.

- Nie - szepnęła Cassie.

- Nie, nie wiesz? Czy nie, mam ci nie mówić? Ale chcę ci powiedzieć, Cassie, bo czas, żebyś się tego dowiedziała. Ostatnim razem używał nazwiska John Blake.

ROZDZIAŁ 10

Cassie patrzyła na Faye, niezdolna wykrztusić słowa, niezdolna do żadnej myśli. Nie wierzyła w to. Ale coś w głębi jej serca wiedziało.

- To prawda. On jest twoim ojcem.

Cassie nadal siedziała na ziemi.

- I chce, żebyś była szczęśliwa, Cassie. Chce, żeby została jego następczynią. Ma wiele planów wobec ciebie.

- A ty kim jesteś? - zawołała Cassie, wzburzona i doprowadzona do takiej ostateczności, że jej wytrzymałość się już skończyła. - Moją nową macochą?

Faye zachichotała, tym ogromnie irytującym, leniwym, zadowolonym z siebie chichotem.

– Może. Czemu nie? Zawsze lubiałam starszych mężczyzn. A on jest ode mnie starszy o zaledwie trzydzieści lat.

– Jesteś obrzydliwa. – Cassie nie umiała znaleźć właściwych słów. Żadne nie wydawały się dość dosadne, a nie chciała nawet uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. – Jesteś... Jesteś...

– Jeszcze niczego nie zrobiłam, Cassie. Johna i mnie łączy... interesy.

Cassie czuła się tak, jakby coś ją dusiło. Ze względu na nią samą, ze względu na Faye...

– Mówisz do niego po imieniu? – szepnęła.

– A jak, twoim zdaniem, powinnam się do niego zwracać? Proszę pana? A może mam używać nazwiska, pod którym tu ostatnio występowałam? Panie Blake?

Wokół Cassie wszystko teraz wirowało. Błogosławione ściany się chwiały. Chciała zemdleć. Gdyby tylko mogła zemdleć, nie musiałaby myśleć.

Ale nie mogła. Powoli wirowanie ustalo i poczuła pod sobą posadzkę. Nie mogła przed tym wszystkim uciec. Nie miała żadnego wyboru, musiała sobie jakoś z tym poradzić.

– O Boże! – szepnęła Cassie – to prawda. To rzeczywiście prawda.

– Tak – potwierdziła Faye z cichym zadowoleniem. – Twoja matka była jego dziewczyną. Opowiedział mi tę historię. Jak się w nim zakochała, kiedy poszedł pod numer 12 pożyczyć zapalki. Najwyraźniej nigdy się nie pobrali, ale jestem pewna, że nie miał żalu o to, że posługiwała się jego nazwiskiem.

To była prawda... I dokładnie to usiłowała powiedzieć babka Cassie, zanim umarła. „Mam ci jeszcze

coś do powiedzenia” – stwierdziła, i właśnie wtedy do środka weszła Laurel. Ostatnie słowa babki to był słaby szepc. „John” i coś jeszcze, czego Cassie nie rozumiała. Ale przypominała sobie, jak układały się usta babci usiłującej wypowiedzieć to słowo. Pasowałoby „Blake”.

– Dlaczego nie powiedziała mi wcześniej? – szepnęła Cassie urywanym szepc, ledwie świadoma tego, że mówi na głos. – Dlaczego dopiero kiedy umierała? Dlaczego?

– Kto, twoja babcia? Pewnie nie chciała cię martwić – stwierdziła Faye. – Wiedziała, że byś się zdenerwowała. A może... – Faye pochyliła się bliżej – może wiedziała, że to cię do niego zbliży? Przecież to twój ojciec, Cassie. Jesteś jego córką.

Cassie kręciła głową, oślepiona, ogłupiała.

– Pozostałe starsze panie, one też musiały wiedzieć! Boże, wszyscy, którzy go znali, musieli wiedzieć. I nikt mi nie powiedział. Dlaczego mi nie powiedzieli?

– Och, przestań się mazać, Cassie. Jestem pewna, że nie powiedzieli ci, bo bali się twojej reakcji. I muszę przyznać, że wygląda na to, że mieli rację. Rozklejasz się.

Cioteczna babka Melanie, myślała Cassie. Na pewno wiedziała. Jak mogła stać tam i patrzeć mi w oczy? Jak mogła znieść obecność mojej matki pod swoim dachem?

Pani Franklin chciała jej przecież powiedzieć, zrozumiała nagle. Tak. To stąd się wzięła ta ostatnia, dziwna scena w saloniku ciotki Constance. Babcia Adama chciała jej powiedzieć, już się szykowała, żeby uświadomić Cassie, kim jest jej ojciec. Babunia

Quincey i ciotka Constance ją powstrzymały. Wszyscy byli w znowu milczenia i ukrywali prawdę przed Cassie.

Może nie rodzice, myślała Cassie. Była bardzo zmęczona. Oni pewnie i tak nic nie pamiętają. Zmusili się, żeby o wszystkim zapomnieć. Ale ciotka Constance ostrzegła Krug przed budzeniem dawnych wspomnień, a kiedy to mówiła, jej wzrok spoczął na Cassie.

– Zastanów się tylko, Cassie – ciągnęła Faye i jej gardłowy głos brzmiał teraz rozsądnie, nie jakby triumfowała czy się przechwalała. – On chce dla ciebie tylko tego, co najlepsze. Zawsze tego chciał. Urodziłaś się. To była część jego planu. Znam cię i w przeszłości były między nami nieporozumienia, ale John chce, żebyśmy się pogodzili. Mogłabyś przynajmniej spróbować. No, jak, Cassie, spróbujesz?

Powoli, z wysiłkiem, Cassie zmusiła się, żeby spojrzeć na Faye. Kłęczała przed nią. Jej piękna twarz zdawała się jaśnieć od środka. Ona naprawdę w to wierzy, pomyślała Cassie. Mówi szczerze. Może nawet jest w nim zakochana.

I może, zastanawiała się Cassie półprzymtomnie, ja też powinnam to wszystko jeszcze raz przemyśleć. Tyle się zmieniło, odkąd przyjechałam do New Salem. Wcale nie jestem tą samą osobą, którą kiedyś byłam. Tą dawną, nieśmiałą Cassie, która nigdy nie miała chłopaka i nigdy nie wiedziała, co ma powiedzieć. Ona znikła. Może to tylko kolejna zmiana, kolejny etap w życiu. Może znalazłam się na rozdrożu.

Przez długą chwilę przypatrywała się Faye, szukała czegoś w głębi tych burzystynowych oczu. A potem powoli pokręciła głową.

Nie.

Jeszcze kiedy w jej myślach brzmiało to słowo, ogarnęła ją chłódna, stanowcza determinacja. To ta jedyna droga, której nigdy nie wybierze. Nieważne, co się stanie. Nigdy nie stanie się taka, jaką chciał ją widzieć John Black. Jej ojciec.

Bez słowa, nie oglądając się za siebie, Cassie wstała. Zostawiła Faye.

Przed szkołą nadal trwało zamieszanie. Cassie stanęła w drzwiach, rozejrzała się wokoło. Zobaczyła słabe listopadowe słońce oświetlające kaskadę jasných włosów. Skierowała się w tamtą stronę.

– Diano...

– Cassie, dzięki Bogu! Kiedy Nick nam powiedział, że jesteś sama w jego gabinecie... – Oczy Diany się rozszerzyły. – Cassie, co się stało?

– Muszę ci coś powiedzieć. W domu. Możemy jechać już teraz do domu? – Cassie chwyciła Dianę za rękę.

Diana przyglądała jej się przez długą chwilę, a potem się otrząsnęła.

– Tak. Oczywiście. Ale Nick będzie cię szukał. Wpadł na pomysł, że powinniśmy wywołać bójkę na parterze, żeby skupić na sobie uwagę. Po prostu dorwać paru ludzi i zacząć awanturę. Wszyscy chłopcy rzucili się do tego, i Deborah z Laurel. Reszta cię szuka.

Cassie nie chciała z nimi rozmawiać, a już zwłaszcza z Nickiem. Teraz, kiedy dowiedziała się, kim naprawdę jest. Kogo Nick trzymał w ramionach i całował...

– Proszę, możesz im po prostu powiedzieć, że mi nie jest, ale muszę wracać do domu? – Niedaleko

stała Susan. Cassie wskazała ją głową. – Susan nie może im powiedzieć?

– Tak. Dobrze. Susan, powiedz wszystkim, że zabrałam Cassie do domu. Teraz już mogą przestać się awanturować. – Diana sprowadziła Cassie ze wzgórze na parking. Ledwie dotarli do samochodu Diany, kiedy nadbiegł Adam.

– Bójka się kończy... Jadę z wami – powiedział. Cassie chciała protestować, ale nie miała siły. Poza tym Diana mogła potrzebować Adama, kiedy Cassie skończy opowiadać jej tę całą historię.

Cassie skinęła głową i wsiadła do samochodu bez dalszej dyskusji. Pojechali do domu Diany. Po chwili znaleźli się w jej pokoju.

– Powiedz nam, co się stało, zanim dostanę ataku serca – odezwała się Diana.

Ale to nie było takie łatwe. Cassie podeszła do wykuszowego okna, gdzie słońce tworzyło tęcze w zawieszonych pryzmatach. Kolorowe trójkąty podskakiwały i przeslizgiwały się po ścianach. Rozzejrzała się, chcąc spojrzeć na czarno-białe sztychy po obu stronach okna – kolekcja greckich bogiń Diany. Była tam dumna Hera z grzywą kruczoczarnych włosów i groźnymi oczami spoglądającymi spod ciężkich powiek, były też Afrodyta, bogini piękna, z delikatnym nagim biustem, bojowa Artemida, dziewczęca łowczyni, która nie bała się niczego. A po drugiej stronie okna Atena, szaroooka bogini mądrości i Persefona o świeżej, chochlakowatej buzi, otoczona rozkwitającymi kwiatami. Ostatnia reprodukcja, kolorowa, przedstawiała boginię starszą niż grecka cywilizacja. Wielką boginię Dianę, która władala księżycem, gwiazdami i nocą. Diana, Królowa Czarownic.

rzuciłaby się przez okno. Ale przejrzyste zielone oczy Diany tylko się rozszerzyły. Ich źrenice zrobiły się wielkie i bezdenne. Oczy Adama zabłyśły srebrem.

– Faye mi powiedziała. To jest prawda.

– To kłamstwo – zaprotestował Adam zduszonym głosem.

– To kłamstwo, zabiję ją za to. – Diana się wściekła. Takie słowa w ustach łagodniej Diany szokowały.

Oboje nadal podtrzymywali Cassie – Diana z jednej strony, a Adam z drugiej. Dygot Cassie wprawil w drżenie dwoje pozostałych.

– To prawda – szepnęła Cassie, usiłując jakoś wziąć się w garść. Musiała zachować spokój, nie mogła stracić panowania nad sobą. – To wszystko wyjaśnia. Wyjaśnia, dlaczego on mi się śnił. On i ten tonący statek. My... w jakiś sposób jesteśmy połączeni. To wyjaśnia, dlaczego ciągle mnie ściga, jak wtedy, kiedy go wezwaliśmy w Halloween i wczoraj na plaży. Chce, żebym do niego dołączyła. Faye jest w nim zakochana. Zupełnie jak kiedyś moja matka.

Cassie się zatrzęsała. Adam i Diana nadal po prostu ją tulili. Żadne z nich nie odwróciło wzroku, kiedy popatrzyła im w twarz.

– To wyjaśnia zachowanie mojej matki – ciągnęła Cassie przez łzy. – I to, że Black poszedł do naszego domu od razu, gdy Faye go ożywiła. Kiedy wypuściliśmy go z grobu. Poszedł się z nią zobaczyć. To dlatego mama jest teraz w takim stanie. Och, Diano, muszę do niej iść.

– Za chwilę – oznajmiła Diana, głosem tak samo zduszonym od niewypłakanych łez. – Za chwilę.

Cassie rozmyślała o tym wszystkim. Nic dziwnego, że jej matka uciekła z New Salem. Nic dziwnego, że

– Cassie!

– Przepraszam – szepnęła Cassie i powoli odwróciła się twarzą do Diany, która w tej chwili sprawiała wrażenie wręcz chorej z niepokoju.

– Przepraszam – powtórzyła głośniejszym głosem – chyba po prostu nie wiem, jak mam to powiedzieć. Ale wiem już teraz, dlaczego urodziłam się o wiele później niż wy wszyscy... Albo nie, w sumie nie w tym rzecz. – Zastanawiała się przez chwilę. – Nie w tym, że urodziłam się później. Chyba że on przewidział, że do tego czasu kowen spróbuje go wygnać, więc uznał, że lepiej się będzie zabezpieczyć... – Cassie pomyślała jeszcze przez chwilę i pokręciła głową. Adam i Diana patrzyli na nią, jakby oszalała. – Wszystkiego chyba nie wiem. Ale nie jestem w połowie obca, jak nam się wydawało. To nie dlatego się na mnie uwziął, robił to z zupełnie innego powodu. Myśleliśmy, że Kori i ja zakłóciłyśmy jego plany w jakiś sposób... O Boże! – Cassie urwała, czując przeszywający ból. Jej oczy napędlły się łzami. – Chyba... Boże, to prawda. Wiem, dlaczego Kori zginęła. Przeze mnie. Gdyby żyła, to ona dołączyłaby do kowenu, nie ja, a on tego nie chciał. To jej nie miał w planach. Więc musiał się jej pozbyć. – Kolejny spazm bólu niemal zgiął Cassie w pół. Bała się, że dostanie mdłości.

– Usiądź – powiedział Adam niespokojnie. Oboje pomogli jej dojść do łóżka.

– Jeszcze... Jeszcze nic nie wiesz. Lepiej mnie nie dotykajcie.

– Cassie, na litość boską, powiedz nam, o co ci chodzi. Mówisz bez sensu.

– Jestem córką Johna Blacka.

W tej chwili, gdyby któreś z nich rozluźniło uścisk na jej ramieniu albo się od niej odsunęło, Cassie chyba

w głębi jej oczu zawsze krył się jakiś bezradny lęk. Jak miała nie być przerażona, kiedy ukochany mężczyzna okazał się diabłem rodem z kosmaru? Musiała uciekać, żeby urodzić jego dziecko, dokądś, gdzie nikt nigdy by się niczego nie domyślił?

Ale była dość dzielna, żeby tu wrócić i przywieźć ze sobą Cassie. Więc teraz Cassie też musiała być dzielna.

„W mroku nie ma nic przerażającego, jeśli tylko stawi się mu czoła”. Cassie nie wiedziała, jak się z tym upora, ale wiedziała, że jakoś musi.

– Już w porządku – szepnęła. – Chcę zobaczyć się z mamą.

Diana i Adam porozumieli się wzrokiem ponad jej głową.

– Jedziemy z tobą – postanowiła Diana. – Nie będziemy wchodzić do pokoju, jeśli nie chcesz, ale zabierzemy cię tam.

Cassie popatrzyła na nich. Oczy Diany były teraz ciemne jak szmaragdy, pełne uczucia i zrozumienia. Ładnie wyrzeźbiona twarz Adama była spokojna i stanowcza. Ucisnęła ich ręce.

– Dziękuję – powiedziała. – Dziękuję wam obojemu.

Drzwi otworzyła im cioteczna babka Melanie. Chyba się zdziwiła na ich widok i nieco zdenerwowała, co z kolei zaskoczyło Cassie. Nigdy by nie pomyślała, że cioteczna babka Melanie może się zdenerwować.

Kiedy Cassie szła do pokoju gościnnego, wyszły z niego babunia Quincey i pani Franklin. Cassie popatrzyła na słabowitą prababcję Laurel i na pulchną, niechlujną babcję Adama, a potem znów zerknęła na ciotkę Constance.

- My... próbowaliśmy tego i owego, żeby zobaczyć, czy nie uda nam się pomóc twojej matce - wyjaśniła ciotka Constance z nieco stropioną miną. Odkaszlnęła. - To stare sposoby - przyznała. - Może się w nich kryć coś dobrego. W razie gdybyś czegoś potrzebowała, będziemy w saloniku. - Zamknęła drzwi.

Cassie obróciła się, żeby spojrzeć na postać leżącą w wykruchalanej białej pościeli ciotki Constance. Podeszła i uklękła obok łóżka.

Twarz jej matki była równie biała jak pościel. Wszystko w niej było białe albo czarne - biała twarz, czarne włosy, czarne rzęsy rzucające półksiężyc cień na pościel. Cassie ujęła jej chłodną rękę i dopiero wtedy zorientowała się, że nie ma zielonego pojęcia, co chce powiedzieć.

- Mamo? - odezwała się. A potem: - Mamusia? Słyszysz mnie?

Żadnej odpowiedzi. Nawet nie mrugnęła.

- Mamo - prosiła Cassie - wiem, że jesteś chora, i wiem, że się wystraszyłaś, ale jest jedna rzecz, której już się nie musisz bać. Znam prawdę. Wiem o moim ojcu.

Cassie czekała i wydało jej się, że przecieradła nakrywające pierś matki unoszą się i opadają nieco szybciej.

- Wiem wszystko - powtórzyła. - I... jeśli się boisz, że się na ciebie wścieknę czy coś, to nie musisz. Rozumiem. Widziałam, co on umie zrobić ludziom. Widziałam, co zrobił Fayę, a ona jest przecież silniejsza niż ty. - Cassie trzymała chłodną dłoń tak mocno, że bała się, że ją zgniecie. Przerwała na moment i z trudem przeknęła. - W każdym razie, chciałam ci

— 262 —

powiedzieć, że wiem. I że to wszystko niedługo się skończy. Zadbam o to, żeby on już nie zdołał cię więcej zranić. W jakiś sposób go powstrzymam. Nie wiem jeszcze jak, ale to zrobię. Obiecuję, mamo.

Wstała. Nadal trzymała w dłoni miękką, bezwładną rękę matki.

- Jeśli tylko się boisz, mamo, to możesz już wrócić. To łatwiejsze niż ucieczka, naprawdę. Jeśli stawia się różnym sprawom czoła, to przestają być takie straszne.

Cassie znów zaczęła. Wcześniej wydawało jej się, że nie ma nadziei, żeby jej mamie się poprawiło. Ale jednak musiała ją mieć, bo w miarę jak mijaly sekundy i nic się nie działo, serce ścisnęło jej się coraz silniejszym rozczarowaniem. Chociaż jakiś mały znak, czy to zbyt wiele, żeby go oczekiwać? Ale żaden znak się nie pojawił. Chyba po raz setny tego dnia do oczu Cassie napłynęły gorące łzy.

- No dobrze - szepnęła i pochyliła się, żeby pocałować matkę w policzek.

Zauważyła przy tym cienki sznureczek z jakiegoś włókna wokół szyi matki. Pociągnęła i spod kołnierzyka nocnej koszuli wysunęły się trzy niewielkie żółto-brunatne kamienie.

Cassie schowała naszyjnik z powrotem, odczekała jeszcze chwilę i wreszcie wyszła.

Czy poradzę sobie, jeśli moja mama umrze, jak umarła babcia? - zastanawiała się, zamykając za sobą drzwi pokoju. Miała wrażenie, że nie, ale zaczynała też zdawać sobie sprawę z tego, że być może będzie musiała.

W saloniku Diana i Adam pili herbatę w towarzystwie starszych pań.

— 263 —

- Kto powiesił te kryształki na szyi mamy? Co to za kamienie?

Staruszkę popatrzyły na siebie. Wreszcie odpowiedziała jej ciotka Constance.

- Ja to zrobiłam. - Ochrząknęła. - To tygrzysie oczka. Żeby odgnać złe sny. Przynajmniej tak zawsze mówiła moja babcia.

Cassie uśmiechnęła się do niej słabo.

- Dziękuję. - Może słabość Melanie do kryształków to cecha rodzinna. Nie próbowała opowiadać ciotce Constance, co John Black mógłby zrobić z tymi kamieniami, gdyby chciał.

- Złe sny to utrapienie - stwierdziła pani Franklin, kiedy Adam i Diana podnieśli się do wyjścia. - Oczywiście, dobre sny to już zupełnie inna historia.

Cassie popatrzyła na babcie Adama. Potargane siwe włosy wysuwały jej się z koka, kiedy z zadowoloną miną zjadała jedno ciasteczko po drugim. Cassie jeszcze nigdy nie widziała kogoś, kto tak bardzo jak ona lubiłby jeść, pomijając Susan. Ale w pani Franklin kryło się coś więcej niż tylko to, co człowiek widział na pierwszy rzut oka.

- Sny? - powtórzyła Cassie.

- Dobre sny - zgodziła się niezbyt wyraźnym głosem babcia Adama. - Żeby mieć dobre sny, należy spać z kamieniem księżycowym.

Cassie zastanawiała się nad tym przez całą drogę do domu.

Razem z Dianą zjedły w ciszy obiad, tylko we dwie, bo tata Diany nadal był w biurze. Adam poszedł porozmawiać z resztą Kręgu.

- Nie mogę im powiedzieć - stwierdziła Cassie. - Nie dzisiaj... Może jutro.

— 264 —

- Nie ma żadnego powodu, dla którego musiałaś to zrobić - odparł Adam głosem niemal szorstkim. - Już dość przeszłaś. Ja im powiem. I wytłumaczę tak, żeby zrozumieli. Nie martw się Cassie. Nie odsuną się od ciebie.

Trudno było się nie martwić, ale Cassie odsunęła od siebie ten problem, bo musiała się zająć innymi rzeczami. Obiecała coś swojej matce.

Leżała w łóżku i czytała Księgę Cierpienia swojej babki. Swoją Księgę Cierpienia. Szukała informacji na temat kryształów i snów.

I znalazła.

„Żeby wywołać sny. Włóż kamień księżycowy pod poduszkę i przez całą noc będziesz mieć dobre i miłe sny, które mogą obrócić się na twoją korzyść”.

Znalazła też fragment mówiący ogólnie o kryształach. Duże kryształki są skuteczniejsze niż małe. No cóż, o tym już wiedziała. Melanie tak twierdziła, a John Black zademonstrował jej to dzisiaj, rozwiewając wszelkie wątpliwości.

Odłożyła księgę i podeszła do biurka Diany.

Leżał tam biały aksamitny woreczek, wyściełony błękitnym jak niebo jedwabiem. Diana już dawno pozwolela Cassie do niego zaglądać. Cassie zaniosła woreczek na łóżko i wysypała jego zawartość na kołdrę. Na te białe pościeli kamienie utworzyły kalejdoskop kolorów.

Błękitny agat koronkowy - Cassie ujęła trójkątny kawałek i potarła nim o policzek. Kamień był gładki. Zobaczyła jasnożółty cytryn - kryształ Deborah, świetny, żeby gromadzić energię. Obok leżał zamglony pomarańczowy karnoł. Susan użyła ich kiedyś i wzbudziła namiętność w całej drużynie futbolowej.

— 265 —

Tu był przejrzysty zielony jodeł, który Melanie wykorzystywała dla uspokojenia myśli. I ametyst o barwie królewskiej purpury – kamień Laurel, kamień serca, jak powiedział John Black. Były tam też dziesiątki innych: ciepły bursztyn, lekki jak plastik, ciemnozielony heliotrop nakrapiany czerwienią, granat o barwie czerwonego wina, bładzielony oliwin, którego Diana używała do wykrywania mrocznej energii.

Cassie przetrzczała palcami pobrządkujące skarby, aż znalazła kamień księżycowy. Był przejrzysty, miał srebrzystobłękitny połysk. Położyła go na stoliku obok łóżka.

Do środka weszła Diana, odświeżona kąpielą. Spojrzała na Cassie, która chowała kamienie z powrotem do woreczka.

– Znalazłaś coś w swojej Księdze Cienia? – spytała.

– Nic konkretnego – odparła Cassie. Nie chciała wyjaśniać, co robi, nawet Dianie. Później spróbuje, choć nie wiadomo, czy jej się uda. – Zaczynam mieć wrażenie, że babce nie chodziło o to, że w Księdze jest coś konkretnego na temat Johna Blacka – dodała. – Może po prostu chciała, żebym stała się dobrą czarownicą, znającą się na rzeczy. Może uważała, że wtedy będę dość mądra, żeby go pokonać.

Diana położyła się do łóżka i zgasła światło. Noc była bezksiężycowa, wykuszowe okna nic nie rozjaśniało. A jednak ogarnął ją spokój, kiedy leżała w jednym łóżku – jakby Cassie po prostu przyszła przenocować. Przypomniało jej to o pierwszych dniach, kiedy ona i Diana zdecydowały, że będą dla siebie przybranymi siostrami.

— 266 —

– Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby go zabić – powiedziała.

Zatem to przyjęcie z nocowaniem miało dość ponury i krwiożerczy cel. Diana milczała przez chwilę, a potem odezwała się spokojnie:

– No cóż. Wiemy, że dwie rzeczy nie są w stanie go zabić: Woda i Ogień. Za pierwszym razem jego statek zatonął, a za drugim razem nasi rodzice spalili dom pod numerem 13. Ale w obu przypadkach przeżył.

Cassie doceniła wyrażenie „nasi rodzice”. Jej matka nie próbowała przecież nikogo spalić. Cassie mogłaby się o to założyć.

– Powiedział, że jego duch nie musi zostawać w jednym ciele – wyjaśniła. – Moim zdaniem on się może przenosić w dowolne miejsce. Może kiedy umierał, po prostu wysyłał swojego ducha gdzieś indziej.

– Na przykład do kryształowej czaszki – stwierdziła Diana. – I został w niej, dopóki nie przywołaliśmy jego ducha i nie pozwoliliśmy mu połączyć się z ciałem. Tak. Ale czego możemy użyć przeciwko niemu?

– Ziemi... albo Powietrza – zastanawiała się Cassie. – Chociaż nie mam pojęcia, jak Powietrze mogłoby kogoś zabić.

– Ja też nie wiem. Ziemia może oznaczać kryształy... Ale nie mamy kryształu dość dużego, żeby go użyć przeciwko niemu.

– Nie – potwierdziła Cassie. – Wygląda na to, że albo to będą Arkana Mistrza, albo nic. Musimy je znaleźć.

Czuła, że Diana kiwa głową.

– Ale jak?

— 267 —

Cassie wyciągnęła rękę i dotknęła kamienia księżycowego. Włożyła go pod poduszkę.

Może nie chodzi o rozmiar, ale o sposób użycia, pomyślała.

– Dobranoc, Diana – powiedziała i zamknęła oczy.

ROZDZIAŁ 11

Ten sen od samego początku był wyraźniejszy niż inne. A może to Cassie miała jaśniejszy umysł, spokojniejszy i bardziej świadomy tego, co się działo. Słowa woda zalewała jej twarz, trochę jej wypila. Jej ciało było takie zimne, że nie czuła dłoni ani stóp.

Tonęła. Wiedziała, że tonie... ale też, że nie umrze. Ostatnim wysiłkiem woli wysłała swojego ducha do wcześniej już przygotowanego miejsca... Do czaszki ukrytej na wyspie. Już zostawiła w tej czaszce część swojej mocy, teraz sama do niej dołączy. A któregoś dnia, kiedy pora będzie właściwa, kiedy już dość jej ciała rozmytego wodą przesyca się na wyspę – odżyje.

Dobre sny, chciałam mieć dobre sny, myślała gorączkowo Cassie, kiedy woda zamykała się nad jej głową.

Jakaś zmiana...

Oślepiło ją słońce.

– Możecie iść z Kate pobawić się w ogrodzie – powiedział czyjś miły głos.

Tak. Udało się. Trafiła tu.

— 268 —

Ogród był na tyłach. Cassie zawróciła do drzwi.

– Hiacynto! Zapomniałaś o czymś...

Cassie przystanąła, zbита z tropu. Nie miała pojęcia, o co chodzi. Wysoka kobieta w sukni, jakie nosiły purytanki, patrzyła na podłogę. Tam, na czystych sosnowych deskach, leżała oprawiona w czerwien Księga Cienia. Cassie przypomniała sobie teraz, że spadła jej z kolan.

– Przepraszam, matko. – Słowa pojawiły się całkiem naturalnie w jej ustach. Zaczynała się przyzwyczajać do tego wnętrza, ale nadal nie miała pojęcia, gdzie powinna odłożyć księgę. W jakiej specjalnej miejscce... Gdzie? A potem dostrzegła luźną cegłę w ścianie kominka.

– Już lepiej – powiedziała wysoka kobieta, kiedy Cassie wsunęła księgę w otwór i zastawiła go cegłą. – Hiacynto, pamiętaj, nigdy nie wolno nam pozwolić sobie na nieuwagę. Nawet tu, w New Salem, gdzie wszyscy sąsiadzi są do nas podobni. A teraz biegnijcie do ogrodu.

Kate już wychodziła na zewnątrz. Cassie zauważyła, że jej włosy mają ten sam odcień co włosy Diany – nie tyle złote, co błędsze w barwie, jak czyste światło. Kate miała też oczy złote jak słońce. Była złotą dziewczyną.

– Niebo i morze, chroń mnie od złego – zaśmiała się, okręcając wokół własnej osi, spoglądając ponad krzewami ziół na błękitny ogrom oceanu za urwiskiem. Tym razem nie było tu murku. Jeszcze nie został zbudowany. A potem Kate skoczyła, chcąc coś zerwać.

– Tylko powąchaj lawendę – zachęcała, wyciągając gałązkę do Cassie. – Nie jest słodka?

— 269 —

Ale Cassie nadal stała blisko otwartych drzwi. Dwie inne osoby weszły do kuchni. Zgadzała, że to matka i ojciec Kate. Rozmawiali przyciszonymi, niespokojnymi głosami.

– ...właśnie dostaliśmy wieści. Statek zatonał – mówili mężczyźna.

Matka Hiacynty wykrzyknęła z radości:

– A więc zginął!

Mężczyzna pokręcił głową, ale Cassie nie dosłyszała jego następnych słów. Bala się, że zostanie przyłapaną na podsłuchiwanie i odesłaną.

– ...czaszka... – usłyszała. I jeszcze: – ...nigdy nie wiadomo... wrócić...

– A ten jaśmin! – podśpiewywała Kate. – Prawda, że jest cudowny? – Cassie miała ochotę kazać jej się zamknąć.

A potem usłyszała słowa, od których dostała gęsiej skórki na ramionach, mimo gorących promieni słońca: – ...ukryć je – mówiła matka Kate. – Ale gdzie?

No właśnie. Gdzie, gdzie?! Jeśli ten sen miał jakikolwiek znaczenie, to właśnie tego miała się dowiedzieć. Kate usiłowała objąć ją ramieniem w tali, skłonić, żeby powąchała jaśmin, ale Cassie złapała ją za rękę, żeby ją uspokoić i nasłuchiwała dalej.

Dorośli sprzeczali się cicho. Do uszu Cassie docierały okrzyki niepokoju i niezgody.

– A nie moglibyśmy...?

– Nie, tam nie!...

– No to gdzie, w takim razie...?

– Na łitosc boską, chleb mi się spali!

A potem cichy śmiech.

– Jasne! Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyśleliśmy.

— 270 —

Ale babka nie wiedziała, gdzie one są. Cassie była pewna, że gdyby miała taką wiedzę, powiedziałaby jej o tym. Babka wiedziała tylko, że jej własna babka, praprababka Cassie, powiedziała jej, że kominiek to dobry schowek na różne rzeczy. A teraz, we śnie, Cassie dowiedziała się, że luźna cegła istniała w nim już za czasów Hiacynty.

Ale to była tylko jedna obluźwana cegła i za nią schowano wyłącznie Księgę Cienia. Nic więcej. Cassie wiedziała to i wiedziała też, że pierwszy kowen szukał kryjówki na długie lata. Miejsca, gdzie można by przechować Arkana Mistrza, „póki nie będą potrzebne” przyszłemu pokoleniu.

A zatem nie żadna zwykła obluźwana cegła. Cassie rozmyślała o palenisku, które na mgnienie oka ukazało jej się spoza kobiecych spódnic w ostatniej sekundzie snu. Kominiek miał nieco inny kształt niż w czasach obecnych.

Przez kilka chwil Cassie leżała w aksamitnych ciemnościach, a potem przewróciła się na bok i łagodnie potrząsnęła ramieniem Diany.

– Diano, obudź się. Wiem, gdzie są Arkana Mistrza.

Adama obudziły, rzucając kamykami w jego okno. We trójkę pojechali pod numer 12, uzbrojeni w kilof, młot, kilka zwyczajnych młotków, śrubokrętów i łom. Towarzyszył im Radža. Owczarek niemiecki z rozradowaną miną dreptał u boku Cassie i dawał do zrozumienia, że ogromnie lubi takie wycieczki we wczesnonośnych godzinach.

Ubywający księżyc wisiał wysoko na niebie, kiedy dotarli do domu babki Cassie. Wnętrze wydawa-

— 272 —

Gdzie?! Opędzając się od Kate, Cassie usiłowała zajrzeć do kuchni.

– Hiacynto, co się z tobą dzieje? – zawołała Kate. – Nie słuchasz ani jednego mojego słowa! Hiacynto, popatrz na mnie!

Cassie w rozpaczy zaglądała do mrocznej kuchni. W środku było zbyt ciemno. Sen bladł.

Nie. Musi go zatrzymać. Musi zobaczyć do końca. Babko, pomóż mi, pomyślała. Pomóż mi zobaczyć...

– Hiacynto!

Ciemniej i ciemniej...

Szelest długich spódnic. Kate zeszała jej z drogi. Jeden rzut okiem...

– To stara kryjówka – powiedziała matka Hiacynty głosem pełnym satysfakcji. – Dopóki nie będą znów potrzebne.

Cassie ogarnęła ciemność.

Obudziła się, oszołomiona.

W pierwszej chwili nie mogła sobie przypomnieć, czego szukała w tym śnie. Ale sam sen pamiętała. Kim była Hiacynta? Pewnie jedną z jej praprapraprababek. A Kate?

A potem przypomniała sobie, po co to wszystko. Arkana Mistrza. Członkowie pierwszego kowenu ukryli je przed Johnem Blackiem, bo wiedzieli, że może wrócić. A Cassie próbowała się dowiedzieć, gdzie one są. I udało jej się.

Zastanawiała się, dlaczego John Black zaatakował jej babkę tej nocy, kiedy został uwolniony. Teraz zrozumiała, że nie chodziło mu wyłącznie o Księgę Cienia. I nie tylko o to, że znalazł jej matkę i babkę już wcześniej. Chciał jeszcze czegoś. Chciał odzyskać Arkana Mistrza.

— 271 —

ło się jeszcze bardziej zimne niż zwykle, a w całym domu panowała cisza, która nieco stłumiła entuzjazm Cassie.

– Tam – szepnęła, wskazując lewą stroną kominika, gdzie od czasów jej snu dodano nową warstwę cegieł. – Tutaj wygląda to inaczej. To tam musieli je zamurować.

– Szkoda, że nie mamy wiertarki udarowej – powiedział Adam pogodnie. Chwył łom. Chłód i cisza zdawały się mu nie przeszkadzać, a w niekorzystnym sztucznym kuchennym świetle jego włosy połyskiwały kolorem granatów z woreczka z kamieniami Diany. Radža siedział obok Cassie, szurając swoim czarno-podpalanym ogonem po kuchennej podłodze. Patrząc na nich dwóch, Cassie czuła się nieco lepiej.

Potrwało to dość długą chwilę. Cassie poobcierała sobie palce, gdy usiłowała zdrapać warstwę starożytnego tynku, posługując się śrubokrętem jak dłutem. Ale wreszcie cegły, jedna po drugiej, zaczęły spadać w zimny popiół paleniska, usuwane kolejno ze ściany. Każda miała inny kolor. Niektóre były czerwone, inne pomarańczowe, niektóre niemal purpurowoczarne.

– Tam zdecydowanie coś jest – stwierdził Adam, sięgając do wnętrza dziury, którą udało mu się wybić. – Ale będziemy musieli usunąć jeszcze kilka cegieł, żeby się do tego dostać... Już! – Znowu sięgnął, ale potem spojrzął na Cassie. – A może ty powinnaś czynić honory pani domu? Nie bój się, nic żywego tam nie ma.

Cassie, która nie miała ochoty natknąć się na trzysetletniego karalucha, skinęła mu głową z wdzięcznością. Sięgnęła do środka i jej ręka zamknęła się na czymś gładkim i chłodnym. To coś było tak ciężkie, że musiała użyć obu rąk, żeby to wyjąć.

18 - Tajemny Kraj 2

— 273 —

- Kasetka na dokumenty - szepnęła Diana, kiedy Cassie postawiła przedmiot na podłodze przed kominkiem. W oczach Cassie wyglądało to jak kuferek ze skarbnicami. Mały kuferek ze skarbnicami wykonany ze skóry i mosiądzu. - Ludzie w XVII wieku trzymali w nich ważne papiery - ciągnęła Diana. - W podobnym znaleźliśmy różne zapiski i papiery Johna Blacka. Dalej, Cassie, otwórz go.

Cassie popatrzyła na nią, a potem na Adama, oparte go na rękociści kłofa, na umazaną sędzią twarz chłopaka. Dziwiącymi palcami otworzyła niewielki kuferek.

A jeśli się pomyliła? A jeśli on wcale nie zawiera Arkanów Mistrza, tylko jakieś stare dokumenty? Co jeśli...

W kuferku, świeże i nietknięte, jakby schowano je tam wczoraj, leżały diadem, bransoleta i podwiązka.

- Och - westchnęła Diana.

Cassie wiedziała, że diadem, którego Krag zawsze używał, był ze srebra. Ten w kuferku też był srebrny, ale delikatniejszej roboty, a jednocześnie cięższy i bogatszy, z głębszym połyskiem. I diadem, i bransoleta wyglądały jak prawdziwe dzieła sztuki. Nie było na nich ani śladu maszynowej obróbki. Każdy niuans inskrypcji na bransoletce, każdy zawijas przy obręczy diademowi wskazywał, że wykonała je dłoń artysty. Skóra podwiązki była delikatna, a zamiast jednej srebrnej sprzączki zobolito ją siedem. W dłoni Cassie wydawała się ciężka.

Diana w milczeniu wysunęła palec i obrusowała nim półksiężyc diademem.

- Arkan Mistrza - powiedział Adam cicho. - Po wszystkich tych poszukiwaniach, cały czas mieliśmy je przed nosem.

- Tyle Mocy - szepnęła Diana. - Dziwię się, że spoczywały tutaj tak spokojnie. Spodziewałabym się,

że będą wywoływały jakieś zakłócenia... - Urwała i spojrzała na Cassie. - Nie mówiłaś czasem, że źle ci się tutaj śpi?

- Trzaski i szmery przez całą noc - przypomniała sobie Cassie, a potem spojrzała w oczy Dianie. - Och, uważasz, że... Myślisz...

- Nie wydaje mi się, żeby to dom osiadał - oświadczyła Diana krótko. - Tak potężne narzędzia mogą powodować różne dziwne zjawiska.

Cassie zamknęła oczy, zła na siebie.

- Jak mogłam być taka głupia? Przecież to było takie proste. Powinnam była zgadnąć...

- Wszystko się zawsze wydaje proste, jeśli się patrzy z perspektywy czasu - powiedział Adam sucho. - Nikt się nie domyślił, że Arkana mogą być tutaj, nawet John Black. A to mi o czymś przypomnia. Chyba lepiej będzie nie wspominać o tym Faye.

Dziewczyny popatrzyły na niego, a potem Diana powoli pokiwała głową.

- Opowiedziała Johnowi Blackowi o ametystach. Obawiam się, że masz rację, nie wolno jej ufać.

- Moim zdaniem nie powinniśmy mówić nikomu - stwierdziła Cassie. - Przynajmniej na razie. Dopóki nie zdecydujemy, co z nimi zrobimy. Im mniej osób będzie o tym wiedziało, tym bezpieczniej dla nas.

- Racja - zgodził się Adam. Zaczął na nowo ustawiać cegły w ścianie kominka. - Jeśli zostawimy wszystko w mniej więcej normalnym stanie i znajdziemy jakąś dobrą kryjówkę dla kuferka, nikt nie powinien się zorientować, że znaleźliśmy Arkana Mistrza.

- Trzymaj - Cassie wrzuciła podwiązkę z powrotem do kuferka i włożyła kuferek w ręce Diany. - Faye ma tamte. Te należą do ciebie.

- One należą do przywódczyni kowenu...

- Przywódczyni kowenu to idiotka - oświadczyła Cassie. - Są twoje, Diano. Ja je znalazłam i ja tak mówię.

Adam odwrócił się od swojego zajęcia przy ustawianiu cegieł z powrotem i we troje popatrzyli po sobie w świetle tej zimnej, niesamowitej kuchni. Wszyscy byli brudni. Nawet na pięknych kościach polichkowych Diany rysowały się smugi sadzy, Cassie nadal była obolała i zmęczona po chyba najdłuższym i najstraszniejszym dniu swojego życia. W tej chwili jednak czuła ciepło i bliskość, które porwalały zapomnieć o bólu i zmęczeniu. Wszyscy troje byli ze sobą związani. A dzisiaj w nocy zwyciężyli. Zatriumfowali.

Gdyby Diana nam nie przebaczyła, gdzie byśmy byli? - zastanawiała się Cassie, znów spoglądając w stronę paleniska.

Cieszę się, że to ty masz Adama. Naprawdę się cieszę, pomyślała wtedy. Podnosząc wzrok, zobaczyła, że Diana ma w oczach łzy, zupełnie jakby wiedziała, o czym Cassie myśli.

- No dobrze, przyjmuję je na razie. Dopóki nie przyjdzie czas, żeby ich użyć - powiedziała Diana.

- Skończyłem - oznajmił Adam. Pozbierali narzędzia i wyszli z domu.

Kiedy jechali do domu Adama, przy drodze zobaczyli jakąś sylwetkę.

- John Black - syknęła Cassie, sztywniejąc.

- Nie wydaje mi się - rzekł Adam, zjeżdżając na pobocze. - Trochę za mały. W sumie, to chyba Sean.

- Bo to był Sean. Ubrany w dżinsy i górę od piżamy. I wyraźnie bardzo zaspany.

- Co się dzieje? - spytał. Zerknął czarnymi oczami spod zapuchniętych powiek. - Zobaczyłem światło w domu Cassie, a potem samochód ruszający z podjazdu... Wziąłem wus za Johna Blacka.

- Bardzo byłeś dzielny, że wyszedłeś tu sam - powiedziała Cassie. Pamiętała, że postanowiła być młodsza dla Seana. Zepchnęła na bok jakieś niemile odczucie. Diana i Adam spojrzeli na siebie, a Sean gapił się na ich umazane twarze i na narzędzia na podłodze dziapa oraz wybrzuszenie pod kurtką Adama.

- Chyba lepiej będzie mu powiedzieć - stwierdziła Diana. Cassie się zawahała. Ustalili przecież, że nie powiedzą nikomu. Ale wyglądało na to, że nie mają innego wyjścia. Powoli, niechętnie, skinęła głową.

Sean wszedł zatem do samochodu razem z nimi i kazali mu przysiąc, że zachowa tajemnicę. Był bardzo podekscytowany myślą o Arkanach Mistrza, ale Adam nie pozwolił mu ich obejrzeć.

- Znajdziemy dla nich jakąś kryjówkę - oznajmił Adam. - A ty lepiej wracaj do łóżka, zobaczymy się jutro.

- Dobra - Sean wysiadł. Już zatrząskiwiał drzwiami za sobą, ale jeszcze obejrzał się na Cassie. - Aha, no wiesz... Że niby John Black to twój ojciec? No, hm, chciałem ci tylko powiedzieć, że... Dla mnie to bez znaczenia. Znaczący, szkoda, że nie poznałaś mojego starego! To tyle. - Trzasnął drzwiami i odszedł.

Cassie poczuła, że coś ją dławi w gardle, a oczy zaszczypany od łez. Zupełnie zapomniała, że Adam im wszystkim powiedział. Ramo będzie musiała stawić czoła reszcie Klubu. Ale na razie Sean sprawił, że nie wydawało się to już takie straszne.

Naprawdę muszę być dla niego miłsza w przyszłości, pomyślała.

Ukryli Arkana Mistrza w piwnicy Adama.

- Jak długo nie będziemy ich używać, nikt nie powinien móc ich odszukać - stwierdziła Diana. - W każdym razie, tak uznaliśmy z Melanie. Adamie, one są jednak niebezpieczne. Przechowywanie ich jest ryzykowne. - Popatrzyła na niego poważnie.

- Więc pozwól, że ktoś poza wami dwiema również poniesie jakieś ryzyko - powiedział łagodnie. - Chociaż raz.

Cassie po raz drugi tej nocy kładła się do łóżka, zmęczona, ale z poczuciem triumfu. Odłożyła kamień księżycowy na toaletkę. Na razie miała już dosyć snów. Zastanowiła się, czy jeszcze kiedyś zobaczy Kate.

- Nic mnie nie obchodzi, czy jej ojcem jest Adolf Hitler. - Głos Deborah, nigdy specjalnie delikatny, rozległ się teraz wyraźnym echem z parteru domu. Cassie stała w drzwiach pokoju Diary, trzymając dłoń na kłance. - Co to ma wspólnego z Cassie?

- Deborah, rozumiem, ale nie drzyj się, dobrze? - Głos Melanie był o wiele bardziej przyciszony, ale i tak słyszalny.

- Może po prostu pójdziemy po nią na górę? - odezwał się Doug całkiem rozsądnie, a Chris dodał: - Sama chyba nigdy tu nie zjeździe.

- Pewnie śmiertelnie się nas wszystkich boi - upomniała ich Laurel tonem drużynowej zachowawczy, która ma pełne ręce roboty z krnąbrną gromadką. - Susan, te muffinki są dla niej!

- Jesteś pewna, że to płatki owsiane? Bo smakują jak żwir - odparła Susan spokojnie.

— 278 —

- Musisz w końcu zejść do nich - odezwała się Diana zła pleców Cassie.

Cassie pokiwała głową i na moment przyłożyła czoło do chłodnej framugi drzwi. Jedyny głos, którego nie usłyszała, to był ten, na którym zależało jej najbardziej. Głos Nicka. Wyprostowała się, wzięła do ręki plecak i zmusiła nogi do ruchu. Teraz już wiem, jak się czuje człowiek, który musi wyjść naprzeciw plutonowi egzekucyjnemu, pomyślała.

Cały Krag - pomijając Faye - zgromadził się u stóp schodów. Wszyscy zerkali w górę wyczekująco. I nagle Cassie, schodząc po tych schodach, poczuła się bardziej jak jakaś panna młoda niż jak skazaniec. Była zadowolona, że włożyła czyste dżinsy i kaszmirowy sweterek, który pożyczyła jej Diana, farbowany w delikatne smugi błękitu i fioletu.

- Cześć, Cassie - rzucił Chris. - Podobno... Auć! - Aż się zatoczył w bok od kopniaska Laurel.

- Proszę, Cassie - powiedziała Laurel słodko. - Poczuj się muffinką.

- Lepiej nie - szepnęła jej na ucho Susan.

- Sam je dla ciebie zebrałem - oznajmił Doug, wyciągając przed siebie wiecheć wilgotnej zieleni. Popatrzył na niego niepewnie. - To chyba stokrotki. Ale wyglądały lepiej, zanim zdechły.

- Chcesz pojechać ze mną do szkoły motorem? - spytała Deborah.

- Nie. Ona nie chce jechać z tobą motorem, pojeździe ze mną - Nick, który siedział w holu na drewnianej ławie z oparciem, wstał.

Cassie bala się spojrzeć mu w twarz, ale teraz już nie mogła tego uniknąć. Wydawał się chłodny, jak zwykle niewzruszony, ale w głębi jego mahoniowych

— 279 —

oczu dostrzegła ciepło przeznaczone wyłącznie dla niej. Kiedy zabierał jej plecak, jego silne, zręczne palce krótko, na moment uściskały jej dłoń.

I wtedy zrozumiała, że wszystko będzie dobrze.

Cassie rozjrzała się po twarzach członków Klubu.

- Wszyscy jesteście... Nie wiem, co mam wam powiedzieć. Dziękuję. - Popatrzyła na Adama, który sprawił, że zrozumieli. - I dziękuję tobie.

Wzruszył ramionami i tylko ktoś, kto go dobrze znał, mógłby dostrzec odrobinkę bólu w jego uśmiechu. Oczywiście mroczne jak sztormowe chmury od jakichś zduszonych emocji.

- Polecam się na przyszłość - powiedział, kiedy Nick prowadził ją w stronę drzwi.

Po drodze Cassie obejrzała się na Douga.

- Co ci się stało?

- Zawsze był taki paskudny - zapewnił ją Chris.

- To po tej bójce - wyjaśnił Doug, dotykając podbitego oka z niejaką dumą. - Powinnaś zobaczyć tamtych pięćdziesięciu facetów! - wrzasnął jej śladem.

- Będziemy mieć kłopoty przez tę bójkę? - spytała Nicka już przed domem.

- Nie... Nie wiedzą, kto zaczął. Musieliby ukarać całą szkołę.

I okazało się, że dyrektor właśnie to zrobił. Meczu w Święto Dziękczynienia został odwołany i wśród uczniów panowało ogólne niezadowolenie. Cassie modliła się tylko, żeby nikt się nie zorientował, w którą stronę to niezadowolenie powinno się skierować.

- Czy możemy nie rzucić się w oczy do przyszłotygodniowej przerwy z okazji Święta Dziękczynienia? - spytała Diana podczas lunchu. Tylko Cassie i Adam

— 280 —

wiedzieli, dlaczego Diana chce, żeby nie sprawiali kłopotów. Chodziło o to, żeby w tym czasie zastanowić się, jak najlepiej wykorzystać Arkana Mistrza. Pozostali zgodzili się spróbować. Nikt poza Dougiem i Deborah nie miał zresztą w tej chwili ochoty na kolejne awantury.

- Trochę się boję. Tego, że on i tak nas zaatakuje. Może kazać dyżurnym odsłać nas do gabinetu praktycznym bez powodu - powiedziała potem Cassie do Diany.

Ale tak się nie stało. W Liceum New Salem zapanały jakiś dziwny spokój i niesamowita cisza. Jakby wszyscy na coś czekali, chociaż nikt nie wiedział na co.

- Nie idź sama - poprosiła Diana. - Zaczekaj chwilę, to pójde tam z tobą.

- Wiem, gdzie jest ta książka - powiedziała Cassie. - Zajrzę do domu tylko na minutę. - Już od dawna zamierzała dać Dianie do przeczytania *Śmierć króla Artura*. To była jedna z jej ulubionych książek, a babcia miała piękny egzemplarz z 1906. - Przy okazji mogę też zabrać trochę suszonej szalwii do nadzienia - dodała.

- Nie, daj spokój. Nic więcej tam nie rób i wracaj jak najszybciej - denerwowała się Diana, odgarnęła z czoła kosmyk wilgotnych włosów zatłuszczoną dłonią. Obie próbowały nalożyć nadzienie do indyka na Święto Dziękczynienia.

- Dobra.

Cassie pojechała pod numer 12. Z tym indykiem były już nieliczne spóźnione. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi.

— 281 —

Tylko tam wejść i wyjść, pomyślała Cassie, szybko zmiatając do drzwi. Znalazła książkę na półce w bibliotece i wsunęła ją pod ramię. Nie czuła się specjalnie zaniepokojona, ostatni tydzień minął bez problemu. Dwa dni temu, dwudziestego czwartego, Krag bez przeszkód zorganizował urodziny Susan.

No widzisz, mówiłam ci, pomyślała, jakby zwracała się do Diany, gdy wychodziła z domu. Nie było się czym przejmować...

Zobaczyła samochód, szare bmw, zaparkowane obok białego golfu babki, którym przyjechała. W ulamku sekundy zorientowała się, że coś jest nie tak. Już chciała z powrotem schronić się w domu, ale jej się nie udało. Czyjaś silna ręka zakryła jej usta. Ktoś odciągnął Cassie na bok.

ROZDZIAŁ 12

Wyniosły się stąd, zanim reszta nas przyuważy – powiedział jakiś głos. Cassie poczuła kwaśny odór potu.

Jordan, pomyślała. Ten, który miał broń. Ten z Klubu Strzeleckiego. Ten drugi to Logan, należał do drużyny debатовej na MIT i był młodszy od Jordana – a może odwrotnie? Cassie nigdy nie nauczyła się odróżniać braci Portii, nawet kiedy Portia opowiadała jej o nich jeszcze na Cape Cod.

Była spokojna, myślała bardzo jasno.

Wywieźli ją za New Salem, za wyspę, cały czas przyduśzając ją do podłogi tylnego siedzenia i przyci-

— 282 —

skając coś twardego i zimnego do jej głowy. Jakbym była jakimś nieberpječnym przestępcą czy coś, pomyślała Cassie. Na litość boską... Co ja ich zdaniem niby zrobię, pozamieniam ich w ropachy?

Druga para stóp, które się o nią opierały, należała do dziewczyny. Portia, domyśliła się Cassie. Nie, Sally. Portia była za dobrze wychowana, żeby opierać o kogoś nogi.

Cassie usłyszała łomot, kiedy koła samochodu wjechały na most łączący wyspę ze stałym lądem. Potem pokonali wiele zakrętów, a potem długo jechali po wyboistej drodze. Kiedy wreszcie się zatrzymali, wkoło było cicho.

Znajdowali się w środku lasu. Brzozy, buki i dęby, typowe drzewa z Massachusetts, rosły gęsto wszędzie dokoła. Wypuścili Cassie z samochodu, a potem bracia Portii wyprowadzili ją w głąb lasu. Cassie słyszała podążające ich śladem lżejsze kroki dziewczyn. Miała wrażenie, że idą bardzo długo, że coraz dalej oddalają się od drogi i wszelkich śladów cywilizacji. Zapadała już ciemność, gdy dotarli do jakiejś polany.

Ktoś bywał tam już wcześniej. W świetle latarki Logana ukazały się dół po ognisku i jakieś liny zawieszono na drzewie. Portia i Sally – Cassie miała rację, to była Sally – rozpałły w dole ognisko, a facci przywiązali Cassie do drzewa. Użyli o wiele więcej liny, niż Cassie wydawało się konieczne.

I nie podobał jej się ten ogień.

– Po co to robicie? – spytała Logana, kiedy cofnął się po tym, jak przywiązał ją do drzewa. Widząc ich twarze, mogła już odróżnić Logana od Jordana. To Jordan miał oczy rekina.

– Bo jesteś czarownicą – odparł Logan krótko.

— 283 —

– I to ma być powód?

Portia wysunęła się naprzód.

– Kłamałaś – powiedziała oskarżycielsko. – Co do chłopaka z plaży, co do wszystkiego. Przez cały czas sama też byłaś czarownicą.

– Wtedy nie byłam – oświadczyła Cassie, usiłując zachować spokojny ton. – Teraz już tak.

– A więc się przyznajesz. No cóż, zrobimy to, co powinniśmy byli zrobić wtedy.

Twarda pięść strachu uderzyła Cassie w żołądek i dziewczyna znów spojrzała na ogień. Jordan coś do niego wkładał, coś długiego i metalowego.

Mam kłopoty, powiedziała sobie Cassie. Duże kłopoty.

Potrzebowała pomocy. Wiedziała o tym i знаła tylko jeden sposób, żeby ją przywołać. Jej jedyną bronią była jej własna Moc.

No dobrze, pomyślała. Zrobię to, co zrobiłam z Senanem. Muszę się przygotować, wyciszyć. Już!

Adamie! – usiłowała wzywać go w myślach. Adamie, to ja, Cassie. Mam kłopoty. Żalowała, że nie ma przy sobie róży z chalcedonu, żeby ją trzymać w dłoni podczas tego wzwania. Adam powiedział jej kiedyś, że to by pomogło jej się z nim skontaktować. Róża z chalcedonu była jednak teraz u Diany.

Nie myśl o tym. Myśl o Adamie. Musisz sprawić, żeby cię usłyszał.

Adamie! – zawołała raz jeszcze, z całą siłą, jaką mogła zebrać. Dziwne, ale ta zdolność przesyłania umysłem fali energii, robienia tego czegoś, co robiła, żeby wysłać Moc, nie zmniejszała się z czasem. Zamiast tego zachowywała się jak mięsień, tym silniej-

— 284 —

szy, im częściej go ćwiczyła. Adamie! – znów zawołała, przesyłając wiadomość prosta i jasną. To ja, Cassie, potrzebuję pomocy!

Przyjedzie, powiedziała sobie. Znajdzie jakiś to miejsce, przyjedzie tu, jeśli tylko zdołam zachować spokój i zaczebrać. Ale myśl o tym, co może się stać, zanim Adam się pojawi, ścinała lodem krew w jej żyłach.

Tak więc utkwiała na odludziu z czwórka łowców czarownic. Ich milczenie zaczynało ją wytrącać z równowagi.

– Moglibyście przynajmniej mi to wyjaśnić – odezwała się powoli. Zwracała się do Logana i Sally, bo nie wydawało jej się, że doczeka się odpowiedzi od Jordana lub Portii. – Przywieźliście mnie tutaj, więc moglibyście chociaż wyjaśnić, dlaczego aż tak bardzo nienawidzicie czarownic. Bo tego nie rozumiem.

– Zwariowałaś? – spytał Logan, jakby to było zupełnie jasne. A potem, bo nadal na niego patrzyła, powiedział po prostu: – Bo są złe.

– Loganie... – Cassie szukała jego twarzy w świetle ogniska. – Jesteśmy tacy sami jak wy. Mamy większy kontakt z naturą, to wszystko. Uczymy się jej, czcimy ją i czasami udaje nam się sprawić, że robi dla nas różne rzeczy. Ale nie jesteśmy źli. Posłuchaj – podniosła głos, bo Logan się odwracał – mamy swoje wady, jak każdy, ale przede wszystkim staramy się czynić dobro.

– Tak jak Faye Chamberlain? – rzuciła ostro Sally, nagle włączając się do rozmowy. – Ona też jest dobra?

– W Faye jest dobro – ciągnęła Cassie. – Diana powiedziała tak kiedyś i to jest prawda. Faye po prostu musi je odnaleźć. Ale tak czy inaczej, nie możecie oceniać wszystkich po zachowaniu jednej osoby.

— 285 —

- A to, co przez całe lata robili ze szkołą? Uważasz, że to dobre? Traktowali wszystkich jak niewolników!

- To było niewłaściwe, przynajmniej - przytaknęła Cassie. - Ale Diana tego nie robiła. Jeśli ludzie traktowali ją jak księżniczkę, to nie z jej winy. To Faye traktowała innych jak niewolników. Niektórzy zgadzali się z nią, bo nie wiedzieli, że można inaczej. Ale cokolwiek robili, to nie jest rozwiązanie!

- Pan Brunswick rozwiąże ten problem - stwierdziła Portia krótko.

- Pan Brunswick jest mordercą! To nie jest wasz przyjaciel, Portio. To on zabił Kori Henderson, siostrę Chrisa i Douga. Zabił ją, bo nie pasowała do jego planów. I pana Fogle'a, poprzedniego dyrektora, bo chciał zająć jego miejsce. I... - dodała Cassie. - I zabił Jeffreya, Sally! Tak. Zrobił to z czystej złości. Albo tylko po to, żeby jeszcze bardziej podzielić czarownicę z resztą. On chce, żebyśmy się nawzajem nienawidzili.

- To śmieszne - rzekł Logan. - Dlaczego miałyby tego chcieć?

- Bo jest czarownikiem - powiedziała Cassie. Przymknęła oczy. Wiedziała, że to wszystko na nic się nie zda. - I to złym. Jedynym naprawdę złym, jakiego spotkałam. Myślę, że nowy dyrektor chce, żebyśmy was pozabijali. A może tylko chce nas stąd zabrać gdzie indziej i wymordować zwykłych ludzi właśnie tam. Nie wiem, jakie dokładnie ma plany - oznajmiła, otwierając oczy - ale czegośkolwiek by chciał, na pewno jest to złe.

- Dość już tych bzdurow. Zabieramy się do roboty. - Logan się niecierpliwił.

- 286 -

- Nie, czekajcie. Chcę coś wyjaśnić. - Sally stanęła naprzeciw Cassie i spojrzała nieprzyjaciółce prosto w oczy. - Powiedziałaś, że Brunswick zabił Jeffreya, ale to przecież niemożliwe. Nie było go nawet w New Salem tamtego wieczoru ani wtedy, kiedy popełniono poprzednie morderstwa.

- Był, tyle że nie do końca w obecnej postaci - mruknęła Cassie. Spojrzała na Sally. - On wcale nie musiał stać tuż obok. Jest czarownikiem. Wystarczy swoją Moc, swoją czarną energię, żeby to zrobić. A może przejął czyjś umysł i kazał komuś innemu to zrobić.

Na przykład Faye, pomyślała Cassie ponuro. Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to Faye mogła zepchnąć Kori ze schodów. I mogła obluźować głaz, który pociągnął za sobą kamienną lawinę. Tę samą, która zabiła pana Fogle'a. Mogła nawet pod jakimś pretekstem zaciągnąć Jeffreya do kotłowni i tam go udusić. Wystarczyłoby zacząć się na niego od tyłu i potem jakos zaciągnąć mu linkę na szyi. Policijni lekarze mówili, że mogła to zrobić jedna osoba.

- Zresztą co to za różnica, w jaki sposób? - spytała Cassie zmużonym głosem. - Zrobił to, tylko to się liczy. I naprawdę to zrobił, Sally. Przysięgam ci. To on zabił Jeffreya.

Sally wpatrywała się twardo w jej oczy. Jej zadziorna twarz znalazła się zaledwie o centymetry od jej twarzy. A potem pokręciła głową i się odwróciła.

- Przykro mi - rzuciła Cassie w stronę jej zrzuconych włosów. - Ja też lubiłam Jeffreya. Wiem, co sobie myślisz, że próbowałam ci go ukraść czy coś. Ale tak nie było. Ja po prostu... Tak bardzo się cieszyłam tamtego wieczoru, na Jesiennym Bału. To była pierwsza impreza, na której chłopcy chcieli ze mną tańczyć.

- 287 -

- Tak, jasne! - powiedziała, nie odwracając się, Sally.

- Tak było. Naprawdę, Sally - tłumaczyła Cassie z pasją. - Kiedyś, w Kalifornii, w ogóle nie miałam chłopaka. Byłam zbyt nieśmiała. Nawet nie wiem, dlaczego na Jesiennym Bału chcieli ze mną tańczyć. Sally... - Spojrzała bezradnie na sztywne ramiona rudowłosej dziewczyny.

Sally obróciła się powoli.

- I pewnie nigdy nawet nie przeglądaś się w lustrze - powiedziała, ale w jej głosie nie było już poprzedniej wrogości.

Cassie odpuściła mruganiem napływające jej łzy. - Przeglądałam się, ale nic specjalnego w nim nie widzę - powiedziała. - I nie chciałam ci odbierać Jeffreya. Po prostu pochlebiali mi, że zaprosił mnie do tańca. To był taki piękny wieczór i wszystko wydawało się zaczarowane, a potem... - Odwróciła wzrok od Sally i spojrzała na Logana. Znowu zamrugła. - Nawet nie wiesz, jak się poczułam, kiedy się dowiedziałam, że on nie żyje. Zrobiłabym wszystko, żeby znaleźć tego, kto to zrobił.

Logan postąpił o krok w jej stronę, ale powstrzymał go głos Portii, ostry jak ukąszenie osy.

- Ona to robi! Używa w tej chwili swojej Mocy. Na was! Loganie, nie bądź głupi.

Cassie popatrzyła na nią.

- Portia, na litość boską...

- Portia ma rację - przerwał brutalnie Jordan. - Jeśli będziemy jej słuchać, wytnie nam jakiś numer. Od początku kłamała. - Wyciągnął z ognia metalowy pręt.

- Co to jest? - spytała Cassie.

- Służy do piętnowania bydła.

- 288 -

Cassie zastanowiła się chwilę i próbowała nie tracić resztek panowania nad sobą. Jordan stanął przed nią, trzymając długi pręt, na końcu rozżarzony do czerwoności. Cassie to nie zdziwiło. Zdziwiły ją jego następujące słowa.

- Gdzie są Arkana Mistrza? - zapytał.

Oszlupiała.

- Co takiego?!

- Pan Brunswick nam powiedział - wtrąciła Portia głosem piskliwym i twardym. - Powiedział, że to one są źródłem waszej Mocy i że jeśli zostaną zniszczone, stracicie całą tę Moc. Chce sam je zniszczyć i powstrzymać was raz na zawsze.

Cassie miała ochotę się roześmiać, ale wiedziała, że w ten sposób sprowadziłaby na siebie jeszcze większe kłopoty. A więc rzeczywiście ich do tego namówił. I wiedział, że znaleźli Arkana Mistrza. Spodziewał się, że Cassie wyjawí wszystko Jordanowi, żeby się ratować. A może kręci się gdzieś w pobliżu, mając nadzieję, że uwieczona dziewczyna wezwie go na pomoc.

Nie zrobię tego, pomyślała. Nieważne, jak źle będzie, tego nie zrobię. Nie chcę, żeby to on mnie uratował.

Rozejrzała się po polanie i uważnie przyglądała cieniem, które kryły się poza kręgiem ogniska.

- Tak, pan Brunswick chce dostać Arkana Mistrza - oznajmiła im wyraźnie. - Ale nie po to, żeby je zniszczyć. On chce je wykorzystać, żeby zniszczyć was. I nas przy okazji też, jeśli nie zdola nas zmusić do przejścia na swoją stronę.

Jordan wcale się nie zdziwił.

- Opowiesz nam to za chwilę - powiedział. - Spodziewałem się, że na początku będziesz kłamać.

18 - Tajemny Krąg 2

- 289 -

Całe ciało Cassie spięło się, kiedy przysunął się do niej z rozpalonym prętem. Jestem dzielna, pomyślała, usiłując opanować dzikie bicie serca. Jestem tak silna, jak trzeba. Ale kiedy poczuła zapach rozpalonego metalu, ogarnęło ją szalone, mroczne przerażenie.

– Stać! Ani kroku! Jurgen i Lajdan, czy jak się tam nazywacie! – To był głos Deborah, gniewny. Dziewczyna stała między drzewami, jakby się tam zmienacka pojawiła w tej właśnie chwili. Przy tych potarganych ciemnych włosach, zlewających się z czarnymi cieniami i przy swojej pełnej wdzięku, zwinniej sylwetce, wydawała się jakąś leśną boginią, która zjawiała się, żeby dokonać zemsty.

Jordan upuścił pręt do znakowania bydła i wyciągnął pistolet, mierząc z niego prosto w Deborah.

Z drugiego krańca polany odezwał się nowy, cichy głos.

– Jeśli odsuniesz się od Cassie i opuścisz broń – mówił Adam cichym, stanowczym tonem – nie będziemy musieli cię skrzywdzić. – Pojawił się również cicho i wyglądał równie groźnie jak Deborah. Cassie przypomniał się kostium Adama z imprezy na Halloween, jelenie rogi i jesienne liście. W tej chwili nie zdziwiłaby się, gdyby obok niego stanął prawdziwy Herk.

Dostrzegła kolejny lekki ruch. To była Diana.

Zupełnie jakby nagle na tę polanę zstąpiło światło księżycowe. Jakaś niezmiernie jasna otaczała dziewczynę. Jasne włosy Diany opadały kaskadami na jej ramiona niczym świetlisty płaszcz. Wysoka i smukła, miała postawę tak władczą, że mogłaby być boginią Dianą, z księżycem i gwiazdami na wyciągnięciu palców. Popatrzyła w milczenia na obcych oczyma zielonymi jak klejnoty, a potem się odezwała:

– Odsunście się od mojej przyjaciółki.

Przez moment Cassie wydawało się, że napastnicy zrobią to tylko ze względu na siłę jej głosu. Pistolet w dłoni Jordana zadrżał. Ale potem znów się uniosł, kierując w stronę Adama, a Logan porwał z ogniska płonące polano. Podsunął je pod twarz Cassie tak, jak Jordan wcześniej trzymał pręt do znakowania bydła.

– Cofnijcie się, bo zrobię jej krzywdę – zagroził.

Adam wypuścił powietrze z płuc.

– Ostrzegalem was – powiedział cicho.

Cassie spojrzała w szmaragdowe oczy Diany. Potem zerknęła na płonące polano Logana i znów spojrzała na Dianę. Wiedziała, że Diana pamięta ceremonię ze świecami.

Ogień. Tak blisko, że czuła na policzkach jego ciepło. Płomienie zmieniły kształt co chwila, ich światło było w górę, nieskończenie wysoko. W ogniu była Moc, jak przekonała się Cassie, kiedy Faye wymachiwała jej przed twarzą płonąca kartka w dawnym szkolnym skrzydle nauk ścisłych. Moc, która aż się prosiła, żeby ją przejść...

I zrobiła to.

Polano buchnęło płomieniem, jakby ktoś podlał je benzyną, a Cassie wykręciła głowę i zamknęła oczy od nagłego blasku. Logan wrzasnął i odrzucił do siebie kawałek drewna. Jordan obejrzał się na krótką chwilę...

Tylko tyle było im potrzeba. Jordan padł na ziemię, bo znikąd pojawili się bracia Hendersonowie i rzucili na niego jak dwa bliźniacze złote płomienie. Pistolet wystrzelił gdzieś w niebo, a potem obaj chłopcy przycisnęli ramiona Jordana do ziemi. Cassie dostrzegła Nicka, który wychynął z cienia i od tyłu złapał Logana.

Chłopak się wyrwał, ale Adam dołączył o Nicka i walka zakończyła się w parę sekund.

Zanim Cassie zdążyła obrócić głowę w drugą stronę, obcy dziewczynami też się już zajęto. Sally leżała na brzuchu, a Deborah przysiadła jej na plecach. Melanie stała nad nimi. Portia przywarła do drzewa plecami i się nie ruszała. Dwa kroki od niej Radża szczyrzył zęby, unosząc wargi, cały zjeżony. Laurel stała tuż za nim. Wydawała się wysoka i groźna.

– Te drzewa – powiedziała do Portii – już dość dużo zniosły z waszej strony. Jeśli będziesz próbowała uciekać, gwarantuję ci, że się wśród nich zgubisz. Nie wspominając już o tym, co może zrobić ten pies. Na twoim miejscu, nie próbowałabym poruszyć ani jednym mięśniem.

Portia ani drgnęła.

Diana podeszła i przecięła więzy Cassie sztyltemem o białej rękojeści. Trochę to trwało.

– Dobra robota – odezwała się gdzieś z hoku Susan.

– Nic ci nie jest? – wypytywała Diana. Nadal otaczała ją tą przerażającą, niezmierną aurą. Cassie zaprzeczyła ruchem głowy.

– Byliśmy już w drodze, kiedy weszłaś Adama – opowiadała Diana. – Laurel widziała, jak ich samochód pędził Crowhaven Road, i Adam miał wrażenie, że dzieje się coś niedobrego. Przywiódł nas śladem ich samochodu, ale to Radża wytrącił was w lesie.

Cassie tylko pokiwiała głową z wdzięcznością. Nie była w stanie nic powiedzieć.

– Skoro Cassie nic się nie stało, nie zrobimy waszej czwórce nic złego – obiecała Diana. – Ale zabierzemy to – uniosła z ziemi pistolet Jordana i trzymała

go takim gestem, jakby to był jadowity wąż – i zostawimy was tutaj. Wasz samochód ma przebite opony. Do domu możecie wrócić na piechotę.

Czwórka napastników nic nie powiedziała. Sally nadal leżała na ziemi i dyszała ciężko. A Logan, którego Nick trzymał chwytem za szyję, tylko drżał. Portia przywieriała nieruchomo do drzewa. Jednak to Jordan zwrócił na siebie uwagę Cassie. Patrzył na Dianę oczyma pełnymi czystej nienawiści, jak przyparto do muru dziki pies.

To się nigdy nie skończy, pomyślała Cassie. Po tym wszystkim nienawidzą nas jeszcze bardziej. Będą nam próbowali zrobić coś innego. A my odpowiemy tym samym i to się nigdy nie skończy.

Kierując się impulsem podeszła do miejsca, gdzie Jordan leżał bezwładnie na leśnej ściółce i wyciągnęła do niego rękę.

– Nie musimy być wrogami – powiedziała. – Nie moglibyśmy skończyć z tym?

Jordan na tę rękę splunął.

Cassie zamarła, zbyt zaskoczona, żeby odczuć przykrość. Nikt nigdy jeszcze na nią nie napluł. Spojrzała w szoku na swoją wyciągniętą dłoń, a potem wytarła ją o dżinsy.

O tym, co się stało potem, dowiedziała się od Laurel, bo sama akurat w tym momencie wbiła wzrok w ziemię. Nick momentalnie skoczył w stronę Jordana, ale przeszkodziło mu to, że musiał się najpierw pozbyć Logana, a poza tym Adam był zwyczajnie szybszy. Poruszał się tak prędko, że oko nie mogło za nim nadążyć. Złapał Jordana za pęty kurtki, a potem poderwał go na nogi i znów powalił na ziemię jednym szybkim jak błyskawica ciosem w twarz. Za plecami Cassie

ognisko rozgorzało płomieniami, które wzbily się na trzy metry w górę. Jordan wyładował na plecach, obie-
ma dłońmi chwytając się za nos.

– Wstawaj! – wrknął Adam. Płomienie huczały i trzaskały, posyłając w mroczny las snopy iskier.

Teraz obok Adama stał Nick. Jego twarz była pozbawiona emocji, całkowicie spokojna, zupełnie jak u dawnego Nicka.

– Nie, stary, myślę, że ma już dość – powiedział powoli, biorąc Adama za ramię.

Jordan odjął jedną dłoń od nosa i Cassie zobaczyła krew.

– To mała kłamczucha. Jeszcze się przekonacie – miauknął zmienionym głosem, patrząc to na Cassie, to na Adama.

Przez moment Cassie myślała, że Adam znowu go uderzy. Ale chłopak odwrócił się, jakby zapomniał, że Jordan w ogóle istnieje. Zdawało się, że obecności Nicka też nie dostrzega. Ujął Cassie za rękę, tę, na którą splunął Jordan, a potem odwrócił tę dłoń i pocałował.

Cassie pomyślała, że dobrze byłoby, gdyby ktoś coś zrobił. I to szybko.

– Powinniśmy ich związać – powiedziała Melanie spokojnym, pełnym namysłu głosem, który rozległ się na całej polanie. – A przynajmniej troje z nich – czwarta osoba może rozwiązać resztę, kiedy my się oddalimy.

– Niezbyt mocno – zgodziła się Diana. Kiedy wzięto Jordana, Logana i Sally, wbiła sztylet z białą ręką w ziemię obok Portii. – Możesz przeciąć im więzy, kiedy odejdziemy. I nie próbujcie za nami iść – zapowiedziała. Portia nie wyglądała, jakby miała

ochotę ich śledzić. Oczy miała tak szeroko otwarte, że dokoła tęczówki widać było białko.

Diana poszła za jej wzrokiem i popatrzyła na ogień, który nadal huczał, bardziej przypominając płonący szyb naftowy niż lesne ognisko.

– Możesz je nieco stłumić? – poprosiła Cassie. – Chyba już wystarczająco się przestraszyli.

Cassie, która wcale nie podtrzymywała ognia, mruknęła coś niewyraźnie i podeszła do Sally, żeby sprawdzić jej więzy.

Sally spojrzała na nią kątem oka i mruknęła, prawie nie poruszając wargami:

– Myliłam się co do ciebie.

Cassie spojrzała na nią ze zdumieniem, ale nie powiedziała nic i tylko pochyliła się tak, jakby chciała sprawdzić, czy Sally ma dość mocno skrepowane nadgarstki.

– Być może co do Brunswicka masz rację – szepnęła Sally, nadal tym samym ledwo dosłyszalnym tonem. – Jeśli tak jest, to bardzo ci współczuję. On coś zaplanował na dziesiątego. Wtedy jest pełnia księżyca, czy coś. I wtedy on wykona swój ruch. Chciał dostać te Arkana przedem.

– Dzięki – szepnęła Cassie i uściśliła dłoń Sally za jej plecami. A potem wyprostowała się, słysząc głos Diany:

– Chodźmy.

Kiedy odchodzili, Cassie lekko szturchnęła Adama. Tak żeby nie zwrócić niczyjej uwagi.

– To ty podtrzymujesz ogień? – szepnęła.

– Co? Aha. – Płomienie opadły, nagle zamieniając się w zwyczajne, niewielkie ognisko. – To chyba rzeczywicie ja – zdziwił się.

Szli przez las, Laurel i Deborah prowadziły ich pewnie między ciemnymi drzewami. Radzia dreptał z boku. Cassie przez całą drogę do samochodów myślała o Nicku.

Wiadła do samochodu razem z nim, kiedy już doszli do drogi. Jechał powoli, jedno ramię trzymając na oparciu fotela. Pozostałe samochody jechały przed nimi, a ich reflektory oświetlały odludną drogę, kiedy wracali do New Salem.

Cassie próbowała znaleźć właściwe słowa. Nigdy przedtem nie musiała jeszcze czegoś podobnego zrobić i bała się, że zrobi to źle. Bała się zranić Nicka.

Ale nie mogła tego uniknąć. Od chwili, kiedy Adam pocałował ją w rękę, wiedziała. Mogło jej się to podobać albo nie, ale nic na to nie mogła poradzić.

– Nick... – zaczęła i urwała.

– Nie musisz nic mówić – odparł tym swoim dawnym, obojętnym głosem człowieka, którego nie nie dotyka. Cassie słyszała jednak, że w głębi ducha cierpi. A potem spojrzał na nią i odezwał się nieco łagodniej: – Wiedziałem, co robię, kiedy się w to pakowałem – zapewnił. – Ty też nigdy niczego nie udawałaś. To nie twoja wina.

Powiedział, że nie musi niczego tłumaczyć, ale jednak musiała. Nie mogła tego tak zostawić.

– To nie przez Adama – stwierdziła cicho. – Znaczący, to nie dla niego, bo wiem, że nie ma żadnej nadziei. Przyjłam to już do wiadomości i jestem szczęśliwa, że on jest z Dianą. Ale po prostu...

Urwała i bezradnie pokręciła głową.

– To zaabrami jakoś totalnie głupio, ale nie mogę być z nikim innym. Nigdy. Będę musiała po prostu...

Próbowała wymyślić jakiś sposób ujęcia tego w słowa, ale przychodziło jej na myśl tylko wyrażenie z książki jej babki na temat wiktoriańskiej etykiety, którą czytała pewnego deszczowego popołudnia. – Będę musiała żyć w pogodnym staropanieństwie – mruknęła.

Nick odrzucił głowę w tył i parsknął śmiechem. Naprawdę się roześmiał. Cassie zerknęła na niego, zawstydzona, ale zadowolona, że przynajmniej go rozśmieszyła. Jego głos też zabrzmiał już bardziej normalnie, kiedy zerknął na nią z ukosa. Zabrał rękę z za jej pleców:

– Naprawdę tak myślisz? – zagadnął.

– No a co innego mi zostało?

Nie odpowiedział, tylko pokręcił głową. Znow się roześmiał.

– Cassie, bardzo się cieszę, że cię poznałem – powiedział. – Jesteś... niezwykła. Czasami mam wrażenie, że twoje miejsce jest w średniowieczu, a nie w naszych czasach. Twoje, Diany i jego, was wszystkich. Ale tak czy inaczej się cieszę.

Cassie jeszcze bardziej się zawstydziła i nie do końca go rozumiała.

– Ja też się cieszę, że ciebie poznałam – powiedziała. – Byłeś dla mnie taki miły... Jesteś naprawdę porządnym facetem.

Znow się zaśmiał.

– Większość ludzi by się nie zgodziła – oświadczył. – Ale nie jestem taki znowy zły. Będę musiał dbać, żeby się nie stać zły, inaczej znowy będziesz na mnie patrzyła tymi swoimi wielkimi oczami. – Zaczął wyjmować papierosa z paczki, którą miał w kieszeni, a potem zerknął nad nią spod oka i schował go z powrotem.

Cassie się uśmiechnęła. Żałowała, że nie może wziąć go za rękę, ale to byłoby nie w porządku. Teraz będzie musiała radzić sobie jakos sama.

Oparła się o siedzenie i patrzyła przez okno na mijane domy o rozświetlonych oknach.

ROZDZIAŁ 13

To Miesiąc Długich Nocy – oświadczyła Diana. – A dziesiątego nie tylko jest pełnia. Jest też zaćmienie.

– Całkowite zaćmienie księżycy – dodała Melanie.

– Czy to źle nam wróży? – spytała Cassie.

Diana się zastanowiła.

– No cóż, moce wszystkich czarownic są silniejsze przy świetle księżycy. Niektóre zaklęcia lepiej rzucić na nowiu albo przy pełni, lub w innej fazie. Jestem pewna, że jeśli John Black zaplanował coś na tę noc, to dlatego, że zaćmienie księżycy najlepiej mu się przysłuży. A nam najtrudniej będzie z nim wtedy walczyć.

– Tyle że – odezwał się Adam – wiemy, że Black zamierza wykonać swój ruch – A on nie wie, że się tego dowiedzieliśmy. Nie ma pojęcia, że jesteśmy przygotowani.

Członkowie Kręga pokiwali głowami z namysłem. Był dzień po Święcie Dziękczynienia i wszyscy, którzy przyszli Cassie na pomoc poprzedniego wieczoru, siedzieli teraz u Adama w domu. Cassie opowiedziała im, co się wydarzyło na polanie przed ich pojawieniem się. O wszystkim poza tym, że Jordan pytał ją o Ar-

kana Mistrza. O tym szepnęła tylko Adamowi i Dianie przed domem Diany poprzedniego wieczoru. Teraz popatrzyła na tych dwoje z pytaniem w oczach.

Adam i Diana spojrzeli oboje na resztę grupy.

– Dobra – zdecydował Adam. – Chyba lepiej im powiemy. Skoro on wie, to nie ma po co trzymać tego w tajemnicy, prawda?

– Faye musiała się w jakiś sposób dowiedzieć – powiedziała Diana z miną bardziej nieszczyśliwą niż kiedykolwiek. – Poszła do Blacka...

– Nie – przerwała Cassie.

Diana spojrzała na nią, zaskoczona.

– Ale...

– Nie Faye – stwierdziła Cassie ponuro i z całkowitym przekonaniem. – Sean.

Adam zaklął cicho. Diana popatrzyła na niego, a potem na Cassie. A potem szepnęła:

– O mój Boże!

– Ale co z Seanem? Co on takiego zrobił? – spytała ostro Deborah. Nick miał czujne spojrzenie i nie odrywał go od Cassie.

Cassie zerknęła na Dianę. Ta pokiwiała głową i podparła się ręką pod brodę.

– Powiedział Johnowi Blackowi, że Adam, Diana i ja znaleźliśmy Arkana Mistrza – wyjaśniła Cassie, patrząc Deborah w oczy.

– Znaleźliście... Chcesz powiedzieć, że wy... Znaczący, naprawdę...? – jękała się Deborah. Pozostali ostupieli ze zdumienia.

– Cassie pokazała nam drogę – powiedział Adam. – Były ukryte w kominku pod numerem 12. Kiedy wracaliśmy, natknęliśmy się na Seana. Powiedział, że zobaczył w domu światło. Sądzisz, że...? – Popatrzył na Cassie.

Oddechnęła głęboko.

– Uważam, że John Black przez cały czas na niego wpływał. To Sean ukradł hematyt z mojego pokoju. Doszłam do tego wczoraj wieczorem, kiedy usiłowałam zasnąć. Zaczęłam myśleć o tym, kto mógł powiedzieć Blackowi o Arkanach. I ciągle mi się przypominała ta pierwsza chwila, kiedy spotkałam Seana. Miał na sobie pasek z kłami z jego imieniem ułożonym z błyszczących kamieni. Nosi go cały czas, ale teraz jest zimno i każdy wkłada jakiś sweter. Założę się, że ma ten pas pod spodem. I założę się, że miał go też wczoraj, kiedy nosił górę od piżamy. A te błyszczące kamienie to...

– Hematyty – odpowiedziało jej dziesięć ponurych głosów. Wszyscy spojrzeli na Melanie.

– Hematyty albo magnetyty – potwierdziła Melanie. – Tak, masz rację, ja też widziałam ten pasek. Ale głupota z naszej strony. Kompletnie o tym zapominałam.

Nick pochylił się do przodu.

– Uważasz, że to nie Faye powiedziała Johnowi Blackowi, że nosimy ametysty dla ochrony? Myślisz, że zrobił to Sean?

Cassie spojrzała na twardą linię jego zacieniętych ust.

– To nie jego wina, Nick. Jeśli John Black wdarł się do jego umysłu... No cóż, wiem, jak sama się czułam, kiedy próbował się wedrzeć do mojego. Sean nie zdołałby stawić mu oporu. Przecież widzieliśmy, jak się zachował na apelu, kiedy zgłosił się na dyżurnego. Musiałam na niego huknąć, żeby przerwać ten trans.

– Sean... Boże! – wymamrotowała Laurel, siadając. – To po prostu straszne.

– Obawiam się, że jest jeszcze gorzej – odezwała się Cassie. Opuściła wzrok na stolik do kawy pani Franklin, jedną dłoń oparła płasko o blat. Nie wiedziała, jak ma to powiedzieć. – Słuchajcie, mnie się wydaje... Mnie się wydaje, że John Black wykorzystał Seana, żeby popełnić te morderstwa.

Zapadła ogłuszająca cisza. Nawet Diana była chyba zbyt przerażona, żeby poprzeczyć słowa Cassie. Ale Adam spojrział jej w oczy, a potem, powoli, przymykając powieki, pokiwiał głową...

– Tak – powiedział.

– Nie... – zaprotestowała Susan.

– Moim zdaniem... – Cassie z trudem przełknęła ślinę – Sean mógł napisać jakąś karteczkę do Kori poprzedniego wieczoru, prosząc, żeby spotkała się z nim przed szkołą. Nie podejrzewałaby go o nic, uznałaby po prostu, że to jakaś sprawa związana z Kręgiem. Mógł się zakraść od tyłu i...

– Zabił go! – wrzasnął Doug. Zerwał się z miejsca. Nick i Deborah go przytrzymali, ale Chris też już zaczął krzyczeć i ruszył w stronę drzwi. Adam i Melanie się powalili go na ziemię.

– To nie był on, to nie był Sean! – krzyknęła Cassie. – Posłuchajcie mnie! To był John Black, to on zabił Kori. Jeśli się nie mylę, Sean pewnie tego nawet nie pamięta! On był po prostu... pojemnikiem, z którego skorzystała mroczna energia.

– Boże! – jęknęła Laurel. – Boże... Pamiętacie ceremonię w garażu Diany? Wtedy, kiedy uwolniła się kolejna część mrocznej energii? Sean i Faye zaczęły

się popychać, świeca zgasa i mroczna energia ucieka. Sean powiedział, że to Faye zaczęła, i wszyscy mu uwierzyliśmy. Ale Faye twierdziła, że to Sean usiłował przerwać Krag. A jeśli miała rację?

– Zależę się, że miała – stwierdziła Cassie. – John Black był tam z nami cały czas. Cokolwiek widział Sean, widział to i on. A kiedy z czaszki uwolniło się już dość dużo mrocznej energii, wtedy Black zmasił Seana do kolejnego morderstwa.

– Para Fogle'a łatwo było zwabić do Devil's Cove – dodała Susan. – Sean mógł udawać, że chce mu powiedzieć coś niedobrego o kimś z Klubu. Sama to robiłam wiele razy. Opowiadałam dyrektorowi różne rzeczy o... – Zerknęła na Dianę. – No cóż, to było dawniej. W każdym razie, Sean mógł poprosić Fogle'a, żeby spotkał się z nim gdzieś pod skałami, a wtedy... Trach! – Wykonała dłonią gest, jakby coś popychała. – Do widzenia, panie dyrektorze.

– Możemy cię już puścić? – Adam popatrzył na Chrisa.

– Będziesz zachowywał się spokojnie? – spytała Deborah drugiego z bliźniaków.

Bracia wymamrotali coś niezrozumiałego, a kiedy ich puszczono, usiedli. Twarze mieli zamurzone, a ich błękitnozielone oczy jaśniały jak gazowe palniki.

– Dostaniemy tego bydłaka – powiedział cicho Doug. – Nawet jeśli to będzie ostatnie, co zrobimy – doślad równie cicho Chris. Cassie miała tylko nadzieję, że mówią o Johnie Blacku.

– A co z Jeffreyem? – spytała Diana.

Cassie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, jak Sean zdołałby zaciągnąć go do kotłowni...

— 302 —

– Może powiedział, że czekasz tam na dole – podsunęła Laurel.

– ...ale jeśli to zrobił, to mógł po prostu zacząć się za jego plecami i udusić go linką. Nie... Sean jest za niski. Och, nie wiem, jak miałby to zrobić...

– Kazał Lovejoyowi usiąść albo się pochylić – powiedział Nick głosem cichym, ale wyraźnym. – Ja bym tak postąpił, w każdym razie, gdybym planował udusić kogoś, kto jest ode mnie wyższy. Poza tym, stachajcie, jeśli Sean miał wtedy jakąś tę mroczną energię w sobie, to miał też niezwykłą siłę. Musiał ją mieć, żeby zarzucił Lovejoyowi pętlę na szyję, a potem wciągnął go i powiesił na murze.

Cassie zrobiło się słabo.

– To prawda... Ani Seana, ani Lovejoja nie widziałam wśród tańczących przez jakiś czas przed tym morderstwem. A potem Sean pojawił się zmienacka na parkiecie i ruszył prosto w moją stronę. Więc uciekłam do kotłowni... I znalazłam Jeffreya.

– Uważam, że musimy porozmawiać z Seanem – stwierdziła Diana.

– Nie! – Adam sprzeciwił się temu z zadziwiającą gwałtownością. – Właśnie tego nam nie wolno zrobić. John Black orientuje się, że wiemy o wszystkim. Ale jeśli nie powiemy nic, jeśli będziemy przed Seanem nadal udawać, to będziemy mogli przekazywać mu mylące informacje. Mówić mu to, co nie jest prawdą, a on to będzie przekazywał Blackowi.

– Na przykład, że nie wiemy, kiedy John Black nas zaatakuje. – Deborah zrozumiała w czym rzecz, a jej ciemne oczy zaczęły rzucać iskry. – Powiedzieć mu, że potwornie się go boimy. Że nie wiemy, jak używać Arkanów Mistrza... Że jesteśmy niegotowi...

— 303 —

– Albo że wszyscy się między sobą kłócimy – podsunęła Laurel. – Że w niczym się nie możemy zgodzić. Że tkwimy w miejscu.

– Racja! A wyznaczonej nocy będziemy gotowi na starcie z nim. Kiedy przypada to zaćmienie, Melanie? – spytał Adam.

– Około szóstej czterdziesti wieczorem. Chyba wtedy powinniśmy uważać. Księżyc znajdzie się w cieniu.

– Księżyc w cieniu – powtórzyła cicho Cassie. – Zdaje się, że rozumiem, dlaczego wybrał taki moment.

Sam jest przeciw cieniem, pomyślała.

– Do tego czasu musimy udawać, że jesteśmy kompletnie niezorganizowani, przerażeni i skłóceni – stwierdziła Melanie.

– To nie powinno być specjalnie trudne – powiedziała Susan, unosząc brew.

– Moim zdaniem z kimś jednak powinniśmy pomówić – odezwała się Cassie – bez ujawniania naszych sekretów. Uważam, że ktoś z nas powinien porozmawiać z Faye.

– A ja uważam, że właśnie została wybrana – oznajmił Nick. – Nikt inny lepiej sobie z tym nie poradzi. – Mrugnął do Cassie, ale to było dość ponure mrugnęcie.

– Jesteś nam potrzebna.

– No jasne – odparła leniwie Faye, przeglądając się w lustrze.

Próbowała różnych uczesań; kok francuski, kok na czubku głowy, kok nisko na karku. Cassie nie była u niej w sypialni od czasu tamtego wieczoru, kie-

— 304 —

dy Faye otoczyła kręgiem czerwonych kamieni kryształową czaszkę i wypuściła mroczną energię, która potem zabiła Jeffreya. Pokój był tak samo wspaniały i luksusowy jak zawsze – tapeta w bogaty wzór dzikich orchidei, łóżko z piętrzącymi się na nim poduszkami, sprzęt grający, wyposażony w najlepsze bajery. Wampirze kociaki Faye znów ocierały się giętko o nogi Cassie.

Ale panowała tu inna niż poprzednio atmosfera. Z toaletki znikły czerwone świece, na ich miejscu piętrzył się stos papierów. Na łóżku obok bezprzewodowego telefonu leżał pager. Przed lustrem leżał otwarty kalendarz, a ubrania beztrzesko porozrzucane przez Faye to były ciuzki seksownej sekretarki, za którą się ostatnio przebieiała.

W pokoju panowało jakieś napięcie. Jakby mieszkali tu ktoś o bardzo poukładanym życiu. Już raczej Portia niż Faye.

– Pewnie wiesz, że Portia Bainbridge i Sally kazały mi dwa dni temu porwać – powiedziała Cassie.

Faye rzuciła jej w lustro rozbawione spojrzenie.

– A ty na pewno wiesz, że wystarczyłoby, żebyś otworzyła śliczną buzię i głośno zawołała, a tatuś zaraz by ci przybiegł na pomoc.

Cassie próbowała nie okazywać, jak niedobrze robiło jej się na samą myśl o tym.

– Nie chcę jego pomocy – stwierdziła, z trudem przeżykając ślinę.

Faye wzruszyła ramionami.

– Może kiedyś.

– Nie, Faye. Żadne kiedyś. Nie chcę go już nigdy więcej widzieć. Ale jeśli wiesz coś o tym moim porwaniu, to musisz sobie zdawać sprawę, na czym naprawdę

20 - Tajemny Krąg 2 — 305 —

im zależało. Na Arkanach Mistrza. – Cassie spojrziała na dziwnie odwrócone oblicze Faye w lustrze, a potem popatrzyła w oczy prawdziwej Faye. – Należą do ciebie – powiedziała wyraźnie. – Jesteś przywódczynią kowenu. Ale kowen zamierza walczyć... z Johnem Blackiem.

– Nie jesteś w stanie tego nawet wykrztusić? To nie boli. Tatuś, ojciec, starszulek. Ale jakkolwiek byś chciała go nazywać, jemu to nie będzie przeszkadzało...

– Faye, posłuchaj mnie wreszcie! – Cassie niemal krzyknęła. – Siedzisz tu tak biernie...

– Proszę, jakie mądre słowa znamy!

– Tymczasem dzieje się coś ważnego! Coś wielkiego. On chce zabijać ludzi. Tylko tym jest, Faye, nienawicią i żądzą moru. Ja to wiem, wyczuwam to w nim. A teraz pociąga cię ze sobą.

Złote oczy Faye się zmrużyły. Minę miała już mniej rozbawioną.

– Znam cię już od jakiegoś czasu i mnóstwo było chwil, kiedy cię nienawidziłam – ciągnęła Cassie. – Ale nigdy nie sądziłam, że zobaczę, jak się stajesz czyjąś stenotypistką. Kiedyś miałaś w różnych sprawach własne zdanie i nikomu się nie podlizywałaś. Pamiętasz, jak zapytałaś mnie, czy chcę, żeby na moim nagrobku wykuto napis: „Tu leży Cassie. Postępowała... ładnie”? No cóż, a ty chcesz, żeby na twoim stało: „Tu leży Faye. Była sprawną sekretarką”?

Jedna z dłoni Faye – w ostatnich dniach jej pamiątek miały raczej kolor zgaszonego różu, a nie szkarlatu – zwinęła się w pięć na toalecie. Dziewczyna mocno zacisnęła zęby i wpatrywała się twardym spojrzeniem w odbicie swoich złotych oczu w lustrze.

Puls Cassie przyspieszył.

– Kiedy na ciebie patrzyłam, widziałam kiedyś łwicę. A teraz... – spojrziała pod własne stopy – kociaka. Kociaka jakiegoś wpływowego faceta.

Czekała w napięciu. Może... Może jednak... Może ta więź stworzona w czasie ceremonii ze świecami okaże się dość silna. Może Faye ma dość dumy, dość niezależności...

Faye spojrziała jej w oczy w lustrze. A potem pokręciła głową. Jej twarz stała się maską. Usta rysowały się wąską linią.

– Drogę do drzwi chyba znasz – stwierdziła.

Kocięta kręczyły się koło stóp Cassie, kiedy zawracała do drzwi. Poczuła ostre jak igły ukłucia ich pazurków.

Nie! – rzuciła do nich w myślach, a kocięta nagłe zamarzy, kładąc uszy po sobie. Podniosła je z ziemi, po jednym w każdej dłoni, i rzuciła na łóżko Faye.

A potem wyszła.

– Musimy dać jej czas do dziewiątego – powiedziała Diana. – Może zmieni zdanie.

– Może później – powtórzyła Cassie własne słowa, ale w jej głosie nie było większej nadziei.

– Zaczekamy też do dziewiątego z Seanem – oznajmił Adam.

Następne siedem szkolnych dni minęło im bez większych kłopotów. Pomijając te, które mieli między sobą. Członkowie Klubu z Liceum New Salem odzywali się do siebie publicznie tylko po to, żeby się kłócić. Urodziny Laurel pierwszego grudnia i Seana trzeciego grudnia nie doczekały się obchodów, bo według

zrozpaczonej Diany, ludzie nie mogli się dogadać na tyle, żeby zaplanować imprezę. Cassie widziała spojrzenia i słyszała szept. I wiedziała, że plan się powiódł. Skończyła się z całych sił na udawaniu dawnej Cassie – nieśmiałej, małomównej, byle czym przestraszonej czy zawstydzonej. Rola była niewygodna, niczym jakaś stara skóra, z której Cassie wyrosła i teraz swędziało ją, żeby ją z siebie zrzucić. Na razie jednak udało im się ogłupić Seana. Oszukali nawet i Faye.

– Słyszałam, że ty i Nick zerwaliście – zagadnęła na korytarzu któregoś dnia. Złote oczy o ciężkich powiekach były ciepłe i zadowolone.

Cassie zarumieniła się i odwróciła wzrok.

– A Klub beze mnie to żaden klub, jak ostatnimi czasami widzę – ciągnęła Faye. Prawie przy tym mruzczyła z zadowolenia.

Cassie zakręciła się niepewnie.

– Może za jakiś czas do was dołączę... Może na następną ceremonię pełni księżyc. O ile w ogóle ją organizujecie.

Cassie wzruszyła ramionami.

Faye zrobiła triumfującą minę.

– Moglibyśmy się trochę niegrzecznie pobawić – powiedziała. – Zastanówcie się nad tym.

Kiedy Faye odeszła, Cassie zobaczyła Sally Waltman, stojącą na swoim posterunku dyżurnej. Zbliżyła się do niej, starając się jak najmniej rzucać w oczy.

– Szykujemy się na dziewiątego, tak jak nam mówiłaś – odezwała się cicho. – Ale czy możesz dla nas zrobić jeszcze jedno?

Sally miała niespokojną minę.

– On wszystkim każe wszystkich obserwować. Nikt nie jest bezpieczny...

– Wiem, ale kiedy przyjdzie dziewiąty, powiesz nam, jeśli znacznie się dzieć coś niezwykłego? Gdyby wyglądało na to, że on się na coś szykuje? Proszę cię. Wszystko, co ci o nim powiedziałam, to prawda.

– Dobrze – zgodziła się Sally i rozjeżdżała wkoło łękliwie. – Ale teraz już idź, dobrze? Spróbuję przekazać ci wiadomość, jeśli czegoś się dowiem.

Cassie skinęła głową i szybko odeszła.

Dziewiątego grudnia dzień wstał szary i wietrzny. Zwykle w takie dni Cassie miała ochotę skulić się przed kominkiem. Zamiast tego ubrała się ciepło – gruby sweter, rękawiczki, kurtka. Nie miała pojęcia, co ich jeszcze dzisiaj czeka, ale wołała być ubrana odpowiednio do pogody. Do plecaka oprócz szkolnych książek włożyła Księgę Cienia.

Wychodziła z lekcji francuskiego, kiedy zaczęła ją Sally.

– Chodź ze mną, proszę – powiedziała rześkim tonem dyżurnej i Cassie poszła za nią do pustego gabinetu pielęgniarki tuż obok. Sally natychmiast porzuciła oficjalny ton. – Jeśli mnie z tobą złapią, to po wszystkim – odezwała się szybko szorstkim szeptem, nie spuszczać wzroku z matowej szyby w drzwiach. – Ale posłuchaj, właśnie podsłuchałam rozmowę Brunswicka z twoją przyjaciółką Faye. Może ty będziesz rozumiała, o co chodziło, bo ja nie wiem. Rozmawiali o przygotowaniu wypadku na moście. Brzmiało to tak, jakby mieli tam zabrać pusty szkolny autobus i jakiś samochód, a może kilka samochodów. Powiedział: „Muszą płonąć tylko przez jakąś godzinę czy dwie, do tego czasu woda się już dość podniesie”. Czy to ci coś mówi?

- Wypadek, który odciąłby drogę z wyspy na ląd - powiedziała Cassie powoli.

- No właśnie, ale po co? - zapytała niecierpliwie Sally.

- Nie wiem. Dowiem się tego. Słuchaj, jeśli będę potrzebowała jeszcze się z tobą skontaktować, zajrzysz do stołówki w porze lunchu?

- Tak, ale tam nie możesz ze mną rozmawiać. Portia dziwnie mi się przypatruje od czasu tamtego wieczoru na polanie. Chyba ma jakieś podejrzenia. Jej bracia wyjechali, wściekli. A ona nie wierzy w ani jedno słowo z tego, co powiedzieliś o Brunswicku. Jeśli złapie mnie z tobą, już po mnie.

- Może być po tobie, jeśli ze mną nie porozmawiasz - stwierdziła Cassie. - No idź, znikaj. Odczekam chwilę i też wyjdę.

Cassie pobięła do dawnego skrzydła nauk ścisłych. Na piętrze czekała na nią reszta Klubu - pomijając Faye i Seana, których o spokoju nie powiadomiono. Planowali, że porozmawiają z Seanem zaraz po lunchu, nawet jeśli do tego czasu nie dowiedzą się niczego konkretnego o zamiarach Johna Blacka.

- Coś jednak wiemy - rzuciła Cassie bez tchu, siadając na skrzynce. - Słuchajcie. - Opowiedziała im, co usłyszała od Sally.

- To wiele wyjaśnia - rzekła Deborah, kiedy Cassie skończyła. - Właśnie widziałam jak on i Faye wychodzili ze szkoły, a sekretarka powiedziała, że nie będzie ich przez całe popołudnie. A więc zamierzają zniszczyć szkolny autobus. Super.

- Ale po co? - spytała Cassie. - Znaczący wygląda na to, że chcą zablokować most, ale w jakim celu?

— 310 —

Adam siedział obok Douga i przyciskał do ucha jedną ze słuchawek jego walkmana.

- Chodzi o to - powiedział - żeby nikt nie opuścił wyspy. Właśnie podano nowe wiadomości. Pamiętajcie o huraganie, o którym mówi się od paru dni? O tym, który miał uderzyć we Florydę, ale skręcił na północ, kiedy jeszcze był nad Atlantykiem?

- Cała grupa kręciła przecząco głowami. Większość ostatnio nie zwracała żadnej uwagi na wiadomości.

- Zdaje się, że obniżyli jego kategorię i mówili, że to tropikalna burza. - Tytko Melanie mniej więcej się orientowała.

- Tak. Uznali, że rozproszy się gdzieś nad oceanem. Słuchajcie, wiem coś niecoś o huraganach. Ten miał być niegroźny, bo uznali, że będzie się kierował na północ w stronę przylądka Hatteras. Tak się zwykle dzieje w huraganami, kiedy trafiają w zatokę niskiego ciśnienia w tamtej okolicy. Ale wszyscy wiemy, co się dzieje, jeśli tam nie trafia. - Rozejrział się po grupie ponuro i tym razem wszyscy poza Cassie skinęli głowami.

- Kiedy nie skręcają na przylądek Hatteras, idą prosto w tę stronę - wyjaśnił jej Adam. - Jak ten w 1938, i ten parę lat temu... I jeszcze ten w 1976.

Zapanowało całkowite milczenie. Cassie rozglądała się po twarzach widocznych w półmroku pomieszczenia.

- Boże - szepnęła. Czula, że kręci jej się w głowie.

- Tak - powiedział Adam. - Wiatr o sile dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę i ściany wody o wysokości dwunastu metrów. Nadal twierdzą, że on

— 311 —

skręci. Właśnie powiedzieli w radio, że na pewno nie dotrze do wybrzeży północnego Atlantyku. Ale - rozejrzal się znów wkoło powoli - czy ktoś chciałby się o to założyć?

Laurel się poderwała.

- Musimy powstrzymać Johna Blacka. Jeśli ten most zostanie zablokowany, wszyscy na wyspie znajdą się w niebezpieczeństwie.

- Za późno - stwierdziła Deborah. - Już pojechali wszystko przygotować. Zapomniałaś? Widziałam, jak ruszali spod szkoły dziesięć minut temu.

- Wszyscy są w niebezpieczeństwie. Wszyscy mogą zginąć - przeraziła się Melanie. - Tamten sztorm spezd paru lat ledwie zahaczył o New Salem, ale ten nas po prostu zetrze z powierzchni ziemi.

Cassie popatrzyła na Adama.

- Jak szybko się zbliża?

- Nie wiem. To może być osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, a może być ponad sto. Jeśli nie skręci na przylądek Hatteras, to zostanie wydane ostrzeżenie przed huraganem. Aale wtedy będzie już za późno, zwłaszcza, jeśli nie da się przejechać przez most. Huragan dotrze do nas za jakieś siedem, osiem godzin. Mniej więcej.

- Czyli w czasie zaćmienia? - spytała Cassie.

- Możliwe. A może nieco później.

- Ale zanim w nas uderzy zahaczy o Cape Cod i Boston - szepnęła Diana. - Pozabija tam ludzi. - Wyglądała na kompletnie ogłuszoną tą perspektywą.

- No to pozostaje zrobić jedną rzecz - oznajmiła Cassie. - Musimy to powstrzymać, zanim w ogóle tu dotrze. Sprawić, że się rozwieje albo zawróci nad ocean, czy coś. Albo trzeba zmusić Blacka, żeby to zrobił.

— 312 —

A przedtem musimy ostrzec ludzi. Upредить ich, żeby się przygotowali.

- Ewakuować - poprawił sucho Adam. - Co może nie być możliwe, nawet jeśli uda się zdobyć łódź. Posłuchajcie tego wiatru. - Przerwał i Cassie usłyszała nie tylko wiatr, ale i stukot o pozamykane okiennice. Deszcz.

- Jeśli nie będą mogli uciec, muszą się schować - powiedział Chris. - No to jak, ktoś ma ochotę na imprezę podczas burzy?

- To nie jest śmieszne - rzucił ostro Nick.

- No dobrze - wtrąciła Cassie. - W takim razie trzeba ostrzec ludzi. Żeby zrobili co się da. A my lepiej wracajmy na Crowhaven Road...

- Z Seanem - wtrącił szybko Adam. - Zabiorę go i wszyscy się spotkamy u mnie w domu. Do roboty, ludzie.

Wyszli, zostawiając niedojedzone lunchy - pomijając Susan, która szybko zgarnęła swój i pobięła za pozostałymi. Ruszyli w stronę głównego budynku szkoły.

ROZDZIAŁ 14

Więc musicie stąd wiać, już - nalegała Cassie, z trudem łapiąc oddech. Próbowała przekonać nie tylko Sally, ale wszystkich obecnych w stołówce. - Nieważna szkoła, nieważne nic. Uciekajcie. Wyjedźcie z wyspy, jeśli się uda, a jeśli nie będziecie mogli... No cóż,

— 313 —

robicie co się da, żeby się jakoś zabezpieczyć. – Urwała. – Słuchajcie, to prawda. Sally, powiedz im.

Rudowłosa dziewczyna patrzyła na Cassie czujnymi oczami, upozowana na krzesła tak, jakby chciała odsunąć się jak najdalej od wyrzutka. Przez kolejną długą chwilę patrzyła na Cassie, a potem krótko skinęła głową, jakby się na coś zgadzała. Zaczepnęła powietrza i wstała.

– Dobra, wszyscy słyszeliście – odezwała się ostrym wyraźnym głosem, który niósł się przez całą salę. – Czekajcie nas huragan. Przekażcie tę wiadomość innym i poproście, żeby zawiadomili, kogo się da. A teraz, ruszajcie się.

Wstał jakiś chłopak.

– Wczoraj wieczorem w telewizji mówili, że żaden sztorm nie idzie w naszą stronę. Skąd ona niby wie...

– Jest czarownica, tak?! – odwrzasnęła Sally wirującym głosem. – Chcesz mi wmówić, że czarownice nie znajdują się na takich rzeczach? Więcej wiedzy o naturze, niż ty się kiedykolwiek dowiesz! Ludzie, ruchy!

– Sally, czyś ty oszalała? – Cienki, rozgniewany głos rozległ się od strony drzwi na zapleczu. Stała tam Portia w otoczeniu grupki uczniów z plaketkami. Twarz miała białą z wściekłości. – Jesteś dyżurną...

– Już nie! Powiedziałam, ludzie, ruszajcie się!

– To jest całkowicie sprzeczne z regulaminem! Powiem o tym panu dyrektorowi...

– Zrób to, skarbie! – odkrzyknęła Sally. – Jeśli zdasz go znaleźć! Mówię po raz ostatni, ludzie, zabierajcie się stąd! Kogo posłuchacie, mnie czy jej?

— 314 —

Dyżurni stojący za plecami Portii zawahali się, ale potem całą grupą ruszyli zrobić to, o co prosiła Sally. Portia zatoczyła się w tył, kiedy przepychali się obok niej. Jako jedyna została w stołówce. Kiedy Cassie zerknęła na nią po raz ostatni, zobaczyła, że stoi, sztywno wyprostowana, wściekła i kompletnie sama.

Sally zaczęła wykrzykiwać kolejne polecenia pracownikom stołówki. Cassie odwróciła się do wyjścia. Ale kiedy dotarła do drzwi, obie dziewczyny na moment przystanąły i spojrzały na siebie przez salę.

– Dasz sobie radę? – spytała Sally. Cassie wiedziała jednak, że koleżance chodzi nie tylko o nią samą, ale o cały Krag.

– Tak.

– Dobrze, powodzenia.

– Nawzajem. Do zobaczenia, Sally.

Pobiegła na parking na spotkanie z Dianą. Pomyślała, że tę ostatnią rozmowę trudno było nazwać błyskotliwą wymianą uwag. Ale jednak było to zawieszanie broni między obcymi a czarownicą. Coś więcej niż zawieszanie broni.

A teraz muszę przestać o nich wszystkich myśleć. O wszystkich obcych. Sally zajmie się swoimi, my muszę zadbać o siebie, zganiała się w myślach.

Padła dość mocno i deszcz gęstniał, kiedy Diana jechała w stronę Crowhaven Road. Porywy wiatru szarpały samochodem, kiedy wjeżdżały na podjazd przed domem Adama.

Tuż za nimi zaparkował dżip Adama.

– Mają Seana – zauważyła Cassie. Razem z Dianą szybko ruszyły na pomoc.

Nick i Doug przez całą drogę przytrzymywali drobniejszego chłopaka na tylnym siedzeniu. Teraz

— 315 —

zaprowadzili go pod drzwi frontowe tak, jak bracia Portii prowadzili Cassie do lasu. Wydawało się, że to trochę bez sensu – Sean był przecież nieduży – ale potem Cassie zerknęła w jego błyszczące, patrzące ukradkiem czarne oczy.

– Lepiej szybko zdejmijcie z niego hematyt – poradziła.

Nick podciągnął sweter Seana. Rzeczywiście, chłopak nosił wytłaczany pas, który Cassie zobaczyła u niego pierwszego dnia w szkole. Adam rozpiął go i rzucił na podłogę. Pasek leżał tam niczym zdechły wąż.

– Gdzie masz resztę? – spytał Seana ostro.

Chłopak usiłował się wyrwać. Dyszał ciężko, ale oczy miał dzikie. Musieli go przytrzymać, a gdyby w tej chwili nie pojawili się Chris, Deborah i Laurel, mógłby im nawet uciec. Wspólnymi siłami chłopcy i Deborah zdołali ściągnąć z Seana sweter i koszulę. Pod spodem, tam gdzie wszyscy członkowie Kręgu nosili ametysty, chłopak miał niewielki skórzany woreczek. Adam zdjął go ostrożnie i z woreczka wypadł hematyt Cassie.

– Złodziej! – warknęła Deborah, potrząsając pięścią przed nosem Seana. Sean patrzył na nią bez wyrazu, nadal dyszał z przerażenia.

– Pewnie nawet nie wiedział, że go ma – wtrąciła Melanie. – Od samego początku był pod wpływem Johna Blacka. Niech ktoś wyniesie ten hematyt i go zakopie. Laurel, ziołowy napar jest gotowy?

– Robi się! – zawołała z łazienki na dole Laurel, przekrzykując szum płynącej wody. – Dajcie go tutaj.

Krag planował ceremonię oczyszczenia od momentu, kiedy dowiedzieli się o Seanie, i wszyscy zna-

— 316 —

li swoje role. Chłopcy zaciągnęli Seana do łazienki, a Laurel stanęła tuż za drzwiami.

– Nieważne, czy będzie w ubranu, czy nie! – dobiegło Cassie jej wołanie. – Tylko wsadźcie go do wanny.

Deborah wzięła hematyt na szufelkę i poszła go zakopać, a Diana szybko zajęła się przygotowaniem ziołowego talizmanu, który wyjęła ze swojego plecaka. Płócienny woreczek z ziołami związała energią Ziemi, Wody, Powietrza i Ognia, posypując woreczek solą, skrapiając wodą ze szklanki, dmuchając na niego i przesuując go nad zapaloną świecą, która stała przygotowana na stoliku do kawy.

– Dobra, gotowe – powiedziała. – Melanie, a ty?

Melanie podniosła głowę z nad kręgu białych kamieni, układanego na podłodze.

– Też gotowe. Kiedy skończymy z Seanem, będzie taki niewinny, że go nie poznamy.

Cassie chciała coś odszukać w swojej Księdze Cienia, ale najpierw musiała zrobić ważniejszą rzecz.

– Musimy ostrzec rodziców – postanowiła. – Tych, którzy są w domach, a nie w pracy. Czy ktoś się tym zajmie?

– Pobiegnę do siebie – zaproponował Chris. – Oboje rodzice są w domu.

– Moja mama pracuje – stwierdziła Deborah.

– Zostaje tylko mama Faye – powiedziała Diana.

– Pójdę i opowiem jej o wszystkim – zaproponowała Susan, zaskakując Cassie. – Zna mnie. Ode mnie najlepiej to przyjmie.

– A więdźmy? – spytała Cassie. – Znaczący – poprawiła się szybko – babcia Adama i babunia Quincey, i ciotka Constance?

– Są u mnie w domu, zebrały się tam dziś rano – oznajmiła Melanie. – To ma chyba coś wspólnego

— 317 —

z twoją mamą, Cassie. Ale nie mogę teraz wrócić do domu, żeby to sprawdzić.

- Ja pójdę - stwierdziła Cassie.

Diana rzuciła jej uśmiech.

- Moim zdaniem „wiedźmy” to dla nich dobre określenie - powiedziała. - W sumie nimi są. A babunia Quincey byłaby dumna, mogąc zostać wiedźmą naszego kowenu.

Zalżyłam się, że moja babcia też, pomyślała Cassie i znów wybiegła na zewnątrz.

Unosił się tam dziwny zapach, jak podczas odpływu - różnych pelzających stworów i rozkładu. Cassie biegła do domu Melanie. Wybrała drogę nad urwiskiem i zobaczyła teraz, że ocean jest ciemny i wzburzony. Woda nie była już niebieska, zielona ani szara, ale miała jakiś gęsty, oleisty kolor, który wydawał się mieszaną wszystkich trzech. Wiatr porwał bryzgi piany i wszędzie dokoła unosiły się jej białe skrawki.

Na niebie chmury przybierały niesamowite kształty. Tłoczyły się i kotłowały jak ugniatane niewidzialnymi dłońmi. Deszcz siekł Cassie po twarzy. Wszystko dookoła wyglądało dziko i strasznie.

Nikt nie odpowiadał na pukanie do drzwi. Cassie nie była pewna, czy ktokolwiek w środku je słyszał, czy zagłuszyło je wycie deszczu i wiatru.

- Ciotko Constance! - zawołała. Otworzyła drzwi i zajrzała do środka. - Halo?

Ruszyła do pokoju gościnnego, gdzie spodziewała się zobaczyć mamę, ale szybko przystanąła, zawróciła i, z poczuciem winy, wytarła swoje zaplaskane i zabłocone reeboki o wycieraczkę. Ale i tak woda lala się z niej na idealnie czysty, wypolerowany do połysku parkiet, kiedy szła do sypialni. Drzwi były led-

— 318 —

wie uchylone, a w środku migotała jakaś dziwna jasność.

- Halo...? O mój Boże! - Cassie zajrzała do środka i zamarla. Pokój był oświetlony dziesiątkami białych świec. Wokół łóżka stały trzy postacie. Trzy kobiety o wyglądzie tak dziwnym i niesamowitym, że przez moment Cassie w ogóle nie mogła ich poznać.

Jedna była wysoka i chuda, druga niska i pulchna, a trzecia mała jak laleczka. Wszystkie miały długie włosy - wysoka czarne i gęste, jeszcze dłuższe niż włosy Diany, pulchna srebrnawe i rozczochrane, a drobniutka puszyste i białe jak porywane wiatrem skrawki morskiej piany. I wszystkie były nagie.

Cassie wytrzeszczyła oczy.

- Ciotka Constance? - wykrztusiła do tej o długich, czarnych włosach.

- A kogo się spodziewałaś? - odezwała się ostro ciocietna babka Melanie, marszcząc swoje starannie wyregulowane brwi. - Malej syrenki? Uciekaj, dziecko, jesteśmy zajęte!

- Nie bądź dla niej niemila - powiedziała pulchna kobieta, którą teraz Cassie już poznawała jako babcię Adama. Uśmiechnęła się do Cassie zupełnie swobodnie.

- Próbujemy czegoś, co może pomóc twojej mamie, kochanie - dodała drobniutka staruszka, czyli babcia Laurel. - To rytuał, podczas którego nie wolno mieć na sobie ubrań, stąd nasza golizna. Constance była mu przeciwna, ale ją przekonałyśmy.

- I musimy go dokończyć - oznajmiła ciotka Constance, wykonując jakiś gest trzymanym w dłoni drewnianym kubkiem. Babunia Quincey miała w ręku bukiecik ziół, a babcia Adama srebrny dzwonek. Cassie

— 319 —

popatrzyła na łóżko, gdzie jej matka leżała w takim samym bezruchu, jak do tej pory. Świece sprawiły, że jej śpiąca twarz wyglądała inaczej. Tak samo jak inaczej wyglądały wszystkie trzy kobiety.

- Ale nadchodzi huragan... - zaczęła Cassie. - Dlatego tu jestem, żeby was ostrzec.

Kobiety wymieniły spojrzenia.

- No cóż, jeśli o nas chodzi, to musimy tu zostać - westchnęła babcia Adama.

- Ale...

- Twojej matki nie można przenosić, kochanie - powiedziała stanowczo babunia Quincey. - Więc biegnij i rób to, co tam masz do zrobienia. A my spróbujemy ją ochronić.

- Będziemy walczyć z Johnem Blackiem - oświadczyła Cassie. Zdawało się, że to krótkie zdanie zawisło w powietrzu, kiedy je wypowiedziała. Trzy kobiety znów spojrzały na siebie.

Cioteczna babka Constance nachmurzyła się i już otworzyła usta, ale babunia Quincey była szybsza.

- Constance, nikt inny nie może się tym zająć. Muszą walczyć.

- Więc uważajcie! Powiedz Melanie... Powiedz wszystkim, żeby byli ostrożni - poprosiła ciotka Constance.

- I trzymajcie się razem. Jak długo będziecie się trzymać razem, macie szansę - dodała babcia Adama.

I trzy kobiety znów odwróciły się do łóżka. Cassie postąpiła tam jeszcze chwilę, obserwując świece - białe, o świetle w odcieniu białego złota włosów Diany - i miriady cieni kładących się na suficie oraz ścianach. A potem wyszła. Kiedy cicho zamykała za sobą drzwi,

— 320 —

plomyki wszystkich świec zatańczyły dziko. Zerknęła jeszcze po raz ostatni na trzy kobiety, które uniosły ramiona i rozpoczęły jakiś taniec. Srebrny dzwonek cicho dzwonił.

W pokoju nie słyszała wichury. Ale wszędzie poza gościnną sypialnią było chłodniej i słychać było wycie wiatru. Przyciemione światło wpadające przez okna wydawało się szare i zimowe. Cassie miała ochotę wrócić do zacisznego pokoju i ukryć się w nim, ale wiedziała, że nie może.

Poszła do domu Adama, pod numer 9. Przez całą drogę wiatr ją pchał, wiejąc prosto w plecy.

Wróciła jako ostatnia. Cały Krag zgromadził się już w pokoju Adama. Siedzieli wokół Seana, którego posadzono wewnątrz kręgu z kryształów górskich. Jego twarz była zaróżowiona i wyszorowana do czysta, a włosy wilgotne i pozlepane w strączki. Miał na sobie ubranie o wiele dla niego za duże. Pewnie to ciuchy Adama, domyśliła się Cassie. Na szyi chłopaka wisiał płócienny woreczek z ziołami, przygotowany przez Dianę. Sean miał oszłomioną i przerażoną minę, ale nie próbował uciekać.

- Gdzie były? Znalazłaś je? - spytała Diana.

Cassie pokiwała głową. Nie miała większej ochoty opowiadać Dianie, w jakim stanie znalazła staruszkę. Nie wiedziała, jak Adam, Melanie i Laurel poczuliby się, gdyby się dowiedzieli, że ich krewne tańczyły nago w pokoju chorej osoby. Mogłoby pomyśleć, że coś jest z nimi nie w porządku. Mogłoby nie zrozumieć tego złotego światła.

- Powiedziały, że zostaną tam, gdzie są - stwierdziła. - Babunia Quincey wyjaśniła mi, że mamy nie można przenosić i że próbują zrobić coś, żeby poczuła

21 - Topony Krag 2

— 321 —

się lepiej. Powiedzieli, że mamy być ostrożni, a babcia Adama kazała nam się trzymać razem.

- Dobra rada - stwierdził Adam i spojrzął na Seana. - My tu też właśnie doszliśmy mniej więcej do tego samego. Będziemy trzymać się razem, prawda?

- Próbowałam go pytać o te morderstwa - opowiadała Laurel przyciszonym głosem - ale on nic nie pamięta. W ogóle nie wie, o czym mówimy. Musieliśmy mu udowodnić, że to nie jest dowcip. Teraz już nam wierzy, ale jest śmiertelnie przerażony.

- No więc, masz wybór, Sean - mówił Adam. - Możesz zostać z nami albo możesz resztę dnia spędzić w zamknięciu w piwnicy, gdzie nie zdołasz narobić kłopotów.

- Albo - rzekła Diana cicho - możesz iść do niego, do Johna Blacka. To jego prawo - dodała szybko, kiedy pozostali zaczęli protestować. - Ma prawo podjąć decyzję.

Sean rozglądał się przerażony po całym pokoju. Cassie zrobiło się go żal. Siedział na środku i wszyscy się na niego gapili. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał piskliwie, ale zdecydowanie:

- Zostanę z wami.

- Grzeczny chłopiec. - Laurel uśmiechnęła się z aprobatą, a Deborah rąbnęła go w plecy tak mocno, że o mało nie spadł z krzesła. Hendersonowie nie powiedzieli nic, po prostu przyglądali się wszystkim tymi swoimi dziwnymi zielononiebieskimi oczami. Cassie pomyślała, że nigdy mu nie wybaczą tego, co spotkało Kori. Nawet jeśli to nie była jego wina. Ale na razie przynajmniej Krag trwał razem.

Pomijając...

— 322 —

Cassie spojrzała na Adama, a potem oboje popatrzyli na Dianę. Diana pokiwiała głową.

- Już pora - stwierdziła. - To ostatnia szansa Faye. Miejmy nadzieję, że z niej skorzysta.

Cassie nie była o tym przekonana, ale wzięła bezprzewodowy telefon, który leżał na stole nieposkładanego prania na łóżku.

- Jaki jest numer jej pagera?

Diana rozwinęła skrawek papieru i odczytała głosno numer.

- Kiedy się odezwie, naciśnij krzyżyk, a potem wybierz numer Adama - poinstruowała.

Cassie tak zrobiła. A potem się rozłączyła. Czekała. Nic się nie wydarzyło.

- Powinniśmy dać jej chwilę, żeby dotarła do telefonu - zapowiedziała Diana.

Czekali. Deszcz siekł w okna, wiatr wyl w kominie.

- Nie powinniśmy czegoś zrobić? - spytała Cassie. - Jak... No nie wiem, pozabijając okna deskami, czy coś?

- Zwykle tak. Zamocowalibyśmy sztormowe okiennice, wszystko pozamykali, i tak dalej - odparł Adam. - Ale jeśli ten huragan w nas uderzy, to i tak już po nas, więc nie ma sensu.

Czekali.

- Spróbuj znowu - poleciła Diana. Cassie posłuchała.

- Jej mama nie widziała jej od dzisiejszego rana - oznajmiła Susan. - Ciekawe gdzie są, ona i John Black?

Cassie też się nad tym zastanawiała. Gdziekolwiek jednak byli, Faye nie reagowała na pager.

— 323 —

- Moim zdaniem - rzekła Cassie - naszemu kowenowi właśnie zabrakło przywódczyni. I... No cóż, chciałam tego poszukać w swojej Księdze Cienia, ale Melanie, czy nie ma gdzieś informacji, że w nagłych przypadkach można wybrać nowego przywódcę?

Melanie uśmiechnęła się słabo, a potem pokiwiała głową, jakby wiedziała, co Cassie ma na myśli.

- Jeśli kowen jest zagrożony - przytaknęła - i jeśli wszyscy pozostali członkowie się zgodzą, można wybrać nową przywódczynię.

Krag się poruszył. Wszyscy prostowali się z minami wyrażającymi zainteresowanie.

- Ach - westchnęła Laurel. - To jest dobry pomysł.

- Zwłaszcza że mamy Arkana Mistra - dodał Adam.

- Do dzieła - rzuciła Deborah.

Cassie się ucieszyła. Złożyła przysięgę, kiedy Faye zakreślała tamten krag na rozstajach dróg, a teraz będzie mogła dopilnować jej wykonania. Przysięgła sobie, że Faye nie będzie przywódczynią Kręgu wcale i za parę chwil Faye być nią przestanie.

Otworzyła usta z radością, żeby nominować Dianę. Ale zanim zdążyła się odezwać, usłyszała głos przyjaciółki.

- Nominuję Cassie - powiedziała Diana wyraźnie.

Cassie wytrzeszczyła na nią oczy, zdumiona. Kiedy wreszcie odzyskała oddech, powiedziała:

- Żartujesz sobie.

- Nie - odparła Diana. A potem obróciła się, zwracając się oficjalnie do całego Kręgu. - Cassie - powiedziała - pokazała, że ma więcej Mocy niż wszyscy z nas, włącznie z Faye. Może przywoływać żywoły. Widzieliśmy, jak wzywała Ogień. Może komunikować

— 324 —

się na duże odległości. Jej sny się sprawdzały i to one zaprowadziła nas do Arkanów Mistra. Jej babka powiedziała, że w jej rodzinie zawsze posiadano najsilniejszy dar widzenia i największą Moc. Jest silna, ma więcej siły niż ja do takiej walki. Nominuję Cassie.

Cassie osłupiała, ale inni kiwali głowami.

- Jest dość twarda - stwierdziła Deborah. - Nawet jeśli na to nie wygląda.

- Ściągnęła ze mnie tamtego psa - przypomniał Chris, wysuwając stopę do przodu i przyglądając jej się uważnie.

- Jest bystra - powiedziała Laurel z dumą. Po Dianie, to Laurel była najbliższą przyjaciółką Cassie w Kręgu. - Myśli o rzeczach, o których większość ludzi by nie pomyślała.

- Miewa pomysły - zgodziła się Susan, kiwając głową.

- Lubię ją - powiedział niepewnie Sean ze swojego miejsca w kręgu białych kamieni. - Jest dla mnie miła.

- Jest do tego stworzona - stwierdził Doug i wyszczerzył się w łagodnym uśmiechu.

Nick powiedział tylko:

- Tak.

Cassie zrozumiała, że wszyscy mówią poważnie.

- Jestem też córką... - urwała i spróbowała jeszcze raz. - Chodzi o to, że John Black jest... - Nadal nie mogła wydusić z siebie tego słowa.

- Moim zdaniem to akurat może działać na naszą korzyść - oświadczyła Melanie i zerknęła na Cassie z namysłem. - Jeśli on naprawdę nie chce cię skrzywdzić, może to stanowić jego słabość. Zawsze to coś.

— 325 —

Wszyscy pokiwali głowami. Cassie z trudem przełknęła i rozejrzała się po Kręgu. Nikomu jakoś nie przyszło do głowy, że mogłaby być za bardzo przerażona, żeby to zrobić, żeby poprowadzić walkę z Johnem Blackiem. W głębi serca wiedziała, że nie chce znów stawiać mu czoła. Że nie jest gotowa. Nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek będzie.

Ale wszyscy na nią patrzyli – Diana ze szczerym przywiązaniem, Deborah i Henderssonowie z niewinną wiarą. Nawet Nick i Melanie kiwali głowami zachęcająco.

Cassie spojrzała na Adama.

Jego szaroniebieskie oczy przypominały nieco ocean, były mroczne i niespokojne.

– Dasz radę – odpowiedział na jej nieme pytanie. – I uważam, że tak będzie najlepiej dla kowenu. Chociaż nie wiem, czy najlepiej dla ciebie.

Cassie odetchnęła.

Oni w nią wierzyli. Nie mogła ich zawieść.

– Jeśli wszyscy się zgodzą – powiedziała, prawie nie poznając własnego głosu.

– Zrobimy to bardzo prosto – stwierdziła Melanie.

– Wszyscy ci, którzy są za Cassie jako przywódczynią, podniosą ręce.

Uniosły się wszystkie.

Diana się zorwała.

– Przymsię rzeczcy.

Poszli z Adamem do piwnicy i wrócili parę minut później z małym kuferekiem ze skóry i mosiądzu. Wszyscy się nachylili i patrzyli, jak go otworzyła, a potem członkowie Kręgu cicho westchnęli ze zdumienia.

– Są takie piękne. – Susan dotknęła diadem.

– Tak – zgodziła się Diana. Rozpięła swój plecak. – Masz, Cassie, włóż to. – To była biała tunika, którą Diana wkładała na ceremonie.

Cassie poczuła, że twarz ją zaczyna palić. Nie mogła tego włożyć. Wyglądałaby...

– Nie martw się, nie zmarniesz. – Diana się uśmiechnęła.

– Ale... Ty jesteś ode mnie wyższa. Będzie za długa...

– Skróciłam ją. – A potem, wśród ciszy, która zapadła po jej słowach, Diana powtórzyła: – Włóż ją, Cassie.

Cassie powoli wzięła do ręki tunikę. Poszła do łazienki, nadal lekko zaparowanej po kąpiel, jaką zafundowali Seanowi chłopcy, i włożyła na siebie strój z surowego jedwabiu. Pasował idealnie.

Diana to zaplanowała, rozumiała Cassie.

Wstydzila się wyjść, ale powiedziała sobie, że nie czas martwić się tym, ile ciała pokazuje. Chris i Doug zagwizdali, kiedy dołączyła do reszty grupy.

– Zamknijcie się, to poważna sprawa – skarciła ich Laurel.

– Może równie dobrze stanąć tutaj, w kręgu białych kamieni – oświadczyła Melanie. – Sean, wyłaź.

Chłopak wyszedł z kręgu z miną pełną ulgi. Cassie weszła do środka.

Zapadła cisza.

– Wzywam cię, byś służyła Kręgowi. Nie krzywdź nikogo i bądź wierna wszystkim. Na Wodę, na Ogień, na Ziemię i na Powietrze, przewodź nam pokojowo i w dobrej wierze – powiedziała Diana. Cassie zdała sobie sprawę, że właśnie przechodzi tę część

ceremoniału, która ominęła Faye, kiedy to ona została wybrana na przywódczynię.

– Słuchajcie... Ale to tylko tymczasowo, prawda...? – oderwała się.

– Cii – syknęła Laurel, przykłękając. Cassie poczuła, że coś miękkiego dotyka jej tuż nad kolanem prawej nogi. Opuściła wzrok i zobaczyła, że Laurel zapina sprzączki zielonej skórzanej podwiązki.

Coś chłodnego otoczyło ramię Cassie. Zobaczyła, że Melanie zapina tam srebrną bransoletę. Okazała się zaskakująco ciężka. Cassie wiedziała, że będzie czuła ten ciężar, ilekroć poruszy ramieniem.

– Spójrz na mnie – poprosiła Diana. Cassie postuchała. Diana w obu dłoniach trzymała diadem z półksiężycem na szczycie. Cassie poczuła, że diadem spoczywa na jej włosach, lekko, ale pewnie. A potem w całym ciele, od srebrnych zapinek podwiązki, po srebrną bransoletę, aż do opaski dotykającej jej czoła, Cassie poczuła napływ łaskotliwego ciepła. Czegoś ożywczego.

To są prawdziwe Arkana, nie tylko symbole, pomyślała. Mają własną Moc.

W tej krótkiej chwili rozumiała, że będzie umiała ich Mocą kierować. Stały się częścią jej samej, połączyły się z jej własnymi siłami. Była czarownicą wywodzącą się z linii potężnych wiedźm. Była przywódczynią Kręgu.

– Dobrze – oznajmiła, wychodząc z kręgu kamieni. Wyjęła Księgę Cienia ze swojego plecaka. Już nie przejmowała się swoim wyglądem. To nie miało znaczenia. Zostało im niewiele czasu i chciała go jak najlepiej wykorzystać.

– Posłuchajcie. Uważam, że czekając, powinniśmy przejrzeć nasze Księgi Cienia. Babka kazała mi wry-

tywać się w moją, a lepiej jest robić coś niż nie robić niczego – powiedziała. – Możemy czytać z nich głośno na zmianę, póki się nie ściemni. Black się przedtem nie pojawi.

– Jesteś pewna? – spytała Melanie.

– Tak. – Nie miała pojęcia, skąd to wie, ale wiedziała. Jej babka nazywała to darem widzenia, ale dla Cassie było to bardziej jak jakiś głos, taki z samego dna duszy. Teraz wiedziała już, w jaki sposób go usłyszeć.

Nikt się z nią nie spierał. Ci, którzy mieli ze sobą Księgi Cienia, wyjęły je. Na zewnątrz wiatr wyl sopnie.

ROZDZIAŁ 15

Koło czwartej po południu wyłączyli prąd. W domu zrobiło się zimniej. Pozapalali świece i czytali dalej.

– Dla ochrony przed ogniem i wodą – odczytała Cassie, ale Melanie stwierdziła, że wymienione zaklęcia jest za słabe, żeby ochronić ich przed buraganem, i Cassie wiedziała, że przyjaciółka ma rację.

– Proszę, a tu jest: *Żeby odegnać strach i złe emocje* – odczytała Diana z własnej księgi. – „Słońce dniem i księżyc nocą, niech wszystkie mroczne myśli jak ptak uleca”. Ładna myśl.

Czytali dalej.

Zaklęcie, żeby uleczyć chore dziecko, Amulet Mocy, Try zaklęcia, żeby przywiązać kochankę, Żeby

wywołać burzę... No, tego akurat nie potrzebujemy, pomyślała Cassie kwaśno. Znow zaczęła czytać o kryształach, że im większy kryształ, tym więcej energii może magazynować i koncentrować. Zakłęcie *Żeby odsunąć od siebie to* odczytała na głos, chociaż go nie rozumiała:

- „Obudź moc, która należy wyłącznie do ciebie, wzywając te żywioły lub zjawiska naturalnego świata, które są najbliższe twojemu sercu. Moce te masz wbrew wszystkiemu, co jest złe: moce słońca i księżyca, i gwiazd, i wszystkiego, co należy do ziemi”.

Przeoczyła to jeszcze raz, głowiąc się nad sensem słów.

- Nadal nie rozumiem.

- Moim zdaniem to znaczy, że jako czarownice możemy przyzywać naturę, to co w niej dobre, żeby walczyć ze złem - stwierdziła Melanie.

- Tak, ale jak je mamy wzywać? - spytała Cassie. - I co zrobisz te Moce, kiedy je werwiesz?

Tego Melanie nie wiedziała.

Sciemiło się. Szarość za oknami coraz bardziej gasła, aż wreszcie znikła zupełnie. Wiatr szarpał okiennicami i trząsał szybami w oknach. Ciągłe lalo.

- Jak myślicie, co on zrobi? - spytała Susan.

- Coś niemiłego - odparła Laurel.

Cassie była z nich dumna. Bała się, znała ich już dość dobrze, żeby wyczuć lęk w ciągłym chodzeniu z kąta w kąt Deborah i nieruchomej postawie Melanie. Ale nikt nie uciekał, nikt się nie wycofywał. Doug opowiadał kiepskie dowcipy, a Chris składał z papieru samolociki. Nick siedział w pełnym napięcia milczeniu, a Adam trzymał na uszach słuchawki Douga i słuchał wiadomości w radio.

— 330 —

O szóstej burza ucichła.

Cassie, przyzwyczajona do łomu deszczu i wycia wiatru, nagle odczuła to jako pustkę. Rozejrzała się wokół i zobaczyła, że wszyscy czują się rozglądają.

- To na pewno nie koniec - stwierdziła Susan. - Chyba że poszło bokiem?

- Nadal jest nad Atlantykiem - odpowiedział Adam. - Uważają, że dotrze do lądu za jakąś godzinę. To po prostu cisza przed burzą.

- Cassie? - odezwała się Diana.

- Myślę, że on się szykuje do działania - powiedziała Cassie, próbując zachować spokój. Ale wszystkie mięśnie jej ciała się napięły.

Cassandro...

To był jego głos, oderwał się w jej umyśle. Popatrzyła na pozostałych i dostrzegła, że oni też go usłyszeli.

Przyprawdź kowen na kraniec Crowhaven Road. Pod numer 13, Cassandro. Czekam na was.

Cassie zacisnęła palce na nieposkładanym praniu, leżącym obok. Próbowała koncentrować się na mocy Arkanów Mistrza, na ich ciepłe w miejscach, gdzie dotykały jej skóry. A potem pchnęła myśl własne słowa.

Idziemy. Pozdrów Faye.

Wypuściła powietrze. Doug wyszczerzył do niej zęby.

- Nieźle - pochwalił.

To była czysta brawura i wszyscy to wiedzieli, ale dzięki temu Cassie poczuła się lepiej. Nieznacznym gestem otarła o pranie spocone dłonie i wstała.

- Chodźmy - powiedziała.

Diana miała rację - nosząc symbole władzy nad kowenem i białą tunikę, nie czuła zimna. Na zewnątrz niebo było czyste, a ziemia cicha, poza odgłosem

— 331 —

fal. Tak, to cisza przed burzą, pomyślała Cassie. Ten spokój był bardzo dziwny, gotów znow w każdej chwili zamienić się w gwałtowny wybuch.

- Popatrzcie na księżyc - rzuciła Melanie.

Cassie coś ścisnęło w żołądku.

Księżyc wyglądał jak sierp, jak srebrny krąg z wygryzionym kawałkiem. Ale Cassie czuła, że coś jest z nim nie w porządku. To nie był księżyc w pierwszej kwadrze, tylko księżyc w pełni, ale czymś zasłonięty, zaciemniony. Patrzyła, jak mrok ogarnia jasny świat.

Pomyślała, że naprawdę widzi, jak ten cień porusza się, zasłaniając coraz większy fragment jasnej powierzchni księżyca.

- Chodźcie - powiedziała.

Wyszli na mokrą drogę i ruszyli w stronę przylądka. Minęli dom Susan z greckimi kolumnami, rysujący się szarą bryłą w świetle księżyca. Minęli dom Seana, równie ciemny. Woda płynęła poboczami drogi. Minęli dom Cassie.

Doszli na opuszczonej parcie pod numerem 13.

Wyglądała zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy podczas Halloween rozpalili tam ognisko i weszli ducha Johna Blacka. Puste, odludne miejsce. Jalone. Nikogo tam nie było.

- To jakiś trik? - spytał ostro Nick. Cassie niepewnie pokręciła głową. Jej cichy wewnętrzny głos niczego nie podpowiadał. Spojrzała na wschód, w stronę księżyca, i doznała kolejnego szoku.

Księżyc był wyraźnie mniejszy, zupełnie cienki. A cień, który go zasłaniał, nie był czarny ani szary, ale miał mdłą ceglastobrunatną barwę.

- Dziesięć minut do całkowitego zaćmienia - stwierdziła Melanie.

— 332 —

- Mniej więcej za pół godziny huragan dotrze do lądu - dodał Adam.

Wokół nich zerwał się wiatr. Stopy Cassie, w cienkich białych bucikach, które przyniosła jej Diana, były wilgotne.

Stali niepewnie. Cassie nashuchiwała fal rozbijających się o podnóże klifu. Wszystkie zmysły miała rozbudzone, ale zdawało się, że nic się nie dzieje. Minuty ciągnęły się, a jej nerwy były napięte do granic.

- Popatrzcie - szepnęła Diana.

Cassie znow spojrzała na księżyc.

Brunatny cień pochłaniał cienką jak paznokieć obwódkę księżycowej tarczy. Cassie patrzyła, jak znika, zupełnie jak zgaszona świeca. A potem aż westchnęła.

To westchnienie samo jej się wyrwało i zawstydzila się go, ale wszyscy inni też z trudem łapali oddech. Bo księżyc nie tylko pociemniał, jak na nowiu, i nie miał już nawet tego ceglastobrunatnego koloru. Zakryty cieniem, przybrał odcień głębokiej i niesamowitej czerwieni, przypominającej zakrzepłą krew. Wysoko na niebie, doskonale widoczny, plonął nienaturalnym światłem niczym żarzący się węgiel.

A potem ktoś się zakrzuszył i Seanowi wyrwał się jakiś pisk.

Cassie obróciła się szybko, w samą porę, żeby to zobaczyć. Na pustej parcie coś się przed nimi pojawiło. Wznosił się bryłowaty, regularny kształt i na oczach Cassie stawał się coraz bardziej realny. Zobaczyła spiczasto zwieńczony dach, gładko szalowane ściany, niewielkie, nieregularnie rozmieszczone okna. Drzwi z ciężkich drewnianych desek. Wyglądało to jak stare skrzydło domu jej babki, jak oryginalna budowla z 1693.

— 333 —

Budynek promieniował bladym światłem podobnie jak krwistoczerwony księżyc.

- To tam naprawdę stoi? - szepnęła Deborah.

Cassie musiała chwilę odczekać, zanim odzyskała oddech na tyle, żeby móc coś powiedzieć.

- Teraz jest prawdziwe - stwierdziła. - Teraz, na parę minut, jest prawdziwe.

- To straszne - jęknęła Laurel.

Cassie wiedziała, co sama czuje i co odczuwa cały kowen. Ten dom był zły, tak samo jak zła była czaszka. Wyglądał dziwnie, skrzywiony jak gmaszysko rodem z koszmara. I we wszystkich wzbudzał instynktowne przerażenie. Cassie słyszała, że Chris i Doug z trudem łapią oddech.

- Nie podchodźcie zbyt blisko - uprzedził spiętym głosem Nick. - Niech wszyscy stoją w miejscu, póki on nie wyjdzie.

- Nie martw się - uspokoiła go Deborah. - Nikt nie podejrzeje bliżej.

Cassie wiedziała jednak swoje.

Ten wewnętrzny głos, który jeszcze parę chwil temu milczał, mówił jej teraz wyraźnie, co musi zrobić. Nie powiedział tylko, jak ma znaleźć w sobie dość odwagi, żeby to zrobić.

Obejrzała się za siebie, na wszystkich pozostałych. Klub. Krag. Przyjaciele.

Od czasu inicjacji Cassie była taka szczęśliwa, że stała się częścią ich grupy. W różnych chwilach polegała na nich, wypłukiwała się Dianie i opierała na Nicku i Adamie, kiedy ich potrzebowała. Ale teraz musiała to zrobić i ani Nick, ani Adam nie mogli jej w tym pomóc. Nawet Diana nie mogła z nią tam iść.

- Muszę pójść sama - oznajmiła.

— 334 —

Zorientowała się, że powiedziała to na głos, kiedy wszyscy na nią spojrzeli. I natychmiast zaczęli protestować.

- Nie wariuj, Cassie. To jego terytorium, nie możesz tam wchodzić - tłumaczyła Deborah.

- Wszystko może się zdarzyć. Lepiej, żeby to on wyszedł - powiedział Nick.

- To zbyt niebezpieczne. Nie pozwolimy ci iść tam samej - stwierdził stanowczo Adam.

Cassie spojrzała na niego z wyrzutem, bo to przecież on powiedział, że rola przywódczyni kowenu może jej wcale nie wyjść na dobre. Miał rację, więc powinien teraz ją rozumieć. Oczywiście, że to było niebezpieczne, ale musiała to zrobić. John Black - John Blake - Jack Brunswick, jakkolwiek by się go nazywało, wzywał ją tam i czekał na nią. I Cassie musiała tam iść.

- Jeśli nie chcecie mnie słuchać, to nie powinniście byli wybierać mnie na przywódczynię - oświadczyła. - Powtarzam wam, on tego chce. I nie wyjdzie do nas. Chce, żebyśmy go posłuchały.

- Nie musisz! - Chris niemal ją błagał.

Z nich wszystkich tylko Diana zachowała milczenie. Stała, z drżącymi ustami, z łzami na końcach długich rzęs. To do niej odezwała się Cassie.

- Owszem, muszę - powiedziała.

A Diana, która rozumiała, czym jest rola lidera, skinęła głową.

Cassie odwróciła się, zanim Diana zdążyła się rozplakać.

- Zostaniecie tutaj - nakazała wszystkim - dopóki nie wyjdę. Nic mi się nie stanie. Mam Arkana Mistrza, pamiętajcie.

— 335 —

A potem ruszyła w stronę tego domu.

Cwiczki w ciężkich drewnianych drzwiach zostały nabite we wzór spiral i rombów. Zdawało się, że linia głębszą czerwień niż otaczające je drewno. Cassie z wahaniem dotknęła żelaznej klamki, ale pod dotykiem jej palców okazała się chłodna i twarda.

Drzwi otworzyły się przed nią szeroko. Weszła do środka.

Wszystko tam było lekko przysłonięte, jakby to był tylko czerwony hologram, ale sprawiło wrażenie dość rzeczywistego. Kuchnia bardzo przypominała kuchnię jej babki. Była pusta. Salonik tuż obok też. Wąskie kręte schody na końcu salonu prowadziły na górę.

Cassie wspięła się po stopniach. Z lekkim rozważeniem zauważyła, jak niedorzecznie wyglądała wisząca na ścianie blaszana latarnia. Ściągnęła się z niej zimne, niesamowite światło, niewiele jaśniejsze niż półmrok panujący w domu. Schody były strome i serce Cassie mocno biło, kiedy dotarła na piętro.

Pierwsza niewielka sypialnia była pusta. Tak samo druga. Został już tylko duży pokój bezpośrednio nad kuchnią.

Cassie podeszła do drzwi bez zastanowienia. W progu dostrzegła, że panująca wewnątrz czerwona poświata jest jaśniejsza i przypomina kotorem powierzoną zasłoniętego cieniem księżycu.

Weszła do środka.

Stał tam, tak wysoki, że głową niemal dotykał krzywego sufitu. Emanowało z niego światło czystego zła. Jego twarz była triumfująca i okrutna. Cassie miała wrażenie, że dostrzega pod nią zarysy kryształowej czaszki.

Przystanąła i spojrzała na niego.

— 336 —

- Ojczce, przyszedłem.

- Ze swoim kowenem - odparł John Black. - Jestem z ciebie dumny. - Wyciągnął do niej rękę. Zignorowała ten gest. - Bardzo sprawnie ich tu sprowadziłaś - ciągnął. - Cieszę się, że mieli dość rozumu, żeby wybrać cię na przywódczynię.

- Tylko tymczasowo - zaznaczyła.

John Black się uśmiechnął. Nie odrywał oczu od Arkanów Mistrza.

- Są piękne - powiedział.

Cassie poczuła, że jej żołądek zaczyna powoli ścisnąć spazm paniki. Wszystko toczyło się zgodnie z planem Blacka, widziała to. Przyszła tutaj, z Arkanami, których tak długo pragnęła, znalazła się na jego terytorium, w jego domu. I się go bała.

- Nie musisz się bać, Cassandro - oznajmił. - Nie chcę cię skrzywdzić. Nie musimy się kłócić. Mamy ten sam cel, zjednoczyć kowen.

- Nie mamy tych samych celów.

- Jesteś moją córką.

- Nie mam z tobą nic wspólnego! - zawołała. Grał na jej uczuciach, szukał jej słabości. A z każdą chwilą huragan coraz bardziej zbliżał się do jądra. Cassie rozpaczliwie szukała czegoś, co rozproszy uwagę czarownika, i wreszcie dostrzegła jakiś błysk za plecami mężczyzny.

- Faye - stwierdziła. - Nie zauważyłam cię, bo stoisz w jego cieniu.

Dziewczyna z oburzeniem wysunęła się naprzód. Miała na sobie czarną tunikę - stanowiącą jakby odbicie w negatywie tuniki Cassie - oraz własny diadem, bransoletę i podwiązkę. Uniosła głowę dumnym ruchem i spojrzała na Cassie płonącymi złotymi oczami.

22 - Tajemny Księg 2

— 337 —

- Moje dwie królowe - rzekł z zadowoleniem John Black. - Ciemna i jasna. Razem poprowadzą kowen...

- A ty będziesz rządził nami? - spytała Cassie ostro.

John Black znów się uśmiechnął.

- Mądra kobieta wie, kiedy pozwolić mężczyźnie sobą rządzić.

Faye się nie uśmiechnęła. Cassie zerknęła na nią spod oka.

John Black jakby tego nie zauważył.

- Chcesz, żebym powstrzymał huragan? - zapytał Cassie.

- Tak, oczywiście. - Przecież po to tu przyszedła. Żeby usłyszeć, jakie są jego warunki. I spróbować znaleźć jakiś słaby punkt swojego wroga. Czekała.

- Więc wszyscy musicie złożyć przysięgę. Przysięgę krwi, Cassandro. Wiesz, jak one wyglądają. - Wyciągnął rękę do Faye, nawet na nią nie patrząc. Faye przez moment wpatrywała się w tę rękę, a potem sięgnęła w dół po sztylet zatknęty za podwiązkę. Sztylet z czarną rękoiścią, którego używała do zakreślania kręgu na ziemi. John Black uniósł go, a potem nacisnął swoją dłoń. Krew popłynęła powoli, ciemnoczerwona.

Jak Adam, pomyślała Cassie dziko, a jej serce przyspieszyło. Jak ta przysięga, którą złożyliśmy z Adamem.

Wysoki mężczyzna wyciągnął sztylet w stronę Cassie. Kiedy po niego nie sięgnęła, przekazał go Faye.

- Daj jej go - nakazał.

Faye wzięła sztylet i podała go Cassie rękoiścią do przodu. Cassie powoli zacisnęła na nim palce. Faye cofnęła się i stanęła u boku Johna Blacka.

- 338 -

- To tylko odrobina krwi, Cassie. Przysięgniesz posłuszeństwo mnie, a ja uwolnię huragan i pozwolę mu skręcić nad ocean, ocalimy New Salem. A potem ty i ja możemy zacząć nasze wspólne rządy.

Sztylet drżał w dłoni Cassie. Nie mogła się uspokoić. Wiedziała, co zrobi, ale potrzebowała czasu, żeby zebrać się na odwagę.

- Jak zabiłeś Jeffreya? - spytała. - I dlaczego?

Wysoki mężczyzna wyglądał, jakby lekko się zdziwił, ale szybko się opanował.

- Kazałem mu usiąść. Zabiłem go, żeby zasiać niezgodę między kowenem a obcymi. - Uśmiechnął się. - Poza tym nie podobało mi się, że taką uwagą obdarzał moją córkę. Nie był jednym z nas, Cassandro.

Cassie żalowała, że Portia nie może teraz widzieć „pana dyrektora”.

- Ale dlaczego wykorzystywałeś Seana?

- Bo był słaby. I tak już nosił kamienie, na które mam wpływ. Po co te wszystkie pytania? Nie rozumiesz, że...

Urwał i poruszył się z prędkością błyskawicy. Kiedy był w połowie zdania, Cassie cisnęła w niego sztyletem. Nigdy wcześniej nie rzuciła nożem, ale ktoś z jej przodków, kto zdobył Arkana Mistrza, musiał to umieć, bo zdawało się, że bransoleta sama poprowadziła jej prawe ramię, a sztylet błysnął i runął wprost w stronę serca Johna Blacka. Ale wysoki mężczyzna był po prostu zbyt szybki. Złapał sztylet w powietrzu - za ostrze - i stał tam, trzymając go i patrząc na Cassie.

- To było niegodne ciebie, Cassandro - stwierdził. - I doprawdy nie wypada tak postępować wobec własnego ojca. Zirykowałeś mnie.

- 339 -

W jego głosie nie było słyhać gniewu. Wydawał się tak zimny jak śmieć i równie pełen jadu. Cassie już przedtem się bała, ale to było jeszcze nic. Dopiero teraz wystraszyła się naprawdę. Kolana miała miękkie, a gwałtowne bicie serca wstrząsało całym jej ciałem.

John Black odrzucił sztylet, który wbił się w podłogę u stóp Cassie. Tkwił w deskach, drgając.

- Huragan za chwilę dotrze do lądu - powiedział Black. - Nie masz wyboru, nigdy go nie miałaś. Złóż przysięgę, Cassandro. Złóż ją!

Jestem przerażona, pomyślała Cassie. Błagam, jestem taka przerażona... Miała na sobie Arkana Mistrza, ale nie umiała z nich skorzystać.

- Jestem twoim ojcem. Masz robić, co ci mówię.

Gdybym tylko wiedziała, jak je wykorzystać...

- Nie masz Mocy. Nie stawisz mi oporu!

- Owszem, mam - szepnęła Cassie. W jej umyśle otworzyły się jakieś drzwi, zajaśniało jakieś światło. Zupełnie jakby księżyc wychynął z cienia i oświetlił wszystko. I nagle zrozumiała zakłęcie odwrócenia zła. „Wezwij Moc, która jest tylko twoja... te Moce odnajdziesz ponad wszystkim, co jest złe...”

Poczuła się nagle tak, jakby za jej plecami stała cała długa linia czarownic, od których pochodziła. Ona była tylko ostatnią z nich. Jedną z wielu, ale cała ich wiedza należała do niej. Ich wiedza i ich Moc. Słowa pchały jej się na usta.

- Moc Księżycy mam nad tobą... - powiedziała drżącym głosem.

John Black spojrzał na nią i jakby chciał się odsunąć.

- Moc Księżycy mam nad tobą - powtórzyła Cassie silniejszym głosem. - Moc Słońca mam nad tobą.

- 340 -

Czarownik zrobił krok w tył.

Cassie ruszyła przed siebie, szukając w myślach następnych słów. Ale nie wypowiedziała ich. Wypowiedział je za nią inny głos, głos zza jej pleców:

- Moce Gwiazd mam nad tobą. Moce Planet mam nad tobą.

To była Diana. Jej jasne włosy poruszały się, jakby rozwiewał je lekki wiatr. Podeszła i stanęła obok Cassie, wysoka, dumna i szczupła, jak srebrzysta szpada. Serce Cassie wezbrało radością. Jeszcze nigdy w życiu bardziej się nie ucieszyła z tego, że ktoś nie postuchał jej polecenia.

- Moce Przyptywów mam nad tobą. Moc Deszczu mam nad tobą - dodał Adam. Stanął tuż obok Diany, a jego włosy płoszyły niczym ogień, niczym rubiny w tej czerwonej poświacie.

Za nim stanęła Deborah. Jej ciemne włosy otaczały drobną twarz. Widać było, że koncentrowała się na zadaniu.

- Moc Wiatru mam nad tobą - rzekła.

Dołączył do niej Nick o zimnych i gniewnych oczach.

- Moc Łodu mam nad tobą.

I Laurel.

- Moc Liści mam nad tobą. Moc Korzeni mam nad tobą.

I Melanie.

- Moc Skał mam nad tobą.

Byli tam wszyscy, wszyscy dołączyli do Cassie i dodawali swoje głosy do jej głosu. A John Black cofał się przed nimi ze strachu.

- Moc Grzmotu mam nad tobą - powiedział do niego Doug.

- 341 -

Chris zaś zawołał:

- Moc Błyskawicy mam nad tobą!

- Moc Rosy mam nad tobą - zaintonowała Susan i wypchnęła przed siebie niewielką figurkę. To był Sean, roztrzęsiony i przerażony tym, że staje twarzą w twarz z człowiekiem, który kontrolował wcześniej jego umysł. Ale jego piskliwy głos zabrzmiał donośnie:

- Moc Krwi mam nad tobą!

John Black przywarł teraz do ściany domu. Wydawał się kurczyć. Jego twarz stała się niewyraźna, a czerwona poświata zanikła, ukazując jego prawdziwe, poczemiale rysy.

Ale w kowenie Cassie było ich tylko jedenastoro. Krąg nie był kompletny. A przeciwko temu człowiekowi mógł stanąć tylko pelen kowen.

Kiedy głos Seana ucichł, John Black się wyprostował. Zrobił krok w ich stronę. Cassie oddech uwiązł w piersi.

- Moc Ognia mam nad tobą! - zawołał jakiś gardłowy głos. Czarownik się cofnął. Cassie obejrzała się, zdumiona, na Faye. Tak jak John Black zdawał się niższy, wysoka dziewczyna zdawała się jeszcze wyższa i wyglądała zupełnie jak jakaś barbarzyńska królowa, kiedy tam stała i piorunowała go wzrokiem. A potem podszła i stanęła obok Cassie. - Moc ciemności mam nad tobą - powiedziała, a każde jej słowo było jak cios noża. - Moc Nocy mam nad tobą!

Teraz, pomyślała Cassie. Był słaby, zrany, a oni byli zjednoczeni. Jeśli miał nadejść moment, żeby go zniszczyć, to właśnie teraz.

Ale ani Ogień, ani Woda wcześniej tego nie dokonały. John Black został pokonany już dwukrotnie, dwa razy umarł, ale zawsze wracał. Jeśli chcieli pozbyć się

— 342 —

go na zawsze, to musieli zrobić coś więcej niż tylko zniszczyć jego ciało. Musieli zniszczyć źródło jego siły - kryształową czaszkę.

Gdybym tylko miała jakiś duży kryształ, rozważała Cassie. Ale nie było tu takiego. Pomyślała z rozpaczą o tych wystających z ziemi granitowych głazach w New Salem. Ale to nie były kryształy, nie mogłyby magazynować i skupić energii. Poza tym potrzebowała nie dużego kryształu, ale ogromnego. Tak wielkiego... Tak wielkiego...

„Lubię myśleć, że kryształy są jak plaża - przypomniała sobie rozszamani głos Melanie. - Taki kryształ to przecież tylko skamieniała woda i piasek...”

A wraz ze słowami pojawił się obraz. Przebłysk dłoni Cassie tamtego pierwszego dnia na plaży w Cape Cod. „Opuść wzrok”, syknęła Portia, widząc nadchodzącego Adama, więc Cassie spojrzała pod nogi ze wstydem i wpatrzyła się we własne, zamurzone w piasku palce stóp. W ten piasek, który połyskiwał drobinami granatów, zieleni i złota, brązów i czarnych kryształków. Plaża... Plaża!

- Ze mną! - krzyknęła Cassie. - Myślcie wszyscy razem ze mną! Dajcie mi swoją Moc! Już!

Wyobrazila to sobie wyraźnie. Tę długą plażę ciągnącą się równoległe do Crowhaven Road. Prawie dwa kilometry kryształów na kryształach. Wstała swoje myśli w tamtą stronę, wspierając się Mocą stojącego za nią kowenu. Skoncentrowała się na niej, przez nią, patrząc teraz na Johna Blacka - na tę kryształową czaszkę z jej wyszczerzonymi zębami i pustymi oczodołami. A potem całą siłą umysłu pchnęła.

Poczuła, że energia wystrzeliła z niej niczym fala ognia, niczym słoneczna raca, pełna siły całego Kręgu.

— 343 —

Przez nią przepłynęła prosto w plażę, a odbita od plaży runęła na Johna Blacka, skupiona i wzmocniona, stanowiąc połączenie całej mocy Ziemi i Wody. I tym razem, kiedy czaszka eksplodowała, posypały się na podłogę drobiny górskiego kryształu.

A potem zabrzmiał krzyk, którego Cassie miała nigdy nie zapomnieć. A jeszcze później podłoga domu pod numerem 13 usunęła im się spod stóp.

ROZDZIAŁ 16

Nic ci nie jest? - Cassie spytała Susan, bo tak się złożyło, że leżała dokładnie na niej. - Wszyscy ocaleli?

Członkowie Kręgu leżeli w różnych miejscach opuszczonej parceli, jakby rozsypała ich tam jakaś gigantyczna dłoń.

- Chyba złamałam rękę - powiedziała Deborah dość spokojnie. Laurel podczołgała się, żeby ją obejrzeć.

Cassie rozejrzała się po parceli. Dom znikł. Numer 13 znów był jałowym kawałkiem ziemi. I zmieniło się światło.

- Popatrzcie! - wykrzyknęła Melanie z uniesioną twarzą. Tym razem w jej głosie brzmiała radość.

Księżyc znów ukazywał srebrzyste oblicze. Na razie wyglądał jak wąski sierp, ale z każdą chwilą rósł. Znikła barwa krwi.

- Udało nam się - ucieszył się Doug, a jego jasne włosy były rozczochrane bardziej niż kiedykolwiek od

— 344 —

przyjazdu Cassie do New Salem. Uśmiechnął się szeroko. - Hej! Udało nam się!

- Cassie się udało - podkreślił Nick.

- Naprawdę znikł? - spytała ostro Susan. - Tym razem znikł na dobre?

Cassie znów rozejrzała się wkoło, nie wyczuwając niczego poza rześkim powietrzem i niekończącym się ogromem oceanu. Ziemia była spokojna. Jedynie światło dawały księżyc i gwiazdy.

- Chyba tak - szepnęła. - Wygraliśmy. - A potem szybko obróciła się do Adama. - Co z huraganem?

Grzebał przy przelącznikach radia przy pasku.

- Mam nadzieję, że się nie zepsuło - powiedział i założył słuchawki.

Kuśtykając i czolgając się, wszyscy zebrał się jak najbliższej niego. Czekali.

Śluchal, kręcąc głową, przeskalując z kanału na kanał. Twarz miał napiętą. Cassie zauważyła obok siebie Dianę i wzięła ją za rękę. Siedziały razem. A potem Adam nagle się wyprostował.

- Wiatry o sile sztormu na Cape Cod... Sztorm przesuwa się na północny wschód... Północny wschód! Zawróć! Kieruje się nad ocean!

Bracia Hendersonowie wykrzyknęli z radości, ale Melanie ich uciszyła. Adam znów się odezwał.

- Wysoki przypływ... Są podtopienia... Ale nie się nie stało, nie ma ofiar w ludziach! Tylko zniszczenia. Udało się! Naprawdę nam się udało!

- To Cassie się udało... - znów odezwał się Nick z lrytacją, ale Adam zerwał się z ziemi, złapał Cassie na ręce i zaczął z nią wirować w kółko. Cassie krzyknęła głośno i dalej krzyczała, kiedy Adam okręcał się na pięcie. Nie widziała, żeby był taki szczęśliwy, od

— 345 —

czasu... No cóż, w ogóle sobie nie przypominała, żeby go widziała tak szczęśliwego. Chyba od czasu plaży w Cape Cod, kiedy rzucił jej ten szelmowski uśmiech. Zapomniała, przez te miesiące żartów, że ta pomału minęła wcale nie jest zwykłą miną Adama.

Jak Hern, pomyślała, kiedy postawił ją, zdyszana i zarumieniona, na nogach. Rogaty leśny bożek był bogiem radosnych celebrazji. Chris i Doug usiłowali teraz z nią zatańczyć, obaj naraz. Adam porwał do walca Dianę. Cassie zatrzymała się, rozsiemiana. Nagle coś wielkiego i futrzastego rzuciło się na nią i przewróciło ją na ziemię.

- Radź! - skarcił go Adam. - Kazalem ci zostać w domu!

- Jest mniej więcej tak samo posłuszny jak wy wszyscy - sapała Cassie, przytulając owczarka niemieckiego, który lizał ją mokrym językiem po twarzy. - Ale ucieszyłam się na ten widok. Wasz widok, nie psa - dodała, oglądając się na nich.

- Nie mogliśmy cię tam tak po prostu zostawić - stwierdził Sean.

Doug skrzywił się złośliwie, ale poklepał niższego chłopaka po plecach.

- No jasne, że nie, tygrysie - powiedział i spojrzal na Cassie, przewracając oczami.

Cassie patrzyła na Faye. Czarnowłosa dziewczyna siedziała nieco na uboczu, tak jak kiedyś Nick.

- Cieszę się, że do nas dołączyła.

Faye już wcale nie wyglądała jak stenotypistka. Grzywa czarnych włosów rozspalała jej się luźno na ramiona, a czarna tunika pokazywała więcej młodości, niż zakrywała. Wyglądała trochę jak pantera albo jak królowa dżungli.

Jej złote oczy o ciężkich powiekach spojrzały prosto na Cassie, a kąciaki ust uniosły się w leciutkim uśmiechu.

A potem spuściła wzrok.

- No, mogę sobie znów pomalować paznokcie na ostrą czerwień - rzuciła leniwie.

Cassie odwróciła się, ukrywając własny uśmiech. Od Faye pewnie większego podziękowania nigdy się nie doczeka.

- Jeśli już skończyliście się drzeć i tańczyć - odezwiała się Laurel - to czy możemy już wracać do domu? Bo Deborah naprawdę złamała rękę.

Cassie podskoczyła, pełna poczucia winy.

- Dlaczego nic nie mówiłaś?

- To nic takiego - odparła Deborah. Ale pozwoliła Nickowi i Laurel podtrzymać się, gdy wstawała.

Kiedy wracali, Cassie uderzyła jeszcze jedna myśl. Jej matka, John Black zginął, huragan zmienił trasę, ale co z jej matką?

- Może powinniśmy zabrać Deborah do naszych wiedzów? - zapytała Dianę.

- To i tak najlepsze miejsce - odparła przyjaciółka. - One wiedzą najlepiej o leczeniu. - Popatrzyła na Cassie ze zrozumieniem, ujęła ją za rękę i uściśkała.

Muszę się przygotować, pomyślała Cassie, kiedy zbliżyły się do numeru 4. Muszę być gotowa. Mama może już nie żyć. Może być w takim samym stanie, w jakim była, kiedy wychodziłam... Leżeć w łóżku. Może już taka być zawsze.

Cokolwiek się zdarzy, dotrzymałam obietnicy. Powstrzymałam Johna Blacka. Nigdy już jej nie skrzywdzi.

Cassie zerknęła na księżyc, zanim weszli do domu Melanie. Był teraz grubym sierpem, tustym i zadowolonym miesiącem. Wzięła to za dobry omen.

Wewnątrz migotały świece. Zastanawiała się przez jedną szaloną chwilę, czy starsze panie nadal nie wykonują swoich tańców, ale potem zajrzała do salonu. Ciotka Constance siedziała wyprostowana sztywno jak drut na zaokrąglonym siedzeniu fotela, nieskazitelnie ubrana i z miną osoby niezwykle dobrze wychowanej przy świetle świec serwowała herbatę trzem gościom.

Trzem gościom...

- Mamo! - krzyknęła Cassie i runęła przed siebie, po drodze przewracając jedno z delikatnych krzesielek ciotki Constance. I po chwili ścisnęła już matkę, tuląc się do niej z całej siły na kanapie. A matka oddawała uścisk.

- Na litość boską, Cassie - powiedziała mama trochę później, odsuwając ją lekko od siebie, żeby jej się przyjrzeć. - Jak ty jesteś ubrana...

Cassie dotknęła ręką diadem, który nieco jej się przekrzywił. Poprawiła go na głowie i spojrzała matce w oczy. Była taka szczęśliwa, że te oczy patrzyły na nią i ją widziały, że zapomniała odpowiedzieć.

To Deborah odezwała się z bólu, głosem znużonym, ale dumnym.

- Jest naszą przywódczynią. - A potem dodała: - Nie ma ktoś aspiryny?

- No cóż, oczywiście, że to nie jest tymczasowe - stwierdziła Laurel poirytowanym głosem. - Przecież cię wybraлиśmy.

- I zagłosowaliśmy - powiedziała Deborah. Ugrzyła jabłko trzymane w lewej ręce. Drugą miała na temblaku.

To było następnego dnia. W szkole nie było lekcji ze względu na drobne szkody spowodowane szturmem i zniknięcie dyrektora. Kraj cieszył się pogodną pogodą i urządził piknik w ogrodzie za domem Diany.

- Ale teraz mamy dwie przywódczynie - oznajmił Chris. - Czy Faye została odwybrana?

- Raczej nie - odparła Faye, rzucając mu miazdzące spojrzenie.

Melanie poruszyła się, pogrążona w myślach, a jej szare oczy były skupione.

- No cóż, bywało, że inne kowony miały po dwóch przywódców. Pamiętajcie, tak było w pierwszym kowenie. John Black był tylko jednym z przywódców. Możecie dzielić władzę z Faye, Cassie.

Cassie pokręciła głową.

- Nie bez Diany.

- Co? - odezwał się Doug.

Nick spojrzal na nią z rozbawieniem.

- Diana może nie życzyć sobie tego honoru - powiedział.

- Nic mnie to nie obchodzi - skwitowała Cassie, zanim Diana zdążyła się odezwać choć słowem. - Nie będę przywódczynią bez Diany. Zrezygnuję. Wyjadę do Kalifornii.

- Słuchaj, wszystkie nie możecie być przywódczyniami - odezwała się Deborah.

- Dlaczego nie? - spytała Melanie, wstając. - W sumie to niezły pomysł. Możecie stworzyć triumwirat.

No wiecie, jak w czasach rzymskich. Oni też mieli trójwładztwo.

- Diana może się nie zgodzić - powtórzył Nick z jeszcze większym naciskiem. A Cassie wstała i poszła do niej z niespokojną miną.

- Zgodzisz się, prawda? - spytała. - Dla mnie?

Diana popatrzyła na nią, a potem na resztę Klubu.

- No, dalej - zachęcił ją Doug.

- Trójka to dobra liczba - dodała Laurel, uśmiechając się szelmowsko.

Faye westchnęła ciężko.

- Och, czemu nie? - mruknęła, patrząc w inną stronę.

Diana spojrziała na Cassie.

- Dobrze - odparła wreszcie.

Cassie ją uściskała.

Diana odrzuciła na plecy pasmo jasnych włosów.

- A teraz chcę, żebyś coś zrobiła - powiedziała. -

Jako przywódczyni już nie jesteś najmłodszym członkiem kowenu, Cassie, ale nikt inny poza tobą nie może tego zrobić. Czy możesz pójść i wykopać tę kasetkę, którą ci dałam w noc Hekate?

- Kasetkę zaufania? Już czas ją wykopać?

- Tak - stwierdziła Diana. - Już czas. - Patrzyła na Melanie, a Melanie kiwała głową. Najwyraźniej dzieliły ze sobą jakiś sekret.

Cassie popatrzyła na nie obie zdziwiona, ale potem poszła po pudełko. Radzi dreptał tuż za nią. Cudownie było być samej i wiedzieć, że nie się na nią nie czai. Odkopala piasek w pobliżu wielkiej skały, gdzie ukryła pudełko tamtej nocy. Wyjęła je, zawilgocone. Morze migotało do niej i słało błyski fal.

Przyniosła pudełko z powrotem do domu Diany, zdyszana po spacerze. Węczyła je przyjaciółce.

- Co tam jest? Następne Arkana Mistraza? - spytał Doug.

- To pewnie jakieś babskie fatalaszki - stwierdził Chris.

Diana pochyliła się nad pudełkiem z dziwną miną.

- Nie otwierałaś go - rzekła do Cassie.

Dziewczyna pokręciła głową.

- No cóż, wiedziałam, że tego nie zrobisz - oznajmiła Diana. - Ale też chciałam, żebyś wiedziała. W każdym razie jest twoje i jego zawartość też. - Zdmuchnęła z pudełka resztki piasku i podała je Cassie.

Cassie spojrziała na nią z powątpiewaniem, ale wzięła pudełko. Lekko zagrzechała, jakby w środku było coś niedużego. Znowu spojrziała na Dianę. A potem, z wahaniem, niemal przestraszona, otworzyła je.

W środku był tylko jeden przedmiot. Niewielki owalny kamień, bładoniebieski i szarawy, cały obasypany małymi kryształkami, które połyskiwały w słońcu.

Róża z chalcedonu.

Cassie stała jak sparalizowana, mogła poruszać tylko oczami. Popatrzyła na Dianę. Nie wiedziała, co ma zrobić ani co powiedzieć. Nie rozumiała tego. Ale jej serce było w szalonym tempie.

- Jest twój - powiedziała Diana znowu, a potem, kiedy Cassie nadal siedziała tam jak zamurowana, spojrziała na Melanie. - Może lepiej jej to wyjaśnij.

Melanie odchrząknęła.

- No cóż - odezwała się i zerknęła na Adama, który siedział równie nieruchomo jak Cassie. Niewiele od

rana mówił, a teraz patrzył bez słowa na Dianę jak zaszarowany.

- No cóż - powtórzyła Melanie. Adam nadal nawet na nią nie spojrzał, więc mówiła mimo wszystko dalej. - To było wtedy, kiedy Adam nam opowiedział, jak cię poznał - zwróciła się do Cassie. - Opisał więc, coś co ty określiłaś jako srebrną nić. Pamiętasz to?

- Tak - powiedziała Cassie, ale nadal ani drgnęła. Ona też patrzyła teraz na Dianę, szukając czegoś w jej twarzy. Diana odpowiedziała spokojnym spojrzeniem.

- No więc ta srebrna nić jest czymś realnym, czymś ze starych legend. Ludzie nią połączeni to bratnie dusze. Rozumiesz, ich przeznaczeniem jest być razem. Więc kiedy Diana i ja usłyszaliśmy o tym, wiedziałymy, że ty i Adam tym właśnie jesteście. - Melanie bardzo chciała zakończyć te wyjaśnienia. Ci, których one dotyczyły, w ogóle na nią nie patrzyli.

- I dlatego zdziwiłam się Nickiem, rozumiesz - odezwała się Diana do Cassie łagodnym tonem. - Bo wiedziałam, że możesz kochać wyłącznie Adama. I miałam zamiar ci to od samego początku powiedzieć, ale prosiłaś, żeby ci dać jeszcze jedną szansę, żeby ci pozwolić dowiedzieć, że potrafił być wierna... I pomyślałam sobie, że to dobry pomysł. Nie ze względu na mnie, ale na ciebie. Żebyś wiedziała, Cassie, ile masz siły. Rozumiesz?

Cassie pokiwała głową w milczeniu.

- Ale... Diano... - wyszeptala.

Diana zamrugala, a jej szmaragdowe oczy pociemniały.

- Znowu mnie doprowadzisz do lez - stwierdzila. - Cassie, przy całej tej bezinteresownosci, ktora mnie otacza, myslisz, ze do tego nie doroslam? Wy dwoje

przez wzglad na mnie czekaliscie cale miesiace. Teraz nie musicie juz dluzej czekac.

- Nikt nie moze na to nic poradzie - wtracila Melanie wspolczujacym, ale praktycznym tonem. - Ty i Adam jesteście złączeni i to wszystko. Dla was obojga nie istnieje nic innego, więc w tym wcieleniu jesteście już na siebie skazani. Może i na więcej wcieleń.

Cassie, nadal zneruchomiała, przeniosła spojrzenie na Adama.

Wpatrywał się w Dianę.

- Diano, ja po prostu nie... Znaczący ja zawsze będę...

- Ja też zawsze będę cię kochała - powiedziała Diana stanowczo. - Zawsze będziesz dla mnie kimś szczególnym, Adamie. Ale to Cassie jest twoją prawdziwą miłością.

- Tak - szepnął Adam.

Cassie popatrzyła na szorstki kawałek kamienia w swojej dłoni. Połyskiwał. Aż jej się w głowie zakręciło.

- No idź, idź do niego - Diana popchnęła ją lekko.

Ale Cassie nie mogła, więc to ona do niej przyszedł. Minę miał nieco oszołomioną, ale jego oczy były tak błękitne jak ocean w słońcu, a uśmiechnął się do niej tak, że się aż zarumieniła.

- No dalej, pocałuj ją - rzucił Chris. Laurel pomasnęła go po łapie. Reszta Kręgu obserwowała ich z wielkim zainteresowaniem.

Adam spiorunował ich wzrokiem, a potem pocałował Cassie oficjalnie, w policzek. Później, kiedy zabrzmiły jęki rozczarowania, szepnął do niej w taki sposób, że poczuła się przyjemnie niespokojna.

- Potem.

– Czy ja sobie poradzę z Hernem? – zastanowiła się, spoglądając na jego włosy, które miały tak wiele barw – ciemne jak granaty i jasne jak jarzębina, przeplatane pasmami złota. Chyba będę musiała, pomyślała. To na całe życie. Melanie powiedziała, że może na kilka wcieleń.

Z jakiegoś powodu po tej myśli spojrziała na Faye i Dianę.

Nie wiedziała dlaczego, ale potem opanowało ją pewne wspomnienie. Światło słońca. Żółte światło słońca, zapach jaśminu i lawendy, rozemniany, rozspiany głos, Kate. Kate o włosach tej samej niemożliwej barwy co u Diany. Ale Cassie zrozumiała teraz, że rozemnianie, szelmowskie oczy Kate były oczami Faye.

Przedkini ich obu, pomyślała Cassie. Przecież są siostrami ciotecznymi, większość krewnych mają wspólnych.

Coś w głębi jej ducha zdawało się uśmiechać. Zastanowiła się. Czy Melanie miała rację, czy można mieć więcej niż jedno życie? Czy dusza może wciąż powracać na Ziemię? A jeśli tak, to czy dusza może czasem ulegać rozszczepieniu?

– Moim zdaniem – odezwała się nagle do Diany – ty i Faye będziecie musiały się nauczyć żyć obok siebie. Moim zdaniem wy dwie... potrzebujecie się nawzajem.

– Oczywiście – stwierdziła Diana, jakby to było coś, co wiedzą wszyscy – Ale dlaczego?

To pewnie tylko jakaś szalona teoria, Cassie nie chciała jej o niej mówić, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Może jutro.

– Chyba namaluję obraz – oznajmiła Diana z namysłem. – I dodam go do swojej kolekcji. Jak ci się po-

— 354 —

dobą Muza, otoczona księżycem i gwiazdami, z miną pełną natchnienia?

– To dobry pomysł. – Cassie drżał głos.

– Ale teraz musimy porozmawiać o tym – wtrąciła Melanie – co zrobimy z Arkanami Mistrza. Mamy Moc. Kowen ma Moc. I powinniśmy się zastanowić, co z nimi zrobic.

– Nie, tak naprawdę to musimy zorganizować imprezę – rzucił Doug. – Żeby nadrobić te wszystkie uroczyny, które nam przepadły. Chris i ja nie mieliśmy porządnej imprezy, ani Sean, ani Laurel...

– Ochroń środowiska – mówiła Laurel stanowczym tonem do Melanie. – Tym powinniśmy się zająć.

– Ja też nie miałam imprezy – stwierdziła Susan, delikatnie zdejmując opakowanie z batonika.

Faye przyjrzała się swoim paznokciom, polyskującym w słońcu jak czerwone klejnoty.

– Znam parę osób, na które chętnie rzucę umk – mruknęła.

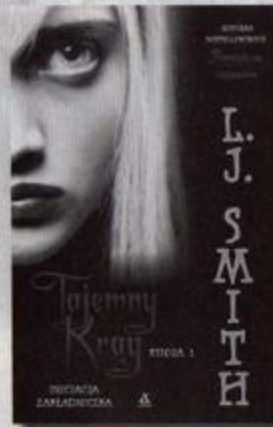
Cassie popatrzyła na nich wszystkich, rozemnianych, sprzeczących się ze sobą i dyskutujących. Spojrzała na Nicka, który patrzył z dystansu, z rozbitą miną, a teraz pochwycił jej spojrzenie i mrugnął do niej.

Potem popatrzyła na Dianę, której czyste zielone oczy na moment się na niej skupiły. A potem...

– Tak, ochrona środowiska to ważna sprawa – powiedziała Diana, zwracając się do Laurel. – Ale musimy też myśleć o tym, jak poprawić nasze relacje z obcymi...

Cassie spojrziała na Adama i przekonała się, że on patrzy na nią. Wziął ją za rękę, ścisnął. W ten sposób oboje trzymali rękę z chłodem.

CZY WIESZ, JAK ZACZĘŁA SIĘ
TA MROczNA I ROMANTYCZNA HISTORIA?



Od pierwszego dnia po przeprowadzce do posurego New Salem szesnastoletnia Cassie tęskni za słoneczną Kalifornią. I od pierwszego dnia w nowej szkole czuje dąwną więź z grupą tajemniczych dziewczyn, które najwyraźniej rządzą liceum. Wkrótce pozna je sekret i sekret Kręgu – tajemnego zgromadzenia czarownic. I odkrywa, że jest jedną z nich... Lecz kiedy spotka zagadkowego Adama, będzie musiała wybierać pomiędzy swoją nowo odkrytą upajającą magiczną Mocą a miłością. I zdecydować, czy zatraci się w uroku, czy odda mrocznym Mocom to, czego najbardziej pragnie – choćby miało ją to zniszczyć...

Spuszcza wzrok na ich splecione palce i miała wrażenie, że znów widzi tę srebrzystą nić otaczającą ich ręce, łączącą ich ze sobą. Ale nie tylko ręce ich dwojga. Magiczna nić łączyła ich wszystkich swoim srebrzystym światłem. Wszyscy byli jednością, wszyscy stanowili część siebie, a otaczające ich światło dotykało też ziemi i nieba, i morza.

„Niebo i morze, niech się nic złego nie stanie. Ziemi i ogniu, zesłajcie mi pożądanie”.

I zesłały. I tak już będzie w przyszłości. Swoim wewnętrznym wzrokiem Cassie widziała, jak Krąg staje się częścią czegoś większego, niczym spirala, która rośnie bez końca, obejmując wszystko, sięgając gwiazd.

– Kocham cię – szepnął Adam.

A Cassie z samego środka Kręgu uśmiechnęła się do niego.

Pozdrawiam: szulikmnia